MISTRZOWIE SF I FANTASY

ARTHUR C. CLARKE
STEPHEN BAXTER

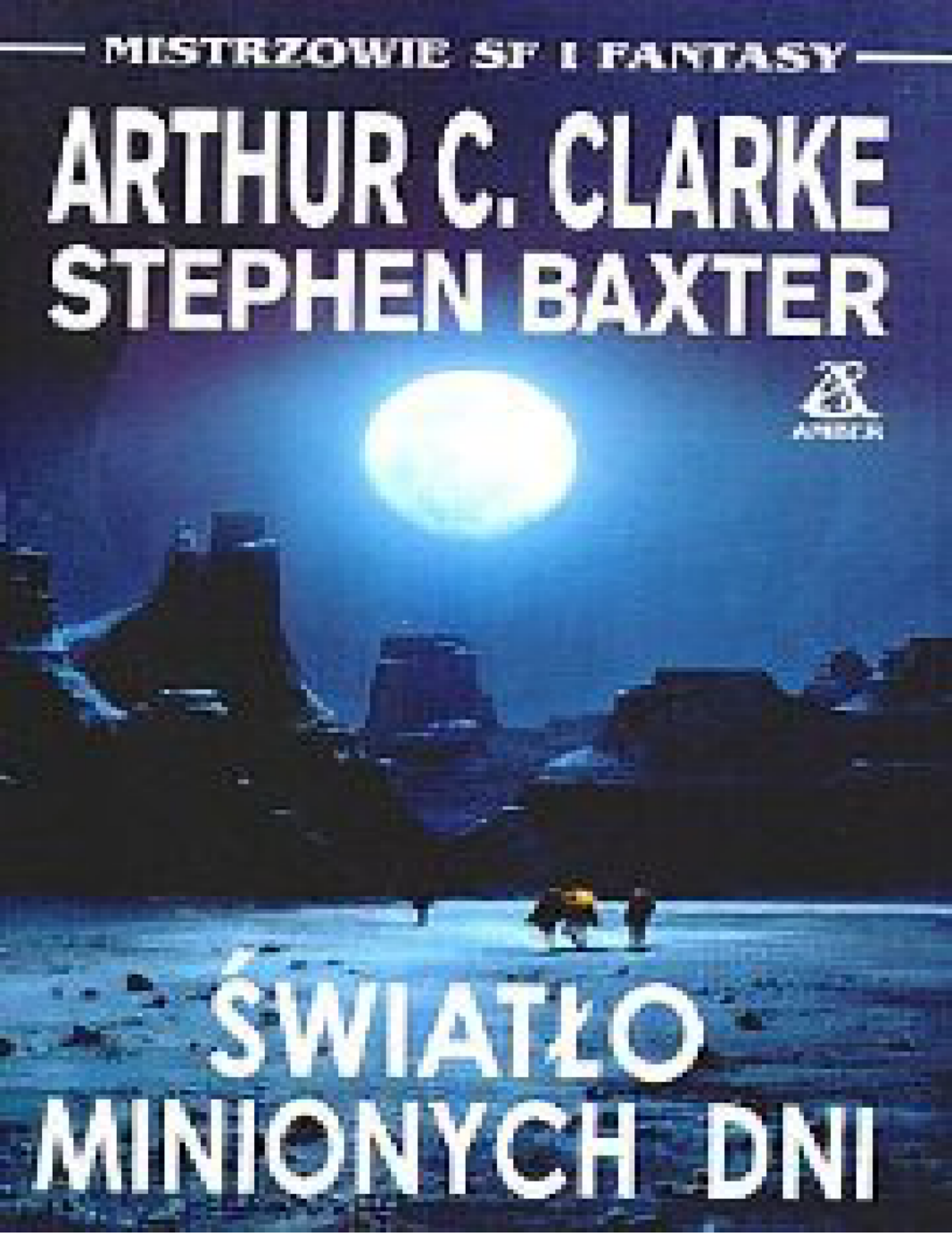

ŚWIATŁO MINIONYCH DNI

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Szef wielkiej stacji telewizyjnej dokonuje epokowego odkrycia — znajduje metodę tworzenia mikrotuneli podprzestrzennych, które pozwalają zajrzeć kamerze w każde miejsce w teraźniejszości i przeszłości... W przezroczystym świecie nic nie ukryje się przed kamerą. Ludzie zaczynają szukać sposobów na ukrycie swojej prywatności i swoich zbrodni…

- Arthur C. Clarke, Stephen Baxter
  - Prolog
  - Część pierwsza
    - 1. Maszyna Casimira
    - 2. Oko duszy
    - 3. Wormworks
    - 4. Wormwood
    - 5. Wirtualne niebo
    - 6. Perła za miliard dolarów
    - 7. WormCam
    - 8. Sensacje
    - 9. Agent
    - 10. Strażnicy
    - 11. Wszczep mózgowy
    - 12. Czasoprzestrzeń
  - Część druga
    - 13. Szklane ściany
    - 14. Lata świetlne
    - 15. Konfabulacja
    - 16. Wojna o wodę
    - 17. Maszyna demaskująca
    - 18. Spojrzenie w przeszłość
    - 19. Czas
    - 20. Kryzys wiary
    - 21. Ujrzycie człowieka
    - 22. Wyrok
  - Część trzecia
    - 23. Rozświetlona scena
    - 24. Patrząc na Bobby’ego
    - 25. Uchodźcy
    - 26. Prababki
    - 27. Historia rodzinna
    - 28. Wiek Syzyfa
  - Epilog

    - Posłowie
- notes
    - 1

Arthur C. Clarke, Stephen Baxter
Światło minionych dni

Bobowi Shaw

Czy nie jest możliwe — często się zastanawiam — by zdarzenia, które tak intensywnie przeżywaliśmy, dysponowały egzystencją niezależną od naszych umysłów? A jeśli tak, czy nie będzie możliwe, z czasem, wynalezienie jakiegoś urządzenia, które potrafi do nich sięgnąć? Zamiast wspominać tutaj scenę, tam jakiś glos, wcisnę wtyczkę do ściany i będę słuchała przeszłości…

Virginia Woolf (1882–1941)

Prolog

Bobby patrzył na Ziemię — piękną i spokojną w klatce srebrzystego światła.

Pasma zieleni i błękitu przeciskały się na nowe pustynie Azji i Środkowego Zachodu Ameryki Północnej. Sztuczne rafy nad Morzem Karaibskim lśniły jasnym błękitem na tle ciemniejszego oceanu. Wielkie mgliste maszyny pracowały nad biegunami, by naprawić atmosferę. Powietrze było czyste jak szkło, gdyż ludzkość czerpała teraz energię z samego jądra Ziemi.

I Bobby wiedział, że jeśli zechce, samym wysiłkiem woli potrafi spojrzeć w przeszłość.

Mógł patrzeć, jak rozkwitają miasta na powierzchni cierpliwej planety, jak potem rozsypują się i znikają niczym rdzawa rosa. Mógł patrzeć, jak gatunki wymierają i deewoluują niczym liście zwijające się w pączki. Mógł obserwować powolny taniec kontynentów, gdy Ziemia zasysała w swe żelazne serce pierwotny żar. Teraźniejszość była lśniącym, rozszerzającym się pęcherzem życia i świadomości, z przeszłością zamkniętą wewnątrz, uchwyconą i nieruchomą jak owad w bursztynie.

Na tej bogatej, rosnącej Ziemi zanurzona w swej wiedzy doskonała ludzkość przez długi czas żyła w pokoju: pokoju niewyobrażalnym, gdy on sam przychodził na świat.

I wszystko to wzięło się z ambicji jednego człowieka — chciwego, zepsutego; człowieka, który nigdy nie rozumiał, dokąd doprowadzą jego marzenia.

To zadziwiające, pomyślał.

Bobby spojrzał w swoją przeszłość — i w swoje serce.

Część pierwsza
AKWARIUM

Wiemy, jak okrutna jest często prawda, i zastanawiamy się, czy ułuda nie koi nas bardziej.

Henri Poincaré (1854–1912)

1. Maszyna Casimira

Krótko przed wschodem słońca Witalij Keldysz wsiadł niezgrabnie do swego samochodu, uruchomił autoszofera i pozwolił, by wóz odjechał spod zaniedbanego hotelu.

Ulice Leninska były puste, powierzchnia drogi popękana, wiele okien zabito deskami. Pamiętał to miejsce w szczycie rozwoju, gdzieś w latach siedemdziesiątych: gwarne miasto naukowców, z dziesiątkami tysięcy mieszkańców. Miało swoje szkoły, kina, basen, stadion sportowy, kawiarnie, restauracje, hotele, a nawet własną stację telewizyjną.

A jednak, gdy mijał główną bramę na północy miasta, wciąż tkwił tam stary niebieski znak z białą strzałką wskazującą: DO BAJKONURU, nadal głoszący tę dawną, mylącą nazwę. I wciąż tutaj, w sercu Azji, rosyjscy inżynierowie budowali statki kosmiczne i wystrzeliwali je w niebo.

Chociaż, pomyślał ze smutkiem, pewnie już niedługo.

Słońce wzeszło wreszcie i przyćmiło gwiazdy — wszystkie prócz jednej, jak się przekonał, najjaśniejszej ze wszystkich. Swobodnie, z nienaturalną prędkością poruszała się przez południowe niebo. Były to ruiny Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, nigdy nie ukończonej, porzuconej w 2010 roku po katastrofie wiekowego promu kosmicznego. Ale stacja wciąż dryfowała wokół Ziemi jak nieproszony gość na dawno zakończonym przyjęciu.

Pejzaż za miastem był monotonny. Samochód minął stojącego cierpliwie przy drodze wielbłąda i pomarszczoną kobietę w łachmanach. Pomyślał, że taką scenę mógł pewnie zobaczyć w każdej chwili ostatniego tysiąca lat, jak gdyby nie liczyły się te wszystkie zmiany polityczne, techniczne i społeczne, które przemknęły nad tą krainą. Być może tak właśnie było.

Lecz w coraz jaśniejszym wiosennym słońcu zieleniał step nakrapiany żółtymi kwiatami. Witalij odsunął okno i próbował wyczuć zapach łąk, który tak dobrze pamiętał. Jednak nos, zniszczony przez wiele lat palenia tytoniu, zawiódł go po raz kolejny. Witalij poczuł ukłucie smutku, jak zawsze o tej porze roku. Trawa i kwiaty wkrótce znikną: wiosna na stepach trwa tragicznie krótko, jak samo życie.

Dotarł do celu.

Był to łańcuch stalowych wież wycelowanych w niebo i gigantycznych, betonowych wzgórz. Kosmodrom — o wiele większy od jego zachodnich konkurentów — pokrywał tysiące kilometrów kwadratowych pustego terenu. Oczywiście większa jego część była obecnie porzucona, a ogromne wysięgniki rdzewiały powoli w suchym powietrzu lub zostały rozebrane na złom — za zgodą władz albo i bez

niej.

Lecz dziś rano przy jednej z platform panował spory ruch. Witalij widział techników w ochronnych kombinezonach i pomarańczowych hełmach, biegających wokół wielkiej wieży — niczym wierni u stóp potężnego boga.

Z megafonów nad stepem popłynęły słowa: Gotowost' diesjat' minut. Dziesięć minut i odliczanie trwa.

Spacer z samochodu na stanowisko obserwacyjne, choć krótki, bardzo go zmęczył. Witalij starał się ignorować bicie krnąbrnego serca, krople potu na szyi i czole, brak tchu, uczucie bólu nękające ramię i kark.

Powitali go ci, którzy przybyli tu wcześniej. Byli to korpulentni, zadowoleni z siebie mężczyźni i kobiety, którzy w tej nowej Rosji poruszali się płynnie między prawem a mętnym światem podziemia. Byli też bardzo młodzi technicy o twarzach podobnych do szczurów, niczym symbole głodu dręczącego ten kraj od upadku Związku Radzieckiego.

Przyjął powitanie, ale z zadowoleniem pogrążył się w odosobnieniu i anonimowości. Kobiety i mężczyźni w tych ciężkich czasach nie dbali ani o niego, ani o jego wspomnienia lepszej przeszłości.

Nie obchodziło ich też szczególnie to, co miało nastąpić. Wszystkie rozmowy dotyczyły wydarzeń rozgrywających się daleko stąd: Hirama Pattersona i jego tuneli podprzestrzennych, jego obietnicy, że samą Ziemię uczyni przezroczystą jak szkło.

Było jasne, że Witalij jest tu najstarszym z obecnych, być może ostatnim okazem z dawnych dni. Ta myśl dawała mu pewną gorzką satysfakcję.

Dziś była niemal siedemdziesiąta rocznica wystrzelenia pierwszej Mołni — „błyskawicy" — w 1965 roku. Równie dobrze mogło to być siedemdziesiąt dni, tak wyraźnie wszystko pamiętał. Armia młodych naukowców, techników rakietowych, mechaników, robotników, kucharzy, cieśli i murarzy pojawiła się na tym pustym stepie i mieszkając w chatach i namiotach, na przemian marznąc i gotując się w upale, uzbrojona w niewiele więcej niż swoje oddanie sprawie i geniusz Koralowa, wybudowała i wystrzeliła pierwsze statki kosmiczne ludzkości.

Projekt satelitów Mołnia był rzeczywiście genialny. Wielkie silniki Korolewa nie potrafiły wynieść satelity na orbitę geosynchroniczną, na wysokość, gdzie by zawisła nad stałym punktem powierzchni Ziemi. Dlatego Korolew umieszczał swe satelity na eliptycznych ośmiogodzinnych trajektoriach. Na takich starannie dobranych orbitach trzy Mołnie mogły objąć swym zasięgiem większą część Związku Radzieckiego. Przez całe dziesięciolecia ZSRR, a potem Rosja

utrzymywały konstelację Mołni na ich eliptycznych torach, gwarantując wielkiemu, rozległemu krajowi tak ważną społeczną i gospodarczą jedność.

Witalij uważał satelity komunikacyjne Mołnia za największe osiągnięcie Korolewa, przewyższające nawet inne dokonania Konstruktora — wystrzeliwanie w kosmos ludzi i robotów, lądowanie na Marsie i Wenus, a nawet przegrany o włos z Amerykanami wyścig do Księżyca.

Lecz dziś, prawdopodobnie, zapotrzebowanie na te cudowne ptaki wygasło.

Wielka wieża startowa odsunęła się, a ostatnie kable energetyczne opadły, wijąc się jak grube czarne węże. Pojawiła się smukła sylwetka samej rakiety: igła z ozdobnym ożebrowaniem, typowym dla antycznych, cudownych, absolutnie niezawodnych konstrukcji Korolewa. Chociaż słońce wzeszło już wysoko, rakieta była skąpana w jaskrawym sztucznym świetle i w oparach kriogenicznego paliwa zbiorników.

Tri. Dwa. Odin. Zaziganije!

Zapłon…

Kiedy Kate Manzoni wjeżdżała do kampusu OurWorldu, jaskrawy pokaz świetlny Hirama Pattersona malował już niebo nad stanem Waszyngton. Zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie spóźni się na tę niezwykłą konferencję bardziej, niż to wypada.

Małe samoloty krążyły po niebie, rozpylając warstwę (z pewnością ekologicznie bezpiecznego) pyłu, na której lasery kreśliły obrazy obracającej sią Ziemi. Co kilka sekund glob stawał się przezroczysty i odsłaniał znajomy symbol OurWorldu, wyrysowany w samym jądrze. Wszystko to było dość tandetne i tylko przesłaniało prawdziwe piękno czystego nocnego nieba.

Zaciemniła dach auta i powidoki popłynęły jej przed oczami.

Mały robot zawisł przed samochodem. Wyglądał jak jeszcze jeden wirujący powoli ziemski glob, a kiedy przemówił, głos miał gładki, syntetyczny, pozbawiony wszelkich emocji.

— Tędy, pani Manzoni.

— Chwileczkę — rzuciła i szepnęła: — Wyszukiwarka. Lustro. Jej własny obraz wykrystalizował się pośrodku pola widzenia, niepokojąco przesłaniając wirującego robota. Sprawdziła przód i tył sukni, włączyła programowalne tatuaże na ramionach i odgarnęła niesforne kosmyki włosów. Obraz, syntezowany z danych kamer samochodu i przekazywany do wszczepów na siatkówce, był trochę ziarnisty, a przy zbyt szybkich ruchach rozpadał się na kwadratowe piksele, ale takie były ograniczenia staromodnej techniki wszczepów zmysłowych. Godziła się z nimi. Lepiej znosić niewyraźne obrazy, niż

pozwolić, żeby jakiś chirurg od poprawiania CUN pchał się z łapami do jej czaszki.

Gotowa, usunęła obraz i wysiadła z wozu z taką gracją, na jaką tylko było ją stać w tej bezsensownie obcisłej i niepraktycznej sukience.

Kampus OurWorldu okazał się dywanem prostokątów trawy, oddzielających dwupiętrowe budynki biur — szerokie, niezgrabne skrzynie błękitnego szkła, podtrzymywane przez wąskie wsporniki zbrojonego betonu. Był brzydki i staromodny — szczyt korporacyjnej mody lat dziewięćdziesiątych. Na parterze każdego z budynków był otwarty parking, na jednym z nich zatrzymał się jej samochód.

Włączyła się w rzekę ludzi, płynącą w stronę bufetu. Roboty podskakiwały im nad głowami.

Bufet był zrobiony najwyraźniej na pokaz: spektakularny, wielopoziomowy szklany walec obudowany wokół autentycznego, zamalowanego graffiti kawałka berlińskiego muru. Co niezwykłe, przez sam środek sali przepływał strumień, a nad nim przerzucono niewielkie kamienne mostki. Dziś wieczór pewnie z tysiąc gości krążyło po tej szklistej podłodze, grupy zbierały się i rozpraszały, strzępy rozmów niosły się na wszystkie strony.

Wiele głów zwróciło się w jej stronę. Niektórzy pewnie ją poznali, inni — zarówno mężczyźni, jak i kobiety — patrzyli z wykalkulowaną żądzą.

Spoglądała na jedną twarz po drugiej i rozpoznawała je ze zdumieniem. Byli tu prezydenci, dyktatorzy, członkowie królewskich rodów, wielcy świata przemysłu i finansjery oraz zwykła mieszanka sław muzycznych, filmowych i z innych dziedzin sztuki. Nie zauważyła prezydent Juarez, ale było kilka osób z jej gabinetu. Musiała przyznać, że na swój najnowszy spektakl Hiram ściągnął niezłą publiczność.

Kate wiedziała oczywiście, że nie znalazła się tutaj wyłącznie z powodu swego dziennikarskiego talentu czy umiejętności prowadzenia konwersacji, lecz dzięki połączeniu urody i pewnej sławy, jaką zyskała, rozgłaszając odkrycie Wormwoodu. Cóż, sama z przyjemnością korzystała z tych atutów, zwłaszcza od czasu swego wielkiego zerwania.

Roboty pływały nad głowami, roznosząc kanapki i drinki. Wzięła jakiś koktajl. Niektóre przekazywały obrazy ze stacji Hirama. W tym podnieceniu nikt nie zwracał na nie uwagi, nawet na te najbardziej widowiskowe: jeden z robotów na przykład pokazywał rakietę kosmiczną tuż przed startem, najwyraźniej z jakiegoś suchego stepu w Azji. Nie mogła jednak zaprzeczyć, że cała ta technika robiła wrażenie, wzmacniając jakby słynne przechwałki Hirama, że misją OurWorldu jest informowanie planety.

Z wolna dryfowała w stronę jednej z większych grup ludzi w pobliżu. Próbowała dostrzec, kto, czy też co, znalazł się w centrum ich uwagi. Zauważyła szczupłego młodego człowieka o ciemnych włosach, z wąsem jak mors i w okrągłych okularach; miał na sobie jakiś absurdalny teatralny mundur wojskowy — jasnozielony ze szkarłatnymi lampasami. Miała wrażenie, że trzyma jakiś mosiężny instrument muzyczny, jakby małą trąbkę. Rozpoznała go oczywiście i zaraz straciła zainteresowanie. Zwykły wirtual. Przyjrzała się stojącym wokół gościom, zaskoczona ich dziecięcym zafascynowaniem tą symulacją dawno już martwej sławy.

Jeden ze starszych mężczyzn przyglądał siejej nieco zbyt uważnie; oczy miał dziwne, nienaturalnie jasne. Zastanawiała się, czy używa nowej generacji implantów siatkówki — podobno operowały na falach długości milimetra, przy których tkaniny stają się przezroczyste; w połączeniu z lekkim wzmocnieniem obrazu pozwalały użytkownikowi widzieć przez ubrania. Mężczyzna zrobił niepewny krok w jej stronę; jego protezy, niewidoczne maszyny chodzące, zawarczały lekko.

Kate odwróciła się.

— …Obawiam się, że to tylko wirtual. To znaczy ten nasz młody sierżant. Podobnie jak jego trzech towarzyszy, rozstawionych na sali. Nawet władza mojego ojca nie pozwala jeszcze na wskrzeszanie zmarłych. Ale, oczywiście, wie pani o tym wszystkim.

Aż podskoczyła, słysząc głos przy uchu. Odwróciła się i spojrzała w twarz młodego człowieka: miał może dwadzieścia pięć lat, czarne włosy, dumny rzymski nos, a w brodzie dołek, za którym kobiety pewnie szalały. Mieszane pochodzenie uwidaczniała smagła skóra i grube czarne brwi nad oszałamiającymi, przymglonymi błękitnymi oczami. Lecz jego wzrok wędrował niespokojnie, nawet w ciągu tych kilku pierwszych sekund spotkania — jakby miał kłopoty z utrzymaniem kontaktu wzrokowego.

— Pani się na mnie gapi — powiedział. Próbowała się bronić.

— Zaskoczył mnie pan. Wiem zresztą, kim pan jest.

Młody człowiek nazywał się Bobby Patterson; był jedynym synem i dziedzicem Hirama, a także słynnym uwodzicielem. Zastanowiła się, ile jeszcze samotnych kobiet wziął dzisiaj na cel.

— A ja znam panią, pani Manzoni. Czy może mam do pani mówić Kate?

— Proszę bardzo. Pana ojca nazywam Hiramem, tak jak wszyscy, chociaż nigdy go nie spotkałam.

— A chcesz? Mogę to załatwić.

— Tego jestem pewna.

Przyjrzał się jej uważnie. Najwyraźniej bawił go ten subtelny słowny pojedynek.

— Wiesz, można zgadnąć, że jesteś dziennikarką, a przynajmniej,

że piszesz. Po tym, jak obserwujesz raczej ludzi, reagujących na wirtuala, niż samego wirtuala… Czytałem twoje teksty na temat Wormwoodu. Narobiłaś szumu.

— Nie takiego jak sam Wormwood, kiedy trafi w Pacyfik dwudziestego siódmego maja 2534 roku.

Uśmiechnął się. Zęby miał jak rzędy pereł.

— Intrygujesz mnie, Kate Manzoni — oświadczył. — W tej chwili sięgasz do wyszukiwarki, prawda? Pytasz o mnie.

— Nie. — Zirytowała ją ta sugestia. — Jestem dziennikarką, nie potrzebuję protezy pamięci.

— A ja najwyraźniej tak. Pamiętałem twoją twarz i teksty, lecz nie twoje imię. Czujesz się urażona?

Zjeżyła się.

— A niby dlaczego? Szczerze mówiąc…

— Szczerze mówiąc, wyczuwam w powietrzu odrobinę chemii seksu. Mam rację?

Ciężka ręka opadła na jej ramię i otoczył ją silny zapach taniej wody kolońskiej. Zjawił się osobiście Hiram Patterson: jeden z najsławniejszych ludzi na planecie.

Bobby uśmiechnął się i delikatnie odepchnął ramię ojca.

— Tato, znowu wprawiasz mnie w zakłopotanie.

— Och, co tam. Życie jest takie krótkie, prawda?

Akcent Hirama zdradzał jego pochodzenie — te przeciągane nosowe samogłoski, typowe dla Norfolk w Anglii. Był bardzo podobny do syna, lecz ciemniejszy, łysawy, z pasmem sztywnych czarnych włosów wokół głowy. Oczy jarzyły się błękitem nad rodowym długim nosem. Uśmiechał się lekko, pokazując pożółkłe od nikotyny zęby. Wydawał się energiczny i nie wyglądał na swoje sześćdziesiąt kilka lat.

— Pani Manzoni, podziwiam pani teksty, a jeżeli wolno mi dodać, wygląda pani cudownie.

— I zapewne dlatego się tutaj znalazłam. Roześmiał się zadowolony.

To także. Ale chciałem mieć pewność, że przynajmniej jedna inteligentna osoba znajdzie się wśród tych pustogłowych politykierów i ślicznotek, którzy zawsze przychodzą na takie imprezy. Ktoś, kto potrafi zapisać tę chwilę dla historii.

— Jestem zaszczycona.

— Ależ skądże — odparł bez ogródek. — Jest pani ironiczna. Słyszała pani plotki o tym, co chcę zrobić dziś wieczorem. Prawdopodobnie niektóre sama pani wymyśliła. Uważa mnie pani za stukniętego megalomana…

Tego bym raczej nie powiedziała. Widzę przed sobą człowieka z nową zabawką. Hiramie, czy naprawdę wierzysz, że zabawka może

zmienić świat?

— Ale zabawki to robią, wie pani o tym! Kiedyś było to koło, pług, wytop żelaza… Wynalazki, które potrzebowały tysiąca lat, żeby rozprzestrzenić się na całej planecie. Teraz wystarczy jedno pokolenie albo mniej. Proszę pomyśleć o samochodzie czy telewizji. Gdy byłem mały, komputery przypominały gigantyczne szafy, które obsługiwali kapłani z perforowanymi kartami. A dzisiaj spędzamy połowę życia podłączeni do ekranu SoftScreenu. Ale moja zabawka przebije wszystkie… No cóż, musi pani sama to ocenić. — Przyjrzał się Kate. — Życzę dobrej zabawy. Jeśli ten młody darmozjad jeszcze pani nie zaprosił, to proszę przyjść na kolację, pokażemy pani więcej: tyle, ile pani zechce. Mówię poważnie. Wystarczy, że powie pani któremuś z robotów. A teraz przepraszam… — Lekko ścisnął ją za ramię, a potem ruszył przez tłum. Idąc, uśmiechał się, machał ręką, ściskał dłonie. Kate nabrała tchu.

— Czuję się, jakby właśnie wybuchła bomba.

— On tak działa — roześmiał się Bobby. — A przy okazji…

— Tak?

— I tak chciałem to zrobić, zanim ten stary dureń się wtrącił. Przyjdź na kolację. Może potem trochę się zabawimy, poznamy lepiej…

Paplał dalej, lecz Kate przestała go słuchać i skupiła się na rym, co wiedziała o Hiramie Pattersonie i OurWorldzie.

Hiram Patterson, urodzony jako Hirdamani Patel, pochodził z ubogiej rodziny osiadłej w błotnistych okolicach wschodniej Anglii, z terenów, które zniknęły już pod Morzem Północnym. Pierwsze wielkie pieniądze zdobył, wykorzystując japońskie techniki klonowania do wytwarzania składników dla tradycyjnej medycyny — kiedyś niezbędne do tego były tygrysie wąsy, łapy, pazury, a nawet kości — i sprzedawał to chińskim społecznościom na całym świecie. Tak zyskał sławę: krytykę za wykorzystanie tak zaawansowanej techniki dla zaspokajania tak prymitywnych celów i podziw za pomoc w ochronie żyjących jeszcze tygrysów w Indiach, Chinach, Rosji i Indonezji… Teraz zresztą nie został ani jeden.

Potem Hiram rozszerzył krąg swych zainteresowań. Skonstruował pierwszy na świecie udany ekran typu SoftScreen, elastyczny system generowania obrazu, oparty na polimerowych pikselach, zdolnych do emisji wielobarwnego światła. Po tym sukcesie Hiram zdobył prawdziwy majątek. Wkrótce jego korporacja OurWorld stała się potęgą w zaawansowanej technologii przekazu wiadomości, sportu i rozrywki.

Lecz Wielka Brytania upadała. Jako część Zjednoczonej Europy pozbawiona została ważnych makroekonomicznych narzędzi, takich jak kontrola nad kursami walut i stopami procentowymi, a przy tym

nie była chroniona przed słabą gospodarką większego organizmu. Rząd brytyjski nie potrafił powstrzymać ostrego kryzysu. I w końcu, w roku 2010, niepokoje społeczne i zmiany klimatyczne zmusiły Wielką Brytanię do opuszczenia Unii Europejskiej. Zjednoczone Królestwo się rozpadło, a Szkocja podążyła własną drogą. Przez cały ten czas Hiram walczył, by utrzymać fortunę OurWorldu.

Potem, w 2019, Anglia z Walią oddały Irlandię Pomocną Eire, a rodzinę królewską odesłały do Australii, gdzie wciąż witano jaz radością. Po czym stała się pięćdziesiątym drugim stanem Ameryki. Dzięki większej mobilności siły roboczej, międzyregionalnym transferom finansowym i innym cechom realnie zunifikowanej amerykańskiej gospodarki Anglia rozkwitła.

Rozkwitła jednak bez Hirama.

Jako obywatel USA Hiram szybko wykorzystał okazję i przeniósł się na przedmieścia Seattle, w stanie Waszyngton. Zapewne dla czystej satysfakcji umieścił sztab swej korporacji w miejscu, gdzie kiedyś znajdował się kampus Microsoftu. Hiram lubił się przechwalać, że będzie Billem Gatesem dwudziestego pierwszego wieku. Istotnie, majątek korporacji i jego osobiste wpływy na żyznej glebie amerykańskiej gospodarki wzrastały wykładniczo.

Wciąż jednak, o czym Kate dobrze wiedziała, był tylko jednym z licznych, choć potężnych graczy na małym i konkurencyjnym rynku. Znalazła się tu dzisiaj, ponieważ — tak głosiły plotki i sam przed chwilą to sugerował — Hiram miał ujawnić coś nowego, coś, co całkowicie zmieni sytuację.

W przeciwieństwie do ojca Bobby Patterson dorastał pod osłoną potęgi Hirama.

Kształcony w Eton, Cambridge i Harvardzie zajmował rozmaite stanowiska w firmach ojca i prowadził dość spektakularny styl życia międzynarodowego playboya i najlepszej partii na świecie. O ile Kate wiedziała, ani razu nie wykazał się żadną inicjatywą, nie przejawił śladu chęci, by wyrwać się z objęć ojca albo nawet go zastąpić.

Spoglądała na jego perfekcyjną twarz. Oto ptak, który jest szczęśliwy w pozłacanej klatce, myślała. Zepsuty, bogaty dzieciak.

Czuła jednak, że rumieni się pod jego wzrokiem, i przeklinała własną biologię.

Nie odzywała się przez kilka sekund, a Bobby wciąż czekał, czy przyjmie zaproszenie na kolację.

— Pomyślę o tym, Bobby.

Wydawał się zdziwiony, jakby nigdy dotąd nie otrzymał takiej pełnej wahania odpowiedzi.

— Jest jakiś problem? Jeśli chcesz, mógłbym…

— Panie i panowie.

Wszystkie głowy zwróciły się. w stronę, mówcy; Kate odetchnęła

z ulgą.

Hiram wszedł na podwyższenie na końcu sali. Za nim olbrzymi ekran ukazywał powiększony obraz jego głowy i ramion. Niczym łaskawy bożek uśmiechał się do wszystkich, a roboty krążyły wokół jego głowy jak klejnoty, połyskując obrazami z licznych kanałów OurWorldu.

— Chciałbym przede wszystkim podziękować wam za przybycie tutaj, gdzie będziecie świadkami historycznej chwili, a także za waszą cierpliwość. Przedstawienie zaraz się zacznie.

Wymuskany wirtual w zielonkawym mundurze zmaterializował się na scenie obok Hirama; staroświeckie okulary połyskiwały w świetle lamp. Przyłączyło się jeszcze trzech innych: w różu, błękicie i szkarłacie. Każdy z nich trzymał instrument muzyczny — obój, trąbkę i flet. Zabrzmiały oklaski. Cała czwórka skłoniła się swobodnie i cofnęła w tylną część sceny, gdzie czekała perkusja i trzy elektryczne gitary.

Hiram podjął przemowę.

— Te obrazy docierająd̨o nas, do Seattle, ze stacji Brisbane w Australii. Są przekazywane między satelitami komunikacyjnymi. Opóźnienie wynosi kilka sekund. Można powiedzieć, że ci chłopcy przez ostatnie kilka lat zarobili furę pieniędzy, a ich nowa piosenka Let Me Love You przez cztery tygodnie od Bożego Narodzenia była pierwsza na listach przebojów na całym świecie. Wszystkie zyski poszły na cele dobroczynne.

— Nowa piosenka — mruknęła cynicznie Kate. Bobby pochylił się do niej.

— Nie lubisz V-Fabów?

— Daj spokój — odparła. — Oryginalny zespół rozpadł się sześćdziesiąt pięć lat temu. Dwóch z nich umarło, zanim się urodziłam. Ich gitary i bębny były tak straszliwie staromodne w porównaniu z nowym sprzętem powietrznym, gdzie muzyka jest generowana przez taniec wykonawców… Zresztą wszystkie te nowe piosenki to tylko ekstrapolowane śmieci.

— A wszystko to jest częścią naszej… Jak to nazywasz w swoich polemikach? Kulturowej zgnilizny — dokończył uprzejmie.

— Tak jest, do licha — odparła, lecz jego gracja sprawiała, że własna surowość wprawiała ją w lekkie zakłopotanie.

Hiram mówił dalej:

— …nie tylko na pokaz. Urodziłem się w roku 1967, podczas Lata Miłości. Oczywiście niektórzy twierdzą, że lata sześćdziesiąte były rewolucją kulturalną, która prowadziła donikąd. Może to prawda, przynajmniej bezpośrednio. Ale te lata i ich muzyka o miłości i nadziei odegrały wielką rolę w kształtowaniu mnie i innych z tamtego pokolenia.

Bobby pochwycił wzrok Kate. Rozczapierzywszy palce, udawał, że wymiotuje; musiała osłonić usta, żeby się nie roześmiać.

— …, W samym środku tego lata, dwudziestego piątego czerwca 1967 roku, odbył się globalny koncert telewizyjny, który miał pokazać potęgę rodzącej się sieci komunikacyjnej. — Za plecami Hirama perkusista V-Fab podał rytm i cały zespół zaczął grać żałobną parodię Marsylianki, która ustąpiła pięknie zaśpiewanej trzyczęściowej melodii.

— To był wkład Wielkiej Brytanii — zawołał Hiram, przekrzykując muzykę. — Pieśń o miłości, zaśpiewana dwustu milionom ludzi na całym świecie. Ten koncert nazywał się Nasz Świat, Our World. Tak, to prawda. Stąd wziąłem nazwę. Wiem, że to trochę staroświeckie. Ale gdy tylko zobaczyłem nagranie tego koncertu, a miałem wtedy dziesięć lat, wiedziałem, co chcę robić w życiu.

Staroświeckie tak, pomyślała Kate, lecz z pewnością skuteczne. Publiczność jak zaczarowana wpatrywała się w ogromny obraz Hirama, a muzyka lata sprzed siedmiu dekad rozlegała się w całej sali.

— A dzisiaj — rzekł Hiram z szerokim gestem — wydaje mi się, że osiągnąłem cel mojego życia. Radzę, żebyście się czegoś złapali, choćby czyjejś ręki…

Podłoga stała się przezroczysta.

Zawieszona nagle w pustej przestrzeni Kate poczuła, że się zatacza. Oczy oszukiwały ją mimo twardej podłogi pod stopami. Rozległy się nerwowe śmiechy i kilka krzyków, cichy brzęk tłuczonego szkła.

Kate ze zdumieniem odkryła, że chwyciła Bobby'ego za ramię. Wyczuwała tam węzły mięśni. Ujął jej dłoń, pozornie bez żadnego wyrachowania.

Zostawiła rękę tam, gdzie była. Na razie.

Miała wrażenie, że unosi się wśród gwiaździstego nieba, jakby cała sala przeniosła się w kosmos. Lecz te „gwiazdy" rozmieszczone na czarnym tle układały się w sześcienną sieć połączoną delikatnymi promieniami kolorowego światła. Spoglądając w głąb tej siatki, widząc malejące w oddali obrazy, Kate miała wrażenie, że zagląda do nieskończenie długiego tunelu.

Na tle muzyki, która wciąż brzmiała dookoła, subtelnie różna stylem od oryginalnego nagrania, Hiram powiedział:

— Nie patrzycie w niebo, w przestrzeń. Patrzycie w dół, w najgęstsze struktury materii. Widzicie kryształ diamentu. Te białe punkty to atomy węgla. Połączenia między nimi to siły walencyjne, które je wiążą. Chcę zaznaczyć, że to, co zobaczycie, choć udoskonalone, nie jest symulacją. Za pomocą współczesnej techniki, na przykład tunelowego mikroskopu skanującego, możemy uzyskać

obraz materii nawet na najbardziej podstawowym poziomie. Wszystko, co widzicie, jest prawdziwe. A teraz chodźmy dalej.

Holograficzne obrazy uniosły się i wypełniły całą salę, jakby bufet i obecni w nim ludzie zapadali się w siatkę diamentów i maleli równocześnie. Atomy węgla pęczniały nad głową Kate jak jasnoszare balony; dostrzegała niezwykłe obrazy struktury ich wnętrza. Przestrzeń wokół iskrzyła. Świetlne punkty rozbłyskiwały i natychmiast gasły. Wszystko to było niezwykle piękne, jakby płynęła przez obłok świetlików.

— Patrzycie na przestrzeń — powiedział Hiram. — Pustą przestrzeń. To coś, co wypełnia cały wszechświat. Lecz widzicie tę przestrzeń z rozdzielczością daleko przekraczającą możliwości ludzkiego oka, na poziomie, kiedy widzialne są pojedyncze elektrony. A na tym poziomie ważne stają się efekty kwantowe. Pusta przestrzeń jest w rzeczywistości pełna, pełna zmiennych pól energii. A te pola manifestują się jako cząstki, fotony, pary elektronowo-pozytronowe, kwarki… Rozbłyskuj ą na krótko, związane pożyczoną masą i energią, a potem znikają, kiedy prawo zachowania energii zaczyna działać ponownie. My, ludzie, widzimy przestrzeń, energię i materię z wysoka, jak astronauta lecący nad oceanem. Jesteśmy zbyt wysoko, żeby widzieć fale i grzywacze piany. Ale one tam są.

— Nie dotarliśmy jeszcze do końca naszej podróży. Trzymajcie mocno wasze drinki.

Obraz znów eksplodował. Kate miała uczucie, że leci prosto w szkliste, wielowarstwowe wnętrze jednego z atomów węgla. W samym środku była twarda, lśniąca bryła, złożona ze zniekształconych kuł. Czyżby to jądro? I czy te mniejsze kule to protony i neutrony?

Gdy jądro pomknęło w jej stronę, usłyszała krzyki gości. Ściskając ramię Bobby'ego, starała się nie dygotać, gdy mknęła do jednego z nukleonów.

A wtedy…

Nie było już kształtu. Żadnej formy, żadnego światła, żadnej barwy prócz krwistoczerwonego karmazynu. A jednak był ruch: powolny, falisty, nieskończenie wijący, akcentowany bąblami, które unosiły się i pękały. Przypominało to gotującą się wolno gęstą, brudną ciecz.

— Osiągnęliśmy to, co fizycy nazywają poziomem Plancka — wyjaśnił Hiram. — Jesteśmy o dwadzieścia rzędów wielkości głębiej od poziomu cząstek wirtualnych, które widzieliśmy poprzednio. Na tym poziomie nie możemy być nawet pewni struktury samej przestrzeni: topologia i geometria się rozpadają, przestrzeń i czas rozplątują.

— Na rym najbardziej podstawowym poziomie nie istniała już sekwencja czasu czy porządek przestrzeni. Unifikacja czasoprzestrzeni

została rozerwana przez siły grawitacji kwantowej, przestrzeń stała się wrzącą, probabilistyczną pianą, przecinaną wormholami.

— Tak, wormhole — rzekł Hiram. — To, co widzimy, to ujścia tuneli, formujących się spontanicznie, przebijanych polami elektrycznymi. Przestrzeń to coś, co powstrzymuje wszystko przed znalezieniem siew tym samym miejscu. Tak? Ale na tym poziomie przestrzeń jest ziarnista i trudno uwierzyć, że poradzi sobie z tym zadaniem. A zatem otwór tunelu może połączyć dowolny punkt w tym małym regionie czasoprzestrzeni z dowolnym innym punktem. Naprawdę dowolnym: może to być przedmieście Seattle albo Brisbane w Australii, albo planeta Alfa Centauri. To tak, jakby czasoprzestrzenne mosty spontanicznie pojawiały się i znikały.

Jego ogromna twarz uspokajająco uśmiechnęła się z góry. Nie rozumiem tego tak samo jak wy, zdawał się mówić obraz. Musicie mi zaufać.

— Moi specjaliści będą na miejscu i wyjaśnią wam wszystko tak dokładnie, jak tylko potraficie zrozumieć.

— Najważniejsze jednak jest, co z tym zrobimy. Najkrócej mówiąc, chcemy sięgnąć w tę kwantową pianę i wybrać taki tunel, który połączy nasze laboratorium tutaj, w Seattle, z identycznym w Brisbane, w Australii. A kiedy go ustabilizujemy, tunel utworzy połączenie, przez które będziemy mogli wysyłać sygnały szybciej niż samo światło. To właśnie, panie i panowie, jest podstawą nowej rewolucji komunikacyjnej. Nie będzie więcej kosztownych satelitów, bombardowanych mikrometeorytami i spadających z nieba, nie będzie irytujących opóźnień, nie będzie gigantycznych opłat. Świat, nasz świat, zostanie wreszcie połączony.

Wirtuale ciągle grali, rozległ się gwar rozmów, a nawet pytania.

„Niemożliwe!”. „Tunele są niestabilne, wszyscy o tym wiedzą”. „Padające promieniowanie powoduje, że tunele natychmiast się zapadają”. „Nie można przecież…”.

Ogromna twarz Hirama unosiła się nad wrzącą pianą kwantową. Pstryknął palcami i piana zniknęła, zastąpiona przez pojedynczy twór zawieszony w ciemności pod stopami.

Rozległo się chóralne westchnienie.

Kate zobaczyła zbiór lśniących punktów światła — atomy. Światełka tworzyły sferę geodezyjną, zamknęły się w sobie i obracały powoli. Wewnątrz zobaczyła kolejną sferę, obracającą się w drugą stronę, a wewnątrz jeszcze jedną i dalej, aż po granice zasięgu wzroku. Przypominało to jakiś mechanizm, atomowy zegar. Jednak cała struktura pulsowała jasnobłękitnym światłem i Kate czuła, że gromadzą się tam wielkie energie.

Obraz, musiała to przyznać, był rzeczywiście piękny.

— Nazywa się to maszyną Casimira — powiedział Hiram. — Jest

to, być może, najdoskonalszy mechanizm, skonstruowany przez człowieka. Maszyna, nad którą pracowaliśmy przez lata. A jednak jej rozmiar nie przekracza kilku średnic atomu.

— Widzicie powierzchnie skonstruowane z atomów… atomów węgla. Struktura ma związek ze zwykłymi stabilnymi strukturami, zwanymi fulerenami, MC. Taka powierzchnia powstaje, kiedy w grafit uderzy się promieniem lasera. Zgromadziliśmy w maszynie ładunek elektryczny, używając klatek zwanych pułapkami Penninga: klatek z pól elektromagnetycznych. Całą strukturę utrzymują razem potężne pola magnetyczne. Kolejne powierzchnie utrzymywane są w najbliższym punkcie, o kilka średnic elektronów od siebie. I w tych najwęższych szczelinach zdarza się cud…

Znużona długą przemową Hirama Kate szybko skorzystała z wyszukiwarki. Dowiedziała się, że efekt Casimira związany jest z cząsteczkami wirtualnymi, które widziała rozbłyskujące i znikające w pustce. W wąskiej szczelinie pomiędzy powierzchniami atomów, ze względu na efekt rezonansu, mogły istnieć tylko pewne typy cząstek. Więc te szczeliny były bardziej puste niż pusta przestrzeń, a zatem zawierały mniej energii.

Ten efekt ujemnej energii mógł, obok innych zjawisk, wywołać także antygrawitację.

Tymczasem kolejne poziomy konstrukcji zaczęły szybciej wirować. Wokół obrazu maszyny pojawiły się małe zegary, odliczające cierpliwie od dziesięciu do dziewięciu, ośmiu, siedmiu… Wrażenie narastania energii było niemal dotykalne.

— Koncentracja energii w szczelinach Casimira wzrasta — wyjaśnił Hiram. — Za chwilę wprowadzimy ujemną energię, uzyskaną z efektu Casimira, do tuneli w pianie kwantowej. Efekt antygrawitacyjny ustabilizuje i powiększy tunele. Według naszych obliczeń, prawdopodobieństwo znalezienia tunelu łączącego Seattle i Brisbane z akceptowalną dokładnością jest jak jeden do dziesięciu milionów. Zatem potrzebnych jest około dziesięciu milionów prób, żeby zlokalizować tunel podprzestrzenny, jakiego szukamy. Ale to maszyna atomowa i pracuje piekielnie szybko; nawet sto milionów prób zajmie mniej niż sekundę… Całe piękno polega na tym, że na poziomie kwantowym połączenie z dowolnym miejscem, jakie możemy sobie wymyślić, już istnieje. Musimy tylko je odszukać.

Muzyka wirtuali narastała aż do finałowego chóru. Kate wpatrywała się we frankensteinowską maszynerię pod stopami, wirującą szaleńczo i lśniącą od nagromadzonej energii.

Zegary zakończyły odliczanie.

Błysnęło oślepiająco. Niektórzy ludzie krzyknęli.

Kiedy Kate odzyskała wzrok, atomowa maszyna, wciąż wirując, nie była już samotna w przestrzeni. Tuż obok zawisł idealnie kulisty

srebrzysty koralik — wylot tunelu podprzestrzennego?

Muzyka się zmieniła. V-Fab śpiewali teraz chórem, lecz melodię zniekształcał bardziej szorstki śpiew, o kilka sekund wyprzedzający słyszalny dźwięk wysokiej jakości.

Poza muzyką w sali panowała absolutna cisza.

Hiram odsapnął, jakby do tej pory wstrzymywał oddech.

— Już — powiedział. — Nowy sygnał, który słyszycie, to ten sam występ, ale teraz przesyłany przez tunel podprzestrzenny, bez żadnego opóźnienia. Udało nam się. Dziś wieczorem po raz pierwszy w historii ludzkość przesyła sygnał przez stabilny tunel podprzestrzenny…

Bobby pochylił się do Kate.

— Po raz pierwszy, jeśli nie liczyć próbnych połączeń — rzucił ironicznie.

— Naprawdę?

— Oczywiście. Chyba nie sądzisz, że chciałby ryzykować? Mój ojciec jest showmanem. Lecz nie można mieć mu za złe tej chwili chwały.

Ogromny ekran pokazywał, że Hiram się uśmiecha.

— Panie i panowie, nie zapomnijcie tego, co dzisiaj zobaczyliście. To początek prawdziwej rewolucji komunikacyjnej.

Oklaski rozległy się tu i tam, z początku ciche, ale szybko przerodziły się w prawdziwą burzę.

Kate odkryła, że nie potrafi zachować spokoju. Ciekawe, do czego to doprowadzi, myślała. Z pewnością możliwości tej nowej techniki, opartej w końcu na manipulacji samym czasem i przestrzenią, nie będą ograniczone do zwykłego przesyłania danych. Wyczuwała, że nic już nie będzie takie samo.

Jej uwagę przyciągnął błysk światła gdzieś wysoko: jeden z robotów przekazywał obraz rakiety, którą oglądała wcześniej. Wznosiła się w absolutnej ciszy w kierunku niebiesko-szarego nieba nad środkową Azją. Wydawała się dziwnie przestarzała, jakby obraz napływał raczej z przeszłości niż z przyszłości.

Nikt inny nie zwrócił na to uwagi. Kate też przestała się tym interesować. Odwróciła wzrok.

Zielono-czerwony płomień przemknął przez zakrzywione tunele ze stali i betonu. Światło pulsowało na stepie i zbliżało się do Witalija. Było jasne, niemal oślepiające; przyćmiło reflektory oświetlające stanowisko startowe, a nawet czyste słońce nad stepem. A zanim jeszcze statek oderwał się od ziemi, do Witalija dotarł huk gromu, który wstrząsnął jego piersią.

Nie zwracając uwagi na ból w ramieniu i piersi, na odrętwienie dłoni i stóp, Witalij rozchylił spękane wargi i dołączył swój głos do tego boskiego gromu. W takich chwilach zawsze zachowywał się jak

sentymentalny dureń.

Wokół niego panowało podniecenie. Zebrani ludzie: wygłodniali jak szczury i źle wyszkoleni technicy oraz tłuści, skorumpowani dyrektorzy, odwracali się od rakiety i pochylali nad radioodbiornikami i ręcznymi telewizorami. Lśniące jak klejnoty ekrany ukazywały zadziwiające obrazy z Ameryki. Witalij nie znał szczegółów i nie obchodziły go; jednak jasne było, że Hiram Patterson spełnił swą obietnicę… albo groźbę.

Już odrywając się od Ziemi, jego piękny ptak, ostatnia Mołnia, była przestarzała.

Witalij wyprostował się, postanawiając patrzeć tak długo, jak tylko będzie potrafił, dopóki ten punkt światła na szczycie wielkiego filaru dymu nie rozpłynie się w przestrzeni.

…Lecz ból w ramieniu i piersi wzrósł nagle, jakby jakaś koścista dłoń zaciskała mu się na sercu. Z trudem łapał oddech, próbował utrzymać się na nogach. Wokół niego rozbłysło światło, jaśniejsze nawet niż blask rakiety, który zalewał step Kazachstanu. A potem nie mógł już dłużej ustać.

2. Oko duszy

Gdy Kate wjechała na zamknięty teren, posiadłość sprawiła na niej wrażenie typowej rezydencji w Seattle: zielone wzgórza opadające wprost do oceanu na tle szarego, niskiego jesiennego nieba.

Lecz dom Hirama — wielka kopuła geodezyjna, złożona z samych okien — wyglądał, jakby właśnie wylądował na zboczu. Był to jeden z najbrzydszych, najbardziej krzykliwych budynków, jakie Kate widziała.

Po przybyciu oddała płaszcz robotowi. Przeskanowano jej tożsamość: nie tylko odczyt z implantów, ale też prawdopodobnie dopasowanie wzorców w celu identyfikacji twarzy, a nawet nieinwazyjne sekwencjonowanie DNA; wszystko to w ciągu sekund. Potem mechaniczni słudzy Hirama wprowadzili ją do środka.

Hiram pracował. Nie zdziwiło jej to. Sześć miesięcy, jakie upłynęły od czasu demonstracji tunelowej techniki, nazwanej DataPipe, były najbardziej pracowitymi w jego życiu i najbardziej udanymi dla OurWorldu. Tak przynajmniej twierdzili analitycy. Ale wróci na kolację, zapewnił robot.

Zaprowadzono ją do Bobby'ego.

Pokój był duży, temperatura neutralna, ściany tak gładkie i bez wyrazu jak skorupka jajka. Światło było przygaszone, a dźwięk wytłumiony. Jedynym umeblowaniem okazało się kilka wygodnych sof pokrytych czarną skórą. Obok każdej z nich stał niewielki stolik z kranem i stojakiem do kroplówek.

W pokoju był też Bobby Patterson, prawdopodobnie jeden z najbogatszych, najpotężniejszych młodych ludzi na planecie. Leżał samotny na sofie w ciemności; oczy miał otwarte, lecz zamglone, a ręce opadały bezwładnie. Skronie obejmowała metalowa obręcz.

Usiadła obok i przyjrzała mu się uważnie. Widziała, że oddycha powoli, a umocowana do gniazda na ramieniu kroplówka powoli odżywia ciało.

Miał na sobie luźną czarną koszulę i szorty. Ciało, co dostrzegła w miejscach, gdzie luźny materiał przylegał do skóry, było bryłą mięśni. To jednak niewiele mówiło o jego stylu życia; taką budowę można było dziś łatwo osiągnąć poprzez kurację hormonalną i stymulacje elektryczne. Mógł to załatwić, nawet leżąc tutaj, pomyślała, niczym ofiara śpiączki w szpitalnym łóżku.

Z kącika rozchylonych warg spływał strumyczek śliny. Otarła ją palcem i delikatnie zamknęła mu usta.

— Dziękuję.

Odwróciła się zaskoczona. Bobby — inny Bobby, ubrany tak samo

jak pierwszy — stał obok niej z uśmiechem. Zirytowana pchnęła go w brzuch. Pięść, oczywiście, przeszła na wylot. Nawet nie drgnął.

— A więc mnie pani widzi — stwierdził.

— Widzę.

— Ma pani wszczepy siatkówkowe i wewnątrzuszne, prawda? Ten pokój jest zaprojektowany, by tworzyć wirtuale zgodne z najnowszymi generacjami udoskonaleń centralnego układu nerwowego. Oczywiście dla mnie siedzi pani teraz na grzbiecie dość groźnie wyglądającego rytosaura.

— Czego?

— Krokodyla z triasu. Właśnie zaczyna panią zauważać. Dzień dobry, pani Manzoni.

— Kate.

— A tak. Cieszę się, że przyjęłaś moje, nasze, zaproszenie na kolację, chociaż nie oczekiwałem, że reakcja zajmie ci aż sześć miesięcy.

Wzruszyła ramionami.

— „Hiram bogaci się jeszcze bardziej". To nie jest sensacyjna wiadomość.

— Aha. Co sugeruje, że teraz usłyszałaś o czymś nowym. — Oczywiście miał rację; Kate milczała. — Albo — dodał — w końcu uległaś mojemu czarującemu uśmiechowi.

— Może bym uległa, gdybyś się tak nie ślinił. Bobby zerknął na swe bezwładne ciało.

— Próżność? Powinniśmy uważać, jak wyglądamy, nawet kiedy badamy świat wirtualny? — Zmarszczył brwi. — Oczywiście masz rację, moi ludzie z marketingu muszą to przemyśleć.

— Twoi ludzie?

— Oczywiście. — „Podniósł" metalową obręcz z sory tuż obok. Wirtualna kopia obiektu oddzieliła się od fizycznego oryginału, który pozostał na sofie. — To nasze Oko Duszy. Najnowsza technologia wirtualna OurWorldu. Chcesz spróbować?

— Właściwie nie. Przyjrzał się jej uważnie.

— Nie jesteś przecież wirtualną dziewicą, Kate. Twoje implanty zmysłowe…

— To właściwie minimum wymagane, żeby poruszać się we współczesnym świecie. Próbowałeś kiedyś przedostać się przez lotnisko SeaTac bez możliwości VR?

Roześmiał się.

— Zwykle mnie przeprowadzają. Ale sądzę, że uważasz to za część gigantycznego spisku korporacji.

— Oczywiście, że tak. Technologiczna inwazja naszych domów, samochodów i biur już dawno osiągnęła punkt nasycenia. Teraz chcą przejąć nasze ciała.

— Ależ się denerwujesz. — Podał jej obręcz. Rekursywna sytuacja, pomyślała odruchowo: wirtualna kopia Bobby'ego trzyma wirtualną kopię wirtualnego generatora. — Ale to coś innego. Spróbuj. Wybierz się ze mną na wycieczkę.

Zawahała się, ale wyczuwając, że jest trochę nieuprzejma, w końcu ustąpiła. Przecież była tu gościem. Odmówiła jednak propozycji podłączenia kroplówki.

— Rozejrzymy się tylko i wrócimy, zanim nasze ciała się rozpadną. Zgoda?

— Zgoda — odparł. — Wybierz sobie sofę. Wystarczy, że dopasujesz obręcz do skroni, o tak.

Powoli uniósł nad głową generator wirtualny. Skupiona twarz z pewnością była piękna, pomyślała; wygląda jak Chrystus z koroną cierniową.

Ułożyła się na sofie i wsunęła na głowę obręcz Oka Duszy. Wydawała się ciepła i elastyczna, a kiedy przesunęła ją przez włosy, jakby dopasowała się i ułożyła.

Skóra zamrowiła pod metalem.

— Au.

Bobby siedział na sofie.

— To infuzery. Nie przejmuj się nimi. Większość danych napływa drogątransczaszkowej stymulacji magnetycznej. Kiedy zrestartujemy, nic nie będziesz czuła… — Położył się; przez moment widziała nałożone na siebie dwa ciała: organiczne i zbudowane z pikseli.

Pokój pociemniał. Przez jedno czy dwa uderzenia pulsu nie słyszała i nie widziała niczego. Wrażenie własnego ciała zniknęło, jakby coś wyjęło jej mózg z czaszki.

Z niewyczuwalnym stukiem poczuła, że znowu opada do wnętrza własnego ciała. Lecz teraz stała.

W jakimś błocie.

Światło i upał rozlały się wokół niej — błękit, zieleń, brąz. Stała na brzegu rzeki po kostki w gęstej czarnej mazi.

Niebo miało barwę spranego błękitu. Znajdowali się na krawędzi lasu, wśród obfitych paproci, sosen i innych gigantycznych drzew iglastych. Ich splątane gałęzie zatrzymywały większą część światła. Upał i wilgotność odbierały oddech; czuła, jak pot przesiąka jej koszulę i spodnie, przykleja włosy do czoła. Pobliska rzeka była szeroka, powolna i brunatna od mułu.

Przeszła kawałek głębiej w las, szukając pewniejszego gruntu. Roślinność była gęsta, liście i pędy chłostały ją po twarzy i ramionach. Wszędzie było pełno owadów, wśród nich ogromne niebieskie ważki; rozlegała się istna lawina dźwięku: ćwierkanie, ryki, gruchania.

Poczucie realności było zaskakujące, doznania przekraczające

wszystkie wirtualne przeżycia, jakie dotąd poznała.

— Robi wrażenie, co?

Bobby stanął obok niej. Miał na sobie szorty i koszulę khaki oraz szeroki kapelusz w stylu safari. Na ramieniu niósł staromodną z wyglądu strzelbę.

— Gdzie jesteśmy? To znaczy…

— Kiedy jesteśmy? To Arizona, górny trias, jakieś dwieście milionów lat temu. Bardziej przypomina Afrykę, prawda? Ten okres dał nam warstwy Malowanej Pustyni. Mamy tu gigantyczne skrzypy, paprocie, cykady, mchy… Ale w pewnym sensie świat wciąż jest szary. Ewolucja kwiatów czeka nas dopiero w przyszłości. Skłania i do namysłu, prawda?

Oparła stopę o jakiś pień i spróbowała zetrzeć dłońmi błoto. Upał był nieprzyjemny; czuła coraz silniejsze pragnienie. Nagie ramie, pokrywały setki kropelek potu, które migotały bardzo autentycznie; miała wrażenie, że zaraz się zagotują.

Bobby wskazał ręką w górę.

— Popatrz.

To był ptak, niezbyt płynnie machający skrzydłami między gałęziami drzewa… Nie, był za wielki, zbyt niezgrabny jak na ptaka. Poza tym brakowało mu piór. Może jakiś latający gad. Poruszał się ze skórzastym szelestem. Kate zadrżała.

— Przyznaj — powiedział Bobby. — Jesteś pod wrażeniem. Poruszyła rękami i nogami; zginała je, machała.

— Poczucie ciała jest bardzo silne. Czuję górę i dół, kiedy się pochylam. Lecz zakładam, że wciąż leżę na sofie i ślinię się tak jak ty.

— Owszem. Własności propriocepcji Oka Duszy są zadziwiające. Nawet się nie pocisz. No, chyba nie; czasami następuje niewielki przeciek. To technika VR czwartej generacji, licząc od prymitywnych okularów i rękawic, potem wszczepów do organów zmysłu, takich jak twoje, i wszczepów mózgowych, które pozwalały na bezpośredni sprzęg między systemami zewnętrznymi a ludzkim centralnym układem nerwowym.

— Barbarzyństwo — mruknęła.

— Możliwe — przyznał łagodnie. — To prowadzi nas do Oka Duszy. Obręcz generuje pola magnetyczne, które stymulują precyzyjnie określone obszary mózgu. Bez konieczności ingerencji fizycznej.

— Ale podniecająca jest nie tylko zbędność wszczepów — dodał. — Chodzi raczej o precyzję i zasięg stymulacji, jakie możemy osiągnąć. W tej chwili, na przykład, mapa tej sceny, w projekcji rybiego oka, jest malowana bezpośrednio na korę wzrokową. Stymulujemy jądra migdałowate i wysepki płatów skroniowych, żeby dać ci wrażenie zapachu. To bardzo ważne dla autentyczności

przeżycia. Zapachy, jak się zdaje, docierają wprost do systemu limbicznego mózgu, do miejsca, gdzie rodzą się emocje. Dlatego właśnie zapachy są zawsze takie poruszające. Wiesz o tym, prawda? Budzimy także lekkie ukłucia bólu przez czołowy pas kory; to ośrodek nie samego bólu, lecz świadomego odczuwania bólu. Wiele pracy wkładamy też w sam system limbiczny, żeby zagwarantować, że wszystko, co widzisz, wywiera należyte wrażenie emocjonalne. Dalej dochodzi propriocepcja, wrażenie ciała: bardzo złożone, łączy się z pobieraniem danych zmysłowych ze skóry, mięśni i ścięgien, informacji wizualnych i ruchu ze strony mózgu oraz danych o równowadze z ucha wewnętrznego. Ustawienie tego wszystkiego wymaga precyzyjnego mapowania mózgu. A teraz możemy sprawić, że będziesz spadać, latać, robić salta, a wszystko to bez opuszczania sofy. Możemy też sprawić, że zobaczysz cuda, jak tutaj.

— Dobrze się na tym znasz. Jesteś dumny z tej techniki, prawda?

— Oczywiście, że tak. To moje osiągnięcie.

Mrugnął i uświadomiła sobie nagle, że po raz pierwszy przez kilka minut patrzył wprost na nią. Nawet tutaj, w tej udawanej dżungli triasu, sprawiał, że czuła się niepewnie, chociaż na którymś poziomie niewątpliwie j ą pociągał.

— Bobby, w jakim sensie jest twoje? Zapoczątkowałeś je? Finansowałeś?

— Jestem synem mojego ojca. W jego korporacji pracuję. Ale ja nadzorowałem badania nad Okiem Duszy. I testuję ten produkt.

— Testujesz? To znaczy wchodzisz tutaj i bawisz siew polowanie na dinozaura?

— Nie nazwałbym tego zabawą — odparł łagodnie. — Pokażę ci. Wyprostował się i ruszył głębiej w dżunglę.

Próbowała za nim nadążyć. Nie miała maczety, a gałązki i ciernie rozrywały jej cienkie ubranie i drapały skórę. Bolało, ale nie za bardzo; oczywiście, że nie. Wszystko to nie było prawdziwe — zwyczajna gra przygodowa. Szła za Bobbym, zirytowana dekadencką techniką i nadmiernym bogactwem.

Dotarli na brzeg polany: obszaru pokrytego zwalonymi, zwęglonymi drzewami, spośród których przebijały się w górę drobne zielone pędy. Być może uderzył tu piorun.

Bobby wyciągnął rękę i zatrzymał ją wśród drzew.

— Spójrz.

Jakieś zwierzę szukało żeru, grzebiąc łapami i ryjąc między martwymi kawałkami drewna. Musiało mieć jakieś dwa metry długości, wilczą głowę i wystające psie zęby. Mimo to stękało jak świnia.

— Cynodont — szepnął Bobby. — Protossak.

— Nasz przodek?

— Nie. Prawdziwe ssaki już się oddzieliły. Cynodonty to ślepy zaułek ewolucji… A niech to.

Po drugiej stronie polany rozległy się wśród poszycia głośne trzaski. Był to dinozaur jak z Jurrasic Park: wysoki przynajmniej na dwa metry, wybiegł z lasu na potężnych tylnych nogach, rozdziawiając paszczę i błyskając niską na skórze.

Cynodont znieruchomiał, wpatrzony w drapieżcę.

Dinozaur skoczył mu na grzbiet, a cynodont ugiął się pod ciężarem napastnika. Para zwierząt przetoczyła się, łamiąc młode drzewa; cynodont piszczał rozpaczliwie.

Kate cofnęła się w dżunglę, ściskając ramię Bobby'ego. Czuła drżenie gruntu, czuła energię tego starcia. Robi wrażenie, przyznała.

Drapieżnik znalazł się na górze. Przytrzymując ofiarę ciężarem swego cielska, odchylił głowę protossaka i jednym kłapnięciem szczęk przegryzł mu gardło. Cynodont wciąż walczył, lecz białe kości połyskiwały już w rozdartej szyi. Krew płynęła strumieniem. A kiedy drapieżnik rozdarł brzuch ofiary, rozszedł się smród gnijącego mięsa. Kate niemal zwymiotowała.

Niemal, ale nie do końca. Oczywiście, że nie. Kiedy przyjrzała się bliżej, dostrzegła sztuczną płynność strumienia krwi protossaka i nienaturalną jaskrawość łusek dinozaura. VR zawsze było takie: krzykliwe, lecz ograniczone. Nawet smród i hałas dostosowano do wygody użytkownika. Wszystko to było nieszkodliwe — równie nieszkodliwe, a zatem równie bez znaczenia — jak wycieczka do wesołego miasteczka.

— Myślę, że to dilofozaurus — mruknął Bobby. — Fantastyczne. Dlatego uwielbiam ten okres. Jesteśmy na rozstajach życia. Wszystko tu miesza się ze sobą, stare i nowe, nasi przodkowie i pierwsze dinozaury…

— Owszem. — Kate już wróciła do siebie. — Ale to nie jest prawdziwe.

Postukał się w czaszkę.

— Jak wszelka fikcja. Wymaga świadomego zawieszenia niewiary.

— Ale to tylko jakieś pole magnetyczne łaskoczące mój mózg. To nawet nie prawdziwy trias, na miłość boską, tylko domysły jakiegoś naukowca plus parę kolorów rzuconych dla wirtualnych turystów.

Uśmiechnął się do niej.

— Wiecznie jesteś taka rozgniewana. A o co konkretnie ci chodzi?

Spojrzała w jego puste, niebieskie oczy. Do tej pory to on decydował o warunkach. Jeśli chcesz dotrzeć dalej, powiedziała sobie, jeśli chcesz zbliżyć się do celu, dla którego tu przybyłaś, musisz rzucić mu wyzwanie.

— Bobby, w tej chwili leżysz w zaciemnionym pokoju. Nic z tego

się nie liczy.

— Mówisz tak, jakbyś mnie żałowała. — Wydawał się zaciekawiony.

— Całe twoje życie tak wygląda. Mimo tego gadania o projektach VR i odpowiedzialności wobec korporacji nie masz żadnej realnej władzy nad niczym. Prawda? Świat, w którym żyjesz, jest równie nierealny, jak ta wirtualna symulacja. Pomyśl o tym: byłeś całkiem sam, póki się nie pojawiłam.

Zastanowił się.

— Być może. Ale się pojawiłaś. — Zarzucił strzelbę na ramię. — Chodźmy. Pora na kolację z ojcem. — Uniósł brew. — Może zostaniesz trochę, kiedy już zdobędziesz to, czego chcesz od nas.

— Bobby…

Lecz on sięgnął rękami do obręczy.

Kolacja była trudna.

Cała trójka siedziała pod szczytem kopuły rezydencji Hirama. W przerwach między rzadko sunącymi chmurami ukazywały się gwiazdy i jaskrawy księżyc. Niebo nie mogło być bardziej spektakularne, lecz przyszło jej do głowy, że z powodu tunelów DataPipe Hirama wkrótce stanie się o wiele mniej ciekawe, kiedy ostatnie z satelitów komunikacyjnych na niskich orbitach spłoną w atmosferze.

Dania przygotowano znakomicie, jak się tego spodziewała, a podawały je milczące roboty. Jednak były to proste potrawy z owoców morza; mogłaby takich kosztować w dowolnej z tuzina restauracji w Seattle. Z win podano zwykłe kalifornijskie chardonnay. Nie dostrzegła nawet śladu złożonych korzeni Hirama, żadnej oryginalności czy rysu charakteru.

Tymczasem gospodzarz obserwował ją w skupieniu i bezustannie. Zasypywał ją gradem pytań i sugestii co do jej pochodzenia, rodziny, kariery; raz po raz odkrywała, że zdradza więcej, niż powinna.

Pod zasłoną jego uprzejmości tkwiła jednak wyraźna niechęć. Wie, do czego zmierzam, uświadomiła sobie.

Bobby siedział spokojnie i jadł niewiele. Chociaż nadal przejawiał irytujący zwyczaj unikania kontaktu wzrokowego, jednak zdawało się, że poświęca jej więcej uwagi niż przedtem. Wyczuwała pociąg — nietrudno było go dostrzec — lecz i pewną fascynację. Może zdoła jakoś przebić tę jego gładką zbroję samozadowolenia, a przynajmniej taką miała nadzieję. Albo, co bardzo prawdopodobne, był po prostu zdziwiony własną reakcją na jej obecność.

Lecz wszystko to było tylko fantazją z jej strony i powinna powstrzymać się od grzebania w umysłach ludzi, skoro tak gwałtownie potępiała to u innych.

— Nie rozumiem — mówił właśnie Hiram — dlaczego odkrycie

Wormwoodu udało się dopiero w 2033? Przecież ma czterysta kilometrów średnicy. Wiem, że jest za Uranem, ale mimo wszystko…

— Jest bardzo ciemny i wolno się porusza — wyjaśniła Kate. — Wydaje się, że to kometa, ale jest większy od wszystkich znanych komet. Nie wiemy, skąd się wziął; może gdzieś za Neptunem jest całe skupisko takich obiektów. A poza tym nikt szczególnie tam nie szukał. Nawet Spaceguard koncentruje swoje obserwacje na przestrzeni okołoziemskiej, na obiektach, które mogłyby trafić w Ziemię w bliskiej przyszłości. Wormwood odnalazła sieć astronomów amatorów.

— Aha — odparł Hiram. — A teraz leci w naszą stronę. Tak. Dotrze za pięćset lat.

Bobby machnął silną, zadbaną dłonią.

To jeszcze tak długo. Muszą być jakieś plany awaryjne.

— Jakie plany? Bobby, Wormwood jest gigantem. Nie znamy sposobu, żeby go odepchnąć. Nawet w teorii. A kiedy ten kamień spadnie, nie będzie się gdzie ukryć.

— „My” nie znamy sposobu? — zapytał oschle Bobby. To znaczy astronomowie…

— Z tego, jak mówisz, niemal wyobrażałem sobie, że sama go odkryłaś. — Drażnił jaj reagował na jej wcześniejsze ataki. — Tak łatwo jest pomylić własne osiągnięcia z osiągnięciami ludzi, na których się polega, prawda?

Hiram roześmiał się głośno.

— Widzę, że świetnie się ze sobą zgadzacie, moje dzieci. Skoro zależy wam na sobie tak bardzo, żeby się kłócić… A pani myśli, że ludzie mają prawo wiedzieć, że świat się skończy za pięćset lat?

— Pan się z tym nie zgadza?

— Zapominasz o konsekwencjach — wtrącił Bobby. — Samobójstwa, aborcje, przerwanie różnych projektów ochrony środowiska…

— Przyniosłam tylko złe wieści — odparła z napięciem. — To nie ja sprowadziłam Wormwood. Przecież jeśli nie mamy informacji, nie możemy działać; nie możemy przyjąć odpowiedzialności za siebie w czasie, który nam pozostał. Co nie znaczy, że możliwości są obiecujące. Prawdopodobnie najlepsze, co możemy zrobić, to wysłać garstkę ludzi w jakieś bezpieczne miejsce: na Księżyc, na Marsa czy na jakąś asteroidę. Nawet to nie gwarantuje ocalenia gatunku, chyba że uda nam się umieścić tam populację dostatecznie liczną. W dodatku — westchnęła ciężko — ci, którzy uciekną, z pewnością będą tymi, którzy nami rządzą, i ich potomstwem. Chyba że otrząśniemy się z tej elektronicznej narkozy.

Hiram odsunął krzesło i ryknął śmiechem.

— Elektroniczna narkoza. Jakież to prawdziwe. Dopóki to ja sprzedaję środki znieczulające, ma się rozumieć. — Spojrzał wprost na

nią. — Lubię panią, pani Manzoni.

Kłamca.

— Dziękuję bardzo.

— Dlaczego pani dziś przyszła? Milczała przez chwilę.

— Zaprosił mnie pan.

— Sześć miesięcy i siedem dni temu. Dlaczego teraz? Pracuje pani dla moich konkurentów?

— Nie. — Zjeżyła się cała. — Jestem wolnym strzelcem. Skinął głową.

— Mimo tego jest coś, czego pani tu szuka. Tematu, oczywiście. Wormwood oddala się już w przeszłość; potrzebuje pani świeżych tryumfów, nowych zdobyczy. Tym żyjątacy ludzie jak pani, prawda, pani Manzoni? Ale cóż to może być? Z pewnością nic osobistego. Prawie wszystko na mój temat jest powszechnie znane.

— Mam wrażenie, że pozostało kilka elementów — odparła ostrożnie. Nabrała tchu. — Prawda jest taka, że słyszałam o pańskim nowym projekcie. O nowym zastosowaniu tuneli podprzestrzennych, przekraczających możliwościami proste DataPipe'y, które…

— Przyszła pani wygrzebać jakieś fakty — podsumował Hiram.

— Niech pan da spokój. Cały świat poprzetykany jest pańskimi tunelami. Gdybym mogła znaleźć coś nowego…

— Ale niczego pani nie wie. Przygryzła wargi. Pokażę ci, co wiem.

— Urodził się pan jako Hirdamani Patel. Jeszcze przed pańskim urodzeniem rodzina ojca została zmuszona do wyjazdu z Ugandy. Czystki etniczne, prawda?

Hiram spojrzał na nią gniewnie.

— To wiadomo powszechnie. Mój ojciec był w Ugandzie dyrektorem banku. W Norfolk został kierowcą autobusu, gdyż nikt nie dostrzegł jego kwalifikacji.

— Nie był pan szczęśliwy w Anglii — brnęła dalej Kate. — Nie potrafił pan pokonać bariery rasy i urodzenia. Dlatego wyjechał pan do Ameryki. Zrezygnował pan z nazwiska i przyjął jego zanglicyzowaną wersję. Stał się pan wzorem dla Azjatów w Ameryce. A jednak odciął się pan od swoich etnicznych korzeni. Każda z pańskich żon była biała.

Bobby drgnął zaskoczony.

— Żon? Tato…

— Rodzina jest dla pana wszystkim — Kate mówiła spokojnie dalej, zmuszając ich do słuchania. — Zdaje się, że poprzez obecnego tu Bobby'ego chce pan stworzyć dynastię. Może to dlatego, że porzucił pan własną rodzinę, własnego ojca, w Anglii.

— Aha. — Hiram klasnął w ręce i uśmiechnął się wymuszenie. — Zastanawiałem się, ile potrwa, zanim stary papa Sigmund przyłączy

się do nas przy stole. Więc to jest pani historia. Hiram Patterson buduje OurWorld, ponieważ czuje się winny wobec ojca!

Bobby zmarszczył brwi.

— Kate, o jakim projekcie mówiłaś?

Czy to możliwe, że Bobby naprawdę nie wie? Wytrzymała spojrzenie Hirama, rozkoszując się nagłym poczuciem władzy.

— Na tyle istotnym, że wezwał z Francji twojego brata.

— Brata…

— Na tyle znaczącym, że przyjął inwestycyjnego partnera, Billyboba Meeksa, założyciela Krainy Objawienia. Słyszałeś o nim, Bobby? To najnowsza rozmiękczająca umysł i wysysająca pieniądze perwersja religijna, która zaatakowała smętną populację naiwnych w Ameryce…

To nieważne — warknął Hiram. — Tak, pracuję z Meeksem. Pracowałbym z każdym. Jeśli ludzie chcą kupować mój sprzęt VR, żeby widzieć Jezusa i jego stepujących apostołów, to będę im sprzedawał. Kim jestem, aby mnie osądzać? Nie wszyscy jesteśmy tacy świętoszkowaci jak pani. Nie stać nas na takie luksusy. Lecz Bobby wciąż wpatrywał się w ojca.

— Mojego brata?

Kate była zaskoczona. Spróbowała przypomnieć sobie przebieg rozmowy.

Bobby… Nie wiedziałeś o tym, prawda? Nie tylko o projekcie, ale i o drugiej żonie Hirama, i o dziecku. — Zaszokowana spojrzała na Hirama. — Jak można coś takiego trzymać w tajemnicy?

Hiram ściągnął wargi. Wzrok, skierowany na Kate, był pełen odrazy.

— Przyrodniego brata, Bobby. Tylko przyrodniego.

— Ma na imię David — oświadczyła chłodno Kate. Wymówiła to imię z francuskim akcentem. — Jego matka była Francuzką. Ma trzydzieści dwa lata, jest siedem lat starszy od ciebie, Bobby. I jest fizykiem. Dobrze sobie radzi; mówi się o nim, że jest Hawkingiem swojego pokolenia. Aha, jest też katolikiem. O ile wiem, bardzo pobożnym.

Bobby był chyba nie rozgniewany, ale jeszcze bardziej zdumiony.

— Dlaczego mi nie powiedziałeś? — spytał ojca.

— Nie musiałeś o nim wiedzieć — odparł Hiram.

— A ten nowy projekt? O co w nim chodzi? Dlaczego o tym mi nie mówiłeś?

Hiram wstał.

— Pani towarzystwo było czarujące, pani Manzoni. Roboty pokażą pani wyjście.

Wstała.

— Nie powstrzyma mnie pan przed wydrukowaniem tego, co

wiem.

— Może pani drukować, co pani chce. Nie ma pani niczego istotnego.

Wiedziała, że ma rację. Idąc do drzwi, czuła, jak opada z niej euforia. Zawaliłam sprawę, powtarzała sobie. Zamierzałam wkraść się w łaski Hirama, a zamiast tego musiałam odnieść swój mały tryumf i stał się moim wrogiem.

Obejrzała się. Bobby wciąż patrzył na nią tymi dziwnymi oczami — jak okna w kościele. Jeszcze się spotkamy, pomyślała. Może jeszcze nie wszystko stracone.

Drzwi zaczęły się zamykać. Ostatnim, co widziała, był Hiram obejmujący czule swego syna.

3. Wormworks

Hiram czekał na Davida Curzona w hali przylotów SeaTac. Był porażająco serdeczny — natychmiast chwycił Davida za ramiona i przyciągnął do siebie. David wyczuł mocny zapach wody kolońskiej, syntetycznego tytoniu, śladowy aromat przypraw. Hiram zbliżał się już do siedemdziesiątki, ale nie było to widoczne; z pewnością stosował kuracje odmładzające i subtelne operacje kosmetyczne. Był wysoki i ciemnowłosy, podczas gdy David, po matce, miał jasne włosy, bardziej krępą budowę i skłonność do tycia.

I jeszcze głos, którego David nie słyszał, odkąd skończył pięć lat, i ta twarz — niebieskie oczy, mocny nos — która unosiła się wtedy nad nim niby wielki księżyc.

— Mój chłopcze… To już tak długo. Chodź. Musimy sobie wiele opowiedzieć.

David przygotowywał się do tego spotkania przez większą część lotu z Anglii. Masz trzydzieści dwa lata, powtarzał sobie. Masz kontrakt profesorski w Oksfordzie. Twoje prace i twoja popularnonaukowa książka o egzotycznej matematyce fizyki kwantowej były znakomicie przyjęte. Ten człowiek jest wprawdzie twoim ojcem, ale porzucił cię i nie ma nad tobą władzy.

Jesteś już dorosły. Masz swoją wiarę. Nie masz się czego obawiać.

Lecz Hiram, jak to z pewnością zaplanował, w ciągu pierwszych pięciu sekund zmiótł obronę Davida. Oszołomiony David pozwolił prowadzić się za rękę.

Hiram zabrał syna prosto do laboratorium badawczego — Wormworks, jak je nazwał — na północ od Seattle. Jazda rolls-royce'em z autoszoferem była szybka i dość przerażająca. Sterowane przez satelity pozycjonujące i inteligentne oprogramowanie pojazdy mknęły po drogach z prędkością powyżej stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, zachowując ledwie centymetrowe odstępy między zderzakami. Wszystko wydawało się o wiele bardziej ryzykowne niż to, do czego David przyzwyczaił się w Europie.

Lecz samo miasto, a raczej tyle, ile z niego zobaczył, wyglądało jednak na całkiem europejskie, pełne dobrze zachowanych kosztownych domków z widokami na wzgórza i morze. Bardziej nowoczesne budynki całkiem rozsądnie dopasowano do stylu tego miejsca. Przedmieścia były zatłoczone — znów zaczynał się okres świątecznych zakupów.

Z okolicy zapamiętał niewiele, zaledwie jakieś dziecięce odpryski wspomnień: mała łódka, którą Hiram wypływał z Sound, zimą podróże powyżej linii wiecznego śniegu. Oczywiście był potem w

Ameryce wiele razy — fizyka teoretyczna to dyscyplina międzynarodowa. Ale nigdy nie wrócił do Seattle od tego dnia, który tak dobrze zapamiętał, kiedy jego matka otuliła go i wybiegła z domu Hirama.

Hiram mówił bez przerwy, zasypując syna kanonadą pytań.

— Dobrze się czujesz w Anglii?

— Na pewno słyszałeś o problemach klimatycznych. Ale nawet skuty lodem Oksford to piękne miasto. Zwłaszcza odkąd zakazali prywatnym samochodom wjazdu w obręb obwodnicy…

— A ci nadęci Brytyjczycy nie czepiają się twojego francuskiego akcentu?

— Ojcze, jestem Francuzem. Taka jest moja tożsamość.

— Ale nie obywatelstwo. — Hiram klepnął syna w kolano. — Jesteś Amerykaninem. Nie zapominaj o tym. — Zerknął na niego czujnie. — Wciąż praktykujesz?

David uśmiechnął się.

— Chcesz spytać, czy nadal jestem katolikiem? Tak, ojcze. Hiram prychnął niechętnie.

— Ta twoja piekielna matka. Największy błąd, jaki w życiu popełniłem, to to, że związałem się z nią, nie biorąc pod uwagę jej wyznania. A teraz tobie przekazała wirusa wiary.

David poczuł, że rozdyma nozdrza.

— Wyrażasz się obraźliwie.

— Tak, przepraszam. Więc Anglia to teraz dobre miejsce, żeby być tam katolikiem?

— Odkąd rozwiązali Kościół, w Anglii pojawiła się jedna z najzdrowszych społeczności katolickich na świecie.

Hiram prychnął znowu.

— Nieczęsto słyszy się słowa „zdrowe” i „katolickie” w tym samym zdaniu… Jesteśmy na miejscu.

Dotarli do szerokiego placu parkingowego. Samochód zatrzymał się i David wysiadł za ojcem. Znaleźli się blisko oceanu i natychmiast wyczuł chłodne słone powietrze.

Parking przylegał do dużego otwartego budynku, pospiesznie zbudowanego z betonu i blachy falistej, przypominającego lotniczy hangar. Po jednej stronie była ogromna, częściowo otwarta brama, przez którą automatyczne wózki przewoziły do środka kartonowe pudła.

Hiram poprowadził syna do niedużych drzwi, wyciętych w ścianie; wydawały się maleńkie wobec wielkości konstrukcji.

— Witaj w środku wszechświata. — Nagle wydał się skrępowany. — Słuchaj, ściągnąłem cię tutaj trochę bezmyślnie. Wiem, że dopiero co wysiadłeś z samolotu. Musisz odpocząć, wziąć prysznic…

Hiram wydawał się tak szczerze przejęty jego samopoczuciem, że David nie mógł opanować uśmiechu.

— Może napiję się kawy trochę później. Pokaż mi tę swój ą nową zabawkę.

Wewnątrz czekała ich chłodna, ogromna hala. Kroki odbijały się echem, kiedy szli po zakurzonym betonie. Strop wspierały dźwigary, a wszędzie wisiały jarzeniówki, wypełniające otoczenie zimnym, wszechobecnym blaskiem. Panował swego rodzaju spokój i wyciszenie; wnętrze przypominało Davidowi raczej katedrę niż laboratorium badawcze.

W samym środku hali, ponad garstką pracujących techników, piętrzyły się stosy sprzętu. David był teoretykiem, a nie eksperymentatorem, lecz rozpoznał urządzenia typowe dla badań z fizyki wysokich energii. Były tu czujniki cząstek subatomowych — stos krystalicznych bloków ustawionych jeden na drugim — i skrzynki elektroniki, ułożone jak białe klocki. Choć każda z nich miała rozmiar przyczepy kempingowej, wydawały się małe wobec ogromnej tarczy detektora.

Jednak technicy nie należeli do typowego personelu laboratorium wysokich energii. Wszyscy byli dość starzy, około sześćdziesiątki — chociaż w tych czasach trudno było poprawnie ocenić wiek.

Zapytał o to Hirama.

Tak. Polityką OurWorldu jest zatrudnianie starszych pracowników. Są bardziej odpowiedziami, a dzięki substancjom chemicznym, które pompuje się teraz do mózgu, równie inteligentni, jak za młodych lat. No i wdzięczni za pracę. W tym przypadku większość ludzi tutaj to ofiary odwołania programu SSC.

— Superconducting Super Collider? Ten akcelerator? Wielki akcelerator cząstek miał być zbudowany pod polami w Teksasie, gdyby Kongres nie odwołał tego wielomiliardowego projektu w latach dziewięćdziesiątych zeszłego wieku.

Całe pokolenie amerykańskich fizyków cząstek ucierpiało na tej decyzji — powiedział Hiram. — Jakoś przeżyli, znaleźli pracę w przemyśle albo na Wall Street. Ale większość z nich nie pogodziła się z rozczarowaniem.

— Przecież SSC byłby błędem. Technika akceleratorów liniowych, która pojawiła się parę lat później, była bardziej efektywna i tańsza. A poza tym od mniej więcej 2010 większość wyników w fizyce cząstek pochodzi ze studiów nad promieniowaniem kosmicznym.

To nie ma znaczenia. Nie dla tych ludzi, SSC mógł być błędem, ale byłby ich błędem. Kiedy wytropiłem tych chłopców i zaproponowałem im pracę przy najbardziej zaawansowanych badaniach fizyki wysokich energii, wykorzystali tę szansę. — Spojrzał na syna. — Jesteś inteligentnym chłopcem, Davidzie…

— Nie jestem chłopcem.

— Masz wykształcenie, o jakim ja nie mogłem nawet marzyć. Ale i tak jest sporo rzeczy, których mógłbym cię nauczyć. Na przykład jak radzić sobie z ludźmi. — Machnął rękaw stronę techników. — Spójrz na nich. Pracują dla obietnicy, dla marzeń młodości, ambicji, spełnienia. Jeśli znajdziesz sposób, żeby sięgnąć do tych rezerw, ludzie będą dla ciebie tyrać jak woły, i to prawie za darmo.

David zmarszczył brwi i ruszył za ojcem.

Dotarli do balustrady; jeden z siwowłosych techników uprzejmie, jakby z lękiem, skinął Hiramowi głową i wręczył im hełmy. David założył jeden na głowę.

Wychylił się przez poręcz. Czuł zapach smaru, izolacji i detergentów. Z tego miejsca widział, że tarcza detektora sięga poniżej poziomu gruntu. W samym środku stanowiska zauważył zbitą, ciemną płataninę nieznanego sprzętu. Obłoczek pary unosił się z samego środka… Pewnie jakieś osłony kriogeniczne. Gdzieś z góry dochodziło brzęczenie. David podniósł głowę i zobaczył poruszającą się suwnicą: długą stalową belkę sięgającą powyżej tarczy detektora z wiszącym hakiem. .

— Większość sprzętu to detektory tego czy innego typu — wyjaśnił Hiram — żebyśmy wiedzieli, co się dzieje. Zwłaszcza kiedy coś idzie nie tak. — Wskazał na stos sprzętu pośrodku. — To jest stanowisko robocze. Krąg nadprzewodzących magnesów.

— Stąd ta kriogenika.

— Tak. Tam wytwarzamy potężne pola elektromagnetyczne, które wykorzystujemy do naszych rulerenowych maszyn Casimira. — W jego głosie zabrzmiała duma. Usprawiedliwiona, pomyślał David. — Właśnie w tym miejscu otworzyliśmy nasz pierwszy tunel podprzestrzenny, jeszcze wiosną. Wmuruję tu kiedyś tablicę; wiesz, taki znak dla historii. Możesz uznać, że jestem zarozumiały. A teraz wykorzystujemy tę instalację, żeby posunąć się dalej. Tak daleko i szybko, jak potrafimy.

David odwrócił się do Hirama.

— Dlaczego mnie tu sprowadziłeś?

— Właśnie o to chciałem zapytać.

Trzeci głos, cakiem nieoczekiwany, wyraźnie Hirama zaskoczył.

Jakaś postać wysunęła się z cienia za detektorami i stanęła obok Hirama. Serce Davida na moment zabiło mocniej. Mógł to być bliźniak ojca albo jego przedwczesny duch. Ale po bliższym przyjrzeniu się David zauważył różnicę: przybysz był wyraźnie młodszy, szczuplejszy, może trochę wyższy, a włosy miał wciąż gęste i czarne.

Ale te lodowate niebieskie oczy, tak niezwykłe wobec azjatyckiego pochodzenia, należały bez wątpienia do Hirama.

— Znam cię — powiedział David.

— Z brukowej telewizji? David uśmiechnął się.

— Jesteś Bobby.

— A ty jesteś pewnie David, przyrodni brat, o którym nie wiedziałem, dopóki nie powiedziała mi dziennikarka. — Bobby był rozgniewany, lecz całkowicie panował nad sobą.

David uświadomił sobie, że trafił w sam środek rodzinnego konfliktu. Co gorsza, była to jego rodzina.

Hiram przyjrzał się po kolei swoim synom. Westchnął ciężko.

— Davidzie, może pora, żebym postawił ci tę kawę.

Kawa była chyba najgorsza, jakiej David w życiu próbował, ale technik, który obsługiwał ich trójkę, stał przy stole, dopóki nie wypił pierwszego łyku. To jest Seattle, przypomniał sobie David. Tutaj dobra kawa była fetyszem w klasach społecznych, które od pokoleń obsługują takie instytucje. Uśmiechnął się z przymusem.

— Znakomita — powiedział.

Technik odszedł rozpromieniony.

Bufet przy laboratorium wciśnięty był w róg kantoru — centrum obliczeniowego, gdzie analizowano wyniki różnych eksperymentów. Sam kantor, typowy dla oszczędnościowych działań Hirama, był niewielki: prowizoryczny moduł biurowy z plastikowymi płytkami na podłodze, fluorescencyjnymi panelami na suficie i z imitacją drewna na ściankach działowych. Dookoła stały terminale komputerów, ekrany, oscyloskopy i inny sprzęt elektroniczny. Kable i światłowody wiły się wszędzie, całe ich wiązki przyklejono taśmą do ścian, podłóg i sufitu. W powietrzu unosił się złożony zapach ozonu, zwietrzałej kawy i potu.

Bufet okazał się nędzną budą z plastikowymi stolikami i automatami do napojów; wszystko to obsługiwał odrapany robot. Hiram i jego synowie ze skrzyżowanymi rękami siedzieli przy stoliku i unikali nawzajem swoich spojrzeń.

Hiram sięgnął do kieszeni, wyjął softscreenowy ekran wielkości chustki do nosa i rozłożył go na stole.

— Przejdę do rzeczy — powiedział. — Włączyć odtwarzanie. Kair.

David spojrzał na ekran. Widział tam ciąg kilku scenek przedstawiających jakąś katastrofę w zalanym słońcem mieście: sanitariusze wynoszący ciała z budynku, zwłoki w szpitalu, zrozpaczeni krewni, zmęczony personel medyczny, matki ściskające bezwładne ciała dzieci, krzyki.

— Wielki Boże.

— Bóg chyba patrzył w inną stronę — stwierdził Hiram. — Wszystko to wydarzyło się dziś rano. Kolejna wojna o wodę. Któryś z sąsiadów Egiptu wlał toksyny do Nilu. Pierwsze oceny mówią o dwóch tysiącach martwych, dziesięciu tysiącach chorych, spodziewane są

dalsze ofiary. Ale do rzeczy. — Stuknął w ekran. — Spójrzcie na jakość transmisji. Niektóre z tych obrazów pochodzą z ręcznych kamer, inne od robotów. Wszystkie zdjęcia zrobiono w ciągu dziesięciu minut od pierwszych raportów przekazanych przez lokalną agencję informacyjną. I w tym tkwi problem. — Hiram dotknął rogu ekranu, gdzie widniało logo: ENO, znak sieci Earth News Online, jednego z najpoważniejszych konkurentów Hirama w dziedzinie zdobywania wiadomości. — Próbowaliśmy się dogadać z tą agencją informacyjną, ale ci z ENO nas wyprzedzili. — Spojrzał na synów. — Takie rzeczy zdarzają się bez przerwy. Im jestem większy, tym częściej takie małe kundelki jak ENO gryzą mnie po kostkach. Na całym świecie utrzymuję zespoły kamerzystów i reporterów, co sporo kosztuje. Mam miejscowych korespondentów na każdym rogu ulicy. Ale nie możemy być wszędzie. A jeśli nas tam nie ma, potrzeba czasem godzin, nawet dni, żeby ekipa dotarła na miejsce. Niestety, w kręcącym się całą dobę świecie dziennikarskim, możecie mi wierzyć, spóźnienie o minutę jest fatalne.

David zmarszczył brwi.

— Nie rozumiem. Mówisz o przewadze w interesach? Ale przecież tam umierają ludzie. Na twoich oczach.

— Ludzie bez przerwy umierają — odparł szorstko Hiram. — Umierają w wojnach o zasoby naturalne, jak w Kairze, albo z powodu minimalnych różnic religijnych czy narodowościowych, albo dlatego, że uderza w nich jakiś przeklęty tajfun, powódź czy susza, kiedy klimat dostaje szału. Albo zwyczajnie umierają. Tego nie mogę zmienić. Lecz jeśli nie ja to pokażę, zrobi to ktoś inny. Nie mam zamiaru dyskutować o moralności. Interesuje mnie przyszłość mojej firmy. A w tej chwili przegrywam. I dlatego jesteście mi potrzebni. Obaj.

— Najpierw opowiedz nam o naszych matkach — zażądał hardo Bobby.

David wstrzymał oddech.

Hiram jednym haustem wypił kawę.

— Dobrze — powiedział wolno. — Ale właściwie nie ma wiele do opowiadania. Eve, matka Davida, była mój ą pierwszą żoną.

— I twoją pierwszą fortuną — dodał oschle David. Hiram wzruszył ramionami.

— Wykorzystaliśmy spadek Eve, żeby zacząć nowy interes. Ważne, żebyś to zrozumiał, Davidzie. Nigdy nie okradłem twojej matki. Na początku byliśmy partnerami. Mieliśmy coś w rodzaju długoterminowego planu. Pamiętam, że zapisaliśmy go na odwrocie naszego ślubnego menu… Osiągnęliśmy każdy z wypisanych tam celów, a nawet więcej. Dziesięciokrotnie powiększyliśmy fortunę twojej matki. I mieliśmy ciebie.

— Lecz małżeństwo rozpadło się przez twój romans — dokończył David.

Hiram spojrzał na niego z ukosa.

— Masz skłonność do wydawania pospiesznych sądów. Całkiem jak twoja matka.

— Po prostu powiedz, tato — naciskał Bobby. Hiram skinął głową.

Tak, miałem romans. Z twoją matką, Bobby. Miała na imię Heather. Nie tak to planowałem… Davidzie, moje małżeństwo z Eve rozpadało się już od dłuższego czasu. Przez tę jej przeklętą religię.

— Więc cię wyrzuciła.

— Próbowała mnie wyrzucić. Chciałem zawrzeć umowę, zachować się jak człowiek cywilizowany. W końcu uciekła ode mnie i zabrała ciebie ze sobą.

David pochylił się.

— Ale odciąłeś ją od zysku z interesów. Interesów, które zbudowałeś na jej pieniądzach.

Hiram wzruszył ramionami.

— Mówiłem, że chciałem zawrzeć umowę. Ona chciała wziąć wszystko. Nie było kompromisu. — Spojrzał zimno. — Nie miałem zamiaru oddawać wszystkiego, co zbudowałem, z powodu kaprysu jakiejś zwariowanej religijnej fanatyczki. Nawet jeśli była moją żoną, a rwoją matką. Kiedy przegrała ten swój proces o wszystko albo nic, wyjechała z tobą do Francji i zniknęła z powierzchni ziemi. A przynajmniej próbowała. — Uśmiechnął się. — Nietrudno było was wytropić. — Sięgnął po dłoń syna, ale David cofnął rękę. — David, nawet nie wiedziałeś, że nadal byłem przy tobie. Znalazłem sposoby, hmm, żeby ci pomóc bez wiedzy matki. Nie posunąłbym się do stwierdzenia, że wszystko, co masz, zawdzięczasz mnie, ale…

David poczuł, że wzbiera w nim gniew.

— Dlaczego sądzisz, że chciałem twojej pomocy?

— Gdzie jest teraz twoja matka? — wtrącił Bobby. David próbował się opanować.

— Umarła na raka. Mogła mieć lżejszą śmierć, ale nie stać nas było…

— Nie pozwalała sobie pomóc — rzekł Hiram. — Odepchnęła mnie nawet na samym końcu.

— A czego oczekiwałeś? — spytał David. — Odebrałeś jej wszystko. Hiram pokręcił głową.

— Ona zabrała mi coś ważniejszego. Ciebie.

— A więc — stwierdził chłodno Bobby — twoje ambicje skupiły się na mnie.

Hiram wzruszył ramionami.

— Co mogę powiedzieć, Bobby? Dałem ci wszystko, wszystko, co

dałbym wam obu. Przygotowałem cię najlepiej, jak potrafiłem.

— Przygotowałeś? — David roześmiał się. — Cóż to za słowo? Hiram trzasnął pięścią w stół.

— Jeśli Joe Kennedy mógł to zrobić, to czemu nie Hiram Patterson? Nie rozumiecie, chłopcy? Nie ma granic tego, co możemy osiągnąć, jeśli tylko będziemy pracować razem…

— Mówisz o polityce? — David zerknął na gładką, zdziwioną twarz Bobby'ego. — Co planujesz dla niego? Może prezydenturę? — Roześmiał się. — Jesteś dokładnie taki, jak sobie wyobrażałem, ojcze.

— To znaczy jaki?

— Arogancki. Skłonny do manipulacji. Hiram wyraźnie się zirytował.

— A ty jesteś taki, jak się spodziewałem. Pompatyczny i pobożny jak twoja matka.

Bobby wpatrywał się w ojca ze zdumieniem. David wstał.

— Myślę, że powiedzieliśmy już dosyć. Gniew Hirama rozpłynął się natychmiast.

— Nie. Poczekaj. Przepraszam. Masz rację. Nie ściągnąłem cię tutaj, żeby się z tobą kłócić. Usiądź i wysłuchaj mnie. Proszę.

David stał nadal.

— Czego ode mnie chcesz?

Hiram oparł się na krześle i przyjrzał mu się uważnie.

— Chcę, żebyś zbudował dla mnie większy tunel podprzestrzenny.

— O ile większy? Hiram nabrał tchu.

— Dość duży, żeby przez niego zajrzeć. Przez chwilę panowała cisza. Wreszcie David usiadł i pokręcił głową.

— To…

— Niemożliwe? Wiem. Ale pozwól, że ci wytłumaczę. — Hiram wstał i zaczął spacerować dookoła. Gestykulował ożywiony i podniecony. — Przypuśćmy, że mógłbym natychmiast otworzyć tunel z mojej redakcji w Seattle bezpośrednio do miejsca zdarzenia w Kairze, i przypuśćmy, że tunel byłby dość szeroki, żeby przesyłać obrazy tego zdarzenia. Mógłbym przekazywać obrazy każdego miejsca na świecie bezpośrednio do sieci, praktycznie bez opóźnień. Zgadza się? Pomyśl o tym. Mógłbym wywalić z pracy reporterów i kamerzystów, zredukować koszta prawie do zera. Mógłbym nawet zbudować coś w rodzaju automatycznego układu wyszukiwania, prowadzącego ciągłą obserwację przez krótkotrwałe tunele i czekającego na kolejne wydarzenie, gdziekolwiek i kiedykolwiek się trafi. Możliwości są nieograniczone.

Bobby uśmiechnął się słabo.

— Nigdy cię już nie wyprzedzą, tak, tato?

— Właśnie tak. — Hiram zwrócił się do Davida. — To jest prawdziwe marzenie. A teraz wytłumacz mi, czemu jest niemożliwe.

David zmarszczył brwi.

Trudno powiedzieć, od czego mam zacząć. W tej chwili możesz otworzyć metastabilne kanały danych pomiędzy dwoma punktami. Samo w sobie jest to wielkim osiągnięciem. Ale potrzebujesz potężnej maszynerii, żeby zakotwiczyć oba wyloty tuneli. Zgadza się? A teraz chcesz otworzyć stabilne ujście tunelu na drugim końcu, na miejscu wydarzenia, bez żadnych zakotwiczeń.

— Zgadza się.

— No więc, po pierwsze, to całkiem niemożliwe, i jestem pewien, że twoi eksperci już ci to powiedzieli.

— Powiedzieli. Co jeszcze?

— Chcesz wykorzystać te tunele, żeby przesyłać fotony widzialnego światła. Tymczasem tunele w pianie kwantowej pojawiają się na długości Plancka-Wheelera, to znaczy dziesięć do minus trzydziestej piątej metra. Udało ci się wydłużyć je o dwadzieścia rzędów wielkości, wystarczająco, żeby przepuszczały fotony promieniowania gamma. Bardzo wysoka częstotliwość, bardzo mała długość fali.

Tak. Używamy promieniowania gamma, żeby przenosiło digitalizowane dane, które…

— Ale długość promieni gamma jest około miliona razy mniejsza niż długość światła widzialnego. Ujścia tuneli drugiej generacji musiałyby mieć średnicę przynajmniej mikrona. — David spojrzał na ojca. — Zakładam, że to właśnie kazałeś osiągnąć swoim inżynierom. I nie udało się.

Hiram westchnął.

— Tak naprawdę udało nam się wpompować dość energii Casimira, żeby otworzyć tak szeroki tunel, ale pojawia się jakieś sprzężenie zwrotne i powoduje, że to wszystko się zapada.

David skinął głową.

— Nazywają to niestabilnością Wheelera. Tunele nie są naturalnie stabilne. Grawitacja ujścia tunelu wciąga fotony i przyspiesza je do wysokiej energii, a to wysokoenergetyczne promieniowanie bombarduje tunel i sprawia, że się zaciska. Ten efekt musisz kontrować negatywną energią z efektu Casimira. Tylko ona pozwala utrzymać otwarte choćby najmniejsze tunele.

Hiram podszedł do okna małego bufetu. Za szybą widział potężną sylwetkę kompleksu detektora w samym środku kampusu.

— Mam tu parę niezłych umysłów, ale ci ludzie to doświadczalnicy. Potrafią tylko chwytać i mierzyć, co się dzieje, kiedy tunel się zapada. Musimy stworzyć teorię, która posunie sprawę do przodu. I dlatego tu przybyłeś. — Odwrócił się. — Davidzie, chcę, abyś wziął urlop z Oksfordu i przyjechał tutaj pracować ze mną nad tym problemem. — Objął Davida za ramiona; ciało miał silne i ciepłe,

niemal przytłaczające czułością. — Pomyśl, co może z tego wyjść. Być może po drodze załapiesz się na Nobla z fizyki, a ja przy okazji pożrę ENÓ i te inne szczekające kundelki. Ojciec i syn, wspólnie. Synowie, co o tym myślicie?

David wyczuł na sobie wzrok Bobby'ego.

— Chyba… Hiram zatarł ręce.

— Wiedziałem, że się zgodzisz.

— Jeszcze się nie zgodziłem.

— Dobrze, dobrze. Ale się zgodzisz. Wyczuwam to. Wiesz, to wspaniałe, kiedy długoterminowe plany zaczynają się realizować.

David poczuł nagły dreszcz.

— Jakie długoterminowe plany?

Hiram odpowiedział pospiesznie i z zapałem.

— Skoro zamierzałeś zająć się fizyką, chciałem, żebyś został w Europie. Zbadałem tę dziedzinę. Skończyłeś matematykę, prawda? Potem zrobiłeś doktorat z matematyki stosowanej i fizyki teoretycznej.

— W Cambridge, tak. U Hawkinga…

To typowa europejska droga. W rezultacie masz dobrze opanowaną współczesną matematykę. To różnica kulturowa. Amerykanie wyszli na prowadzenie w fizyce doświadczalnej, ale używają matematyki jeszcze z czasów drugiej wojny. Jeśli więc szukasz jakiegoś teoretycznego przełomu, nie warto pytać nikogo, kto uczył się w Ameryce.

— I wtedy pojawiam sieja — stwierdził chłodno David. — Z moim tak wygodnym, europejskim wykształceniem.

Tato — odezwał się wolno Bobby. — Chcesz nam powiedzieć, że ty tak wszystko zorganizowałeś, żeby David zyskał europejskie wykształcenie z fizyki? Licząc na to, że może ci się przydać? I to wszystko bez jego wiedzy? Hiram wyprostował się.

— Nie mnie może się przydać. Może się przydać sobie. Może się przydać światu. Będzie miał większą szansę na sukces. — Spojrzał na obu synów i położył im dłonie na głowach, jakby ich błogosławił. — Wszystko, co dotąd robiłem, miało na celu tylko wasze największe dobro. Jeszcze tego nie rozumiecie?

David spojrzał Bobby'emu w oczy. Bobby odwrócił wzrok, a wyrazu twarzy nie dało się odczytać.

4. Wormwood

FRAGMENTY Z WORMWOOD: KIEDY TOPNIEJĄ GÓRY KATHERINE MAZONI, WYD. SHIVA PRESS, NOWY JORK 2033; DOSTĘPNY TAKŻE JAKO INTERNETOWY PAKIET DANYCH

…Jeśli ludzie, jako gatunek, chcą przetrwać następne kilka stuleci, czekają ich wielkie wyzwania.

Stało się jasne, że skutki zmian klimatycznych będą o wiele gorsze, niż wyobrażano sobie kilka dziesięcioleci temu; przewidywania tych efektów z roku, powiedzmy, 1980, można wręcz uznać za naiwnie optymistyczne.

Wiemy dzisiaj, że szybkie ocieplenie w ostatnich paru wiekach doprowadziło do przejścia w nowe stany kilku metastabilnych systemów naturalnych na planecie. Spod topniejącej wiecznej zmarzliny na Syberii uwalniają się do atmosfery miliardy ton metanu i innych gazów cieplarnianych. Ciepłe wody oceanów destabilizują jeszcze większe rezerwuary metanu wokół szelfów kontynentalnych. Z powodu odcięcia Golfsztromu północna Europa wkracza w okres ostrego chłodu. Wydaje się, że nad obszarami oceanicznymi i masami lądowymi pojawiają się nowe zjawiska atmosferyczne — permanentne burze. Wymieranie lasów tropikalnych powoduje ujście w atmosferę wielkich ilości dwutlenku węgla. Powolne topnienie pokrywy lodowej zachodniej Antarktydy zmniejsza nacisk na archipelag zatopionych pod nią wysp, więc prawdopodobny jest wzrost aktywności wulkanicznej, co z kolei doprowadzi do katastrofalnego topnienia lodu. Podniesienie się poziomu morza jest przewidywane na dużo wyższym poziomie, niż to sobie wyobrażano kilkadziesiąt lat temu.

l tak dalej.

Wszystkie te zmiany są połączone. Być może trwający na Ziemi od tysięcy lat okres stabilnego klimatu, który pozwolił na pojawienie się ludzkiej cywilizacji, teraz zbliża się do końca. Prawdopodobnie z powodu naszych własnych działań. Najgorsze, co może nas spotkać, to jakieś nieodwracalne załamanie klimatyczne, na przykład nieopanowany efekt cieplarniany, który zabije nas wszystkich.

Jednak problemy te bledną w porównaniu z tym, co nas czeka, jeśli trafi w Ziemię ciało nazywane Wormwoodem. Dreszcz budzi przypadkowa zbieżność nazw, gdyż Wormwood — piołun — po rosyjsku znaczy „Czamobyl”…

Większość spekulacji na temat Wormwoodu i jego możliwych konsekwencji opiera się na błędnych informacjach, nawet więcej, na zadufaniu. Pozwolę więc sobie przypomnieć kilka podstawowych

faktów.

Po pierwsze: Wormwood nie jest asteroidą.

Astronomowie uważają, że Wormwood mógł być kiedyś księżycem Neptuna lub Urana, mógł też być unieruchomiony w punkcie stabilnym orbity Neptuna, aż nastąpiła jakaś perturbacja. W każdym razie wypadł z tego punktu i teraz jest na pięćsetletnim kursie kolizyjnym z Ziemią.

Po drugie: uderzenie Wormwoodu nie będzie porównywalne z uderzeniem meteorytu Chicxulub, który spowodował zagładę dinozaurów.

Tamto uderzenie wystarczyło, żeby spowodować masowe wymieranie i zmienić — drastycznie i na zawsze — bieg ewolucji życia na Ziemi. Jednak jego przyczyną był obiekt o średnicy około dziesięciu kilometrów. Średnica Wormwoodu jest czterdzieści razy większa, a zatem jego masa jest większa sześćdziesiąt tysięcy razy.

Po trzecie: Wormwood nie spowoduje zwykłej powszechnej zagłady jak Chicxulub.

Będzie o wiele gorzej.

Impuls termiczny wysterylizuje Ziemię do głębokości pięćdziesięciu metrów. Życie może przetrwać, ale tylko ukryte głęboko w jaskiniach. Nie znamy sposobu ani nawet zasady, dzięki którym ludzka społeczność mogłaby przetrwać ten wstrząs. Być może zdolną do życia populację uda się przenieść w kosmos: na orbitę, na Marsa lub na Księżyc. Ale nawet w ciągu pięciuset lat tylko niewielka część ludzkości zdoła się schronić poza planetą.

A zatem nie da się ewakuować Ziemi. Kiedy przybędzie Wormwood, prawie wszyscy zginą.

Po czwarte: kursu Wormwoodu nie da się odchylić za pomocą dostępnej techniki.

Możliwa jest zmiana kursu niewielkich ciał — o średnicy kilku kilometrów, typowej dla bliskich Ziemi asteroid — takimi środkami jak umieszczone na nich ładunki jądrowe albo rakiety termojądrowe. Problem zmiany kursu Wormwoodu jest trudniejszy o kilka rzędów wielkości. Projekty teoretyczne, dotyczące przesuwania tak wielkich ciał, sugerowały na przykład ciąg wspomagających impulsów grawitacyjnych — niedostępnych w tym przypadku — albo użycie zaawansowanych technik, takich jak nanotechnologiczne maszyny von Neumanna, które rozbiją i rozproszą ciało. Jednak taka technika daleko przekracza nasze obecne możliwości.

Dwa lata po ujawnieniu przeze mnie spisku, mającego nie dopuścić istnienia Wormwoodu do wiadomości publicznej, uwaga ludzi już się odwraca. A przecież musimy zacząć pracować nad wielkim projektem naszego przetrwania.

Wormwood ma już pewne skutki wyprzedzające. Okrutną ironią

jest fakt, że kiedy po raz pierwszy w historii zaczynamy wspólnie i odpowiedzialnie kierować naszą przyszłością, perspektywa Dnia Wormwoodu wydaje się odbierać tym wysiłkom wszelki sens. Widzieliśmy już przerwanie rozmaitych programów zmniejszenia emisji gazów, likwidacje rezerwatów przyrody, rozszerzenie skali poszukiwań paliw nieodnawialnych, przyspieszone wymieranie zagrożonych gatunków. Skoro i tak jutro mają wyburzyć nasz dom, możemy przecież jeszcze dzisiaj spalić meble.

Żaden z naszych problemów nie jest nierozwiązalny — nawet Wormwood. Wydaje się jednak oczywiste, że aby przetrwać, my, ludzie, musimy działać mądrze i z poświęceniem, jakie w całej naszej długiej i splątanej historii było nam niedostępne.

Mimo to jednak nie tracę nadziei, a opieram ją na poczuciu człowieczeństwa i na ludzkiej pomysłowości. Znaczący jest, moim zdaniem, fakt, że Wormwood został odkryty nie przez zawodowców, którzy akurat nie patrzyli w tamtą stronę, ale przez amatorów, obserwatorów nieba, którzy ustawiali na podwórzach automatyczne teleskopy i używali niemal darmowych programów, by przeskanować obrazy detektorów optycznych w poszukiwaniu zmiennych błysków światła. To oni nie zgodzili się na tajemnicę, narzuconą przez rząd, który próbował ukryć ich wyniki. W takich właśnie grupach — oddanych, inteligentnych, współpracujących ze sobą, upartych, nie poddających się impulsom samobójczym, hedonistycznym czy egoistycznym, szukających nowych rozwiązań, które rzucą wyzwanie zadufaniu profesjonalistów — może tkwić nasza największa nadzieja na przetrwanie…

5. Wirtualne niebo

Bobby spóźnił się do Krainy Objawienia. Kate wciąż czekała na niego na parkingu, kiedy tłumy podstarzałych wyznawców zaczęły przeciskać się przez bramę wielkiej betonowo-szklanej katedry Billyboba Meeksa.

Ta katedra była kiedyś stadionem futbolowym; musieli usiąść w tylnych rzędach jednego z sektorów, a kolumny całkowicie zasłaniały im widok. W tłumie pracowali sprzedawcy hot dogów, orzeszków, napojów i rozrywkowych narkotyków, a z głośników płynęła muzyka. Kate rozpoznała Jeruzalem, oparty na wielkim poemacie Blake'a o legendarnej wizycie Chrystusa w Brytanii; teraz był to hymn nowej Anglii, która nastała po Zjednoczonym Królestwie.

Cała powierzchnia stadionu była pokryta lustrami, dzięki czemu odbijała błękitne niebo i wielkie grudniowe chmury. Pośrodku stał gigantyczny tron, pokryty kamieniami migoczącymi zielenią i błękitem; prawdopodobnie zanieczyszczony kwarc, pomyślała Kate. W powietrzu rozpylano wodę, a łukowe lampy tworzyły spektakularną tęczę. Kolejne lampy, podtrzymywane przez roboty, unosiły się w powietrzu przed tronem. Obok krążyły mniejsze trony, na których siedzieli starcy: kobiety i mężczyźni okryci bielą, ze złotymi koronami na pomarszczonych czołach.

Po stadionie krążyły też bestie rozmiaru ciężarówek. Wydawały się groteskowe; każdą część ich ciał pokrywały mrugające oczy. Któraś z bestii rozpostarła wielkie skrzydła i jak orzeł przefrunęła kilka metrów.

Od czasu do czasu bestie ryczały na tłum, a ich wzmocnione wrzaski rozlegały się z głośników. Ludzie wstawali i bili brawo, jakby cieszyli się z udanego zagrania.

Bobby był dziwnie nerwowy. Miał na sobie dopasowany, jednoczęściowy kostium w kolorze szkarłatu, a na szyi zmieniającą kolory chustkę. Wyglądał na dwudziestopierwszowiecznego eleganta, tak nie na miejscu w tym smętnym, podstarzałym tłumie jak diament w dziecięcej kolekcji kamyków z plaży.

Wzięła go za rękę.

— Dobrze się czujesz?

— Nie zdawałem sobie sprawy, że wszyscy będą tacy starzy. Miał rację, oczywiście. Ta kongregacja była znakomitą próbką

siwiejącej Ameryki. Wiele osób nosiło gniazda wzmacniaczy percepcyjnych, wyraźnie widzialne na karku; przez stymulację produkcji neurotransmiterów i molekuł adhezyjnych miały zwalczać choroby związane z wiekiem, takie jak Alzheimer.

— Idź do dowolnego kościoła w kraju, a zobaczysz to samo,

Bobby. To smutne, ale ludzie czują pociąg do religii, kiedy zbliżają się już do śmierci. A teraz starych ludzi jest więcej. Być może, skoro zbliża się Wormwood, wszyscy czujemy muśnięcie cienia. Billybob surfuje po demograficznej fali. Zresztą ci ludzie nie gryzą.

— Może i nie. Ale pachną. Nie czujesz tego? Roześmiała się.

— Nie należy wkładać najlepszych spodni, kiedy rusza się walczyć o wolność i prawdę.

— Co?

— Henrik Ibsen.

Jakiś człowiek stanął na wielkim centralnym tronie. Był niski, gruby, a twarz lśniła mu od potu. Jego wzmocniony głos zahuczał na stadionie:

— Witajcie w Krainie Objawienia! Czy wiecie, czemu tu jesteście? — Wskazał palcem. — Czy ty wiesz? A ty? Posłuchajcie mnie teraz: „Doznałem zachwycenia w dzień Pański i posłyszałem za sobą potężny głos jak gdyby trąby mówiącej »Co widzisz, napisz w księdze…«„ — I podniósł lśniącą księgę.

Kate pochyliła się do Bobby'ego.

— Poznaj Billyboba Meeksa. Ujmujący, prawda? Klaszcz ze wszystkimi. To mimikra.

— Co się tu dzieje, Kate?

— Najwyraźniej nigdy nie czytałeś Apokalipsy. To obłąkana puenta Biblii. — Wskazała ręką. — Siedem lamp ognistych. Dwadzieścia cztery trony wokół jednego, wielkiego. Apokalipsa pełna jest magicznych liczb: trzy, siedem, dwanaście. I bardzo szczegółowo opisuje koniec świata. Dobrze chociaż, że Billybob używa tradycyjnej wersji, a nie współczesnej, poprawionej dla wykazania, że data Wormwoodu, 2534, była w tekście od samego początku… — Westchnęła. — Astronomowie, którzy odkryli Wormwood, nie zrobili nikomu przysługi, nazywając go w ten sposób. To piołun, a piołun występuje w Apokalipsie. Rozdział ósmy, wers dziesiąty: „I trzeci anioł zatrąbił: i spadła z nieba wielka gwiazda, płonąca jak pochodnia, a spadła na trzecią część rzek i na źródła wód. A imię gwiazdy zowie się Piołun…"

— Nie wiem, dlaczego mnie tutaj zaprosiłaś. Właściwie to nawet nie wiem, jak zdołałaś przesłać wiadomość. Kiedy mój ojciec cię wyrzucił…

— Hiram nie zdobył jeszcze władzy absolutnej, Bobby — odparła. — Nawet nad tobą. A dlaczego? Sam popatrz.

Unoszący się nad ich głowami robot miał na kadłubie gładki, prosty napis: GRAINS. Nurkował w tłum, reagując na wezwania członków kongregacji.

— Grains? — zdziwił się Bobby. — Akcelerator umysłu?

— Tak. Specjalność Billyboba. Znasz Blake'a? „Zobaczyć świat w

ziarenku piasku, I niebo w dzikim kwiecie, Trzymać na dłoni nie skończoność, I wieczność w jednej godzinie…” Chodzi o to, że jeśli weźmiesz grains, twoja percepcja czasu gwałtownie przyspieszy. Subiektywnie będziesz mógł więcej myśleć, doznawać większej liczby przeżyć w tym samym czasie zewnętrznym. Dłuższe życie, dostępne wyłącznie u Billyboba Meeksa. Bobby kiwnął głową.

— I co w tym złego?

— Bobby, rozejrzyj się. Starzy ludzie boją się śmierci. Z tego powodu stają się podatni na takie bzdury.

— Jakie bzdury? Przecież grains rzeczywiście działa.

— W pewnym sensie. Wewnętrzny zegar mózgu u ludzi starszych istotnie pracuje wolniej. A Billybob grzebie w tym mechanizmie.

— A w czym tkwi problem?

— W efektach ubocznych. Grains stymuluje produkcję dopaminy, która jest głównym chemicznym nośnikiem informacji mózgu. Próbuje zmusić mózg starego człowieka, żeby pracował tak szybko jak mózg dziecka.

— A to niedobrze — stwierdził niepewnie. — Zgadza się? Zmarszczyła czoło, zdziwiona pytaniem; nie po raz pierwszy miała wrażenie, że Bobby’emu czegoś brakuje.

— Oczywiście, że niedobrze. To złośliwe grzebanie w mózgu. Bobby, dopomina jest niezbędna do wypełniania kilku podstawowych funkcji. Jeśli jej poziom jest zbyt niski, możesz dostać drgawek i być niezdolnym do wykonania świadomego ruchu, jak na przykład w chorobie Parkinsona, i tak dalej, aż do katatonii. Za dużo dopaminy i cierpisz na podniecenie, natręctwa myślowe, nieopanowane gadulstwo i niekontrolowane ruchy, skłonność do nałogów i euforii. Kongregacja Billyboba, choć właściwie powinnam powiedzieć: jego ofiary, nie osiągnie wieczności w swej ostatniej godzinie. Billybob cynicznie wypala im mózgi. Niektórzy lekarze potrafią dodać dwa do dwóch, ale nikt jeszcze nie zdołał niczego udowodnić. Dlatego potrzebuję dowodów z jego własnych laboratoriów, że on dokładnie wie, co robi. Najlepiej razem z dowodami innych oszustw Billyboba.

— Na przykład?

— Na przykład wyłudzenie milionów dolców z towarzystw ubezpieczeniowych przez wciskanie im fałszywych list członków Kościoła. Albo wyciąganie dużych dotacji od Ligi przeciw Zniesławieniom. Wciąż kradnie, choć daleko odszedł od tych swoich sztuczek z chrzczeniem banknotów. — Spojrzała na Bobby’ego. — Nigdy o tym nie słyszałeś? W czasie chrztu podsuwasz banknot. W ten sposób boże błogosławieństwo spływa na pieniądze, a nie na dzieciaka. Wprowadzasz banknot do obiegu i powinien do ciebie wrócić razem z procentem. Naturalnie, aby się upewnić, że to działa, oddajesz pieniądze kapłanowi. Podobno Billybob nabrał tych miłych

zwyczajów w Kolumbii, gdzie pracował jako przemytnik narkotyków. Bobby był zaszokowany.

— Nie masz żadnych dowodów.

— Jeszcze nie — odparła ponuro. — Ale je zdobędę.

— Jak?

— O tym właśnie chciałam z tobą porozmawiać… Wydawał się lekko wstrząśnięty.

— Przepraszam — powiedziała. — Trochę moralizuję, co?

— Trochę.

— Jak zwykle, kiedy się rozzłoszczę.

— Kate, często się złościsz…

— Uważam, że mam prawo. Już od miesięcy podążam tropem tego faceta.

Nad ich głowami zatrzymał się robot, niosący zestaw wirtualnych okularów i rękawic.

— Te okulary i rękawice zostały zaprojektowane przez Krainę Objawienia oraz korporację OurWorld, abyście mogli w pełni przeżyć wizytę w Krainie Objawienia. Karta kredytowa lub rachunek bankowy zostanie automatycznie obciążony za każdą minutę w sieci. Te okulary i rękawice…

Kate wyciągnęła rękę i wzięła dwa komplety.

— Czas na przedstawienie. Bobby pokręcił głową.

— Mam implanty. Nie potrzebuję…

— Billybob ma swoje sposoby wyłączania konkurencyjnych technologii. — Uniosła okulary. — Jesteś gotów?

— Chyba tak…

Poczuła wilgoć w oczodołach, gdy okulary wysunęły membrany i szczelnie połączyły się ze skórą; miała wrażenie, że zimne, wilgotne wargi wysysają jej twarz.

Natychmiast napłynęło uczucie, że jest zawieszona w ciemności i ciszy.

Bobby zmaterializował się obok w przestrzeni, trzymając ją za rękę. Oczywiście jego okulary i rękawice były niewidoczne.

Po chwili obraz się rozjaśnił. Tak daleko, jak sięgała wzrokiem, w przestrzeni wokół unosili się ludzie, podobni do chmury drobinek pyłu. Wszyscy nosili białe szaty i trzymali wielkie, jaskrawe palmowe liście — nawet Bobby i ona, jak odkryła. I błyszczeli w świetle płynącym z obiektu, który mieli przed sobą.

Był to sześcian: ogromny, perfekcyjny, błyszczący jak słońce i gigantyczny w porównaniu z tłumem lecących ludzi.

— O rany — powiedział Bobby.

— Apokalipsa, rozdział dwudziesty pierwszy — mruknęła. — Witajcie w Nowym Jeruzalem. — Spróbowała wyrzucić palmowy liść, ale kolejny pojawił się jej w dłoni niemal natychmiast. — Pamiętaj

tylko, że jedyne, co tu jest realne, to ciągły przepływ twoich pieniędzy do kieszeni Billyboba.

Razem pomknęli w stronę światła.

Ściana przed nią była rozjaśniona oknami i linią trzech łukowo sklepionych bram. Wewnątrz widziała światło, nawet bardziej jaskrawe niż na zewnątrz budowli. Wobec rozmiaru olbrzymiego sześcianu ściany wydawały się cienkie jak papier.

Wciąż spadali w stronę budynku, który wyrastał przed nimi, gigantyczny jak transatlantycki liniowiec.

— Jakie to jest wielkie? — spytał Bobby.

— Święty Jan mówił, że to sześcian o krawędzi dwunastu tysięcy stadiów — mruknęła.

— A dwanaście tysięcy stadiów to…

— Około dwóch tysięcy kilometrów. Bobby, to boże miasto ma rozmiar niewielkiego księżyca. Długo potrwa, zanim tam dotrzemy. A obciążą nas, oczywiście, za każdą sekundą.

— W takim razie chciałbym zjeść hot doga. Wiesz, ojciec często o tobie wspomina.

— Jest na mnie zły.

— Hiram jest, hmm, zmienny. Myślę, że na pewnym poziomie uważa cię za osobę stymulującą.

— Pewnie powinno mi to pochlebiać.

— Podobało mu się określenie, którego użyłaś: elektroniczna narkoza. Muszę przyznać, że nie do końca to zrozumiałem.

Zmarszczyła brwi. Razem dryfowali w stronę bladoszarego światła.

— Naprawdę wiodłeś życie pod kloszem, co, Bobby?

— Większość z tego, co nazywasz grzebaniem w mózgu, jest oczywiście dobroczynne, tak jak wszczepy alzheimerowskie. — Przyjrzał się jej. — Może nie jestem aż tak niezorientowany, jak ci się wydaje. Parę lat temu otwierałem szpitalny oddział, ufundowany przez OurWorld. Leczyli chorych na psychozy maniakalne, przerywając szkodliwe sprzężenie pomiędzy dwoma obszarami mózgu…

— Między jądrem ogoniastym a migdałowatym. — Uśmiechnęła się. — Zadziwiające, jak wszyscy staliśmy się ekspertami od anatomii mózgu. Nie twierdzę, że wszystko jest szkodliwe, ale pojawił się przymus majstrowania. Nałogi są likwidowane przez zmiany w mózgowym obwodzie nagradzania. Ludzie skłonni do wybuchów wściekłości są pacyfikowani przez wypalenie fragmentu jądra migdałowatego, kluczowego dla emocji. Pracoholicy, hazardziści, a nawet ludzie regularnie zadłużeni są „diagnozowani” i „leczeni”. Agresja też została połączona z zaburzeniami działań kory.

— A co w tym takiego strasznego?

— Te konowały, ci lekarze od reprogramowania, nie rozumieją maszyny, w której grzebią. To tak, jakby próbowali odgadnąć funkcję jakiegoś programu, wypalając po kolei chipy komputera, na którym on pracuje. Ale zawsze są efekty uboczne. Jak myślisz, dlaczego Billybobowi tak łatwo było znaleźć wolny stadion? Ponieważ sport zorganizowany tracił popularność od 2015; gracze nie walczyli już dostatecznie twardo.

— Nie wydaje się to bardzo poważnym problemem. — Uśmiechnął się.

— Więc pomyśl o czymś innym. Od dwudziestu lat spada gwałtownie liczba i jakość oryginalnych badań naukowych. „Lecząc" graniczne przypadki autyzmu, lekarze usunęli najbardziej inteligentnym osobnikom skłonność do zajmowania się trudnymi dyscyplinami. A obszar mózgu powiązany z depresjami, kora podkolanowa, jest też związany z kreatywnością, z percepcją znaczeń. Większość krytyków zgadza się, że sztuka weszła w ślepą uliczkę. Jak myślisz, dlaczego wirtualne zespoły rockowe twojego ojca są tak popularne siedemdziesiąt lat po szczycie popularności oryginałów?

— Ale jaka jest alternatywa? Gdyby nie reprogramowanie, świat byłby miejscem dzikim i gwałtownym.

Ścisnęła jego dłoń.

— Może w twojej złoconej klatce nie jest to tak widoczne, ale świat nadal jest miejscem dzikim i gwałtownym. Potrzebujemy raczej maszyny, która pozwoli nam dostrzec punkt widzenia drugiego człowieka. Jeśli tego nie osiągniemy, całe reprogramowanie świata pójdzie na marne.

— Naprawdę się złościsz, co? — rzucił drwiąco.

— Złoszczę się? Na szarlatanów takich jak Billybob? Na tych współczesnych frenologów i lobotomistów, i lekarzy nazistów, którzy grzebią nam w głowach, a może nawet zagrażają przyszłości gatunku, gdy jednocześnie świat wokół rozpada się na kawałki? Oczywiście, że się złoszczę. A ty nie?

Spojrzał na nią zdziwiony.

— Chyba muszę się nad tym zastanowić… Popatrz, przyspieszamy.

Święte Miasto wyrosło przed nimi. Ściana była jak ogromna, ustawiona pionowo równina, z wrotami błyszczącymi niczym prostokątne kratery.

Roje ludzi spływały w rozdzielonych strumieniach ku bramom, jakby wciągane gigantycznym wirem. Bobby i Kate spłynęli do środkowej. Kate czuła podniecający pęd, gdy łuk bramy otworzył się przed nią, choć nie było tam prawdziwego poczucia ruchu. Jeśli się trochę skupiła, wciąż czuła swoje ciało siedzące spokojnie na twardym

krzesełku stadionu.

Mimo to jazda była niezła.

W pewnej chwili przemknęli przez bramę, przez lśniący tunel bladoszarego światła i poszybowali nad błyszczącą złotą powierzchnią.

Kate rozejrzała się, szukając ścian, oddalonych pewnie o setki kilometrów. Zobaczyła jednak niespodziewanie artystyczne rozwiązanie. Powietrze było przymglone, w górze płynęły nieliczne chmury, odbijające złocisty blask równiny. Nie widziała na odległość większą niż kilka kilometrów.

…A potem spojrzała w górę i zobaczyła lśniące mury miasta, wyrastające powyżej warstwy atmosfery na dole. Równina i proste krawędzie zlewały się z dalekim kwadratem, nieoczekiwanie wyraźnym i wysokim.

Ponad atmosferą było sklepienie.

— No, no. To jak pudło, w którym przysyłają księżyce. Czuła miękką i ciepłą dłoń Bobby'ego.

— Przyznaj. Zrobiło to na tobie wrażenie.

— Billybob i tak jest oszustem.

— Ale utalentowanym.

Powracała grawitacja. Ludzie wokół zniżali się jak żywe płatki śniegu, a Kate opadała wraz z nimi. Zobaczyła jasnoniebieską rzekę, rozcinającą złotą równinę. Brzegi porastał gęsty zielony las. Ludzie byli wszędzie, uświadomiła to sobie, rozproszeni na brzegu rzeki, na otwartych obszarach i w pobliżu budynków. Kolejne tysiące opadały z nieba dookoła niej. Z pewnością było ich więcej, niż mogło się zmieścić na stadionie. Bez wątpienia wielu z nich było tylko wirtualną projekcją.

Szczegóły krystalizowały się w miarę opadania: drzewa, ludzie, plamy światła na powierzchni rzeki. I w końcu najwyższe z drzew wyciągnęły się po bokach.

Szybko opadła na ziemię. Kiedy spojrzała w niebo, zobaczyła śnieżycę ludzi w białych szatach, opadających swobodnie i bez lęku.

Złoto leżało wszędzie: pod stopami i na ścianach najbliższych budynków. Obserwowała otaczające ją twarze. Wydawały się podniecone, szczęśliwe, wyczekujące, ale złoto przesycało całe powietrze żółtym światłem i ludzie wyglądali, jakby cierpieli na brak jakichś minerałów. Z pewnością te szczęśliwe uśmiechy były wirtualnymi podróbkami, wymalowanymi na zwyczajnych twarzach.

Bobby podszedł do drzewa. Zauważyła, że jego bose stopy zagłębiają się na centymetr czy dwa w trawie.

— Te drzewa mają więcej niż jeden rodzaj owoców — zauważył. — Popatrz. Jabłka, pomarańcze, limony…

— „Pomiędzy rynkiem Miasta a rzeką, po obu brzegach, drzewo życia, rodzące dwanaście owoców — wydające swój owoc każdego

miesiąca — a liście drzewa służą do leczenia narodów…”

— Podziwiam jego dbałość o szczegóły.

— Daruj sobie. — Schyliła się i dotknęła ziemi. Nie wyczuła źdźbeł trawy ani rosy, ani ziemi, tylko śliską, plastyczną gładź. — Billybob jest showmanem — powiedziała. — Ale tanim showmanem. — Wyprostowała się. — To nie jest nawet prawdziwa religia. Dla Billyboba pracują specjaliści od marketingu i analitycy biznesowi, a nie zakonnicy. Na kazaniach wychwala dobrobyt; twierdzi, że dobrze jest być chciwym i zachłannym. Porozmawiaj o tym z bratem. To zwykły fetyszyzm, bezpośrednie następstwo tego chrztu banknotów Billyboba.

— Mówisz tak, jakbyś przejmowała się religią.

— Nie. Uwierz mi — odparła zirytowana. — Rasa ludzka mogłaby świetnie dać sobie radę bez niej. Ale zła jestem na Billyboba i jemu podobnych. Przyprowadziłam cię, żebyś zobaczył, jaki jest potężny. Musimy go powstrzymać.

— A niby jak mam w tym pomóc? Podeszła trochę bliżej.

— Wiem, co twój ojciec próbuje zbudować. Rozwiniętą wersję technologii DataPipe. Zdalny wizjer.

Milczał.

— Nie oczekuję, że to potwierdzisz, czy zaprzeczysz. A ja nie powiem ci, skąd o tym wiem. Chcę tylko żebyś się zastanowił, co z tą techniką możemy osiągnąć.

Zmarszczył brwi.

— Natychmiastowy dostęp do informacji o wydarzeniach, gdziekolwiek nastąpią…

Machnęła ręką.

— O wiele więcej. Zastanów się nad tym. Jeżeli możesz otworzyć tunel w dowolnym miejscu, przestaną istnieć wszelkie bariery. Nie będzie murów. Możesz widzieć każdego, w dowolnej chwili. I tacy dranie jak Billybob nie będą mogli się ukryć.

Mocniej zmarszczył brwi.

— Mówisz o szpiegowaniu? Roześmiała się.

— Daj spokój, Bobby, Każdy z nas i tak bez przerwy jest pod nadzorem. Jesteś gwiazdą, odkąd skończyłeś dwadzieścia jeden lat; musisz wiedzieć, jakie to uczucie być obserwowanym.

— To nie to samo. Potrząsnęła go za ramię.

— Jeśli Billybob nie ma nic do ukrycia, nie ma się czego obawiać — powiedziała. — Spójrz na to w ten sposób.

— Czasami mówisz jak mój ojciec — odparł spokojnie. Umilkła, zaniepokojona.

Szli naprzód wraz z tłumem. Zbliżali się do wielkiego tronu z siedmioma tańczącymi kulami światła i dwudziestoma czterema mniejszymi tronami — powiększonej wersji rzeczywistych

eksponatów, które Billybob ustawił na stadionie.

A przed wielkim głównym tronem stał Billybob Meeks.

Nie był to jednak ten gruby spocony mężczyzna, którego widziała na boisku. Ten Billybob był wyższy, młodszy, szczuplejszy i o wiele przystojniejszy, jak młody Charlton Heston. Choć oddalony przynajmniej o kilometr od miejsca, gdzie stała Kate, wyrastał nad kongregacją. I wydawało się, że wciąż rośnie.

Pochylił się, opierając ręce na biodrach. Głos miał potężny jak grom.

— „I Miastu nie trzeba słońca ni księżyca, by mu świeciły, bo chwała Boga je oświetla, a jego lampą — Baranek."

Billybob rósł ciągle: ramiona miał jak pnie drzew, twarz jak ogromny dysk, który wyrastał już ponad niższe chmury. Kate widziała ludzi uciekających jak mrówki spod jego gigantycznych stóp.

Wtedy Billybob wyciągnął swój wielki palec wprost ku niej. Olbrzymie szare oczy błysnęły, a gniewne brwi na czole były jak marsjańskie kanały.

— „Nic nieczystego do niego nie wejdzie ani ten, co popełnia ohydę i kłamstwo, lecz tylko zapisani w księdze życia Baranka." Czy jest w tej księdze twoje imię? Czy jesteś godna?

Kate krzyknęła, nagle porażona.

A wtedy potężna dłoń chwyciła ją i porwała w lśniące powietrze.

Poczuła jakby ssanie wokół oczu i uszu. Zalało ją światło, dźwięk i przyziemny zapach hot dogów.

Bobby klęczał przed nią; widziała ślady po okularach wokół jego oczu.

— Dorwał cię, co?

— Billybob ma metody przekazywania wiadomości — odparła, dysząc, wciąż zdezorientowana.

W rzędach odrapanych krzesełek stadionu ludzie kołysali się i jęczeli; łzy płynęły spod czarnych uszczelek okularów. W wydzielonym sektorze sanitariusze pomagali nieprzytomnym. To pewnie ofiary omdleń, epilepsji, nawet ataków serca, pomyślała Kate. Kiedy składała prośbę o bilety, kazali jej podpisać dokument, że bierze odpowiedzialność za swoje zdrowie. Nie sądziła, aby dla Billyboba Meeksa szczególnie ważne było bezpieczeństwo parafian.

Z zaciekawieniem przyglądała się Bobby'emu. Wydawał się zupełnie spokojny.

— A co z tobą? Wzruszył ramionami.

— Bawiłem się ciekawszymi grami. — Spojrzał na szare, grudniowe niebo. — Kate, wiem, że wykorzystujesz mnie, bo chcesz dotrzeć do ojca. Ale i tak cię lubię. A może zagranie Hiramowi na nosie okaże się dobre dla mojej duszy. Jak myślisz?

Wstrzymała oddech. A potem powiedziała:

— Myślę, że to najbardziej ludzkie słowa, jakie od ciebie usłyszałam.

— Więc zróbmy to.

Uśmiechnęła się. Dostała to, czego chciała.

Ale świat wokół wciąż wydawał się nierzeczywisty w porównaniu z wyrazistością tych końcowych chwil w umyśle Billyboba.

Nie miała wątpliwości — jeśli plotki o urządzeniu, które budował Hiram, były choć w przybliżeniu prawdziwe i jeżeli uzyska do niego dostęp — potrafi zniszczyć Billyboba Meeksa. To będzie wielkie osiągnięcie, jej osobisty tryumf.

Wiedziała jednak, że jakaś jej część, nieważne, jak głęboko zagrzebana, zawsze będzie tego żałowała. Jakaś jej część będzie pragnąć powrotu do tego lśniącego złotego miasta ze ścianami wyrastającymi w pół drogi do Księżyca, gdzie jaśniejący, uśmiechnięci ludzi czekali, by ją powitać.

Billybob przebił się przez jej obronę, jego taktyka wstrząsowa nawet ją pokonała. I na tym oczywiście polegał problem. Dlatego właśnie musi go powstrzymać.

— Tak — powiedziała. — Zróbmy to.

6. Perła za miliard dolarów

David wraz z Hiramem i Bobbym siedział przed ogromnym ekranem, obejmującym całą ścianę kantoru w Wormworks. Obraz, przekazywany światłowodem z kamery wsuniętej w samo serce nadprzewodzącego elektromagnesu, ukazywał ciemność, zakłócaną jedynie rozbłyskującymi przypadkowo pikselami — ukłuciami koloru i światła. Cyfrowy zegar w rogu spokojnie odliczał sekundy do zera. Hiram chodził niecierpliwie po ciasnym pomieszczeniu; asystenci Davida usuwali mu się z drogi i unikali jego wzroku.

— Skąd wiadomo, że ten przeklęty tunel w ogóle jest otwarty? — mruknął wreszcie.

David stłumił uśmiech.

— Nie musisz szeptać. — Wskazał róg ekranu. Obok zegara pojawiały się również małe cyfry: powtarzający się bez przerwy ciąg liczb pierwszych, od dwóch do trzydziestu jeden. — To sygnał testowy, przesyłany tunelem z Brisbane na normalnych długościach promieniowania gamma. Dlatego wiemy, że udało nam się znaleźć i ustabilizować wylot tunelu bez zakotwiczenia na tamtym końcu, a Australijczycy zdołali go zlokalizować.

W ciągu trzech miesięcy pracy David szybko odkrył sposób, by wykorzystać modulowaną pulsację egzotycznej materii do walki z właściwą tunelom niestabilnością. Przekształcenie teorii w praktyczne i powtarzalne działania było niezwykle trudne, ale zakończyło się sukcesem.

— Ustawienie tamtego końca wylotu nie jest jeszcze precyzyjne. Obawiam się, że nasi australijscy koledzy musieli gonić wylot po pustyni. Szukali go niczym w stogu siana, jak mówi przysłowie… Ale jednak możemy teraz otworzyć tunel w dowolnym miejscu. Nie wiemy jeszcze, czy potrafimy rozszerzyć te tunele do rozmiarów fal światła widzialnego.

Bobby opierał się. swobodnie o stół, zakładając nogę. na nogę; wyglądał na odprężonego, jakby właśnie zszedł z kortu. Może tak było rzeczywiście, pomyślał David.

— Myślę, że Davidowi należy się podziw, tato. W końcu rozwiązał już połowę problemu.

— Tak — przyznał Hiram. — Ale wciąż widzę tylko promieniowanie gamma, wciskane nam przez jakiegoś Australijczyka ze złamanym nosem. Jeśli nie znajdziemy sposobu poszerzenia tego draństwa, stracimy tylko pieniądze. Nie mogę już wytrzymać tego oczekiwania! Dlaczego tylko jedna próba dziennie?

— Ponieważ — odparł spokojnie David — musimy przeanalizować wyniki każdego testu, rozłożyć maszynę Casimira,

ustawić sprzęt kontrolny i detektory. Musimy zrozumieć każdą porażkę, zanim wykonamy następny krok w stronę sukcesu. — To znaczy, pomyślał, w stronę wyplątania się z tych rodzinnych powiązań, w stronę powrotu do spokojnego życia w Oksfordzie, do walki o fundusze, do akademickiej rywalizacji i całej reszty.

— A czego właściwie szukamy? — spytał Bobby. — Jak będzie wyglądał taki wylot tunelu?

— Na to mogę odpowiedzieć — rzekł Hiram, wciąż krążąc po kantorze. — Dorastałem, oglądając mnóstwo marnych programów popularnonaukowych. Tunel, czyli wormhole, to skrót przez czwarty wymiar. Trzeba wyciąć kawałek naszej trójwymiarowej przestrzeni i połączyć z drugim kawałkiem w Brisbane.

Bobby uniósł brew i spojrzał na Davida.

To trochę bardziej skomplikowane — wyjaśnił ostrożnie David. — Ale ma więcej racji, niż się myli. Wylot tunelu to sfera, unosząca się swobodnie w przestrzeni. Trójwymiarowy przekrój. Jeśli uda nam się go poszerzyć, po raz pierwszy zdołamy zobaczyć wylot Przynajmniej przez lupę… — Zegar odliczający pokazywał już tylko jedną cyfrę. — Uwaga wszyscy! — zawołał David. — Zaczynamy.

Fale rozmów w pokoju wygasły. Wszyscy spojrzeli na zegar.

Licznik dotarł do zera.

I nic się nie stało.

To znaczy owszem, coś się działo. Licznik śladów doszedł do niezłego wyniku, pokazując ciężkie, wysokoenergetyczne cząstki, przechodzące przez tarczę detektora — szczątki eksplodującego tunelu. Piksele tarczy odpalały pojedynczo, kiedy przebijała je jakaś cząstka. Można to było potem wykorzystać, żeby prześledzić tory szczątków w trzech wymiarach — ścieżki, które dały się zrekonstruować i przeanalizować.

Mnóstwo danych, dużo dobrej nauki… Ale wielki ścienny ekran pozostał ciemny. Brak sygnału.

David stłumił westchnienie. Otworzył dziennik i swym okrągłym, równym pismem zanotował szczegóły doświadczenia. Technicy rozpoczęli diagnostykę sprzętu.

Hiram spojrzał na twarz syna, na pusty ekran, na techników.

— To wszystko? Udało się? Bobby dotknął jego ramienia.

— Nawet ja widzę, że nie, tato. — Wskazał na testowy ciąg liczb pierwszych. Zamarł na trzynastce. — Pechowa trzynastka — mruknął.

— Czy on ma rację? David, znowu spieprzyłeś?

— To nie była porażka. Po prostu kolejna próba. Nie rozumiesz nauki, tato. Teraz, kiedy przeprowadzimy analizę i czegoś się z niej nauczymy…

— Jezu Chryste na rowerze! Powinienem cię zostawić, żebyś zgnił w tym cholernym Oksfordzie. Daj mi znać, kiedy już będziesz coś

miał. — Hiram pokręcił głową i wyszedł z pokoju.

Kiedy zniknął, uczucie ulgi stało się niemal dotykalne. Technicy — sami siwowłosi fizycy cząstek, wielu z nich starszych od Hirama, niektórzy mający za sobą wspaniałe kariery poza OurWorldem — zaczęli wychodzić.

David został sam przed ekranem. Przystąpił do pracy.

Przywołał swój ulubiony układ pulpitu. Był jak okno do zagraconej pracowni z książkami i dokumentami, ustawionymi w nierównych stosach na podłodze, półkach i stolikach, ze złożonymi modelami rozpadu cząstek, wiszącymi z sufitu niczym dziwne ozdoby. Kiedy rozglądał się po tym „pokoju", ognisko jego uwagi rozszerzało się, ujawniało więcej szczegółów, a pozostała część pulpitu rozmywała się w szare tło. Mógł czubkiem palca wybierać dokumenty i modele, mógł je przeglądać, aż znalazł to, czego szukał, dokładnie tam, gdzie to zostawił poprzednim razem.

Najpierw musiał sprawdzić usterki pikseli detektora. Przesłał śladowe odczyty do analogowego procesora sygnału i wywołał powiększone schematy poszczególnych płyt. Zawsze zdarzały się przypadkowe uszkodzenia pikseli, kiedy w elementy detektora trafiała jakaś cząstka o szczególnie wysokiej energii. Ale choć niektóre fragmenty ucierpiały od promieniowania tak, że należało je wymienić, nie znalazł niczego poważnego.

Mrucząc pod nosem, zatopiony w pracy, przygotował następny krok…

— Masz okropnie bałaganiarski interfejs.

David drgnął i obejrzał się. Bobby wciąż tu był, wciąż opierał się o stolik.

— Przepraszam — powiedział David. — Nie chciałem odwracać się plecami. — Dziwne, że nawet nie zauważył obecności brata.

— Większość ludzi używa wyszukiwarki — powiedział Bobby.

— Która jest straszliwie wolna, skłonna do błędów, a poza tym maskuje hierarchiczny system przechowywania danych, jeszcze z ery wiktoriańskiej. Kartoteki… Bobby, jestem zbyt tępy na wyszukiwarkę. Jestem wyewoluowaną małpą, która do znajdowania różnych rzeczy lubi używać rąk i oczu. Może wygląda to na bałagan, ale ja dokładnie wiem, gdzie co leży.

— Mimo to o wiele wygodniej mógłbyś badać te ślady cząstek w wirtualu. Wypróbuj może mój najnowszy prototyp Oka Duszy. Możemy sięgnąć do szerszych obszarów mózgu, szybciej przełączać…

— I wszystko to nie wymaga trepanacji… Bobby uśmiechnął się.

— No dobrze — powiedział David. — Będę wdzięczny. Bobby, w swym zwykłym roztargnionym, irytującym stylu, wędrował spojrzeniem po sali.

— Czy to prawda? To, co mówiłeś ojcu, że to nie porażka, tylko

kolejny krok?

— Rozumiem niecierpliwość Hirama. W końcu to on za wszystko płaci.

— I czuje komercyjny nacisk. Już teraz konkurencja twierdzi, że ma DataPipe'y porównywalnej jakości. Wkrótce ktoś z nich niezależnie wpadnie na pomysł wizjera, nawet jeśli do tej pory nie było przecieków.

Komercyjny nacisk nie jest istotny — odparł surowo David. — Takie badania muszą się toczyć we własnym rytmie. Bobby, nie wiem, ile wiesz o fizyce.

— Uznaj, że nic. Kiedy już masz tunel, czemu tak trudno go rozszerzyć?

— To nie to, co zbudować większy i lepszy samochód. Próbujemy uformować czasoprzestrzeń w kształt, jakiego normalnie nie przyjmuje. Tunele są wewnętrznie niestabilne. Wiesz, że aby w ogóle je utrzymać, musimy je podpierać obcą materią.

— Antygrawitacją?

— Tak. Ale napięcia przy wylocie tunelu są ogromne. Cały czas próbujemy zrównoważyć jeden potworny nacisk drugim. — David zacisnął pięści i złączył je razem, naciskając mocno z obu stron. — Dopóki są zrównoważone, wszystko dobrze. Ale wystarczy najmniejsza perturbacja i tracisz wszystko. — Jedna pięść przesunęła się nad drugą, naruszając równowagę. — I ta fundamentalna niestabilność pogarsza się ze wzrostem rozmiaru. W tej chwili próbujemy monitorować warunki wewnątrz tunelu i sterować pompowaniem tam egzotycznej materii i energii, żeby kompensować te odchylenia. — Znowu zetknął pięści. Tym razem przesuwał lewą w przód i w tył i równoważył jej ruchy prawą, tak że kostki cały czas stykały się ze sobą.

— Rozumiem — powiedział Bobby. — To tak, jakbyś podpierał tunel oprogramowaniem.

— Lub jakimś inteligentnym robakiem. — David uśmiechnął się. — Tak. To wymaga ogromnej mocy procesora. Jak dotąd niestabilności były zbyt gwałtowne i zbyt katastrofalne, żeby sobie z nimi poradzić. Spójrz na to.

Sięgnął do komputera, dotknął palcem i wywołał nowy obraz kaskady cząstek. Miała gruby, fioletowy pień — kolor oznaczający silną jonizację, z fontannami czerwonych strumyków: szerokich i wąskich, niektórych prostych, innych zakrzywionych. Wcisnął klawisz i kaskada obróciła się w trzech wymiarach. Oprogramowanie wygasiło elementy z frontu, by ukazać szczegóły wewnętrznej struktury strumienia. Centralny rozbłysk oznaczony był liczbami ukazującymi odczyty energii, momentu i ładunku.

— Patrzymy tu na wysokoenergetyczne, bardzo złożone zjawisko.

Wszystkie te egzotyczne śmieci wylewają się tuż przed całkowitym zniknięciem tunelu. — Westchnął. — To tak, jakby uczyć się naprawiać samochód, wysadzając go w powietrze, a potem oglądając szczątki. Cóż, Bobby, byłem z ojcem szczery. Każda próba to badanie kolejnego zakątka tego, co nazywamy przestrzenią parametrów. Próbujemy różnych sposobów, żeby nasze tunelowe wizjery były szerokie i stabilne. Nie ma zmarnowanych prób. Za każdym razem czegoś się uczymy. Owszem, wiele testów jest negatywnych; prawdę mówiąc, projektowałem je tak, żeby się nie udały. Pojedynczy eksperyment, który dowodzi, że jakaś część teorii jest fałszywa, jest o wiele cenniejszy niż setka testów pokazujących, że może to być prawdą. W końcu dotrzemy do celu… albo udowodnimy, że marzenie Hirama jest nie do zrealizowania przy współczesnej technologii.

— Nauka wymaga cierpliwości. David uśmiechnął się.

Tak, zawsze wymagała. Ale niektórym trudno jest zachować cierpliwość w obliczu tego czarnego meteoru, który się do nas zbliża.

— Wormwoodu? Przecież mamy jeszcze paręset lat.

— Ale naukowcy nie są jedynymi ludźmi, na których wpływa wiedza o jego istnieniu. Panuje taki impuls, przymus pośpiechu, zebrania nowych danych i formułowania nowych teorii. Nauczenia się tego, co tylko możliwe, w czasie, który pozostał. Bo nie jesteśmy już pewni, że po nas przyjdzie ktoś inny, kto z tych danych skorzysta, jak to zawsze zakładaliśmy w przeszłości. Dlatego ludzie idą na skróty, system recenzji ulega naciskom…

Na ścianie zamigotało czerwone światło alarmowe. Technicy zaczęli wracać do pomieszczenia.

Bobby spojrzał na Davida ze zdziwieniem.

— Zaplanowałeś kolejną próbę? Mówiłeś ojcu, że wykonujesz tylko jedno doświadczenie dziennie.

David mrugnął.

— To takie niewielkie kłamstwo. Czasem wygodniej jest pozbyć się go na chwilę.

Bobby parsknął śmiechem.

Jak się okazało, do początku eksperymentu zostało jeszcze dość czasu, żeby zdążyli napić się kawy. Razem przeszli do bufetu.

Bobby wciąż się tu kręci, pomyślał David. Tak jakby chciał się włączyć w pracę. Wyczuwał u niego jakąś potrzebę, której nie rozumiał. Czyżby zazdrość? Czy to możliwe?

Była to myśl złośliwie rozkoszna. Może Bobby Patterson, legendarnie bogaty dandys nowej epoki, zazdrości mnie, swojemu pracowitemu skromnemu bratu.

A może to tylko poczucie rywalizacji z mojej strony.

Kiedy wracali, spróbował zacząć rozmowę.

— Skończyłeś jakieś studia, Bobby?

— Pewnie. Ale na HBS.

— HBS? Ach, Harvard…

— Biznes. Tak.

— Studiowałem trochę ekonomię, przed dyplomem. — David skrzywił się. — Wykłady miały nas przygotować do „życia we współczesnym świecie". Wszystkie te macierze dwa na dwa, mody na tę czy tamtą teorię, na jednego guru zarządzania czy innego…

— Cóż, analiza ekonomiczna to nie budowa rakiet, jak mawialiśmy — mruknął Bobby. — Ale nikt w Harvardzie nie był durniem. Moją pozycję zawdzięczam zdolnościom. A konkurencja była wściekła.

— Tego jestem pewien. — Davida trochę dziwił obojętny ton głosu Bobby'ego i jego brak zapału. Nacisnął lekko. — Mam wrażenie, że czujesz się niedoceniany.

Bobby wzruszył ramionami.

— Być może. Oddział rzeczywistości wirtualnej w OurWorldzie to przedsięwzięcie warte miliardy. Jeśli mi się nie uda, tato jasno dał do zrozumienia, że nie będzie mnie ratował. Ale nawet Kate uważa, że to ciepła posadka. — Uśmiechnął się. — Bawi mnie przekonywanie jej, że jest inaczej.

David zmarszczył brwi. Kate…? Ach, ta reporterka, którą Hiram próbował usunąć z życia syna. Jak się okazuje, bez sukcesu. Ciekawe.

— Chcesz, żebym trzymał to w tajemnicy?

— Co?

— Kate, tę reporterkę…

— Nie ma tu z czego robić tajemnicy.

— Być może, ale ojciec jej nie lubi. Powiedziałeś mu, że wciąż się z nią widujesz?

— Nie.

A to może być jedyna rzecz w twoim młodym życiu, pomyślał David, o której Hiram nic nie wie. Cóż, niech tak zostanie. Był zadowolony, że pojawiło się coś, co go łączy z bratem.

Cyfry odliczające czas zbliżały się już do zera. Raz jeszcze ścienny ekran pokazywał atramentową ciemność, zakłócaną losowymi rozbłyskami pikseli, a numeryczny wyświetlacz w rogu monotonnie powtarzał testowy ciąg liczb pierwszych. David obserwował z rozbawieniem, jak wargi Bobby'ego bezgłośnie formułują słowa: trzy, dwa, jeden.

A potem zdumiony Bobby otworzył usta. Migotliwe światło padało na jego twarz.

David spojrzał na ekran. Tym razem był tam obraz, krążek światła, a w nim dziwna, senna konstrukcja skrzyń, jarzeniówek i kabli, zniekształcona niemal nie do poznania, jakby oglądana przez jakiś groteskowy obiektyw typu rybiego oka.

David zauważył, że wstrzymuje oddech. Kiedy obraz pozostał stabilny przez dwie sekundy, potem trzy, z wysiłkiem wciągnął powietrze.

— Co widzimy? — zapytał Bobby.

— Wylot tunelu, a raczej światło, które ściąga ze swego otoczenia tutaj, w Wormworks. Patrz, widać systemy elektroniki. Silna grawitacja w wylocie ściąga światło z trójwymiarowej przestrzeni dookoła. Dlatego obraz jest zniekształcony.

— Jak przy soczewce grawitacyjnej. Spojrzał na Bobby'ego zdziwiony.

— Właśnie. — Sprawdził jeszcze monitory. — Poprawiliśmy już nasze dotychczasowe najlepsze wyniki…

Zniekształcenie obrazu stało się silniejsze, kiedy kształty sprzętu i lamp zostały rozmazane w kręgi otaczające centralny punkt widzenia. Niektóre kolory jakby przesuwały się dopplerowsko, zielony odciąg stał się błękitny, blask jarzeniówek nabrał odcienia fioletu.

— Wciskamy się głębiej w tunel — szepnął David. — Tylko mnie teraz nie zawiedź.

Obraz rozpadał się dalej, jego elementy rozpadały się i mnożyły w powtarzalnym deseniu wokół dysku obrazu. Jak w trójwymiarowym kalejdoskopie, pomyślał David, utworzonym przez wielokrotne obrazy oświetlenia laboratorium. Spojrzał na odczyty liczników, które powiedziały mu, że większa część energii wpadającego światła jest przesuwana w stronę ultrafioletu i dalej, a wysokoenergetyczne promieniowanie uderza w zakrzywione ściany tunelu.

Ale tunel wciąż się trzymał.

Już dawno minęli punkt, w którym kończyły się poprzednie eksperymenty.

Dysk obrazu zmalał, gdy światło z trzech wymiarów, padające do wylotu, było ściskane przez gardziel tunelu w coraz węższy przewód. Rozmyta, malejąca kałuża światła osiągnęła szczyt zniekształceń.

A potem jakość światła uległa zmianie. Struktura wielokrotnych obrazów uprościła się, rozszerzyła i jakby wygładziła. David zaczął rozpoznawać w polu widzenia nowe elementy: maźnięcie błękitu, które mogło być niebem, biel — być może skrzynia z instrumentami.

— Zawołaj Hirama — powiedział.

— Na co patrzymy? — spytał Bobby.

— Po prostu zawołaj ojca.

Hiram, zdyszany, przybył godzinę później.

— Lepiej, żeby to było coś warte. Przerwałem spotkanie z inwestorami…

David bez słowa wręczył mu blok krystalicznego, ołowiowego szkła wielkości i kształtu talii kart. Hiram obracał go w rękach.

Górną powierzchnię bloku wyszlifowano w szkło powiększające. Kiedy Hiram zajrzał do wnętrza, ujrzał zminiaturyzowane elementy elektroniki: wzmacniacze detektorów światła dla nadchodzących sygnałów, diodę świetlną, emitującą błyski kontrolne, niewielkie źródło zasilania, miniaturowe elektromagnesy. A w geometrycznym środku bloku, na samej granicy widzialności, tkwiła maleńka,perfekcyjna sfera. Wydawała się srebrzysta i odbijała światło jak perła. Lecz to światło różniło się od szarości jarzeniówek w kantorze.

Hiram spojrzał na Davida.

— Na co patrzę?

David skinął na wielki ścienny ekran. Pokazywał kolistą plamę światła, błękit i brąz.

Na obrazie pojawiła się ludzka twarz — mężczyzny około czterdziestki. Obraz był mocno zniekształcony, dokładnie tak, jakby zbliżył twarz do rybiego oka. Ale David rozróżniał kędzierzawe czarne włosy, smagłą opaloną skórę i białe zęby w szerokim uśmiechu.

— To Walter — powiedział zdziwiony Hiram. — Szef naszego laboratorium w Brisbane. — Zbliżył się do ekranu. — Coś mówi. Porusza wargami. — Stanął w miejscu i próbował naśladować te ruchy. — Widzę… cię… Widzę cię. Wielki Boże.

Za Walterem widać było grupę australijskich techników, którzy stali tam, podobni do zniekształconych cieni, i klaskali w ciszy.

David się uśmiechnął. Hiram skakał z radości i ściskał go, nie spuszczając z oka bloku ołowiowego szkła, zawierającego ujście tunelu — tę perłę wartą miliard dolarów.

7. WormCam

Była trzecia rano. W samym sercu opuszczonego laboratorium Wormworks, w kręgu padającego z ekranu światła, siedzieli obok siebie Kate i Bobby. Bobby odpowiadał na proste pytania sesji konfiguracyjnej systemu. Spodziewali się pracowitej nocy; za nimi leżał stos pospiesznie zabranego ekwipunku: termosy z kawą, koce, piankowe materace.

…Coś zgrzytnęło. Kate podskoczyła i chwyciła Bobby'ego za ramię.

Bobby nie przerwał pracy.

— Spokojnie. To metal stygnie. Mówiłem ci, dopilnowałem, żeby systemy nadzoru miały martwe pole właśnie tutaj i w tej chwili.

— Nie wątpię. Po prostu nie jestem przyzwyczajona do skradania się po ciemku, jak teraz.

— Myślałem, że jesteś twardą reporterką.

— Tak. Ale to, co robię, jest zwykle legalne.

— Zwykle?

— Możesz wierzyć albo nie.

— Ale to… — skinął ręką w stronę potężnej i tajemniczej maszynerii ukrytej w mroku — …nie jest nawet sprzętem nadzoru. To tylko wyposażenie laboratorium fizyki wysokich energii. Nie ma drugiego takiego na świecie. Jak może istnieć prawo, które reguluje jego wykorzystanie?

— To szczegóły, Bobby. Żaden sędzia na tej planecie nie kupi takiej argumentacji.

— Szczegóły czy nie, proponuję, żebyś się uspokoiła. Muszę się skupić. Ten program sterujący mógłby być bardziej przyjazny. David nie korzysta nawet z aktywacji głosowej. Może to wszyscy fizycy są tacy konserwatywni? Albo wszyscy katolicy?

Przyglądała mu się, gdy pracował nad programem. Był bardziej ożywiony, niż go kiedykolwiek widziała — choć raz całkowicie zaangażowany w swoją pracę. A jednak zdawało się, że jest odporny na moralne wątpliwości. Rzeczywiście był człowiekiem skomplikowanym. A raczej, pomyślała ze smutkiem, człowiekiem niepełnym.

Zawiesił palec nad przyciskiem startu.

— Gotowe. Mam to zrobić?

— Zapis jest włączony? Stuknął w ekran.

— Wszystko, co przejdzie przez tunel, trafi prosto tutaj.

— Dobrze.

— Trzy… dwa… jeden. — Wcisnął klawisz. Ekran poczerniał.

Z ciemności wokół dobiegł głęboki basowy pomruk — maszyneria

Wormworks włączała się powoli, wzbierały potężne siły mające wyrwać otwór w czasoprzestrzeni. Wydawało się jej, że czuje zapach ozonu i mrowienie ładunków elektrycznych. Ale może to tylko wyobraźnia.

Przygotowania do operacji były zadziwiająco proste. Podczas gdy Bobby dyskretnie próbował uzyskać dostęp do Wormworks, Kate przedostała się do rezydencji Billyboba — krzykliwego, barokowego pałacu na granicy Parku Narodowego Mount Rainier. Zrobiła dość zdjęć, żeby uzyskać schematyczny zewnętrzny plan budynku, i zarejestrowała odczyty GPS dla kilku punktów odniesienia. To oraz chętnie przez Billoboba przekazywane brukowym magazynom informacje o luksusowym wystroju wnętrza pozwoliły opracować szczegółowy wewnętrzny plan budynku, łącznie z siatką punktów kontrolnych dla systemu GPS.

Teraz, jeśli wszystko pójdzie dobrze, te punkty powinny wystarczyć, by stworzyć tunel łączący wewnętrzne sanktuarium Billyboba z ich zaimprowizowanym punktem nasłuchowym.

…Ekran pojaśniał. Kate podeszła bliżej.

Obraz był zniekształcony: pomarańczowy, brunatny i żółty krążek światła, jakby oglądany przez posrebrzany tunel. Kate dostrzegała jakiś ruch — po obrazie przesuwały się plamy światła — ale nie rozróżniała żadnych szczegółów.

— Nic nie widzę — powiedziała zmartwiona. Bobby stuknął w ekran.

— Cierpliwości. Teraz muszę uruchomić procedury dekonwolucji.

— Co?

— Pamiętaj, że wylot tunelu to nie obiektyw kamery. To niewielka sfera, do której Światło wpada ze wszystkich trzech wymiarów. W dodatku ten ogólny obraz jest rozmazany przejściem światła przez sam tunel. Ale teraz użyjemy pewnych procedur programowych, żeby to wyostrzyć. To ciekawa historia. Program oparty jest na algorytmach, których używają astronomowie, żeby przy badaniu gwiazd odfiltrować zniekształcenia atmosfery; wiesz, te wszystkie mrugania, rozmycia i załamania.

Obraz oczyścił się nagle i Kate aż wstrzymała oddech.

Zobaczyła masywne biurko z zawieszoną nad nim kulą lampy. Na blacie leżały rozrzucone papiery i ekrany. Z tyłu stał pusty, niedbale odsunięty fotel, a na ścianach wisiały krzywe wzrostu i tabele, jakby informacje ekonomiczne.

Gabinet urządzony był luksusowo. Tapeta wyglądała na ręczną angielską produkcję, prawdopodobnie najdroższą na świecie. Na podłodze, rzucone niedbale, leżały dwie skóry nosorożców; miały otwarte paszcze i błyszczące szklane oczy, a rogi sterczały im dumnie nawet po śmierci.

Była też prosta animacja: rosnąca cały czas liczba. Podpis głosił NAWRÓCENI: ludzkie dusze przeliczane jak hamburgery sprzedane w sieci fast foodów.

Obraz nie był doskonały, raczej ciemny, ziarnisty i mało stabilny; od czasu do czasu zamierał lub rozłamywał się w chmurę pikseli. A jednak…

— Nie mogę uwierzyć — szepnęła Kate. — To działa. Jakby wszystkie mury na świecie zmieniły się w szkło. Witamy w akwarium…

Bobby pracował przy ekranie. Odtwarzany obraz przesuwał się po pokoju.

— Myślałem, że nosorożce już wymarły.

— W tej chwili tak. Billybob zainwestował w konsorcjum, które wykupiło ostatnią płodną parę z prywatnego zoo we Francji. Genetycy próbowali przejąć tę parę, żeby zachować materiał genetyczny, może jaja i spermę, może nawet zygotę. Mieli nadzieję, że może w przyszłości uda się odtworzyć gatunek. Lecz Billybob był szybszy. I teraz jest właścicielem ostatnich skór nosorożców na świecie. Niezły interes, jeśli spojrzeć na to od tej strony. Te skóry osiągają teraz nieprawdopodobnie wysokie ceny.

— To nielegalne.

— Tak. Tyle że nikomu nie starczy odwagi, by wytoczyć proces komuś tak potężnemu jak Billybob. Zresztą, kiedy nadejdzie Dzień Wormwoodu, nosorożce i tak wyginą, więc co to za różnica? Możesz przybliżyć obraz?

— Metaforycznie. Mogę powiększać i selektywnie wzmacniać.

— Chciałabym obejrzeć te dokumenty na biurku.

Bobby końcem paznokcia zaznaczył obszar powiększenia i centrum obrazu przesunęło się stopniowo na stos papierów. Wylot tunelu wydawał się ustawiony mniej więcej metr od ziemi, około dwóch metrów od biurka — Kate zastanawiała się, czy jest widzialny jako zawieszony w powietrzu, maleńki lustrzany koralik. Perspektywa skracała nieco kartki papieru. Poza tym nie ułożono ich w celu wygodnej lektury: niektóre leżały drukiem do dołu, inne były zasłonięte. Jednak Bobby potrafił wybrać pewne fragmenty — odwracał obrazy, korygował zniekształcenia perspektywy, oczyszczał inteligentnymi procedurami — dostatecznie dobrze, by Kate mniej więcej zrozumiała, czego dotyczą materiały.

Były to w większości typowe dokumenty korporacyjne, budzące dreszcz dowody prowadzonej na przemysłową skalę eksploatacji naiwnych Amerykanów — jednak nic nielegalnego. Poprosiła Bobby'ego, żeby szukał dalej, przeglądał rozrzucone papiery. I wreszcie trafiła na coś ciekawego.

— Zatrzymaj — powiedziała. — Spróbuj wyostrzyć… Dobrze,

dobrze. — Był to raport techniczny, gęsto zadrukowany, pełen liczb; dotyczył szkodliwych efektów stymulacji dopaminy u osób w podeszłym wieku.

— Mam — szepnęła. — Dymiący pistolet.

Wstała i zaczęła krążyć po pokoju, niezdolna do opanowania wypełniającej ją energii.

— Co za dupek! Kto raz handluje narkotykami, na zawsze zostaje handlarzem. Jeśli dostaniemy obraz samego Billyboba, który to czyta, a jeszcze lepiej odrzuca… Bobby, musimy go mieć.

Bobby westchnął i wyprostował się.

— Poproś Davida. Mogę przesuwać obraz i powiększać, lecz w tej chwili nie mam pojęcia, jak zmienić plan ujęcia z WormCamu.

— WormCamu? — Kate uśmiechnęła się.

Tato popędza marketingowców jeszcze bardziej niż inżynierów. Posłuchaj, Kate, jest wpół do czwartej rano. Cierpliwości. Systemy alarmowe są w tym miejscu ślepe przynajmniej do jutrzejszego południa. Do tego czasu z pewnością złapiemy Billyboba w gabinecie. Jeśli nie, spróbujemy kiedy indziej.

— Dobrze. — Kiwnęła głową w napięciu. — Masz rację. Tyle że jestem przyzwyczajona do szybkiej pracy.

Odpowiedział uśmiechem.

Żeby jakiś ostry reporter nie wyrwał ci tematu? To się zdarza.

— Spokojnie. — Ujął jej twarz w dłonie. Jego własne oblicze było niemal niewidoczne w mrocznej przestrzeni Wormworks, lecz dotyk miał ciepły, suchy, pewny. — Nie musisz się martwić. Pomyśl tylko. W tej chwili jeszcze nikt na planecie, nikt zupełnie, nie ma dostępu do technologii WormCamu. Nie ma sposobu, żeby Billybob odkrył, czego próbujemy dokonać. Nikt nie może cię wyprzedzić. Cóż znaczy jeszcze kilka godzin?

Oddychała płytko, serce biło jej mocno; miała wrażenie, że wyczuwa go przed sobą w ciemności, na poziomie głębszym niż wzrok, węch, a nawet dotyk — jakby jakieś głębokie jądro wewnątrz niej reagowało na ciepłą masę jego ciała.

Podniosła rękę, ujęła ją i pocałowała jego dłoń.

— Masz rację. Musimy czekać. Ale jestem ogromnie pobudzona. Wykorzystajmy to konstruktywnie.

Jakby się zawahał, jakby próbował odgadnąć, co ma na myśli.

No cóż, Kate, powiedziała sobie, nie przypominasz innych dziewczyn, które spotykał w swojej złotej klatce. Może przyda mu się trochę pomocy.

Objęła go za szyję, przyciągnęła do siebie i poczuła dotyk jego warg. Gorącym językiem przejechała wzdłuż idealnej krawędzi dolnych zębów; Bobby zareagował gorąco.

Z początku był czuły i delikatny. Lecz gdy wzrastała namiętność, dostrzegła zmianę w jego zachowaniu i postawie. Reagując na jego niewypowiedziane polecenia, zdawała sobie sprawę, że pozwala mu przejąć inicjatywę. I nawet kiedy z łatwością doprowadził ją do orgazmu, czuła, że jest rozproszony, zagubiony w sekretach własnej zranionej duszy, zajęty fizycznym aktem, ale nie nią.

Umie się kochać, pomyślała, może lepiej niż ktokolwiek, kogo znała, ale nie potrafi kochać. Ależ to banał. Lecz prawda. W dodatku bardzo smutna.

A kiedy przytulał się do niej, jej palce, rozczesujące włosy na karku Bobby'ego, znalazły coś okrągłego, twardego, wielkości monety, metalicznego i zimnego.

Był to wszczep mózgowy.

W ciszy wiosennego poranka w Wormworks David siedział w blasku swojego softscreenowego ekranu.

Z odległości dwóch czy trzech metrów patrzył na czubek własnej głowy. Nie był to przyjemny obraz — wyglądał na człowieka z nadwagą, w dodatku na czubku jego czaszki pojawiła się niewielka łysa plamka, której wcześniej nie zauważył — jak mała różowa moneta wśród rozczochranej masy włosów.

Sięgnął ręką, aby znaleźć to miejsce.

Obraz na ekranie też podniósł rękę, jak marionetka powtarzająca jego gesty. Pomachał sobie niczym dziecko i uniósł głowę. Oczywiście niczego nie zobaczył, żadnego śladu maleńkiej zmarszczki w czasoprzestrzeni, która transmitowała te obrazy.

Stuknął w ekran i punkt widzenia się przesunął. Teraz patrzył prosto przed siebie. Po chwili wahania kolejne stuknięcie i ruszył do przodu przez ciemne hale Wormworks. Z początku trochę nierówno, potem gładko; wielkie, mroczne i złowróżbne maszyny przesuwały się wokół niego jak kanciaste chmury.

Kiedyś, jak przypuszczał, komercyjne wersje tej tunelowej kamery będą wyposażone w bardziej intuicyjny system sterowania, może joysticki albo dźwignie czy pokrętła do kierowania punktem obserwacji. Jednak w tej chwili całkowicie mu wystarczała prosta konfiguracja klawiszy dotykowych na ekranie. Pozwalała skupić się na samym obrazie.

Oczywiście gdzieś w głębi umysłu pamiętał, że w rzeczywistości punkt widzenia wcale się nie przesuwa: to raczej maszyny Casimira tworzą i likwidują ciągi tuneli, oddalone o długość Plancka od siebie, rozciągnięte wzdłuż linii, po której chciał się poruszać. Obrazy wracające przez kolejne tunele były wystarczająco bliskie, by dawać

iluzję ruchu.

Ale to wszystko nie było teraz ważne. Teraz chciał się tylko pobawić.

Stanowczo stuknąwszy w ekran, skręcił punktem widzenia i przesunął go wprost przez pordzewiałą blachę ściany Wormworks. Nie mógł powstrzymać odruchowego mrugnięcia, kiedy blacha sunęła wprost na niego.

Przez chwilę widział tylko ciemność.

A potem był już po drugiej stronie, zanurzony w oślepiającym nagle blasku słońca.

Zwolnił ruch i opuścił punkt widzenia mniej więcej do poziomu oczu. Był teraz na terenie otaczającym Wormworks: trawa, strumyki, ozdobne mostki. Słońce stało nisko, rzucając długie ostre cienie, a rosa migotała na źdźbłach trawy.

Punkt widzenia poszybował naprzód — najpierw w tempie spaceru, potem szybciej. Trawa przesuwała się pod nim, a przesadzone tu przez Hirama drzewa rozmywały się z boku. Poczucie szybkości było ekscytujące.

Wciąż nie opanował sterowania i od czasu do czasu punkt widzenia zanurzał się niezręcznie w drzewo lub kamień: chwile ciemności w odcieniu brązowym albo szarym. Ale zaczynał się już orientować; poczucie szybkości, wolności i wyrazistości było uderzające. Jakbym znowu miał dziesięć lat, pomyślał, zmysły świeże i ostre, ciało tak pełne energii, że był lekki jak piórko.

Dotarł na podjazd firmy. Uniósł punkt widzenia na dwa czy trzy metry, pomknął wzdłuż drogi i znalazł autostradę. Tam wzleciał wyżej i poszybował nad szosą, spoglądając z góry na strumienie lśniących, podobnych do żuków samochodów. Szeregi gęstniały z wolna przed godziną szczytu, ale poruszały się szybko. Widział pewne wzorce w ich przepływie, zgęstnienia, które przemieszczały sią i znikały, kiedy niewidzialna pajęczyna oprogramowania sterującego optymalizowała strumień danych autoszoferów.

Nagle zniecierpliwiony wzniósł się jeszcze wyżej, tak że autostrada stała się szarą wstążką wijącą się po ziemi, a szyby samochodów błyszczały jak sznur diamentów.

Widział rozciągnięte pod sobą miasto. Przedmieścia przypominały prostokątną siatkę, ułożoną na wzgórzach, poszarzałą we mgle. Wysokie budynki w centrum strzelały w górę niczym pięść z betonu, szkła i stali.

Wzleciał jeszcze wyżej, przebił się przez cienką warstwę chmur ku jaśniejszemu wyżej słońcu, a potem zawrócił znowu i zobaczył błysk oceanu — splamiony daleko od brzegu groźną ciemną plamą kolejnego układu burzowego. Widział teraz wyraźnie zakrzywienie horyzontu: ląd i morze zwijały się w sobie, a Ziemia stała się planetą.

David z trudem powstrzymał odruch, by krzyknąć z radości. Zawsze marzył o tym, żeby latać jak Superman. Ta zabawka, pomyślał, będzie się sprzedawać jak gorące bułeczki.

Wychudły sierp księżyca wisiał nisko na błękitnym niebie. David obrócił punkt widzenia, aż ten odprysk światła znalazł się w samym centrum wizji.

Za sobą słyszał jakiś hałas, podniesione głosy, biegnące stopy. Może gdzieś nastąpiło naruszenie bezpieczeństwa Wormworks. To nie jego sprawa.

Z determinacją pchnął punkt widzenia naprzód. Poranne niebo ściemniało do fioletu. Widział już pierwsze gwiazdy.

Przespali się trochę.

Kiedy Kate się ocknęła, poczuła, że jest jej zimno. Uniosła dłoń i rozjaśnił się tatuaż — szósta rano. We śnie Bobby odsunął się od niej, ściągając okrycie. Szarpnęła koc i osłoniła nagą pierś.

Pozbawione okien laboratorium Wormworks było olbrzymie i ciemne jak wtedy, kiedy tu przyszli. Sprawdziła, że wormcamowy obraz gabinetu Billyboba jest nieruchomy, tak jak poprzednio. Widziała biurko, skóry nosorożców i dokumenty. Od chwili kiedy otworzyli łącze, wszystko było rejestrowane. Poczuła nagłe podniecenie, uświadamiając sobie, że ma już może dość materiału, by załatwić Meeksa na dobre.

— Obudziłaś się.

Odwróciła głowę. Zobaczyła opartą o złożony koc twarz Bobby'ego i jego szeroko otwarte oczy.

Grzbietem palca pogładził jej policzek.

— Chyba płakałaś-powiedział.

To ją zaskoczyło. Powstrzymała odruch, by odepchnąć jego rękę i ukryć twarz. Westchnął.

— Znalazłaś implant. Czyli przespałaś się z zadrutowanym facetem. Czy masz jakieś opory? Wiem, że nie lubisz implantów. Może ci się wydaje, że tylko przestępcy i chorzy psychicznie powinni podlegać modyfikacji funkcji mózgu…

— Kto ci to założył?

— Ojciec. To był jego pomysł. Kiedy jeszcze byłem mały.

— Pamiętasz?

— Miałem trzy lub cztery lata. Tak, pamiętam. I pamiętam, że rozumiałem, dlaczego to robi. Nie szczegóły techniczne, oczywiście, ale to, że mnie kocha i chce dla mnie jak najlepiej. — Uśmiechnął się zawstydzony. — Nie jestem aż tak doskonały, jak się wydaje. Byłem trochę nadaktywny, miałem lekką dysleksję. Implant to naprawił.

Sięgnęła mu za głowę i zbadała profil implantu. Próbując robić to dyskretnie, dopilnowała, żeby tatuaż na przegubie przesunął się ponad

metalową powierzchnią. Uśmiechnęła się z przymusem.

— Powinieneś poprawić swój hardware. Wzruszył ramionami.

— Pracuje dobrze.

— Gdybyś pozwolił mi ściągnąć jakiś sprzęt do analizy mikroelektronicznej, mogłabym go zbadać.

— Ale po co? Dowiedzielibyśmy się, co robi.

— Powiedziałem ci już, co robi.

— Powiedziałeś mi to, co Hiram powiedział tobie. Podparł się na łokciach i spojrzał na nią badawczo.

— Coś sugerujesz?

Właśnie, Kate, co takiego? Może jesteś zła, ponieważ nie zdradza oznak zakochiwania się w tobie, a ty w oczywisty sposób zakochujesz siew nim, w tym skomplikowanym, skażonym mężczyźnie.

— Czasem wydaje mi się, że masz luki. Na przykład czy myślisz czasem o swojej matce?

— Nie — odparł. — A powinienem?

To nie jest kwestia tego, co powinieneś, Bobby. Po prostu większość ludzi czasem myśli, bez podpowiadania.

— Myślisz, że ma to związek z moim implantem? Posłuchaj, ufam ojcu. Wiem, że wszystko, co robi, robi w moim najlepszym interesie.

— No dobrze. — Pochyliła się i go pocałowała. — To nie moja sprawa. Nie będziemy już o tym mówić.

A przynajmniej, pomyślała, dręczona lekkim poczuciem winy, dopóki nie przeanalizuję danych, które już zebrałam o tym wszczepie bez twojej wiedzy ani zgody.

Przytuliła się do niego i objęła opiekuńczo. Może to ja mam jakieś luki w duszy, pomyślała.

Szokująco nagle rozbłysło nad nimi światło latarki.

Kate błyskawicznie podciągnęła koc pod szyję; czuła się bezsensownie odsłonięta i bezbronna. Latarka świeciła jej w oczy, maskując grupę ludzi z tyłu. Było ich dwoje, nie, troje. Nosili ciemne mundury.

Dostrzegła też charakterystyczną postać Hirama, z rękami opartymi na biodrach; patrzył na nią.

— Nie ukryjecie się przede mną — powiedział. Skinął na obraz z WormCamu. — Wyłączcie to draństwo.

Obraz zmienił się w chaos, kiedy przerwano tunelowe łącze z gabinetem Billyboba.

— Pani Manzoni, włamując się tutaj, złamała pani całkiem sporo paragrafów, nie mówiąc już o próbie naruszenia prywatności Billyboba Meeksa. Policja już tu jedzie. Wątpię, czy uda mi się zamknąć panią w więzieniu, chociaż będę się starał. Ale zapewniam, że już nigdy nie będzie pani pracować w swoim zawodzie.

Kate patrzyła na niego wyzywająco, ale czuła, że ogarnia ją

rozpacz; wiedziała, że Hiram ma dość władzy, by tego dokonać. Bobby spokojnie leżał na plecach. Szturchnęła go łokciem.

— Nie rozumiem cię, Bobby. On nas szpiegował. Czy to cię nie obchodzi?

Hiram stanął nad nią.

— Dlaczego powinien się tym przejmować? — Choć oślepiona latarką, widziała pot błyszczący na jego nagiej czaszce, jedyną oznakę gniewu. — Jestem jego ojcem. I obchodzi mnie przede wszystkim pani, Manzoni. Widzę wyraźnie, że stara się pani zatruć umysł mojego syna. Tak jak… — przerwał nagle.

— Jak kto? — spytała Kate. — Jego matka? Ale Bobby objął ją za ramię.

— Daj spokój, tato. Kate, wcześniej czy później musiał to odkryć. Posłuchajcie oboje, spróbujmy poszukać rozwiązania najlepszego dla obu stron. Czy nie tak mnie zawsze uczyłeś, tato? Nie wyrzucaj Kate — zaproponował. — Daj jej pracę. Tutaj, w OurWorldzie.

Hiram i Kate odezwali się równocześnie.

— Czyś ty zwariował…?

— Bobby, to absurd. Jeśli myślisz, że będę pracować dla tego czubka…

Bobby uniósł ręce.

— Tato, pomyśl o tym. Żeby wykorzystać tę technikę, będziesz potrzebował najlepszych dziennikarzy, jakich możesz znaleźć, zgadza się? Nawet z WormCamem nie będziesz w stanie bez żadnych tropów odkryć sensacji.

Hiram parsknął lekceważąco.

— Chcesz mi powiedzieć, że ona jest najlepsza? Bobby uniósł brew.

— Jest tutaj, tato. Sama dowiedziała się o WormCamie, zaczęła go nawet używać. A co do ciebie, Kate…

— Bobby, prędzej piekło zamarznie…

— Wiesz o WormCamie. Z taką wiedzą Hiram nie może cię wypuścić. Więc nie odchodź. Zacznij tu pracować. Będziesz miała przewagę nad każdym cholernym reporterem na planecie.

Spoglądał wyczekująco to na jedno, to na drugie. Hiram i Kate patrzyli na siebie gniewnie.

— Będę się upierać przy dokończeniu śledztwa w sprawie Billyboba Meeksa — powiedziała w końcu Kate. — Nie obchodzi mnie, co was łączy, Hiram. Ten człowiek to oszust, potencjalny zabójca i handlarz narkotyków. I jeszcze…

Hiram zaśmiał się.

— Chcesz stawiać jakieś warunki?

Tato, proszę — odezwał się Bobby. — Pomyśl o tym. Dla mnie. Hiram pochylił się nad Kate, twarz miał wykrzywioną złością.

— Być może muszę się z tym pogodzić. Ale nie odbierzesz mi syna. Mam nadzieję, że to rozumiesz. — Wyprostował się, a Kate odkryła, że jest roztrzęsiona. — A przy okazji — zwrócił się do Bobby'ego — miałeś rację.

— Z czym?

— Że cię kocham. Że powinieneś mi ufać. Że wszystko, co zrobiłem, zrobiłem dla twego dobra.

Kate syknęła.

— Słyszałeś, jak to mówił?

Ależ oczywiście, że słyszał; Hiram prawdopodobnie słyszał wszystko.

Wpatrywał się w Bobby'ego.

— Wierzysz mi, prawda? Prawda?

8. Sensacje

WIADOMOŚCI MIĘDZYNARODOWE OURWORLDU, 21 CZERWCA 2036, KATE MANZONI (DO KAMERY)…

Omawiana tylko u nas realna możliwość zbrojnego konfliktu między Szkocją a Anglią — a zatem, oczywiście, wymagającego zaangażowania Stanów Zjednoczonych jako całości — jest najbardziej znaczącym przejawem zjawiska, które staje się głównym tematem naszego stulecie: wojen o wodę.

Cyfry są bezlitosne. Mniej niż jeden procent planetarnych zasobów wody jest dostępne i odpowiednie dla ludzi. W miarę rozwoju miast coraz mniej terenów zostaje pod uprawę i zapotrzebowanie na wodę bardzo szybko wzrasta. W niektórych częściach Azji, Środkowego Wschodu i Afryki dostępna ilość wody jest już w pełni wykorzystana, a poziomy wód gruntowych spadają od dziesięcioleci.

Jeszcze na przełomie stuleci dziesięć procent populacji świata nie miało dość wody do picia. Teraz ta liczba się potroiła i około roku 2050 osiągnie szokujące siedemdziesiąt procent.

Powoli przyzwyczajamy się do krwawych konfliktów o wodę — na przykład w Chinach, do bitew o Nil, Eufrat, Ganges i Amazonkę — w miejscach, gdzie trzeba dzielić coraz mniejsze zasoby, albo tam, gdzie uważa się — słusznie czy nie — że jeden z sąsiadów ma więcej wody, niż potrzebuje. W naszym kraju byliśmy świadkami apeli Senatu do administracji, aby zwiększyć nacisk na rządy Kanady i Ouebecu i zażądać, by uwolniły więcej wody do dyspozycji Stanów Zjednoczonych. Zwłaszcza dla pustynniejącego środkowego zachodu kraju.

Mimo to sugestia, że takie konflikty mogłyby się zdarzyć w rozwiniętym świecie zachodnim — tu przypomnę ujawnione przez nas rewelacje, że rząd Anglii poważnie rozważał zbrojny atak na Szkocję, aby zabezpieczyć źródła wody — jest jednak szokująca…

ANGEL McKiE (SPOZA EKRANU): Jest noc. Nie widać żadnego ruchu.

Ta niewielka wyspa, przypominająca klejnot na Morzu Filipińskim, ma tylko pół kilometra średnicy. A jednak do wczoraj żyło tu ponad tysiąc ludzi, mieszkających w szałasach, pokrywających tę ziemię aż do linii przypływu. Jeszcze wczoraj dzieci bawiły się na plaży, którą tu widzimy. Teraz nie pozostało nic. Zniknęły nawet ciała dzieci.

Huragan „Antony” — ostatni, który oderwał się z najwyraźniej

permanentnego sztormu El Nino, siejącego zniszczenie wzdłuż wybrzeża Pacyfiku — dotknął tę wyspę tylko przelotnie, ale wystarczająco mocno, by zniszczyć wszystko, co ludzie zbudowali tu przez pokolenia.

Słońce nie wzeszło jeszcze i nie oświetliło zniszczeń. Nie przybyły grupy ratownicze. Te obrazy przekazuje dla państwa zdalny zespół informacyjny OurWorldu, po raz kolejny obecny na scenie wydarzeń długo przed konkurencją.

Powrócimy tu, kiedy przybędą pierwsze śmigłowce z pomocą — lada minuta oczekujemy ich z kontynentu. A tymczasem pokażemy państwu tutejszą podwodną rafę koralową. To ostatnia pozostałość wielkiego systemu raf, ciągnącego się wzdłuż cieśniny Tanon i południowego Negros; większość już dawno zniszczono wskutek połowów z użyciem materiałów wybuchowych. Teraz i ta pozostałość, od pokolenia chroniona przez oddanych ekspertów, także uległa zniszczeniu…

WILLOUGHBY COTT (SPOZA EKRANU): …znowu widzimy bramkę, pędzimy na ramionach Staedlera, z dostępnym wyłącznie w OurWorldzie systemem „Oczami sportowca".

Przed Staedlerem widzą państwo ostatnią linię obrońców. Spodziewają się pewnie, że spróbuje podania, a wtedy Cramer znajdzie się na spalonym. Jednak Staedler wybiega ze skrzydła na środek pola, mija jednego obrońcę, potem drugiego — bramkarz nie wie, którego z napastników powinien obstawiać, Staedlera czy Cramera. A tutaj widzą państwo szczelinę, którą dostrzegł Staedler, otwierającą się przy bliższym słupku. Przyspiesza gwałtownie i strzela!

A teraz dzięki technice obrazowania, którą dysponuje wyłącznie OurWorld, pędzimy stromym łukiem wraz z piłką zmierzającą w stronę górnego okienka. Tłum widzów na pekińskim stadionie wpada w ekstazę…

SIMON ALCALA (SPOZA EKRANU): …w następnym wejściu pokażemy państwu kolejne sceny zza kulis, gdy rosyjska caryca Irina odwiedza modny butik w Johannesburgu, a także co córka Madonny robiła ze swoim nosem w ekskluzywnej klinice chirurgii plastycznej w Los Angeles.

OurWorld Paparazzi: wprowadzamy was w życie stawnych gwiazd — czy im się to podoba, czy nie!

A teraz: ONZ, jaki chętnie oglądalibyśmy jak najczęściej. Wczoraj w porze obiadowej Halliwell, sekretarz generalna Narodów Zjednoczonych, zrobiła sobie krótką przerwę w obradach Światowej Konferencji Inicjatyw Hydrologicznych UNESCO na Kubie. Halliwell sądziła, że ogród na dachu jest bezpieczny, l miała rację. Prawie. Cały

dach pokrywa półprzepuszczalne lustro przepuszcza ciepłe promienie słońca, ale nie pozwala zajrzeć wścibskim oczom. To znaczy oczom innym niż nasze!

Zjedźmy teraz przez dach — tak, przez dach — i oto ona, miły widok dla zmęczonych oczu, kiedy au naturel korzysta z przefiltrowanego karaibskiego słońca. Mimo zwierciadlanego dachu Halliwell jest ostrożna — widzimy, jak się osłania, kiedy w górze przelatuje samolot. Cóż, powinna wiedzieć, że przed OurWorldem nie może się ukryć!

Jak widzimy, grawitacja była łaskawa dla sekretarz generalnej. Halliwell wygląda równie wspaniale, jak wtedy, kiedy czterdzieści lat temu wkroczyła na sceny świata. Lecz warto zadać pytanie, czy to wciąż oryginalna Halliwell, czy też ktoś jej pomógł…?

9. Agent

Kiedy FBI wreszcie dotarło do Hirama, Kate poczuła ulgę. Owszem, była zadowolona, że może szukać sensacji na całym świecie, ale robiła to i tak, nawet bez WormCamu. Coraz bardziej irytowała ją świadomość, że tak potężna technika znalazła się w rękach takiego egoistycznego, megalomańskiego kapitalisty jak Hiram Patterson.

Całkiem przypadkiem była w gabinecie Hirama tego dnia, kiedy prawda wyszła na jaw. Ale wydarzenia nie potoczyły się tak, jak się spodziewała.

Kate krążyła po gabinecie tam i z powrotem. Jak zwykle kłóciła się z Hiramem.

— Na miłość boską, Hiram, jak bardzo chcesz być trywialny? Hiram zastanowił się nad odpowiedzią. Rozpierał się w swoim fotelu z syntetycznej skóry i wyglądał przez okno na Seattle.

Kate wiedziała, że kiedyś był to apartament prezydencki jednego z lepszych hoteli w mieście. Wprawdzie okno widokowe pozostało, ale Hiram nie zachował żadnej z imponujących ozdób. Miał liczne wady, ale nie był pretensjonalny. Pokój stał się teraz zwykłym miejscem pracy, a jedyne umeblowanie stanowił długi stół konferencyjny i zestaw prostych krzeseł oraz eskpres do kawy i pojemnik z wodą. Krążyły plotki, że Hiram ma tutaj łóżko schowane w ściennej szafie. Jednak widać tu brak zwykłego ciepła, pomyślała Kate. Nie było nawet jednego zdjęcia kogoś z rodziny — na przykład jego dwóch synów.

Może zresztą nie potrzebuje obrazów, pomyślała niechętnie. Może sami synowie są wystarczającym trofeum.

— A więc, Manzoni — powiedział wolno Hiram — teraz chce pani popracować jako moje sumienie.

— Daj spokój, Hiram. To nie jest kwestia sumienia. Zrozum, dysponujesz technicznym monopolem, którego zazdroszczą ci wszystkie agencje informacyjne na planecie. Nie rozumiesz, że urządzenie się marnuje? Plotki o rosyjskiej rodzinie królewskiej, zdjęcia z ukrytej kamery czy boiskowe ujęcia z meczu piłki nożnej… Nie mówię nawet o fotografowaniu cycków sekretarz generalnej ONZ.

— Te cycki, jak to pani określiła — odparł oschle — przyciągnęły miliard ludzi. Moim głównym celem jest pokonanie konkurencji. I to właśnie robię.

— Ale zamieniasz się w krańcowego paparazzo. Czy to jest kres twojej wizji? Masz przecież moc, by czynić dobro.

— Dobro? — Uśmiechnął się. — Co dobro ma z tym wspólnego? Muszę dawać ludziom to, czego chcą, Manzoni. Jeśli ja tego nie zrobię, zrobi to jakiś inny skurwiel. Zresztą nie wiem, na co się pani

uskarża. Puściłem ten pani materiał o Anglii atakującej Szkocję. To była prawdziwa porządna sensacja.

— Ale strywializowałeś ją, owijając w brukowe śmieci! Tak jak trywializujesz całą tę sprawę wojen o wodę. Przecież konferencja hydrologiczna ONZ stała się tematem żartów…

— Nie potrzebuję kolejnego wykładu o sprawach dnia dzisiejszego, Manzoni. Jest pani pompatyczna, ale tak mało pani rozumie. Przecież to oczywiste. Ludzie nie chcą wiedzieć o „sprawach". To dzięki pani i pani piekielnemu Wormwoodowi ludzie zrozumieli, że sprawy nie mająjuż znaczenia. Nieważne, jak przepompujemy wodę dookoła planety, ani też cokolwiek innego, bo i tak Wormwood skasuje wszystko. Ludzie chcą tylko rozrywki. Zabawy.

— I to jest kres twoich ambicji? Wzruszył ramionami.

— A co jeszcze można zrobić? Prychnęła z pogardą.

— Wiesz przecież, że ten monopol nie potrwa wiecznie. W filmie i w mediach ciągle się spekuluje, w jaki sposób zdobywamy te sensacje. Prędzej czy później ktoś odgadnie prawdę i powtórzy twoje badania.

— Mam patenty…

— Jasne, patenty cię ochronią. Jeśli dalej będziesz tak działał, nie zostanie ci nic, co mógłbyś przekazać Bobby'emu.

Zmrużył oczy.

— Proszę nie mówić o moim synu, Manzoni. Codziennie żałuję, że panią tu sprowadziłem. Owszem, trafiła pani na kilka niezłych tematów. Ale nie ma pani wyczucia równowagi, żadnego wyczucia.

— Równowagi? Tak to nazywasz? Wykorzystywanie WormCamu, żeby różnym sławom robić zdjęcia bez majtek?

Rozległ się cichy brzęk dzwonka. Hiram uniósł głowę.

— Mówiłem, żeby mi nie przeszkadzać.

W powietrzu zabrzmiał dyskretny głos wyszukiwarki:

— Obawiam się, że zakaz został unieważniony, panie Patterson.

— Przez kogo?

— Chce się z panem widzieć Michael Mavens. I z panią także, pani Manzoni.

— Mavens? Nie znam żadnego…

— Jest z FBI, panie Patterson. Z Federalnego Biura…

— Wiem, co to jest FBI. — Hiram walnął pięścią w biurko. — Jedna cholerna komplikacja po drugiej.

Nareszcie, pomyślała Kate. Hiram spojrzał na nią.

— Proszę tylko uważać, co pani mówi temu dupkowi. Zmarszczyła czoło.

— Masz na myśli tego dupka z rządowej agencji śledczej? Nawet ty podlegasz prawu, Hiram. Powiem to, co uznam za najlepsze.

Zacisnął pięść, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale tylko

pokręcił głową. Podszedł do okna; przefiltrowane przez barwione szkło błękitne niebo budziło błyski na jego łysinie.

— Niech to szlag — powiedział. — Niech to cholerny szlag.

Michael Mavens, agent specjalny FBI, nosił typowy grafitowoszary garnitur, koszulę bez kołnierzyka i wąski jak sznurówka krawat. Miał jasne włosy, był chudy jak patyk i wyglądał, jakby dużo grał w sąuasha, z pewnością w jakiejś pozakonkurencyjnej akademii FBI.

Kate wydał się zadziwiająco młody — miał dwadzieścia parę lat, na pewno nie więcej niż trzydzieści — a także nerwowy. Niezgrabnie odsunął krzesło, które zaproponował mu Hiram, chwilę manipulował przy swoim neseserze, wreszcie otworzył go i wyjął softscreenowy ekran.

Kate spojrzała na Hirama, dostrzegła wyraz kalkulacji na jego szerokiej smagłej twarzy — on także zauważył dziwny niepokój agenta.

Mavens zaczął od pokazania swojej odznaki.

— Cieszę się, że spotkałem państwa oboje, panie Patterson, pani Manzoni. Prowadzę śledztwo w sprawie rzekomego naruszenia bezpieczeństwa.

Hiram przeszedł do ataku.

— Czy ma pan zezwolenie, by nas nachodzić? Mavens zawahał się.

— Panie Patterson, mam nadzieję, że będziemy zachowywać się trochę bardziej konstruktywnie.

— Konstruktywnie? — burknął Hiram. — Co to za odpowiedź? Czyżby działał pan bez zezwolenia? — Wyciągnął palec w stronę ikony telefonu na ekranie.

— Znam pańską tajemnicę — oświadczył spokojnie Mavens. Dłoń Hirama zawisła nad lśniącym symbolem, potem się cofnęła. Mavens się uśmiechnął.

— Wyszukiwarka. Ekran bezpieczeństwa FBI, poziom trzy cztery, autoryzacja Mavens M.K. Proszę o potwierdzenie.

Po kilku sekundach wyszukiwarka odpowiedziała:

— Ekran na miejscu, agencie specjalny Mavens. Mavens skinął głową.

— Teraz możemy mówić otwarcie.

Kate usiadła naprzeciw niego, zaintrygowana, zdziwiona i niespokojna.

Mavens rozłożył ekran na biurku. Ukazywał on obraz dużego białego helikoptera wojskowego.

— Czy państwo to rozpoznają? — zapytał agent. Hiram pochylił się bliżej.

— To chyba Sikorsky.

— Dokładnie YH-3D — dodał Mavens.

— To Marinę One — stwierdziła Kate. — Śmigłowiec prezydencki. Mavens spojrzał na nią z ukosa.

— Słusznie. Jak pewnie państwo wiedzą, prezydent wraz z małżonkiem spędziła ostatnie kilka dni na Kubie, na konferencji hydrologicznej ONZ. Używali tam Marinę One. Wczoraj, podczas krótkiego lotu, miała miejsce prywatna rozmowa między prezydent Juarez i angielskim premierem Huxtable'em. — Stuknął w ekran, który ukazał uproszczony schemat wnętrza śmigłowca. — Sikorsky to spora maszyna jak na taki antyk, ale jest wyładowana sprzętem komunikacyjnym. Ma tylko dziesięć miejsc. Pięć zajmowali agenci Secret Service, lekarz oraz wojskowy i osobisty doradca pani prezydent.

Hiram wydawał się zaciekawiony.

— I pewnie jeden z tych doradców miał pluskwę. Mavens skrzywił się boleśnie.

— Nie używamy już takich pluskiew, panie Patterson. Pozostali pasażerowie, oprócz samej prezydent Juarez, to pan Juarez, szef sztabu, premier Huxtable i angielski agent ochrony.

— Wszyscy ci ludzie, i piloci także, mają najwyższy możliwy certyfikat bezpieczeństwa, który w przypadku agentów i załogi korygowany jest codziennie. Oczywiście, pan Huxtable, mimo jego staromodnego tytułu, zajmuje stanowisko równoważne gubernatorowi stanu. Marinę One jest badany kilka razy dziennie. Mimo pańskich wirtualnych dramatów o szpiegach i podwójnych agentach, panie Patterson, współczesne techniki antypodsłuchowe są praktycznie niezawodne. Poza tym prezydent i pan Huxtable byli odizolowani ekranem bepieczeństwa nawet wewnątrz Sikorsky'ego. Według naszych informacji żaden z tych różnych poziomów zabezpieczeń nie może być przełamany. — Skierował swe jasnobrązowe oczy na Kate. — A jednak najwyraźniej zostały przełamane.

Zastanowił się, nim podjął.

— Pani informacje były ścisłe, pani Manzoni. Juarez i Huxtable rzeczywiście prowadzili rozmowę o możliwości wojskowego rozwiązania angielskiego sporu ze Szkocją o wodę. Mamy jednak zeznanie pana Huxtable'a, że te spekulacje o inwazji na Szkocję są, a raczej były, osobistymi i prywatnymi przemyśleniami. Pomysł należy do niego, nie zanotował go ani na papierze, ani w formie elektronicznej, nie dyskutował z nikim, ani ze swoim gabinetem, ani ze s woj ą partnerką. Podczas rozmowy z prezydent Juarez po raz pierwszy powiedział o tym pomyśle głośno, aby ocenić poparcie pani prezydent dla takiej propozycji, gdyby została zgłoszona. W chwili, gdy przekazała pani tę historię, ani premier, ani prezydent nie

rozmawiali jeszcze z nikim innym. Spojrzał na Kate.

— Pani Manzoni, rozumie pani sytuację. Jedynym możliwym źródłem pani reportażu jest sama rozmowa Juarez z Huxtable'em.

Hiram stanął obok Kate.

— Nie zdradzi swych źródeł informacji takiemu dupkowi jak pan. Mavens roztarł policzek i wyprostował się.

— Muszę pana uprzedzić, że podsłuchiwanie pani prezydent grozi panu listą oskarżeń federalnych długą jak pańskie ramię. Całą sprawę bada zespół międzyagencyjny. Pani prezydent jest mocno rozzłoszczona. Może to się skończyć zamknięciem OurWorldu. A pani będzie miała szczęście, jeśli uniknie więzienia.

— Najpierw musicie to udowodnić — wybuchnął Hiram. — Mogę zeznać pod przysięgą, że żaden z pracowników OurWorldu nie znalazł się w pobliżu Marinę One i nie mógł umieścić tam pluskwy czy zrobić cokolwiek. Ten międzyagencyjny zespół śledczy, którym pan kieruje…

Mavens chrząknął.

— Nie kieruję nim. Jestem jego członkiem. Sam szef Biura… Hiram zdumiony otworzył usta.

— A wie, że pan tu jest? Nie? Więc co pan tu próbuje załatwić, Mavens? Wrobić mnie? Czy szantażować? O co chodzi?

Mavens był wyraźnie zakłopotany, ale siedział nieruchomo. Kate dotknęła ramienia Hirama.

— Myślę, że powinniśmy go wysłuchać.

Hiram strząsnął jej dłoń. Podszedł do okna i założył ręce za plecami, a ramiona drżały mu ze złości. Kate pochyliła się w stronę Mavensa.

— Mówił pan, że zna sekret Hirama. Co pan miał na myśli? I Mavens zaczął mówić o tunelach podprzestrzennych. Mapa, którą wyjął z neseseru i rozłożył na stole, była ręcznie wykreślona na zwykłym papierze bez żadnych oznaczeń. Najwyraźniej, pomyślała Kate, Mavens testuje pewne pomysły, których nie chce dzielić ze swoimi kolegami z FBI czy nawet powierzyć wątpliwemu bezpieczeństwu softscreenowego ekranu.

— Ta mapa to wczorajsza trasa Marinę One — wyjaśnił. — Nad przedmieściami Hawany. Krzyżykami zaznaczyłem pozycje śmigłowca w konkretnym czasie. Jak państwo widzicie, kiedy ma miejsce kluczowa, trwająca zaledwie kilka minut rozmowa Juarez z Huxtable'em, śmigłowiec był tutaj.

Hiram zmarszczył brwi. Postukał palcem w zakreślony na mapie prostokąt, tuż pod pozycją Sikorsky'ego na początku rozmowy.

— A co to jest? Mavens uśmiechnął się.

— To pańskie, panie Patterson. Terminal DataPipe'u, należący do OurWorldu. Wylot tunelu podprzestrzennego, połączony z pańskim głównym biurem w Seattle. Uważam, że ten terminal pod Marinę One

jest mechanizmem, który pan wykorzystał, żeby uzyskać informacje.

Hiram zmrużył oczy.

Kate z coraz większym roztargnieniem słuchała rewelacji Mavensa, kiedy wysnuwał odrobinę szalone teorie o mikrofalach kierunkowych i wzmacniającym efekcie pól grawitacyjnych w wylocie tunelu podprzestrzennego. Jak się okazało, według jego teorii Hiram używał do podsłuchu trwale zakotwiczonych DataPipe'ów.

Było jasne, że Mavens odkrył pewne aspekty prawdy, ale nie wszystko.

— Bzdura — stwierdził obojętnie Hiram. — Pańskie teorie mają dziury, przez które przeleciałby 7A7.

— Na przykład — wtrąciła delikatnie Kate — fakt, że OurWorld potrafi trafić z kamerami tam, gdzie nie ma terminalu DataPipe'u. Na przykład na te zniszczone huraganem wyspy na Filipinach. Albo między nogi sekretarz generalnej Halliwell.

Hiram rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie.

— Zamknij się.

Mavens zmieszał się trochę, ale nie ustępował.

— Nie jestem fizykiem, panie Patterson. Nie rozgryzłem jeszcze wszystkich szczegółów. Ale jestem przekonany, że pańska technologia tuneli podprzestrzennych daje nie tylko przewagę nad konkurencją w dziedzinie transmisji danych, ale także w operacjach zdobywania informacji.

— Daj spokój, Hiram — powiedziała Kate. — Wie już prawie wszystko.

— Niech to szlag, Manzoni — warknął Hiram. — Mówiłem, że chcę sensownych zaprzeczeń na każdym poziomie.

Mavens spojrzał pytająco na Kate.

— Chodzi mu o ukrycie istnienia WormCamów — wyjaśniła. Agent uśmiechnął się.

— WormCamy. Mogę się domyślić, co to znaczy. Wiedziałem. Kate mówiła dalej.

— Ale zaprzeczenie nie zawsze jest możliwe. Nie w tym przypadku. Wiedziałeś o tym, Hiram, zanim jeszcze zgodziłeś się na emisję tej historii. To był zbyt dobry trop, żeby go przeoczyć… Powinieneś mu powiedzieć to, o co mu chodzi.

Hiram spojrzał na nią gniewnie.

— A niby dlaczego powinienem?

— Ponieważ — odparł Mavens — myślę, że mogę wam pomóc.

Szeroko otwartymi oczami Mavens wpatrywał się w pierwsze ujście tunelu Davida, teraz już eksponat muzealny: czasoprzestrzenną perłę, wciąż zatopioną w bloku szkła.

— Nie potrzebujecie zakotwiczeń. Możecie umieścić obiektyw

WormCamu gdziekolwiek, oglądać wszystko… Macie też odczyt dźwięku?

— Jeszcze nie — odparł Hiram. — Ale wyszukiwarka całkiem nieźle czyta z ruchu warg. Mamy ludzkich fachowców, żeby ją wspierali. A teraz, agencie specjalny, proszę powiedzieć, jak może mi pan pomóc.

Mavens z ociąganiem odłożył blok szkła na stół.

— Jak wydedukowała pani Manzoni, reszta mojego zespołu jest o kilka kroków za mną. Jutro prawdopodobnie dokonają nalotu na pańskie biura.

Kate zmarszczyła brwi.

— Nie powinien pan do nas przychodzić z ostrzeżeniem.

— Nie, nie powinienem — odparł z powagą agent. — Proszę posłuchać, panie Patterson, pani Manzoni, będę szczery. Mam dość arogancji, by wierzyć, że w tej sprawie widzę rzeczy nieco wyraźniej niż moi zwierzchnicy. Dlatego postanowiłem przekroczyć pewien próg. Wasza technologia WormCamów, czy nawet to, czego sam potrafiłem się domyślić, jest fantastycznie potężna. I może dokonać wiele dobrego: postawić przestępców przed obliczem prawa, potrafi ułatwić działanie kontrwywiadu, nadzoru…

— Jeśli trafi w dobre ręce — westchnął ciężko Hiram.

— Jeśli trafi w dobre ręce.

To znaczy pańskie. I Biura.

— Nie tylko nasze. Ale publiczne. Nie popieram tego, że ogłosiła pani rozmowę Juarez z Huxtable'em. Ale na przykład ujawnienie naukowego oszustwa, stojącego za projektem odsalania wody Galvestona, to mistrzowskie dziennikarstwo. Tym odkryciem oszczędziła pani skarbowi państwa miliardy dolarów. Chętnie widziałbym takie odpowiedzialne dziennikarstwo również w przyszłości. Ale jestem w służbie narodu, a naród, my, także potrzebujemy takiej techniki, panie Patterson.

— Żeby naruszać prywatność obywateli? — spytała Kate. Mavens pokręcił głową.

— Każda technika może być źle wykorzystana. Trzeba wprowadzić systemy kontroli. Ale, choć może pani w to nie wierzy, generalnie służba publiczna jest czysta. I potrzebujemy wszelkiej możliwej pomocy. Czasy są coraz trudniejsze, z czego zdaje sobie pani sprawę, pani Manzoni.

— Wormwood.

— Tak. — Zmarszczył czoło, wyraźnie zmartwiony. — Ludzie niechętnie przyjmują odpowiedzialność za siebie, nie mówiąc już o innych, o społeczeństwie. Wzrostowi przestępczości dorównuje wzrost apatii w tej sprawie. Prawdopodobnie z latami, w miarę zbliżania się Wormwoodu, wskaźniki jeszcze się pogorszą.

Hiram wydawał się zaintrygowany.

— Ale jaka to różnica, skoro Wormwood i tak skasuje nas wszystkich? Kiedy byłem dzieciakiem w Anglii, wierzyliśmy, że po wybuchu wojny jądrowej zostaną nam cztery minuty. Rozmawialiśmy o tym. Co by pan zrobił ze swoimi czterema minutami? Ja bym się upił do nieprzytomności…

— My mamy stulecia — przerwał mu Mavens. — Nie minuty. Mamy obowiązek, by utrzymać społeczeństwo w jak najlepszym stanie tak długo, jak to możliwe. Co jeszcze możemy zrobić? A tymczasem, co zresztą jest prawdą od dziesięcioleci, ten kraj ma więcej wrogów niż dowolny inny na świecie. Bezpieczeństwo narodowe powinno może mieć wyższy priorytet niż prawa jednostki.

— Proszę powiedzieć, co pan proponuje — rzekła Kate. Nabrał tchu.

— Chcę dobić targu. Panie Patterson, to pańska technologia. Ma pan prawo do zysków z jej używania. Proponuję, żeby zatrzymał pan patenty i monopol przemysłowy. Ale udzieli pan rządowi licencji i pozwoli wykorzystywać tę technologię w interesie publicznym, zgodnie z odpowiednio uchwalonymi prawami.

— Nie ma pan prawa proponować takiej umowy — burknął Hiram. Mavens wzruszył ramionami.

— Oczywiście, że nie. Ale każdy zauważy, że to rozsądny kompromis, korzystny dla wszystkich zainteresowanych, w tym mieszkańców tego kraju. Myślę, że zdołam sprzedać go mojemu przełożonemu, a dalej…

Kate uśmiechnęła się.

— Naprawdę wszystko pan zaryzykował dla tego celu, prawda? Czy to takie ważne?

Tak, proszę pani. Uważam, że tak. Hiram pokręcił głową, zastanawiał się.

— Cholerne dzieciaki i wasz sentymentalny idealizm. Agent spojrzał na niego.

— I co pan na to, panie Patterson? Pomoże mi pan sprzedać ten pomysł? Czy będzie pan czekał na jutrzejszy nalot?

— Będą ci wdzięczni, Hiram — powiedziała Kate. — Przynajmniej oficjalnie. Może Marinę One przyleci tu i zabierze cię z lodowiska na trawniku, żeby pani prezydent mogła ci przypiąć medal do piersi. To krok bliżej do ośrodka władzy.

— Dla mnie i moich synów — mruknął Hiram.

— Tak.

— I zachowam komercyjny monopol? Tak, proszę pana.

Hiram uśmiechnął się nagle. Nastrój zmienił mu się w jednej chwili, gdy pogodził się z porażką i zaczął układać nowe plany.

— Więc zróbmy to, agencie specjalny. — Sięgnął ponad stołem i

uścisnął Mavensowi dłoń.

A więc tajemnica została ujawniona; potęga, którą WormCam dał Hiramowi, zostanie zrównoważona. Kate poczuła ulgę. Ale wtedy Hiram zwrócił się do niej gniewnie:

— Ty to spieprzyłaś, Manzoni. To twoja zdrada. Nie zapomnę ci tego. A Kate, zaskoczona i niespokojna, wiedziała, że nie żartuje.

10. Strażnicy

WYCIĄG Z NATIONAL INTELLIGENCE DAILY. WYD. CIA, OTRZYMUJĄ OSOBY UPRAWNIONE DO DOKUMENTACJI ŚCIŚLE TAJNYCH l WYŻEJ, 12 GRUDNIA 2036

…Technologia WormCamu okazała się zdolna do przenikania w środowiska, gdzie niepraktyczne lub niemożliwe jest wysłanie ludzkich obserwatorów, a nawet automatycznych kamer ruchomych. Na przykład: punkty widzenia WormCamu dały naukowcom całkowicie bezpieczną metodę inspekcji składowiska odpadów w rezerwacie nuklearnym w Hanford, gdzie od dziesięcioleci pluton przedostawał się do powietrza, gleby i wody. WormCamy (działające pod ścisłym nadzorem federalnym) były użyte do inspekcji podziemnych składowisk odpadów jądrowych w pobliżu wybrzeży Szkocji i do badania zabetonowanych reaktorów z epoki Czarnobyla, które — choć od dawna nieczynne — wciąż zalegają na terenach dawnego Związku Radzieckiego. Inspekcje te ujawniły kilka niepokojących danych (dodatki F-H)…

…Naukowcy chcą uzyskać zgodę na użycie WormCamu, by w sposób bezinwazyjny obserwować ogromne jezioro słodkiej wody, niedawno odkryte pod antarktycznym lodem. W takich jeziorach od milionów lat rozwijają się prehistoryczne, delikatne okazy biologiczne. W całkowitej ciemności woda utrzymywana jest w stanie ciekłym przez ciśnienie setek metrów lodu. Uwięzione gatunki podążają własnymi drogami ewolucji, całkowicie różnymi od tych na powierzchni. Argumenty naukowe wydają się przekonujące; być może takie badania okażą się rzeczywiście nieinwazyjne, a więc oszczędzą te delikatne formy życia przed natychmiastowym zniszczeniem przy naruszeniu ich środowiska naturalnego. W tym stuleciu zdarzało się to regularnie, odkąd nadmiernie zapalczywi badacze przekonali międzynarodowe komisje, by otworzyć jezioro Wostok, pierwszy z odkrytych zamarzniętych światów. Raport komisji, skierowany do naukowego doradcy prezydent, rozważa, czy można udzielić zgody na te badania i udostępnić wyniki standardowym procedurom naukowym, nie ujawniając istnienia WormCamu poza określone przez prezydent kręgi…

…Niedawne uratowanie australijskiego króla Harry'egoi jego rodziny z wraku ich jachtu podczas sztormu w zatoce Carpentaria wykazało, że WormCam umożliwia wzrost skuteczności działań służb ratowniczych. Na przykład operacje poszukiwawcze na morzu nie wymagałyby użycia flotylli śmigłowców, obserwujących duże obszary szarego burzliwego morza, a zatem i narażania ich załóg. Funkcjonariusze służb ratowniczych, operując z bezpiecznych centrów

monitoringu na lądzie, byliby w stanie w ciągu kilku minut odszukać ofiary katastrofy i natychmiast skoncentrować wysiłki i nieuniknione ryzyko w miejscu, gdzie jest to niezbędne…

…Ta fundamentalistyczna chrześcijańska sekta zamierzała upamiętnić dwutysięczną (według ich własnych obliczeń) rocznicę dnia, gdy Chrystus wypędził kupców ze świątyni. Zamierzali zdetonować elektromagnetyczne głowice jądrowe we wszystkich większych centrach finansowych na świecie, w tym w Nowym Jorku, Londynie, Frankfurcie i w Tokio. Analitycy Agencji zgadzają się z dziennikarzami, że w razie sukcesu atak byłby elektronicznym Pearl Harbor. Wynikły chaos finansowy, związany z ciężkim uszkodzeniem albo zniszczeniem łączy komunikacyjnych, sieci transferów bankowych, giełd, rynków obligacji, systemów handlu i kredytów, mógłby, zgodnie z ocenami analityków, wywołać dostatecznie silny wstrząs współzależnych globalnych systemów finansowych, aby doprowadzić do ogólnoświatowej recesji. Dzięki wykorzystaniu przede wszystkim obserwacji wormcamowej udało nam się uniknąć tej katastrofy. Ten jeden sukces wykorzystania WormCamu w interesie publicznym oszczędził biliony dolarów i ochronił ludzi przed niewyobrażalnymi cierpieniami nędzy, a nawet głodu…

WYCIĄG Z WORMINT: WORMCAM PATTERSONA JAKO NARZĘDZIE PRECYZYJNEGO WYWIADU OSOBISTEGO l INNYCH ZASTOSOWAŃ, MICHAEL MAVENS, FBI; OPUBLIKOWANE W „PROCEEDINGS OF ADVANCED INFORMATION PROCESSING AND ANALYSIS STEERING GROUP (INTELLIGENCE COMMUNITY)”, TYSON’S CORNER, WIRGINIA, 12-14 GRUDNIA 2036

WormCamy zostały wprowadzone na próbę w agencjach federalnych pod parasolem międzyagencyjnych grup kierowania i kontroli, gdzie służyłem. Grupa kierownicza składała się z reprezentantów Komisji Kontroli Żywności i Leków, FBI, CIA, Federalnej Komisji Komunikacji, Służb Podatkowych i Krajowego Instytutu Zdrowia. Potęga nowej technologii szybko stała się oczywista. Na sześć miesięcy przed zakończeniem oficjalnego Programu pilotażowego możliwości WormCamu wykorzystywane są przez wszystkie główne agencje naszego wywiadu, tzn. Przez Federalne Biuro Śledcze, Centralną Agencję Wywiadowczą, Agencję Wywiadu Obrony, Narodową Agencję Bezpieczeństwa i Narodowe Biuro Rozpoznania.

Co oznacza dla nas WormCam?

WormCam — technika inwigilacji nie podlegająca podsłuchowi ani zakłóceniom — rozstrzyga wyścig między inwigilacją a szyfrowaniem, który, konserwatywnie rzecz oceniając, trwa od lat czterdziestych ubiegłego wieku. Najkrócej mówiąc, WormCam łączy

się bezpośrednio w przestrzeni z obiektem obserwacji i potrafi dostarczyć obrazów o niekwestionowanej autentyczności — na przykład takich, które można przedstawić na sali sądowej. Dla porównania przypomnijmy, że żaden wizerunek fotograficzny, niezależnie od jego wagi, od roku 2010 nie został dopuszczony jako dowód w sądach amerykańskich. Powodem była niezwykła łatwość obróbki takich fotografii.

Lokalnie WormCamy były wykorzystywane w służbach celnych i imigracyjnych do testowania żywności i leków, inspekcji, weryfikacji podań urzędników państwowych, a także w innych celach. W sprawach kryminalnych, choć czekamy jeszcze na projekty ram prawnych, dopuszczających użycie WormCamu w śledztwie i uwzględniających obywatelskie prawo do prywatności, zespoły FBI i policji były już w stanie uzyskać liczne spektakularne sukcesy — na przykład zdemaskowanie planów samotnego anarchisty Subiru (nawiasem mówiąc, twierdzącego, że jest drugim pokoleniem klona dwudziestowiecznego muzyka Michaela Jacksona), by wysadzić pomnik Waszyngtona.

Zauważę tylko, że w 2035 roku jedynie około jednej trzeciej wykroczeń było zgłaszane, a z tej jednej trzeciej tylko jedna piąta kończyła się aresztowaniem i wniesieniem oskarżenia. Równowaga działań porządkowych przechylała się w stronę nieskuteczności. Już teraz, choć pełne wyniki okresu próbnego nie są jeszcze znane, możemy powiedzieć, że wskaźnik aresztowań wzrośnie o rząd wielkości. Panie i panowie, być może zbliżamy się do czasów, gdy po raz pierwszy w ludzkiej historii można szczerze powiedzieć, że zbrodnia nie popłaca…

Co do spraw zagranicznych: w 2035 roku gromadzenie i analiza danych wywiadowczych kosztuje siedemdziesiąt pięć miliardów dolarów. Jednak większość z tych danych ma niewielką wartość: nasze elektroniczne systemy wyszukiwania pobierają obok ziarna wiele plew. A w wieku, kiedy zagrożenia pochodzące — najogólniej mówiąc — z niebezpiecznych krajów lub komórek terrorystycznych są precyzyjnie wymierzone w nasz kraj, wywiad także wymaga precyzji. Na przykład zwykłe określenie możliwości wojskowych przeciwnika nie mówi nam nic o jego doktrynach strategicznych, a jeszcze mniej o jego zamiarach.

Jednak wielu naszych przeciwników jest równie zaawansowanych technicznie, jak my, więc bardzo trudna, a nawet niemożliwa okazała się penetracja ich działań konwencjonalnymi środkami elektronicznymi. Rozwiązaniem był powrót do humint — wywiadu ludzkiego, użycia klasycznych szpiegów. Jednak, oczywiście, niełatwo ich umieścić na ważnych pozycjach, trudno na nich polegać i są bardzo narażeni na wpadki.

Ale teraz mamy WormCam.

Najkrócej mówiąc, WormCam pozwala nam umieścić zdalną kamerę (w żargonie technicznym „punkt widzenia") w dowolnym miejscu bez potrzeby fizycznej tam obecności. Wywiad z użyciem WormCamu — „wormint", jak się go nazywa w żargonie wewnętrznym — okazał się tak cenny, że powołano specjalne stanowiska monitorujące większość światowych przywódców politycznych, przyjaznych nam lub nie, przywódców rozmaitych grup religijnych i fanatycznych, wiele światowych korporacji itd.

Działanie WormCamu ma osobistą i prywatną naturę. Jeśli to konieczne, możemy obserwować przeciwnika podczas najbardziej intymnych czynności. Możliwość wykrycia nielegalnych działań, a nawet szantażu, jeśli zechcemy, jest oczywista. Ale co ważniejsze, potrafimy teraz zbudować obraz zamiarów wroga. WormCam daje nam informacje o kontaktach przeciwnika — na przykład o dostawcach broni; możemy uwzględnić czynniki natury psychicznej, takie jak poglądy polityczne, kulturę, poziom wykształcenia i wyszkolenia, źródła informacji, wykorzystywane media.

Panie i panowie, w przeszłości geografia fizycznego pola bitwy była kluczowym celem działań wywiadu. Z WormCamem otwiera się przed nami geografia umysłu wroga…

Zanim przejdę do przykładów wczesnych sukcesów zespołów wormcamowych, chciałbym powiedzieć jeszcze kilka słów o przyszłości.

Obecna technologia oferuje nam WormCamy zdolne do przechwytywania obrazów wysokiej rozdzielczości w paśmie widzialnym. Nasi naukowcy pracują z inżynierami z OurWorldu nad udoskonaleniem technologii, aby pozwoliła na rejestrację danych niewizualnych — zwłaszcza w podczerwieni, do pracy nocnej — i dźwięku. Próbujemy sprawić, aby punkt widzenia WormCamu był czuły na fizyczne produkty uboczne fal dźwiękowych, redukując w ten sposób obecną konieczność czytania z warg. Próbujemy uczynić zdalny punkt widzenia w pełni ruchomym, żeby śledzić cel w ruchu.

Punkty widzenia WormCamu są zasadniczo wykrywalne, więc Brygady Tygrysa agencji federalnych i OurWorldu badają możliwości hipotetycznych antykamer, sposobów, w jaki przeciwnik może wykryć i być może oślepić WormCam. W teorii jest to możliwe, na przykład poprzez wstrzeliwanie w punkt widzenia cząstek wysokiej energii, co powoduje implozję tunelu podprzestrzennego. Jednak nie wierzymy, żeby była to poważna przeszkoda. Pamiętajmy, że punkt widzenia WormCamu nie jest wyjątkowym obiektem, który tracimy po wykryciu. W każdym miejscu możemy umieścić tyle punktów widzenia, ile tylko zechcemy, nieważne, czy będą wykryte, czy nie.

Poza tym, w chwili obecnej, agencje Stanów Zjednoczonych mają

monopol na tę technologię. Nasi przeciwnicy wiedzą, że uzyskaliśmy znaczny postęp możliwości gromadzenia danych wywiadowczych, ale nie mają pojęcia, w jaki sposób to robimy. Nie tylko nie próbują opracować metod oślepiania WormCamu, ale nawet nie wiedzą, czego powinni szukać.

Ale oczywiście nasza przewaga w technologii WormCamu nie może trwać wiecznie. Żadna technika nie pozostanie długo w ukryciu. Musimy zaplanować nasze działania w zmienionej przyszłości, w której istnienie WormCamu przedostanie się do wiadomości publicznej, kiedy nasze własne centra władzy i dowodzenia będą tak samo otwarte dla naszych przeciwników jak ich ośrodki stały się otwarte dla nas…

OURWORLD, WIADOMOŚCI MIĘDZYNARODOWE, 28 STYCZNIA 2037, KATE MANZONI (DO KAMERY)

W przedziwnej powtórce skandalu Watergate sprzed sześćdziesięciu lat pracownicy Białego Domu, podlegli bezpośrednio prezydent Marii Juarez, zostali publicznie oskarżeni o włamanie do biur Partii Republikańskiej, uznawanej za głównego przeciwnika Juarez w zbliżających się wyborach prezydenckich w 2040 roku.

Republikanie twierdzą, że rewelacje ujawnione przez ludzi Juarez — dotyczące możliwości bezprawnego gromadzenia funduszy i związków między Partią Republikańską a wysoko postawionymi biznesmenami — mogą się opierać wyłącznie na informacjach uzyskanych w sposób nielegalny, na przykład przez podsłuch albo włamanie.

W odpowiedzi Biały Dom zażądał, aby Republikanie przedstawili dowody takich działań. Jak na razie Partia Republikańska nie podjęła wyzwania…

11. Wszczep mózgowy

Kate obserwowała, jak John Collins przylatuje na moskiewskie lotnisko.

W terminalu spotkał młodszego mężczyznę — wyszukiwarka szybko rozpoznała Andrieja Popowa. Popów, Rosjanin z pochodzenia, miał powiązania ze zbrojnymi grupami powstańczymi, działającymi we wszystkich pięciu krajach wokół Morza Aralskiego: Kazachstanie, Uzbekistanie, Turkmenistanie, Tadżykistanie i Kirgistanie.

Kate zbliżała się do celu.

Z rosnącym podnieceniem prowadziła punkt widzenia WormCamu obok Collinsa i Popowa, którzy jechali przez Moskwę autobusem, metrem, samochodami, a nawet szli pieszo mimo śnieżycy. Gdzieś z boku dostrzegła Kreml i brzydki, stary budynek KGB — jakby była na wirtualnej wycieczce turystycznej.

Nędza wokół porażała. Mimo swego wybranego zawodu Collins był niemal archetypem Amerykanina w podróży; Kate widziała jego narastającą irytację po kolejnych zanikach sygnału telefonu komórkowego, zdumienie na widok kasjerek w metrze, używających liczydeł, niesmak z powodu brudu w publicznych toaletach i pełną niedowierzania niecierpliwość, kiedy próbował wezwać wyszukiwarkę i nie otrzymał odpowiedzi.

Poczuła głęboką ulgę, kiedy Collins dotarł na niewielkie podmiejskie lotnisko i wszedł na pokład małego samolotu. Mogła wtedy uruchomić system, który w myślach nazywała autopilotem.

Tutaj, w półmroku Wormworks, siedząc przed ekranem, kierowała Punktem widzenia, używając joysticka i inteligentnego oprogramowania wspomagającego. Mimo zaawansowania systemu śledzenie ruchów jakiejś osoby w obcym mieście było pracą żmudną i wymagającą skupienia; drobne rozproszenie uwagi mogło obrócić wniwecz pracę wielu godzin.

Jednak technika śledzenia WormCamu osiągnęła już etap, gdy Kate mogła zakotwiczyć punkt widzenia do rozmaitych sygnatur elektronicznych, na przykład do samolotu Collinsa. Teraz więc prawie niewidoczny punkt widzenia unosił się w kabinie samolotu — wciąż przy ramieniu Collinsa — a kiedy maszyna zanurzyła się w rosyjski półmrok, samodzielnie tropił zwierzynę.

Potem powinno być łatwiej. Inżynierowie w Wormworks pracowali nad metodami śledzenia pojedynczych osób bez potrzeby ludzkiego sterowania… Ale to wszystko w przyszłości.

Odsunęła fotel, wstała i przeciągnęła się. Była bardziej zmęczona, niż zdawała sobie z tego sprawę. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio zrobiła sobie przerwę.

Odruchowo przyglądała się obrazom przekazywanym przez WormCam. Nad centralną Azją zapadała noc; przez niewielkie okienka samolotu widziała zniszczoną okolicę: plamy brunatnych nieużytków, wciąż nie nadających się do zamieszkania po czterdziestu latach od upadku Związku Radzieckiego z jego pogardą dla krajobrazu i ludzi…

Poczuła dłoń na ramieniu; silne kciuki rozmasowały napięte mięśnie. Drgnęła zaskoczona, lecz dotyk był znajomy, więc odprężyła się odruchowo.

Bobby pocałował ją w czubek głowy.

Wiedziałem, że cię tu znajdę. Wiesz, która godzina?

Spojrzała na zegar ekranu.

— Późne popołudnie?

— Tak, czasu moskiewskiego. — Zaśmiał się. — Ale jesteśmy w Seattle, stan Waszyngton, półkula zachodnia, i na tej stronie planety jest dziesiąta rano. Przepracowałaś całą noc. Znowu. Mam wrażenie, że mnie unikasz.

— Bobby, nie rozumiesz — odparła zgryźliwie. — Śledzę tego faceta. Ta praca zajmuje dwadzieścia cztery godziny na dobę. Collins to agent CIA, który otwiera linię komunikacji pomiędzy rządem a różnymi mętnymi grupami powstańców w okolicy Morza Aralskiego. Dzieje się tam coś, czego administracja nie chce nam zdradzić.

— Ale WormCam — rzekł Bobby z kpiącą powagą — widzi wszystko…

Miał na sobie sportowy kostium do biegów narciarskich: jaskrawy, barwny, adaptujący się do temperatury, bardzo drogi. W cieple Wormworks Kate widziała, jak otwierają się sztuczne pory, odsłaniając lekko brązową, opaloną skórę. Bobby pochylił się w stronę ekranu, przyjrzał się obrazom i zerknął w nabazgrane notatki.

— Jak długo potrwa lot Collinsa?

— Trudno powiedzieć. Parę godzin. Wyprostował się.

— Więc zrób sobie trochę wolnego. Twój obiekt tkwi w samolocie i dopóki nie wyląduje albo sienie rozbije, WormCam spokojnie będzie go sam śledził. A poza tym i tak już śpi.

— Ale jest z Popowem. Gdyby się obudził…

— Wtedy system zapisu wychwyci wszystko, co zrobi i powie. Daj spokój. Zrób sobie przerwę. I przejdź się ze mną.

…Ale ja nie chcę być z tobą, Bobby, pomyślała. Ponieważ są sprawy, o których wolałabym nie mówić.

A jednak…

A jednak pociągał j ą mimo wszystkiego, co o nim wiedziała.

Stajesz się zbyt skomplikowana, Kate. Zbyt introwertyczna. Dobrze ci zrobi, jeśli na jakiś czas opuścisz to zimne, martwe miejsce.

Próbując się uśmiechnąć, wzięła go za rękę.

Był piękny spokojny dzień, chwila ciszy między frontami sztormowymi, które teraz regularnie atakowały wybrzeże Pacyfiku.

Z kubkami kawy w dłoniach szli przez teren ogrodów, które Hiram założył wokół Wormworks. Były tu niskie pagórki, stawy, mostki nad strumieniami i niemożliwie wielkie, stare drzewa, wszystkie importowane i posadzone tu — jak uznała Kate — w typowo Hiramowym stylu, wielkim kosztem i bez dbałości o styl. Lecz niebo było czyste i jaskrawoniebieskie, a zimowe słońce ogrzewało lekko jej twarz. Oboje pozostawiali ciemne ślady stóp na grubej, srebrzystej warstwie rosy.

Znaleźli ławkę. Regulator temperatury podgrzał ją dostatecznie, żeby usunąć wilgoć. Usiedli, sącząc kawę.

— Wciąż uważam, że się przede mną chowasz — zauważył łagodnie Bobby. Dostrzegła, że oba wszczepy źrenic spolaryzowały się w blasku słońca i były teraz srebrzyste jak u owada. — Chodzi o WormCam, prawda? Wszystkie te etyczne komplikacje, które tak cię niepokoją.

Z zapałem, który samą ją zawstydził, chwyciła się tego tematu.

— Oczywiście, że niepokoją. Technologia o takiej potędze…

— Ale byłaś tam, kiedy zawieraliśmy umowę z FBI. Umowę, która oddała WormCamy w ręce ludzi.

— Och, Bobby… Ludzie nawet nie wiedzą, że coś takiego istnieje, a tym bardziej, że agencje rządowe wykorzystuj ą to przeciwko nim. Spójrz na wszystkich oszustów podatkowych, których nagle schwytano, na rodziców oszukujących pomoc społeczną, na kontrolę nabywców broni, na wykroczenia seksualne…

— Przecież tak jest lepiej, prawda? Chcesz powiedzieć, że nie ufasz rządowi? Nie żyjemy w dwudziestym wieku.

Parsknęła niechętnie.

— Pamiętaj, co powiedział Jefferson: „Każda władza degeneruje się, kiedy powierzona zostaje tylko władcom narodu. Zatem tylko sam naród może bezpiecznie sprawować władzę”. A co z włamaniem do Republikanów? Czy to też jest w interesie narodu?

— Nie masz pewności, czy Biały Dom użył WormCamu.

— A czego innego? — Kate pokręciła głową. — Chciałam, żeby Hiram pozwolił mi przy tym pogrzebać. Ale natychmiast odebrał mi sprawę. Podpisaliśmy cyrograf niczym Faust, Bobby. Ludzie z administracji i agencji rządowych niekoniecznie są przestępcami, ale są tylko ludźmi. A my daliśmy im tak potężną i tajną broń. Bobby, samej sobie nie powierzyłabym takiej potęgi. Szpiegowanie Republikanów to tylko początek orwellowskiego koszmaru, do którego dążymy. A co do Hirama… Czy masz pojęcie, jak Hiram traktuje swych pracowników tutaj, w OurWorldzie? Szukający pracy są badani aż do sekwencjonowania DNA. Ustala się charakterystyki

pracowników, badając ich obciążenia kredytowe, rejestry policyjne, nawet dane federalne. Twój ojciec miał już sto sposobów, żeby zmierzyć produktywność i pracowitość, i sprawdzał swoich ludzi. A teraz dostał WormCam, więc jeżeli zechce, może nas mieć pod nadzorem dwadzieścia cztery godziny na dobę i nikt z nas nie potrafi nic z tym zrobić. Była cała seria procesów, w których sądy uznały, że pracownicy nie mają konstytucyjnej ochrony przed obserwacją swoich szefów.

— Jest mu to potrzebne, żeby ludzie w ogóle pracowali — odparł oschle Bobby. — Odkąd ogłosiłaś o Wormwoodzie, absencje poszły w górę jak rakieta, podobnie jak nadużywanie alkoholu i innych narkotyków w pracy i…

— To nie ma nic wspólnego w Wormwoodem — przerwała mu surowo. — To kwestia podstawowych praw. Bobby, czy ty nie rozumiesz? OurWorld to wizja przyszłości, która czeka nas wszystkich, jeśli takie potwory jak Hiram zdołają ą zachować WormCam. Dlatego to takie ważne, żeby technologia rozprzestrzeniła się tak szybko i tak daleko, jak to tylko możliwe. Zasada wzajemności: my też będziemy mogli obserwować, gdy obserwuj ą nas…

Spojrzała w jego srebrzyste owadzie oczy.

— Dzięki za wykład — odparł spokojnie. — Dlatego właśnie mnie odstawiasz?

Odwróciła wzrok.

— To nie ma nic wspólnego z WormCamem, prawda? — Pochylił się, jakby rzucał jej wyzwanie. — Jest coś, czego nie chcesz mi powiedzieć. Już od paru dni tak się zachowujesz. Może nawet tygodni. O co chodzi, Kate? Nie bój się, że mnie zranisz. To niemożliwe.

Prawdopodobnie nie, pomyślała. I na tym, mój kochany, biedny Bobby, polega cały kłopot. Spojrzała na niego.

— Bobby, chodzi o wszczep. Ten implant, który Hiram wsadził ci w głowę, kiedy byłeś jeszcze mały…

— Tak?

— Odkryłam, do czego naprawdę służy.

Chwila ciszy trwała długo. Kate czuła na twarzy światło słońca, nawet o tej porze roku atakujące promieniowaniem ultrafioletowym.

— Powiedz — poprosił cicho Bobby.

Specjalistyczne procedury wyszukiwarki wyjaśniły jej to wszystko bardzo zwięźle. Chodziło o klasyczny przykład neuro-biologicznego grzebania w mózgu z początku dwudziestego pierwszego wieku.

Nie miało to nic wspólnego z dysleksją czy nadaktywnością, jak twierdził Hiram.

Po pierwsze, Hiram wytłumił stymulację neuronów w obszarach płatów skroniowych Bobby'ego, związanych z uczuciem duchowej

transcendencji i mistycznej obecności. Lekarze pomajstrowali też w innych miejscach, próbując zagwarantować, że Bobby nie będzie cierpiał na symptomy związane z obsesjami i natręctwami, które u niektórych ludzi budzą potrzebę poczucia bezpieczeństwa, porządku, przewidywalności i rytuału. W pewnych okolicznościach takie potrzeby zaspokajało członkostwo w społecznościach religijnych.

Hiram najwyraźniej zamierzał uchronić Bobby'ego przed impulsami religijnymi, które tak mocno odczuwał jego brat. Świat Bobby'ego miał być całkiem przyziemny, materialny, pozbawiony transcendencji i pierwiastka duchowego. Chłopak chyba nawet nie wiedział, co traci. To była bogotomia, uznała Kate.

Implant Hirama ingerował też w złożoną grę hormonów, neurotransmiterów i obszarów mózgu, które doznawały stymulacji, kiedy Bobby uprawiał seks. Na przykład implant tłumił wydzielanie podobnego do opium hormonu oksytocyny, produkowanego przez podwzgórze, a wydzielanego do mózgu podczas orgazmu. Hormon ten budził ciepłe uczucie więzi, które zwykle następowało po takim akcie.

Dzięki ciągowi głośnych romansów, które Hiram dyskretnie organizował, popierał, a nawet rozgłaszał, Bobby stał się czymś w rodzaju seksualnego atlety i odczuwał wielką fizyczną przyjemność z samego aktu. Jednak ojciec uniemożliwił mu miłość, był więc, jak chyba Hiram to zaplanował, wolny od wszelkich zobowiązań z wyjątkiem lojalności wobec ojca.

To jeszcze nie wszystko. Na przykład połączenie z głębokim fragmentem mózgu Bobby'ego, zwanym jądrem migdałowatym, mogło być próbą kontrolowania jego podatności na gniew. Tajemnicze manipulacje w korze skroniowo-czołowej mogły być próbą zredukowania wolnej woli. I tak dalej.

Rozczarowanie z powodu Davida skłoniło Hirama, by zrobić z Bobby'ego doskonałego syna, to znaczy syna doskonale przystosowanego do celów Hirama. Ale w ten sposób okradł go z wielu rzeczy, które czyniły go człowiekiem.

Dopóki Kate Manzoni nie znalazła przełącznika w jego głowie.

Zabrała Bobby'ego do niewielkiego mieszkania, które wynajmowała w Seattle. Tam kochali się po raz pierwszy od tygodni.

Potem Bobby leżał rozgrzany w jej ramionach. Skórę miał wilgotną w miejscach, których dotykała. Był tak blisko, jak to tylko możliwe, ale wciąż daleko. Miała wrażenie, że kocha się z kimś obcym.

Ale teraz przynajmniej rozumiała dlaczego.

Pogładziła go po karku i dotknęła twardych brzegów implantu pod skórą.

— Jesteś pewien, że tego chcesz?

Zawahał się.

— Martwi mnie, że wciąż nie wiem, jak będę się czuł potem… Czy to wciąż będę ja?

— Będziesz się czuł żywy — szepnęła mu do ucha. — Będziesz się czuł człowiekiem.

Odetchnął głęboko, a potem powiedział tak cicho, że ledwie zrozumiała:

— Zrób to. Odwróciła głowę.

— Wyszukiwarka.

— Tak, Kate.

— Wyłącz to.

…Dla Bobby'ego, wciąż rozgrzanego orgazmem, stało się tak, jakby kobieta w jego ramionach stała się nagle trójwymiarową, rzeczywistą i pełną, jakby nagle ożyła. Wszystko, co widział, czuł, dotykał — ciepły popielny zapach jej włosów, przepiękna linia policzka, gdzie padało światło, gładkość brzucha — te rzeczy się nie zmieniły. Ale miał wrażenie, że poprzez powierzchnię sięgnął w ciepło samej Kate. Zobaczył jej oczy: czujne, skupione, pełne troski — troski o niego, uświadomił sobie, nagle zaskoczony. Nie był już sam. A do tej chwili nawet nie wiedział, że jest samotny.

Miał ochotę zanurzyć się w jej oceanicznym cieple.

Dotknęła jego policzka. Widział, że palce ma wilgotne.

Dopiero teraz poczuł potężne łkanie, które wstrząsało jego ciałem — nieopanowaną burzę szlochu. Miłość i ból krążyły w nim wspaniałe, gorące, nie do zniesienia.

12. Czasoprzestrzeń

Wewnętrzny chaos nie cichł. Próbował czymś się zająć. Robił rzeczy, które wcześniej sprawiały mu przyjemność. Ale nawet najbardziej ekstrawaganckie wirtualne przygody wydawały się płytkie, w oczywisty sposób sztuczne, nieciekawe, przewidywalne.

Miał wrażenie, że potrzebuje ludzi, choć cofał się przed tymi, którzy byli blisko — jak ćma, która boi się płomienia świecy, nie potrafił znieść jasności emocji. Dlatego przyjmował zaproszenia, których dawniej nawet by nie brał pod uwagę, rozmawiał z ludźmi, którzy wcześniej nie byli mu potrzebni.

Pomagała mu praca ze swoją stałą, rutynową koniecznością koncentracji, nieustępliwą logiką spotkań, planów i podziału rezerw.

Obowiązków miał dużo. Nowe obręcze Oka Duszy wychodziły z okresu prób laboratoryjnych i coraz bardziej zbliżały się do etapu produkcyjnego. Zespół inżynierów nagle rozwiązał ostatni problem techniczny: skłonność do wywoływania synestezji użytkownika — mieszania danych zmysłowych, wywoływanego przez sprzężenia między ośrodkami mózgu. Długo świętowali ten sukces. Wiedzieli, że znane Laboratorium Watsona w IBM pracowało nad tym samym problemem; kto pierwszy przełamie barierę synestezji, jako pierwszy wejdzie na rynek i przez długi czas zachowa przewagę. Teraz wydawało się, że OurWorld wygrał ten wyścig.

Tak więc praca go pochłaniała. Ale nie mógł pracować przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i nie mógł przesypiać całego wolnego czasu. A gdy nie spał, umysł, po raz pierwszy uwolniony, wyrywał się spod kontroli.

Kiedy autoszofer wiózł go do Wormworks, Bobby kulił się przerażony szybką jazdą. Jakaś drobna informacja w mediach o brutalnych zabójstwach i gwałtach w nasilającej się wojnie o wodę wokół Morza Aralskiego poruszyła go do łez. Zachód słońca na Puget Sound, oglądany przez puszyste ciemne obłoki, wzbudził w nim zachwyt nad samym życiem.

Gdy spotykał ojca, wstrząsał nim lęk, obrzydzenie, miłość i podziw — a po tym wszystkim czuł głębsze, nierozerwalne więzy.

Jednak z Hiramem potrafił stanąć twarzą w twarz. Z Kate było całkiem inaczej. Całkowicie przytłaczała go coraz silniejsza potrzeba, by ją kochać, posiadać, czasami konsumować. W jej towarzystwie nie mógł wykrztusić słowa, tracił panowanie nad umysłem i nad ciałem.

Jakoś domyślała się, co czuje, i dyskretnie zostawiała go samego. Wiedział, że znajdzie ją, kiedy będzie gotów być przy niej i ponownie nawiązać kontakt.

Lecz z Hiramem i Kate przynajmniej mógł zgadywać, dlaczego

czuje to, co czuje; mógł prześledzić przyczynowe związki, nadać wstępne nazwy gwałtownym emocjom, które nim wstrząsały. Najgorsze ze wszystkiego były jednak zmiany nastroju, na które cierpiał bez jakiejkolwiek rozpoznawalnej przyczyny.

Budził się czasem, płacząc bez powodu. Albo w środku dnia wypełniała go nieopisana radość, jakby wszystko nagle nabrało sensu.

Wcześniejsze życie wydawało się odległe, szare jak płaski, bezbarwny szkic ołówkiem. Teraz zanurzył się w nowym świecie barw i tekstur, światła i uczuć, gdzie najprostsze rzeczy — pączek wczesnego wiosennego liścia, błysk słońca na wodzie, gładka krzywizna policzka Kate — wypełniały się pięknem, którego nie podejrzewał.

I Bobby — kruche ego, sunące po powierzchni mrocznego wewnętrznego oceanu — musiał się uczyć życia z tą nową, złożoną, zadziwiającą osobą, którą stał się tak nagle.

Dlatego zaczął szukać towarzystwa brata.

Uspokajała go jego beznamiętna cierpliwa obecność: potężna figura z grzywą jasnych włosów, zgarbiona przed ekranami, zanurzona w pracy, usatysfakcjonowana swoją logiką i wewnętrzną spójnością, z zaskakującą delikatnością notująca uwagi. Osobowość Davida była równie masywna i solidna, jak jego ciało: Bobby czuł się przy nim ulotny jak mgła, a jednak dziwnie uspokojony.

Pewnego chłodnego popołudnia siedzieli z kubkami kawy, czekając na wyniki kolejnej rutynowej próby: nowego tunelu, znalezionego w pianie kwantowej, sięgającego dalej niż wszystkie poprzednie.

— Potrafię zrozumieć teoretyka, który chce badać granice techniki tuneli podprzestrzennych — powiedział Bobby. — Chce przesunąć barierę najdalej, jak to możliwe. Ale dokonaliśmy już przełomu. Teraz ważne są zastosowania.

— Oczywiście — zgodził się łagodnie David. — Zastosowania są wszystkim. Hiram ma cel: chce zmienić generowanie tuneli z wyczynu fizyki wysokich energii, dostępnego tylko rządom i wielkim korporacjom, w coś o wiele mniejszego, łatwego w produkcji i zminiaturyzowanego.

— Jak komputery — zauważył Bobby.

— Właśnie. Dopiero po miniaturyzacji i pojawieniu się pecetów komputery mogły wypełnić świat: znajdowały nowe zastosowania, tworzyły nowe rynki, naprawdę przekształcały nasze życie. Hiram wie, że nie utrzymamy monopolu przez wieczność. Wcześniej czy później ktoś inny zaproponuje niezależną wersję WormCamu; może lepszą. A miniaturyzacja i redukcja kosztów z pewnością przyjdą wkrótce potem.

— A w przyszłości OurWorld — dodał Bobby — z pewnością będzie liderem na rynku sprzedaży wszystkich małych generatorów tuneli.

Taka jest strategia Hirama — przyznał David. — Ma wizję WormCamu zastępującego wszystkie inne instrumenty gromadzenia danych: kamery, mikrofony, czujniki naukowe, nawet sondy medyczne. Chociaż, przyznam, nie czekam z utęsknieniem na tunelową endoskopię… Ale mówiłem ci już, Bobby, że też trochę studiowałem biznes. Masowo produkowane WormCamy będą powszechnie dostępne, a my będziemy mogli konkurować tylko ceną. Wierzę jednak, że wobec naszej technicznej przewagi Hiram potrafi stworzyć dla siebie o wiele większe możliwości, potrafi dzięki specjalizacji wskazać zastosowania, których nikt inny na rynku nie zdoła zaoferować. I to właśnie mnie interesuje. — Uśmiechnął się. — A przynajmniej tak tłumaczę Hiramowi, gdy pyta, na co wydaję jego pieniądze.

Bobby przyglądał mu się i starał się zrozumieć. Myślał o bracie, Hiramie, o WormCamach…

— Po prostu chcesz wiedzieć, prawda? To jest podstawowy powód David kiwnął głową.

— Chyba tak. Większa część nauki to żmudna praca. Rutyna i harówka, nieskończone testy i sprawdzanie. A ponieważ trzeba jakoś odrzucić fałszywe hipotezy, większość prac jest bardziej destruktywna niż konstruktywna. Ale czasem, prawdopodobnie tylko kilka razy w najszczęśliwszym życiu, następuje chwila transcendencji. Objawienia.

— Transcendencji?

— Nie wszyscy to tak określają. Lecz ja tak to odczuwam.

— I nie ma znaczenia, że za pięćset lat może nie być nikogo, kto przeczyta twoje prace?

Wolałbym, żeby to nie była prawda. Może nie będzie. Ale kluczowe jest tu objawienie. Zawsze było.

Na ekranie za jego plecami gwiaździście rozbłysły piksele i zabrzmiał dźwięk dzwonka.

David westchnął.

— Ale chyba nie dzisiaj.

Bobby spojrzał nad ramieniem brata. Na ekranie przewijały się cyfry.

— Znowu niestabilność? — zdziwił się. — Wygląda jak przy początkowych tunelach.

David stuknął w klawiaturę i ustawił kolejną próbę.

— Teraz jesteśmy bardziej ambitni. Nasze WormCamy potrafią już sięgnąć do każdego zakątka Ziemi, pokonując odległości rzędu kilku tysięcy kilometrów. Teraz próbuję znaleźć i ustabilizować tunel, który rozciąga się na znaczne interwały w czasoprzestrzeni

Minkowskiego. Chodzi o dziesiątki minut świetlnych.

Bobby uniósł ręce.

— Zgubiłem się. Minuta świetlna to odległość, jaką światło przebywa w minutę, tak?

— Tak. Na przykład Saturn jest odległy mniej więcej o półtora miliarda kilometrów, to znaczy o mniej więcej osiemdziesiąt minut świetlnych.

— Więc chcemy zobaczyć Saturna.

— Oczywiście. Czy to nie byłoby wspaniałe dysponować WormCamem, który może badać daleki kosmos? Koniec z awaryjnymi sondami, koniec z misjami, trwającymi całe lata… Problem w tym, że tunele sięgające na tak wielkie interwały są bardzo rzadkie w tej probabilistycznej pianie kwantowej. A ich stabilizacja to wyzwanie o rząd wielkości trudniejsze niż poprzednie. Ale nie jest niemożliwe.

— Dlaczego „interwały", a nie odległości?

— Żargon fizyczny. Przepraszam. Interwał to jak odległość, lecz w czasoprzestrzeni. To znaczy w przestrzeni i w czasie. Tak naprawdę chodzi o twierdzenie Pitagorasa. — Wyjął blok żółtych kartek i zaczął notować. — Powiedzmy, że pojedziesz do miasta, przejdziesz kawałek na wschód i kawałek na północ. Pokonaną odległość możesz wyliczyć w ten sposób.

Pokazał mu kartkę:

$$\textit{odległość}^2 = \textit{wschód}^2 + \textit{północ}^2$$

— Szedłeś po bokach trójkąta prostokątnego. Kwadrat przeciwprostokątnej jest równy…

Tyle wiem.

— Ale my, fizycy, myślimy o przestrzeni i czasie jako o jedności, gdzie czas jest czwartą współrzędną, dodatkiem do trzech przestrzennych.

Zapisał znowu:

$$\textit{interwał}^2 = (\textit{odległość czasowa})^2 - (\textit{odległość przestrzenna})^2$$

— Nazywa się to metryką czasoprzestrzeni Minkowskiego. I…

— Jak można w tym samym zdaniu mówić równocześnie o odległości w czasie i w przestrzeni? Czas mierzysz w minutach, ale

przestrzeń w kilometrach.

David z aprobatą skinął głową.

— Dobre pytanie. Musimy korzystać z jednostek, w których przestrzeń i czas są równoważne. — Przyglądał się Bobby'emu, wyraźnie szukając znaków zrozumienia. — Powiedzmy tyle, że jeśli mierzysz czas w minutach, a przestrzeń w minutach świetlnych, to wszystko zgadza się idealnie.

— Jest jeszcze jeden problem. Dlaczego napisałeś minus zamiast plusa?

David potarł nos.

— Mapa w czasoprzestrzeni nie funkcjonuje dokładnie tak jak mapa Seattle. Metryka jest zaprojektowana w ten sposób, żeby ścieżka fotonu, cząstki poruszającej się z prędkością światła, była interwałem zerowym. Interwał jest zerowy, ponieważ przestrzeń i czas się redukują.

— To teoria względności. Chodzi o dylatację czasu, skracanie się linijek…

— Tak. — David poklepał brata po ramieniu. — Właśnie tak. Ta metryka jest niezmiennicza dla transformacji Lorentza… Zresztą mniejsza z tym. Chodzi o to, Bobby, że takiego równania muszę użyć, kiedy działam we wszechświecie relatywistycznym, w szczególności jeśli chcę zbudować tunel sięgający do Saturna albo i dalej.

Bobby przyglądał się prostemu równaniu. Wciąż pogrążony w emocjonalnym wirze wyczuwał obejmującą umysł zimną logikę. Liczby, równania i obrazy ewoluowały, jakby on sam cierpiał na jakąś intelektualną synestezję.

— David — powiedział wolno — mówiłeś, że odległości w czasie i przestrzeni są w pewnym sensie równoważne, tak? Twoje tunele pokonują interwały czasoprzestrzene, a nie zwykłe odległości. A to znaczy, że jeśli uda ci się ustabilizować tunel tak długi, żeby sięgnął Saturna, osiemdziesiąt minut świetlnych stąd…

Tak?

To może sięgnąć na osiemdziesiąt minut. To znaczy przez czas. — Spojrzał na Davida. — Czy powiedziałem coś głupiego? Przez długą chwilę David siedział w milczeniu.

— Wielki Boże — powiedział wolno. — Nawet nie rozważałem takiej możliwości. Konfigurowałem tunel, żeby obejmował interwał czasoprzestrzenny, a nawet o tym nie pomyślałem. — Zaczął gorączkowo wciskać klawisze na ekranie. — Mogę zmienić konfigurację z tego miejsca. Jeśli ograniczę interwał przestrzenny do kilku metrów, to wtedy zasięg tunelu musi się stać czasowy…

— Co to znaczy, Davidzie? Boleśnie głośno zabrzmiał brzęczyk.

— Hiram chce cię widzieć, Bobby — oznajmiła wyszukiwarka. Bobby zerknął na brata. Zdjął go nagły, absurdalny strach. David

skinął tylko głową, zajęty już nową pracą.

— Odezwę się później, Bobby. To może być ważne, bardzo ważne. Nie było powodu, by zostać. Bobby zniknął w ciemności Wormworks.

Hiram, wyraźnie rozgniewany, krążył po swoim gabinecie w centrum miasta. Zaciskał pięści. Kate siedziała przy długim stole konferencyjnym; wydawała się mała i przygarbiona.

Bobby zawahał się w drzwiach. Przez kilka oddechów fizycznie nie był w stanie wejść do pokoju, tak silne wibrowały tu emocje. Lecz Kate patrzyła na niego i uśmiechała się z przymusem.

Wszedł. Dotarł do bezpiecznego siedzenia po przeciwnej stronie stołu niż Kate.

Drżał, niezdolny wymówić słowa.

Hiram spojrzał na niego gniewnie.

— Zawiodłeś mnie, szczeniaku.

— Na miłość boską, Hiram… — rzuciła Kate.

— Ty się do tego nie wtrącaj.

Hiram uderzył w blat, a ukryty w plastikowej powierzchni ekran zapalił się przed Bobbym. Pokazał fragmenty jakiejś informacji: obraz Bobby'ego, młodszego Hirama, dziewczyny — ładnej, nieśmiałej, ubranej bezbarwnie, szaro, staroświecko — i zdjęcie tej samej kobiety dwadzieścia lat później, inteligentnej, zmęczonej, eleganckiej. Na każdy obraz nałożono w rogu logo Earth News Online.

— Znaleźli ją, Bobby — powiedział Hiram. — Przez ciebie, bo nie umiałeś trzymać gęby na kłódkę, co?

— Kogo znaleźli?

— Twoją matkę.

Kate pracowała już przy ekranie, szybko przewijając informacje.

— Heather Mays. Tak się nazywa? Wyszła po raz drugi za mąż. Miała córkę… masz przyrodnią siostrę, Bobby.

Głos Hirama przypominał warknięcie.

— Nie wtrącaj się, wredna dziwko. Gdyby nie ty, to by się nie stało. Bobby próbował zapanować nad sobą.

— Co by się nie stało?

Twój wszczep nadal by robił to, co robił. Byłbyś spokojny i szczęśliwy. Chryste, żałuję, że jak byłem w twoim wieku, nikt mi nie wsadził czegoś takiego do głowy. Zaoszczędziłby mi masę kłopotów. A ty nie paplałbyś jak dureń przy Danie Schirra.

— Schirra? Z ENO?

— Z tym, że nazywał się inaczej, kiedy spotkał się z tobą w zeszłym tygodniu. Co zrobił? Upił cię, rozkleiłeś się, zacząłeś gadać o swoim złym ojcu i o matce, której nie znasz?

— Pamiętam — stwierdził Bobby. — Przedstawił się jako Meryyn. Mervyn Costa. Znam go od dawna.

— Oczywiście, że znasz. Podchodził do ciebie z ramienia ENO.

Chciał się dobrać do mnie. Nie wiedziałeś, kim jest, ale wcześniej, kiedy jeszcze miałeś implant i sprawny umysł, trzymałeś dystans. A teraz to… Zaczął się sezon polowań na Hirama Pattersona. I to wszystko twoja wina, Manzoni.

Kate wciąż przewijała informacje i wszystkie łącza.

— To nie ja przeleciałam i rzuciłam tę kobietę dwadzieścia lat temu. — Stuknęła w ekran i przed Hiramem zajaśniał fragment stołu. — Schirra miał dowody potwierdzające jego tezę. Spójrzcie.

Bobby zajrzał ojcu przez ramię. Ekran ukazywał Hirama siedzącego przy stole — przy tym stole, uświadomił sobie Bobby, czując nagły dreszcz — w tym pokoju, pochylonego nad stosem papierów, które poprawiał i podpisywał. Obraz był ziarnisty, niestabilny, lecz dostatecznie wyraźny. Hiram dotarł do jakiegoś szczególnego dokumentu, z niechęcią pokręcił głową i podpisał szybko, a potem odłożył drukiem do dołu na stos po prawej stronie.

Potem obraz został odtworzony drugi raz, w zwolnionym tempie. Punkt widzenia zbliżył się do dokumentu, nastąpiła chwila zogniskowania, wyostrzenia obrazu i wreszcie dało się odczytać część tekstu.

— Widzicie? — powiedziała Kate. — Hiram, przyłapali cię, jak podpisujesz uaktualnienie umowy, jaką zawarłeś z Heather ponad dwadzieścia lat temu.

Hiram niemal błagalnie spojrzał na Bobby'ego.

Ta sprawa już dawno była skończona. Zawarliśmy umowę. Pomogłem jej zrobić karierę. Robi filmy dokumentalne. Odniosła sukces.

— Była rozpłodową klaczą, Bobby — wyjaśniła zimno Kate. — Płacił jej, żeby siedziała cicho i żeby nigdy nie próbowała się do ciebie zbliżyć.

Hiram krążył po pokoju, stukał pięściami o ścianę, oglądał sufit.

— Każę sprawdzać ten pokój trzy razy dziennie. Skąd mieli te zdjęcia? Te niekompetentne dupki z ochrony budynku znowu spieprzyły robotę.

— Daj spokój, Hiram — przerwała mu Kate, najwyraźniej bawiąc się sytuacją. — Zastanów się chwilę. ENO w żaden sposób nie mogło założyć podglądu w twoim biurze. Nie bardziej niż ty u nich.

— Przecież nie muszę im zakładać żadnych pluskiew — odparł wolno Hiram. — Mam WormCam… Och.

— Dobra robota. — Kate uśmiechnęła się. — ENO też musi mieć WormCam. Tylko w ten sposób mogli uzyskać informację. Straciłeś monopol, Hiram. A pierwsze, co zrobili ze swoim WormCamem, to skierowali go na ciebie. — Odchyliła głowę i roześmiała się głośno.

— O Boże — szepnął Bobby. — To katastrofa.

— Bzdura — mruknęła. — Pomyśl tylko, Bobby. Już wkrótce cały

świat będzie wiedział, że istnieje WormCam; nie da się dłużej trzymać tego w tajemnicy. Wyrwanie WormCamu z rąk tego chorego duopolu, rządu federalnego i Hirama Pettersona, musi wyjść światu na dobre.

— Jeśli w Earth News poznali technikę WormCamu — oświadczył lodowatym tonem Hiram — jest oczywiste, kto im ją przekazał.

Kate zrobiła zdziwioną minę.

— Sugerujesz, że to ja?

— A kto inny?

— Jestem dziennikarką — wybuchnęła. — Nie szpiegiem. Do diabła z tobą, Hiram. To jasne, co się zdarzyło. ENO odgadło, że znalazłeś sposób, żeby wykorzystać te twoje tunele jako zdalne wizjery. Z tą wiedzą powtórzyli twoje badania. To nie takie trudne; większość danych jest powszechnie dostępna. Hiram, twoje prawa do WormCamu zawsze były dość kruche. Wystarczy jedna osoba, żeby opracować go niezależnie.

Ale Hiram jej nie słuchał.

— Wybaczyłem ci. Przyjąłem cię tutaj. Brałaś moje pieniądze. Zdradziłaś moje zaufanie. Zniszczyłaś umysł mojego syna i zatrułaś go złością do mnie.

Kate wstała.

— Jeśli naprawdę w to wierzysz, jesteś bardziej obłąkany, niż myślałam.

— Przepraszam, Hiram — odezwała się wyszukiwarka. — Michael Mavens chce się z tobą widzieć. Agent specjalny Mavens z…

— Niech zaczeka.

— Obawiam się, że nie ma takiej możliwości, Hiram. Mam też wezwanie od Davida. Twierdzi, że to pilne.

Bobby spoglądał na twarze Hirama i Kate. Był przerażony, przestraszony i zaskoczony — jego życie rozpadało się na kawałki.

Mavens usiadł i otworzył neseser.

— Czego pan chce, Mavens? — warknął Hiram. — Nie przypuszczałem, że znów się zobaczymy. Myślałem, że nasza umowa przewiduje wszystkie okoliczności.

Też tak myślałem, panie Patterson. — Agent sprawiał wrażenie szczerze rozczarowanego. — Problem polega na tym, że pan się jej nie trzymał. Cały OurWorld jako korporacja, a w szczególności jeden z pracowników. Dlatego tu jestem. Kiedy usłyszałem, że pojawiła się ta sprawa, poprosiłem, żeby mnie do niej włączyć. Jestem tym osobiście zainteresowany.

— Jaka sprawa? — westchnął ciężko Hiram.

Mavens wyjął z nesesera coś, co wyglądało jak lista zarzutów.

— Chodzi przede wszystkim o oskarżenie o kradzież tajemnic handlowych, zgodnie z ustawą o szpiegostwie ekonomicznym z 1996,

wniesione przeciwko OurWorldowi przez IBM, konkretnie dyrektora ich laboratorium badawczego im. Thomasa J. Watsona. Panie Patterson, uważamy, że wykorzystano WormCam, aby uzyskać nielegalny dostęp do wyników badawczych IBM. Chodzi o coś, co określono jako zestaw oprogramowania tłumiącego synestezję, związanego z technologią rzeczywistości wirtualnej. — Uniósł głowę. — Czy państwo rozumieją, o co chodzi?

Hiram spojrzał na Bobby'ego.

Ogarnięty sprzecznymi emocjami Bobby siedział jak skamieniały. Nie miał pojęcia, jak powinien zareagować, co powiedzieć.

— Ma pan już podejrzanego, prawda? — odezwała się Kate. Agent FBI spojrzał na nią spokojnie, ze smutkiem.

— Myślę, że zna już pani odpowiedź na to pytanie, pani Manzoni.

Kate zdziwiła się wyraźnie.

— Ma pan na myśli Kate? — rzucił Bobby. — To śmieszne. Hiram uderzył pięścią w otwartą dłoń.

Wiedziałem. Wiedziałem, że sprowadzi na nas kłopoty. Ale nie sądziłem, że posunie się tak daleko. Mavens westchnął.

— Obawiam się, że wskazuje na panią bardzo poważny zbiór dowodów.

— Jeśli tak, to zostały sfałszowane — odparła gniewnie Kate.

— Jest pani aresztowana — powiedział agent. — Mam nadzieję, że nie będzie pani sprawiać kłopotów. Jeśli zechce pani siedzieć chwilę nieruchomo, wyszukiwarka odczyta pani prawa.

Kate wydawała się zaskoczona, gdy niesłyszalny dla pozostałych głos rozległ się w jej uszach. Hiram stanął przy Bobbym.

— Spokojnie, synu. Przejdziemy przez to bagno razem. Co próbowałaś zrobić, Manzoni? Znaleźć jeszcze jeden sposób, żeby dorwać się do Bobby'ego? O to ci chodziło?

Twarz Hirama stanowiła posępną maskę bez żadnych emocji. Nie było na niej ani śladu gniewu, ulgi, żalu czy triumfu.

Drzwi otworzyły się nagle. Stanął w nich uśmiechnięty David — jego niedźwiedzia sylwetka wypełniła całą futrynę. W ręku trzymał zwinięty softscreenowy ekran.

— Dokonałem tego — powiedział. — Boże święty, dokonałem… Co się tu dziej e?

— Doktorze Curzon, może lepiej…

— To bez znaczenia. Cokolwiek tu robicie, nie ma znaczenia w porównaniu z tym. — Rozwinął ekran na biurku. — Jak tylko to dostałem, przyszedłem prosto tutaj. Spójrzcie.

Ekran ukazywał coś, co wyglądało jak tęcza, zredukowana do bieli, czerni i szarości: nierówne pasma światła, które lekko zniekształcone przebiegały na czarnym tle.

— Jest troszkę ziarnisty — powiedział David. — Lecz mimo to ten

pierwszy obraz odpowiada jakościowo zdjęciom przesłanym przez pierwsze próbniki NASA z lat siedemdziesiątych zeszłego wieku.

— To Saturn — oświadczył zdumiony Mavens. — Planeta Saturn.

— Tak. Patrzymy na pierścienie. — David się uśmiechnął. — Ustawiłem punkt widzenia WormCamu o całe półtora miliarda kilometrów stąd. Niezły wynik, prawda? Jeśli uważnie się przyjrzycie, możecie nawet zobaczyć parę księżyców, tutaj, w płaszczyźnie pierścieni.

Hiram zaśmiał się głośno i objął Davida.

— Wielkie nieba, świetny wynik.

— Tak. Tak, świetny. Ale to nieważne. Już nie.

— Nieważne? Chyba żartujesz?

David gorączkowo zaczął przyciskać ekran; obraz Saturna rozpłynął się.

— Zrobię rekonfigurację. To proste. Bobby dał mi wskazówkę. Nie potrafiłem myśleć nieschematycznie tak jak on. Jeśli ograniczę interwał czasoprzestrzenny do kilku metrów, to tunel musi sięgać przez czas.

Bobby pochylił się. Ekran pokazywał równie ziarnisty obraz o wiele zwyczajniejszej sceny. Rozpoznał ją natychmiast: to miejsce pracy Davida w Wormworks. David siedział, a Bobby stał obok niego i zaglądał mu przez ramię.

— Widzicie, jak łatwo — odezwał się znowu z podziwem. — Oczywiście musimy jeszcze przeprowadzić próby, przeskalować…

To przecież Wormworks — powiedział Hiram. — I co z tego?

— Nie rozumiesz. Nowy tunel ma tę samą, hmm, długość, co tamten.

— Ale tamten sięgał do Saturna.

— Tak. Ale zamiast sięgać na osiemdziesiąt minut świetlnych… Mavens dokończył za niego.

— Wiem. Ten tunel sięga na osiemdziesiąt minut.

— Właśnie — potwierdził David. — Osiemdziesiąt minut w przeszłość. Spójrz, ojcze. Widzisz mnie i Bobby'ego, zanim go do siebie wezwałeś.

Hiram otworzył usta ze zdziwienia.

Bobby czuł, jakby świat wokół niego wirował i układał się w przedziwny, nieznany wzór. Jak gdyby w głowie ktoś wyłączył mu kolejny chip. Spojrzał na Kate, która jakby zmalała, przestraszona i zaszokowana.

Hiram jednak zapomniał o swoich kłopotach i natychmiast pojął implikacje. Spojrzał gniewnie w powietrze.

— Ciekawe, ilu ich obserwuje nas w tej chwili?

— Kto? — nie zrozumiał Mavens.

— W przyszłości. Nie rozumiecie? Jeśli on ma rację, j est to punkt

zwrotny w historii, chwila teraz i tutaj wynalezienia tego… tego wizjera przyszłości. Powietrze wokół pewnie aż roi się od punktów widzenia WormCamów, kierowanych przez przyszłych historyków. Biografów. Hagiografów. — Podniósł głowę i wyszczerzył zęby. — Obserwujecie mnie, tak? Pamiętacie, jak się nazywam? Jestem Hiram Patterson! Ha! Widzicie, co zrobiłem, dupki!

A w korytarzach przyszłości niezliczeni obserwatorzy spojrzeli w jego wyzywające oczy.

Część druga
OCZY BOGA

Historia to w swej istocie niewiele więcej niż kronika zbrodni, błędów i nieszczęść ludzkości.

Edward Gibbon (l 737–1794)

13. Szklane ściany

Kate była w areszcie i czekała na proces. Sprawa była skomplikowana, więc ciągle nie mogła trafić na wokandą. Poza tym prawnicy Hirama przekonywali FBI, że i tak powinna zaczekać, dopóki nie ustabilizuje się technika wykorzystująca nowe możliwości zaglądania w przeszłość.

Zresztą przypadek Kate był tak szeroko komentowany, że decyzja sądu miała posłużyć za precedens. Nawet przed pojawieniem się możliwości obserwacji przeszłości oczekiwano, że WormCamy będą miały istotny wpływ na większość procesów w sprawach kryminalnych. Wiele śledztw odłożono albo przerwano, czekając na nowe dowody; właściwie do sądów trafiały tylko sprawy drobne albo nie budzące żadnych wątpliwości.

W związku z tym, niezależnie od ostatecznego wyroku, Kate jeszcze przez długi czas nie mogła nigdzie wyjeżdżać.

W tej sytuacji Bobby postanowił odszukać swoją matkę.

Heather Mays mieszkała w niewielkim miasteczku Thomas City, niedaleko granicy stanów Utah i Arizona. Bobby poleciał do Cedar City, a tam przesiadł się do samochodu. W Thomas zaparkował o kilka przecznic od domku Heather i ruszył dalej pieszo.

Wóz policyjny nadjechał cicho i gruby policjant wyjrzał ze środka. Jego twarz przypominała szeroki, nieprzyjazny księżyc, pokryty bliznami po licznych wyciętych zrakowaceniach. Ale niechętne spojrzenie zmieniło się, gdy tylko policjant rozpoznał przybysza. Zza szyby Bobby odczytał ruch jego warg: Dzień dobry, panie Patterson.

Wóz pojechał dalej, a Bobby poczuł dumę. WormCam uczynił Hirama Pattersona najsławniejszą osobą na planecie, a we wszystkowidzących oczach publiczności Bobby stał zawsze przy jego boku.

Wiedział też, że teraz, kiedy zbliża się do domu Heather, przynajmniej setka punktów widzenia z pewnością unosi się wokół niego, że w tej trudnej chwili obserwują jego twarz — niewidzialne emocjonalne wampiry.

Starał się o rym nie myśleć — to jedyna możliwa obrona przed WormCamem. Szedł dalej przez centrum małego miasteczka.

Niezwykły w kwietniu śnieg spadł na ogródki i dachy drewnianych domów, które mogły tu stać od setek lat. Minął nieduży staw, gdzie dzieci jeździły na łyżwach — dookoła, po ciasnych spiralach; śmiały się głośno. Nawet w tym bladym, zimowym słońcu nosiły ciemne okulary; na twarzach miały srebrzyste, lśniące plamy

kremów filtrujących.

Thomas City było spokojnym, statecznym, anonimowym miasteczkiem, jednym z setek podobnych w rozległym, pustym sercu Ameryki. Takie miejsca jeszcze trzy miesiące temu uznałby za śmiertelnie nudne; gdyby nawet jakoś się tu znalazł, jak najszybciej uciekłby do Vegas. Dziś jednak zaczął się zastanawiać, jakby to było tutaj dorastać.

Wóz policyjny jechał wolno ulicą i Bobby zauważył, że wokół niego rozlewa się fala drobnych wykroczeń. Człowiek wychodzący z baru zmiął opakowanie sushiburgera i upuścił je na chodnik pod samym nosem policjantów. Na skrzyżowaniu starsza kobieta przeszła ulicę przy czerwonym świetle, patrząc wyzywająco na samochód. I tak dalej. Policjanci przyglądali się temu pobłażliwie. Kiedy tylko wóz przejechał, ludzie — kiedy już zagrali władzy na nosie — powracali do swego zapewne praworządnego życia.

Takie rzeczy zdarzały się wszędzie. Wybuchł zaskakująco powszechny, choć milczący bunt przeciwko reżimowi niewidzialnych wormcamowych nadzorców. Myśl, że władze dysponują tak ogromnymi możliwościami obserwacji, najwyraźniej nie znalazła zrozumienia wśród znacznej części Amerykanów i w całym kraju nastąpił wzrost liczby drobnych wykroczeń, takich jak zaśmiecanie ulic czy naruszanie przepisów drogowych. Jakby obywatele chcieli udowodnić, że wciąż są wolni mimo możliwego nadzoru. A lokalna policja uczyła się to tolerować.

Był to tylko symbol obrony swobód obywatelskich. Bobby uważał jednak, że to zdrowa reakcja.

Dotarł do głównej ulicy. Animowane obrazy na automatach sprzedających brukową prasę zachęcały go do ściągnięcia najnowszych wiadomości za dziesięć dolarów impuls. Zerknął na kuszące tytuły. Były tam poważne informacje: miejscowe, krajowe i międzynarodowe. Najwyraźniej miasteczko radziło sobie z niewielką epidemią cholery, związaną z trudnościami w zaopatrzeniu w wodę. Miało za to kłopoty z przyjęciem przesiedleńców z Gaveston Island — ofiar podnoszenia się poziomu morza. Jednak te poważne sprawy ginęły w typowych brukowych plotkach.

Tutejsza przedstawicielka w Kongresie musiała zrezygnować ze stanowiska, kiedy WormCam odkrył jej zainteresowania seksualne: pewien młody futbolista ze szkoły średniej w nagrodę za wyczyny sportowe pojechał na wycieczkę do Waszyngtonu, a pani kongresman próbowała go nakłonić do całkiem innej formy atletyki… Jednak chłopak był już pełnoletni; zdaniem Bobby'ego główną winą kobiety — zwłaszcza u zarania epoki WormCamów — była zwykła głupota.

Zresztą nie była wyjątkowa. Podobno dwadzieścia procent członków Kongresu i ponad trzydzieści procent senatorów

oświadczyło, że nie wystartują w najbliższych wyborach, i przeszło na wcześniejszą emeryturę albo zwyczajnie wycofało się z polityki. Niektórzy z komentatorów oceniali, że nawet połowa wszystkich wybieralnych urzędników w Ameryce odejdzie ze stanowisk, zanim jeszcze WormCamy na dobre trafią do zbiorowej i indywidualnej świadomości.

Niektórzy twierdzili, że to dobrze — że strach wymusi na ludziach uczciwość. Inni przekonywali, że wszystkie istoty ludzkie mają w życiu takie chwile, których wolałyby nie dzielić z resztą społeczeństwa. Być może za kilka cykli wyborczych jedynymi, którzy przetrwają na stanowiskach i którzy staną do elekcji, będą ludzie patologicznie nudni, bez żadnego wartego uwagi życia osobistego.

Z pewnością prawda — jak zwykle — znajdzie się między tymi dwoma skrajnościami.

Gazety wciąż jeszcze pisały o sensacji z zeszłego tygodnia: pozbawiona skrupułów ekipa z Białego Domu próbowała zdyskredytować potencjalnego przeciwnika prezydent Juarez w najbliższej kampanii wyborczej. Zrobili mu zdjęcia, jak siedzi w ubikacji ze spodniami opuszczonymi do kostek, dłubie w nosie i grzebie sobie w pępku.

Afera uderzyła rykoszetem w samych sprawców i w żaden sposób nie zaszkodziła gubernatorowi Beauchampowi. W końcu każdy musi korzystać z ubikacji. I prawdopodobnie już nikt — choćby całkiem nieznany — nie robił tego, nie myśląc, czy nie obserwuje go w takiej chwili jakiś wormcamowy punkt widzenia.

Nawet Bobby zaczął korzystać z toalety po ciemku. Nie było to łatwe, nawet z nowymi, uproszczonymi i pokrytymi wyraźną fakturą urządzeniami, które spotykało się teraz praktycznie wszędzie. Zastanawiał się czasem, czy ktokolwiek w rozwiniętych krajach uprawia jeszcze seks przy zapalonym świetle…

Wątpił, czy nawet brukowce z automatów pozostaną długo przy takich zdjęciach w stylu paparazzich, kiedy sprawa straci już urok nowości. Zauważył, że obrazy — szokujące jeszcze kilka miesięcy temu — teraz płonęły kolorami w środku dnia na głównej ulicy mormońskiego miasteczka, nie zwracając praktycznie niczyjej uwagi — młodych ani starych, dzieci ani wiernych.

Bobby miał uczucie, że WormCam zmusił ludzką rasę, by odrzuciła kilka tabu; sprawił, by trochę dojrzała.

Szedł dalej.

Bez trudu znalazł mieszkanie Maysów. Przed niczym się nie wyróżniającym domkiem w spokojnej dzielnicy mieszkalnej zwykłego amerykańskiego miasteczka zobaczył tradycyjną oznakę sławy czy sensacji: kilkanaście ekip telewizyjnych, czekających przed białym parkanem otaczającym ogródek. Choć pojawiła się technika

natychmiastowego dostępu, upłynie jeszcze sporo czasu, zanim publiczność zrezygnuje z obecności interpretatora, dziennikarza, stającego między widzem a informacją.

Przybycie Bobby'ego było samo w sobie sensacją. Reporterzy ruszyli w jego stronę, a samoczynne kamery unosiły się nad nimi jak kanciaste metaliczne balony. Padały kolejne pytania: Bobby, w tę stronę, jeśli można… Bobby… Bobby, czy to prawda, że zobaczysz matkę po raz pierwszy, odkąd skończyłeś trzy lata…? Czy to prawda, że ojciec nie chciał ci pozwolić tu przyjechać, czy może odegraliście tylko scenę w gabinecie zarządu OurWorldu dla potrzeb WormCamów?… Bobby… Bobby…

Bobby uśmiechał się tak obojętnie, jak tylko potrafił. Reporterzy nie próbowali iść za nim, kiedy otworzył furtkę i wszedł do ogródka. W końcu nie było takiej potrzeby; z pewnością tysiąc punktów widzenia podążało za nim przez cały czas.

Wiedział, że nie warto nawet prosić o uszanowanie jego prywatności. Nie miał innego wyboru, niż znosić wścibskich podglądaczy. Czuł wzrok ich niewidzialnych oczu, jak gdyby uciskały mu kark.

Najbardziej niesamowita była myśl, że wśród tego niewidzialnego tłumu mogą być też obserwatorzy z przyszłości, spoglądający na tę chwilę przez tunele czasu. Może nawet jest wśród nich on sam, przyszły Bobby?

Musi jakoś przeżyć resztę swego życia mimo tego nadzoru.

Zastukał do drzwi i czekał, coraz bardziej zdenerwowany. Przypuszczał, że żaden WormCam nie potrafi podejrzeć, jak pracuje jego serce; jednak z pewnością miliony widzów patrzyły na zaciśnięte zęby, na krople potu, które mimo chłodu wyczuwał na czole.

Drzwi się otworzyły.

Bobby musiał długo przekonywać ojca Hirama, zanim uzyskał jego błogosławieństwo na tę wyprawę.

Hiram siedział samotny przy dużym, oklejonym mahoniem biurku przed stosem papierów i ekranami. Był przygarbiony, jakby w lęku. Nabrał zwyczaju rozglądania się, jak gdyby szukał punktów widzenia WormCamów — niczym mysz bojąca się drapieżnika.

— Chcę ją zobaczyć — oświadczył Bobby. — Heather Mays. Moją matkę. Chcę się z nią spotkać.

Hiram wydawał się zmęczony i niepewny siebie. Bobby chyba nigdy go takiego nie widział.

— Popełniasz błąd. Co ci z tego przyjdzie?

— Sam nie wiem. — Bobby zawahał się. — Nie wiem, jakie to uczucie: mieć matkę.

— Nie jest twoją matką. Nie jest w żadnym normalnym sensie.

Nie zna ciebie ani ty jej nie znasz.

— Mam wrażenie, jakbym ją znał. Oglądam jaw każdym brukowym programie…

— W takim razie wiesz, że założyła nową rodzinę. Zaczęła nowe życie, w którym nie ma dla ciebie miejsca. — Hiram zerknął na syna z ukosa. — I słyszałeś o samobójstwie.

Bobby zmarszczył brwi.

— Jej mąż…

— Popełnił samobójstwo z powodu wścibskich mediów. Wszystko dlatego, że twoja dziewczyna oddała WormCamy naj wredniejszym dziennikarskim hienom na planecie. To ona jest odpowiedzialna…

Tato!

— Tak, tak. Wiem. Mówiliśmy już o tym. — Hiram wstał z fotela, Podszedł do okna i rozmasował sobie kark. — Chryste, ależ jestem zmęczony… Słuchaj, Bobby, gdybyś miał ochotę wrócić do pracy, to przyda mi się pomoc.

— Chyba nie jestem jeszcze gotowy.

— Odkąd ujawniliśmy WormCamy, wszystko poszło w diabły. Wszystkie te dodatkowe zabezpieczenia tylko mnie denerwują…

Bobby wiedział, że to prawda. Na istnienie WormCamu zareagowały najrozmaitsze grupy społeczne, niemal wszystkie wrogo. Reakcje były różne — od kampanii szacownych działaczy z Arbitrażu Praw Prywatności po ataki na dyrekcję firmy, na Wormworks, a nawet na dom Hirama. Mnóstwo ludzi z obu stron granicy prawa uznało, że krzywdzi ich ujawniana przez WormCamy bezlitosna prawda. Wielu szukało kogoś, na kogo mogłoby zrzucić winę za swe cierpienia — a kto nadawał się do tego lepiej niż Hiram?

— Tracimy wielu dobrych ludzi, Bobby. Wielu z nich brakło odwagi, żeby zostać teraz przy mnie. Stałem się wrogiem publicznym numer jeden, człowiekiem, który zabił prywatność. Nie mam do nich pretensji; to przecież nie ich wojna. Ale nawet ci, którzy zostali, nie potrafią trzymać się z daleka od WormCamów. Mieliśmy masę nieuprawnionych dostępów. Możesz się domyślić, co robią: szpiegują sąsiadów, żony, kolegów. I dowiadują się, co przyjaciele naprawdęo nich myślą, co robią za ich plecami. Wybuchają kłótnie, bójki, była jedna próba zabójstwa. Teraz, kiedy możesz zajrzeć w przeszłość, niczego nie można ukryć. To działa jak nałóg. I obawiam się, że jest tylko przedsmakiem tego, co nas czeka, kiedy widzący przeszłość WormCam trafi do powszechnego użytku. Będziemy sprzedawać miliony zestawów, to pewne. Ale na razie ledwo to wytrzymuję; zakazałem nieuprawnionego dostępu i zablokowałem terminale… — Spojrzał na syna. — Wierz mi, mam mnóstwo pracy. A świat nie będzie czekał, aż wyleczysz tę swoją szlachetną duszyczkę.

— Myślałem, że interes idzie dobrze, chociaż straciliśmy monopol

na WormCamy.

— Wciąż wyprzedzamy konkurencję. — Hiram przemówił z większą mocą, większą płynnością. Bobby domyślił się, że ojciec przemawia do niewidocznej publiczności, która zapewne obserwowała go nawet teraz. — Teraz, kiedy możemy ujawnić istnienie WormCamu, potrafimy zaproponować sporo nowych zastosowań. Na przykład wideofony: bezpośredni tunel podprzestrzenny pomiędzy nadawcą a odbiorcą. Modele luksusowe mogłyby wejść na rynek właściwie od razu, te masowe wkrótce potem. Oczywiście, wpłynie to na zyski z DataPipe, ale nie zlikwiduje popytu na technikę identyfikacji i śledzenia. Ale nie tym się martwię, Bobby. W przyszłym tygodniu mamy walne zgromadzenie. Muszę stanąć przed akcjonariuszami.

— Nie będą cię przecież męczyć. Finansowo firma stoi znakomicie.

— Nie o to chodzi. — Czujnie rozejrzał się po pokoju. — Jak ci to wytłumaczyć? Przed WormCamem interesy były grą zamkniętą. Nikt nie znał moich kart: ani konkurencja, ani pracownicy, ani nawet inwestorzy czy akcjonariusze, jeśli nie chciałem im czegoś zdradzić. A to dawało spore możliwości blefu, kontrblefu…

— Kłamstwa?

— Kłamstwa nigdy — oświadczył stanowczo Hiram, a Bobby wiedział, że musi zaprzeczać. — To kwestia postawy. Mogłem ukrywać swoje słabe punkty, akcentować mocne, zaskoczyć konkurencję nową strategią, cokolwiek. Ale zasady się zmieniły. Teraz gra bardziej przypomina szachy, a ja zęby zjadłem na pokerze. Za odpowiednią cenę każdy akcjonariusz czy konkurent lub inspektor, jeśli już o tym mowa, może zbadać wszystkie aspekty moich działań. Wszyscy znają moje karty, zanim jeszcze spróbuję je rozegrać. A nie jest to miłe uczucie.

— Przecież konkurencję możesz traktować tak samo — zdziwił się Bobby. — Czytałem sporo artykułów. Twierdzą, że nowe otwarte zarządzanie to dobry pomysł. Podlegasz kontroli, nawet własnych pracowników, więc jesteś bardziej odpowiedzialny. Jest większa szansa, że dotrze do ciebie konstruktywna krytyka, popełniasz mniej błędów…

Ekonomiści przekonywali, że jawność ma dobroczynny wpływ na interesy. Jeśli żadna ze stron nie ma monopolu na informacje, jest większa szansa zawarcia konkretnej umowy; jeśli wszyscy wiedzą, jakie są rzeczywiste koszty produkcji, tylko rozsądny poziom zysków może liczyć na akceptację. Lepszy przepływ informacji prowadzi do doskonalszej konkurencji; monopole, kartele i inne grupy manipulujące rynkiem nie mogąjuż ukryć swoich działań. Przepływ środków, dostępny dla wszystkich, uniemożliwia przestępcom i

terrorystom gromadzenie gotówki. I tak dalej.

— Jezu! — burknął Hiram. — Kiedy słyszę takie bzdury, żałuję, że nie handluję podręcznikami zarządzania. Zrobiłbym majątek. — Skinął na widoczne za oknem wieżowce. — Ale tam nie czeka na ninie grupa dyskusyjna szkoły biznesu. Coś podobnego zdarzyło się z prawami autorskimi na samym początku Intemetu. Pamiętasz? Nie, jesteś za młody. Globalna Infrastruktura Informacyjna, która miała zastąpić berneńską konwencję praw autorskich, zawaliła się zaraz na początku wieku. Nagle cały Internet zalały tony nieredagowanych śmieci. Wszystkie wydawnictwa zbankrutowały, a autorzy wrócili do programowania komputerów, ponieważ ktoś dawał za darmo to, co oni sprzedawali, żeby zarobić na chleb. A teraz znowu przechodzimy przez te same objawy. Mamy potężną technologię, która prowadzi do rewolucji informacyjnej, do nowej otwartości. Ale stoi ona w sprzeczności z interesami ludzi, którzy tworzyli te informacje czy zwiększali ich wartość. Mogę ciągnąć zyski tylko z tego, co tworzy OurWorld, a to w dużej części zależy od praw do idei. Ale prawa własności intelektualnej wkrótce staną się niemożliwe do wyegzekwowania.

— Tato, wszyscy przeżywają to samo. Hiram parsknął niechętnie.

— Być może. Ale nie wszyscy dobrze na tym wyjdą. Rewolucje i walki o władzę trwają w tym mieście w każdej sali obrad. Wiem, bo obserwowałem większość. Tak jak oni obserwowali moje. Dlatego próbuję ci wytłumaczyć, że znaleźliśmy się w nowym świecie. I jesteś mi tutaj potrzebny.

— Tato, muszę najpierw zrobić jakiś porządek z myślami.

— Daj sobie spokój z Heather. Ostrzegam cię, że to będzie bolało. Bobby pokręcił głową.

— Czy na moim miejscu nie chciałbyś się z nią zobaczyć? Nie byłbyś ciekaw?

— Nie — odparł stanowczo Hiram. — Nigdy nie wróciłem do Ugandy, żeby odnaleźć rodzinę ojca. Nigdy tego nie żałowałem, nawet przez chwilę. Co bym w ten sposób osiągnął? Musiałem budować własne życie. Przeszłość to przeszłość; nic nikomu nie przyjdzie ze zbyt szczegółowego jej badania. — Wyzywająco spojrzał w pustkę. — A wy, pijawki, pracujące nad mowami Hirama Pattersona, możecie to zanotować.

Bobby wstał.

— Jeśli okaże się to nazbyt bolesne, zawsze mogę przekręcić włącznik, który wstawiłeś mi do mózgu.

Hiram westchnął boleśnie.

— Bylebyś tylko nie zapomniał, kto naprawdę jest twoją rodziną, synu.

Za progiem stała dziewczyna: szczupła, sięgająca mu do ramienia,

w szorstkiej, jaskrawoniebieskiej tunice z neonowym obrazkiem Różowego Lincolna. Spojrzała na Bobby'ego niechętnie.

— Znam cię — powiedział. — Jesteś Mary.

Córka Heather z drugiego małżeństwa — znowu przyrodnie rodzeństwo, o którym dopiero się dowiedział. Nie wyglądała na swoje piętnaście lat. Włosy miała ścięte brutalnie krótko, a na policzku tatuaż. Była śliczna, z wysokimi kośćmi policzkowymi i ciepłymi oczami; odruchowo, praktycznie bez przerwy marszczyła czoło.

Uśmiechnął się z wysiłkiem.

— Twoja matka…

— Oczekuje cię. Tak, wiem. — Spojrzała mu przez ramię na tłumek reporterów. — Lepiej wejdź.

Zastanowił się, czy nie powinien powiedzieć czegoś na temat jej ojca, jakoś wyrazić współczucia. Ale nie umiał znaleźć właściwych słów, a jej twarz była surowa, obojętna. Chwila minęła.

Wyminął ją i wszedł do domu. Znalazł się w wąskim korytarzyku, pełnym zimowego obuwia i płaszczy. Zauważył przytulną z wyglądu kuchnię, salon z wielkimi ekranami na ścianach i coś, co było chyba pracownią.

Mary stuknęła go palcem w ramię.

— Popatrz.

Stanęła na progu, twarzą do reporterów, i podniosła tunikę nad głowę. Nosiła majtki, ale małe piersi miała obnażone. Po chwili opuściła tunikę i zatrzasnęła drzwi. Zauważył plamy rumieńców na jej policzkach — gniew? Zakłopotanie?

— Dlaczego to zrobiłaś?

I tak bez przerwy się na mnie gapią.

Odwróciła się na pięcie i pobiegła na górę, stukając butami po drewnianych deskach. Bobby został sam, zagubiony w korytarzu.

— Przepraszam za jej zachowanie. Nie potrafi się przyzwyczaić. Wreszcie pojawiła się Heather. Wolno szła w jego stronę. Była niższa, niż się spodziewał. Wydawała się szczupła, niemal wychudzona, z nieco zaokrąglonymi ramionami. Pewnie też miała kiedyś taką elfią twarz jak Mary, teraz jednak kości policzkowe zbyt mocno sterczały pod ogorzałą skórą, a zmęczone, brązowe oczy zapadły się głęboko w sieci zmarszczek. Poznaczone siwizną włosy czesała do tyłu w ciasny węzeł. Spojrzała na niego zagadkowo.

— Dobrze się czujesz?

Przez chwilę Bobby nie był pewien, czy zdoła wykrztusić choć słowo.

— Tak… Tylko nie bardzo wiem, jak powinienem się do ciebie zwracać.

— Może „Heather"? — zaproponowała z uśmiechem. — Sytuacja jest już dostatecznie skomplikowana.

Bez ostrzeżenia podeszła bliżej i objęła go mocno.

Próbował wyobrazić sobie to spotkanie, przewidzieć, jak opanuje burzę emocji, której się spodziewał. Ale teraz chwila nadeszła i poczuł, że jest…

Pusty.

A przez cały czas był świadomy, boleśnie świadomy miliona wpatrzonych w niego oczu, rejestrujących każdy jego gest i wyraz twarzy.

Heather się odsunęła.

— Kiedy ostatni raz cię widziałam, miałeś pięć lat, więc to musiało tak wyglądać. Ale chyba dosyć już tego przedstawienia.

Zaprowadziła go do pokoju, który na początku uznał za pracownię. W blat wbudowany był gigantyczny softscreenowy ekran o wysokiej rozdzielczości, używany przez grafików i projektantów. Na ścianach wisiały tabele, zdjęcia ludzi, miejsc, pożółkłe kartki pokryte chwiejnym, nieczytelnym pismem. Na każdej wolnej powierzchni, nie wyłączając podłogi, leżały teksty i otwarte książki. Heather bez namysłu zdjęła z krzesła plik papierów i zrzuciła je na podłogę. Przyjął to milczące zaproszenie i usiadł.

Uśmiechnęła się.

— Kiedy byłeś mały, lubiłeś herbatę.

— Naprawdę?

— Nie chciałeś pić nic innego. Nawet coca-coli. A teraz… masz ochotę?

Chciał odmówić. Ale pewnie kupiła tę herbatę specjalnie dla niego.

To twoja matka, durniu.

— Jasne — powiedział. — Dziękuję.

Wyszła do kuchni i wróciła z parującym kubkiem czegoś, co okazało się herbatą jaśminową. Pochyliła się, żeby podać ją Bobby'emu.

— Nie oszukasz mnie — szepnęła. — Ale dziękuję, że chcesz mi zrobić przyjemność.

Niezręczna cisza… Wolno pił herbatę.

Po chwili wskazał na ekran, na zgromadzone papiery.

— Robisz filmy, tak? Westchnęła.

— Kiedyś. Dokumenty. Uważam się za reportera. — Znów się uśmiechnęła. — Zdobywałam nagrody. Możesz być ze mnie dumny. Chociaż nikogo już nie obchodzi ten aspekt mojego życia wobec faktu, że kiedyś sypiałam z wielkim Hiramem Pattersonem.

— Ale nadal pracujesz? Mimo że…

— Mimo że moje życie poszło w diabły? Staram się. Co jeszcze mogę robić? Nie chcę być definiowana poprzez Hirama. Ale to nie takie proste. Wszystko zmieniło się tak nagle…

— Przez WormCam?

— A cóż innego? Nikt już nie chce oglądać opracowanych i przemyślanych kawałków. Dramat całkiem zniknął. Wszystkich nas fascynuje nowa moc podglądania siebie nawzajem. Dlatego pracuje się tylko nad dokumentalnymi mydlankami: podąża się za prawdziwymi ludźmi, przeżywającymi swoje prawdziwe życie. Za ich wiedzą i zgodą, oczywiście. To zakrawa na ironię, jeśli wziąć pod uwagę moją sytuację, nie sądzisz? Popatrz. — Wywołała na ekran obraz uśmiechniętej młodej kobiety w mundurze. — Anna Petersen. Świeżo upieczona absolwentka Akademii Marynarki Wojennej w Annapolis.

Uśmiechnął się.

— Anna z Annapolis?

— Sam widzisz, dlaczego właśnie ją wybrano. Nasze zespoły na zmianę śledzą Annę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Będziemy obserwować jej karierę, jej pierwsze przydziały, jej triumfy i klęski, miłości i zawody. Podobno mają j ą wysłać z korpusem ekspedycyjnym w któryś z punktów zapalnych wojny o wodę nad Morzem Aralskim, więc spodziewamy się niezłego materiału. Oczywiście, marynarka wie, że śledzimy Annę. — Spojrzała w powietrze nad głową. — Prawda, chłopcy? Więc może to nic dziwnego, że dali jej taki przydział. Z pewnością dostaniemy sporo uspokajających, przyjaznych dla mamuś nagrań z działań wojennych.

— Jesteś cyniczna.

— Mam nadzieję, że nie. Ale to niełatwe. WormCam strasznie zamieszał mi w karierze. Oczywiście, na razie potrzebna jest jeszcze interpretacja: analitycy, redaktorzy, komentatorzy. Ale i to minie, kiedy wielkie niemyte masy będą mogły wycelować swoje WormCarny, w kogo tylko zechcą.

— Myślisz, że to nastąpi?

— Oczywiście. — Parsknęła niechętnie. — Przeszliśmy już ten etap z komputerami osobistymi. To tylko kwestia czasu. Pod naciskiem konkurencji i społeczeństwa WormCamy będą coraz tańsze i potężniejsze, coraz łatwiej dostępne, aż w końcu każdy będzie miał swój.

Może będą nawet potężniejsze, niż sobie wyobrażasz, pomyślał niespokojnie Bobby, pamiętając o doświadczeniach Davida z obserwacją przeszłości.

— Opowiedz mi o sobie i Hiramie. Ze znużeniem wzruszyła ramionami.

— Na pewno tego chcesz? Tutaj, w ogólnoplanetarnej ukrytej kamerze?

— Proszę.

— A co mówił Hiram na mój temat?

Powoli, jąkając się czasem, powtórzył opowieść Hirama. Pokiwała

głową.

— A zatem tak właśnie było. — Przez kilka długich sekund patrzyła mu w oczy. — Wysłuchaj mnie. Jestem czymś więcej niż tylko dodatkiem do Hirama, czymś w rodzaju dopisku do twojego życia. Mary także. Jesteśmy ludźmi, Bobby. Czy wiesz, że straciłam dziecko, braciszka Mary?

— Nie. Hiram nic mi nie mówił.

— Oczywiście. Ponieważ jego to nie dotyczyło. Dzięki Bogu, że tego przynajmniej nikt nie zdoła podglądać.

Na razie nie, pomyślał smętnie Bobby.

— Chcę, żebyś to zrozumiał, Bobby. — Spojrzała w powietrze. — Chcę, żeby wszyscy zrozumieli. Moje życie ulega zniszczeniu, po kawałku, przez fakt, że jestem obserwowana. Kiedy straciłam mojego synka, ukryłam się. Zamknęłam wszystkie drzwi, zaciągnęłam zasłony, chwilami chowałam się pod łóżkiem. Wtedy były przynajmniej krótkie okresy, kiedy człowiek mógł zostać sam. Teraz już nie. Teraz jest tak, jakby wszystkie ściany w moim domu zmieniły się w weneckie lustra. Czy wyobrażasz sobie, jakie to uczucie?

— Chyba tak — odpowiedział łagodnie.

— Za kilka dni ognisko uwagi przesunie się, żeby spalić kogoś innego. Ale nigdy nie będę pewna, czy jakiś maniak gdzieś na świecie nie zagląda do mojej sypialni, wciąż ciekawy, choćby minęły lata. I nawet gdyby WormCam zniknął jutro z tego świata, nie odzyskam już mojego Desmonda. Dla mnie to było straszne. Ale przynajmniej wiedziałam, że przyczyną jest coś, co sama zrobiłam wiele lat temu. Mój mąż i córka nie mieli z tym nic wspólnego. A mimo to kierowało się na nich to samo bezlitosne spojrzenie. I Desmond…

— Przykro mi.

Spuściła głową. Filiżanka z herbatą drżała w jej dłoni, delikatna porcelana dzwoniła o talerzyk.

— Mnie też jest przykro. Nie po to zgodziłam się na spotkanie, żeby budzić w tobie poczucie winy.

— Nie przejmuj się. I tak już czułem się winny. I sprowadziłem ze sobą dodatkową publiczność. Zachowałem się samolubnie.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

— I tak już tu byli. — Machnęła ręką nad głową. — Czasami wyobrażam sobie, że zdołam przepłoszyć podglądaczy jak komary. Ale to pewnie niemożliwe. Cieszę się, że przyjechałeś, niezależnie od okoliczności. Chcesz jeszcze herbaty?

…Miała brązowe oczy.

Dopiero pod koniec długiej drogi do Cedar City uderzył go ten prosty fakt.

— Wyszukiwarka — powiedział głośno. — Podstawy genetyki.

Geny dominujące i recesywne. Na przykład niebieskie oczy są recesywne, brązowe dominujące. Więc jeśli ojciec ma niebieskie oczy, a matka brązowe, dzieci powinny mieć…

— Brązowe? To nie takie proste, Bobby. Jeśli w chromosomach matki znajdzie się gen błękitnych oczu, to część dzieci też będzie miała niebieskie.

— Niebieskie-niebieskie ojca, niebieskie-brązowe matki. Cztery kombinacje…

Tak. Czyli dwoje dzieci z czworga będzie miało niebieskie oczy.

— Hm…

Ja mam niebieskie, pomyślał. Heather ma brązowe. Wyszukiwarka była dostatecznie sprytna, żeby interpolować jego pytanie.

— Nie mam informacji o genetycznym dziedzictwie Heather. Jeśli chcesz, mogę to sprawdzić…

— Mniejsza z tym. Dziękuję.

Oparł się wygodnie. To było głupie pytanie. Ktoś z przodków Heather musiał mieć niebieskie oczy. Z pewnością. Samochód pędził przez gęstniejący mrok.

14. Lata świetlne

Hiram krążył po małym pokoju Davida: ciemna sylwetka na tle okna, za którym błyszczały nocne światła wieżowców Seattle. Podniósł wyblakłą fotokopię przypadkowego artykułu i przeczytał tytuł.

— „Lorentzowskie wormhole w grawitacyjnie ściskanej próżni". — Kolejna oszałamiająca teoria?

David siedział na sofie, poirytowany i zaniepokojony nieoczekiwaną wizytą ojca. Rozumiał, że Hiram potrzebuje towarzystwa, żeby wypalić adrenalinę, uciec z nieustannie obserwowanego akwarium, jakim stało się jego życie. Wolałby tylko, żeby nie działo się to w jego przestrzeni osobistej.

— Chcesz się czegoś napić? Kawy albo…

— Kieliszek wina, z chęcią. Byle nie francuskiego. David podszedł do lodówki.

— Mam chardonnay. Niektóre kalifornijskie winnice są prawie do przyjęcia.

Wrócił z kieliszkami na sofę.

— A więc? — zapytał Hiram. — Te Lorentzowskie wormhole? David oparł się wygodnie i podrapał po głowie.

— Prawdę mówiąc, dochodzimy do ślepego zaułka. Technologia Casimira ma wewnętrzne ograniczenia. Równowaga dwóch nadprzewodzących płyt kondensatora, równowaga między siłami Casimira a odpychaniem elektrycznym, jest niestabilna i łatwo podlega zakłóceniom. Ładunki elektryczne, które musimy przenosić, są tak wielkie, że następują częste wyładowania w otoczenie. Troje ludzi zginęło wskutek pracy z WormCamami, jak doskonale wiesz z pozwów firm ubezpieczeniowych. Następna generacja wymaga czegoś dojrzalszego. Jeśli to uzyskamy, możemy zbudować o wiele mniejsze i tańsze WormCamy, sięgnąć z technologią o wiele dalej.

— Czy jest jakiś sposób?

— Możliwe. Inłektory Casimira to dość niezgrabna, dziewiętnastowieczna metoda tworzenia negatywnej energii. Lecz okazuje się, że takie zjawiska mogą pojawiać się w sposób naturalny. Jeśli przestrzeń zostaje dostatecznie mocno zakrzywiona, próżnię kwantową i inne fluktuacje można wzmocnić aż do… No cóż. Jest taki dość subtelny efekt kwantowy. Nazywamy to ściśniętą próżnią. Problem w tym, że według najlepszej znanej nam teorii potrzebna jest kwantowa czarna dziura, żeby uzyskać dostatecznie silne pole grawitacyjne. A zatem…

— A zatem szukasz lepszej teorii. — Hiram przerzucił papiery i zerknął na ręczne notatki Davida: równania połączone łukami strzałek. Rozejrzał się po pokoju. — Ani jednego ekranu w okolicy. Czy ty

czasem wychodzisz? W ogóle wychodzisz? Czy może autoszofer wozi cię do pracy i do domu z nosem wlepionym w jakieś zakurzone artykuły? Gdy tu wylądowałeś, miałeś tę swoją francusko-amerykańską głowę wciśniętą w szeroką gościnną dupę. I do dziś tam pozostała.

David zjeżył się.

— Czy to ci przeszkadza, Hiram?

— Wiesz, jak bardzo polegam na twojej pracy. Lecz nie mogę powstrzymać uczucia, że straciłeś perspektywę.

— Perspektywę? Czego?

— WormCamu. Najważniejsze w nim jest to, co się dzieje tam. — Skinął na okno.

— W Seattle?

Hiram parsknął śmiechem.

— Wszędzie. A technika spoglądania w przeszłość jeszcze tak naprawdę nie zyskała popularności. — Wyraźnie podjął jakąś decyzję. Odstawił kieliszek. — Wiesz co, wybierz się jutro ze mną.

— Gdzie?

— Do fabryki Boeinga. — Wręczył synowi kartę z kodem kreskowym dla autoszofera. — O dziesiątej?

— Dobrze. Ale… Hiram wstał.

— Uważam, że jestem odpowiedzialny za uzupełnienie twojej edukacji, synu. Pokażę ci, jakie zmiany przynosi WormCam.

Bobby przyprowadził Mary, swój ą przyrodnią siostrę, do opuszczonego boksu Kate w Wormworks.

Mary obeszła biurko dookoła, dotknęła martwego ekranu, przejechała dłonią po przepierzeniach akustycznych. Wszystko było klinicznie czyste, uporządkowane, martwe. To jest to?

— Osobiste rzeczy zostały usunięte. Gliny zabrały parę drobiazgów, głównie akta pracy. Resztę wysłaliśmy do rodziny. Od tego czasu ludzie z kryminalistyki przeczołgali się przez wszystko.

— Wygląda jak czaszka, którą wylizał ścierwojad. Skrzywił się.

— Niezły obrazek.

— Ale mam rację, prawda?

— Tak…ale…

Ale, pomyślał, wciąż była jakaś niezatarta kate'owatość w tym anonimowym biurku, w tym fotelu, jakby w ciągu miesięcy, które tu spędziła, zdołała jakoś odcisnąć siebie we fragmencie czasoprzestrzeni. Ciekawe, ile czasu potrwa, zanim to uczucie zaniknie.

Mary przyglądała mu się z uwagą.

— Denerwuje cię to miejsce, prawda?

— Jesteś spostrzegawcza. I szczera do bólu. Uśmiechnęła się, ukazując diamenty — pewnie fałszywe — w przednich zębach.

— Mam piętnaście lat. To mój zawód. Czy to prawda, że WormCamy mogą zajrzeć w przeszłość?

— Gdzie o tym słyszałaś?

— Czy to prawda?

— …Tak.

— Pokaż mi j ą.

— Kogo?

— Kate Manzoni. Nigdy jej nie widziałam. Pokaż mi ją. Macie tu WormCamy, prawda?

— Oczywiście. To przecież Wormworks.

— Wszyscy wiedzą, że możecie WormCamem zajrzeć w przeszłość. A ty wiesz, jak je obsługiwać. A może się boisz? Tak jak się bałeś tu przyjść…

— Wypchaj się. I chodź.

Poirytowany zaprowadził j ą do klatki windy, która zwiozła ich kilka poziomów niżej, na stanowisko robocze Davida.

Davida nie było. Szef techników wyszedł im na spotkanie i grzecznie zaproponował Bobby'emu pomoc. Bobby upewnił się tylko, że instalacja jest włączona, i podziękował za towarzystwo. Usiadł na obrotowym fotelu przed biurkiem Davida i zaczął ustawiać pokaz. Palce z trudem trafiały w obce, manualne klawisze, świecące na ekranie.

Mary przysunęła sobie krzesło.

— Interfejs jest okropny. Ten David musi być jakimś retrodziwakiem.

— Powinnaś okazać mu trochę więcej szacunku. Jest moim przyrodnim bratem.

Prychnęła tylko.

— Czemu mam okazywać szacunek tylko dlatego, że stary Hiram nie umiał się powstrzymać? Zresztą, co ten David robi przez cały dzień?

— David pracuje nad nową generacją WormCamów. To coś, co nazywa technologią ściskanej próżni. — Wziął z biurka i wręczył jej kilka artykułów; przejrzała drobno zadrukowane równaniami strony. — Marzy, że wkrótce będziemy mogli otwierać tunele bez laboratorium pełnego nadprzewodzących magnesów. Taniej i dużo niniejsze…

— Ale wciąż będą w rękach rządu i wielkich korporacji. Tak?

Duży ekran, umocowany do przepierzenia przed biurkiem, rozjaśnił się wirem pikseli. Bobby usłyszał jęk generatorów zasilających wielkie, niezgrabne iniektory Casimira pod nimi; poczuł ostry zapach ozonu z potężnych pól elektrycznych. Maszyneria zbierała energię, a Bobby — jak zawsze — poczuł napływ podniecenia, wyczekiwania.

Ku jego uldze Mary chwilowo umilkła.

Śnieżyca na ekranie przejaśniła się i pojawił się obraz — trochę kanciasty, lecz natychmiast rozpoznawalny.

Patrzyli z góry na boks Kate, parę pięter ponad nimi w Wormworks. Lecz teraz nie widzieli już wyczyszczonej skorupy; w tym boksie ktoś pracował. Ekran leżał przekrzywiony na biurku i niezauważone przepływały po nim dane; ramka w rogu przekazywała coś, co wyglądało na wiadomości: gadającą głowę i miniaturową grafikę. Były też inne oznaki działalności: odcięta puszka po coli, używana jako stojak na ołówki i pióra, ołówki rozrzucone po biurku razem z blokami kartek, kilka złożonych papierowych gazet.

I, co było wyraźniejszym i łamiącym jego serce dowodem obecności Kate: rzeczy osobiste oraz śmieci, które określały to miejsce jako przestrzeń Kate i niczyją inną: parująca kawa w termoaktywnym kubku, zgniecione opakowania po kanapkach, stojący kalendarz, brzydki kanciasty zegar cyfrowy w stylu lat dziewięćdziesiątych, przypięty szyderczo do ścianki działowej pamiątkowy portret — Bobby i Kate na egzotycznym tle Krainy Objawienia.

Odsunięty od biurka fotel wciąż obracał się wolno. Spóźnił się o sekundy, pomyślał.

Mary wpatrywała się w obraz z otwartymi ustami, zafascynowana tym oknem w przeszłość — jak każdy za pierwszym razem.

— Przed chwilą tam byliśmy. Było całkiem inaczej. To niesamowite.

…A teraz Kate weszła spoza ekranu w obraz — Bobby wiedział, że to nastąpi. Miała prostą praktyczną sukienkę, a pasmo włosów zsuwało się jej na czoło i wpadało do oczu. W skupieniu marszczyła brwi; zanim jeszcze zdążyła usiąść, sięgnęła palcami do klawiatury.

— Wiem — wykrztusił z trudem.

Laboratorium rzeczywistości wirtualnej Boeinga okazało się komorą wypełnioną rzędami otwartych stalowych klatek — około setki, ocenił David. Za szklanymi ścianami inżynierowie w białych fartuchach przesuwali się wzdłuż oświetlonych rzędów komputerów.

Klatki były zawieszone na pierścieniach i mogły wychylać się we wszystkich trzech płaszczyznach; każda mieściła wewnątrz szkieletowy kombinezon z gumy i stali z czujnikami i manipulatorami. David został wpięty do jednego z nich; musiał walczyć z klaustrofobią, kiedy przywiązywano mu ręce i nogi. Zrezygnował z systemu genitalnego, który był absurdalnie wielki i podobny do termosu.

— W tej podróży chyba nie będzie mi potrzebny.

Kobieta technik przyniosła hełm — masa elektroniki z miejscem na głowę w środku. Zanim mu go włożyła, zdążył spojrzeć na Hirama. Ojciec siedział w klatce na drugim końcu, kilka rzędów przed nim.

— Jesteś okropnie daleko.

Hiram uniósł dłoń w rękawicy i zacisnął palce.

— Kiedy już wejdziemy, to bez różnicy. — Głos odbijał się echem w ogromnej hali. — Co myślisz o tym zestawie? Robi wrażenie, co?

Mrugnął porozumiewawczo.

David pomyślał o Oku Duszy, prostej obręczy Bobby'ego, kilkuset gramach metalu, które sprzęgały się bezpośrednio z centralnym układem nerwowym i potrafiły zastąpić całą tę całkowicie dotykową aparaturę Boeinga. Po raz kolejny, pomyślał, Hiram wygra.

Pozwolił, by technik opuściła mu hełm na głowę i zawisł w ciemności…

…która rozjaśniała się powoli i mętnie. Dostrzegł unoszącą się tuż przed nim twarz Hirama. Oświetlał j ą delikatny czerwony blask.

— Pierwsze wrażenie — rzucił Hiram. Cofnął się, odsłaniając pejzaż.

David rozejrzał się. Woda, opadająca ku niej, zasypana żwirem plaża, czerwone niebo. Kiedy zbyt szybko poruszył głową, obraz rozpadał się i zmieniał w pojedyncze piksele; czuł na głowie wagę hełmu.

Horyzont zakrzywiał się dość ostro, jakby David patrzył z dużej wysokości. A na horyzoncie stały niskie, zaokrąglone wzgórza, odbijające się w wodzie.

Powietrze wydawało się rzadkie i czuł zimno.

— Pierwsze wrażenie? — powtórzył. — Plaża o zachodzie słońca… Ale takiego słońca jeszcze nie widziałem.

„Słońce" było kulą czerwonego światła, rozjaśniającą się w środku do pomarańczu i żółci. Wisiało nad wyraźnym, nie zamglonym horyzontem, spłaszczone do kształtu soczewki — prawdopodobnie przez refrakcję. Ale było ogromne, o wiele większe niż słońce Ziemi — lśniąca czerwienią kopuła, zajmująca dziesiątą część nieba. Może to olbrzym, pomyślał. Rozdęta stara gwiazda.

Niebo było ciemniejsze niż na Ziemi o zachodzie: fioletowe w górze, szkarłatne wokół słońca, dalej czarne. Ale nawet wokół słońca świeciły gwiazdy; po chwili uświadomił sobie, że widzi błyszczące punkty światła poprzez rozmytą krawędź słońca.

Po prawej stronie słońca była niewielka konstelacja, znajoma Kasjopeja, jeden z najłatwiej rozpoznawalnych gwiazdozbiorów. Lecz po lewej stronie miała jeszcze dodatkową gwiazdę, która zmieniała figurę w krzywy zygzak.

Zrobił krok naprzód. Żwir zachrzęścił przekonująco, poczuł ostre kamienie pod stopami. Zastanowił się, czy punkty nacisku na podeszwach odpowiadają temu, co widzi na ziemi.

Przeszedł kilka kroków nad brzeg wody. Lód błyszczał na skałach; były tam miniaturowe pola lodowe, sięgające aż do wody, oddalonej

mniej więcej o metr. Sama woda była płaska, niemal nieruchoma; kołysała się tylko miękko i leniwie. Schylił się i obejrzał kamyk. Był twardy, czarny, wyszlifowany. Może bazalt? Pod spodem błysnął depozyt krystaliczny, pewnie sól. Jakaś jasna gwiazda z tyłu odbiła się białożółto od kamienia, a nawet rzuciła cień.

Wyprostował się i cisnął kamień w wodę. Leciał długo, ale powoli — czyżby niska grawitacja? — i wreszcie ze słabym chlupnięciem uderzył o powierzchnię; szerokie zmarszczki rozbiegły się leniwie wokół punktu upadku.

Hiram stał tuż obok. Miał na sobie prosty kombinezon mechanika z symbolem Boeinga na plecach. — Odgadłeś już, gdzie jesteśmy?

To scena z jakiejś powieści science fiction, którą kiedyś czytałem. Wizja końca świata.

— Nie — odparł Hiram. — To nie science fiction. I nie gra. To rzeczywistość, a przynajmniej sceneria.

— Wizja z WormCamu?

— Tak. Plus wzmocnienie VR i interpolacje, żeby sceneria reagowała przekonująco, jeśli próbujemy na nią oddziaływać. Na przykład kiedy podniosłeś ten kamień.

— Zakładam, że nie jesteśmy już w Układzie Słonecznym. Czy mógłbym oddychać rym powietrzem?

— Nie. To głównie dwutlenek węgla. — Hiram wskazał okrągłe wzgórza. — Wciąż trwa tu aktywność wulkaniczna.

— Ale to mała planeta. Widzę zakrzywienie horyzontu. Grawitacja jest niewielka; ten kamień, który rzuciłem… Więc dlaczego tak mała planeta nie straciła całego wewnętrznego ciepła, jak nasz księżyc? Aha, gwiazda. — Wskazał błyszczącą kopułę na horyzoncie. — Pewnie jesteśmy dość blisko, żeby efekty pływowe podtrzymywały jądro w stanie płynnym. Jak lo koło Jowisza. A to znaczy, że ta gwiazda nie jest olbrzymem, tak jak myślałem. To karzeł. A my jesteśmy blisko, tak blisko, że może się pojawić woda w postaci płynnej. O ile to jezioro czy morze jest z wody.

— O, tak. Chociaż nie radziłbym jej pić. Jesteśmy na małej planecie, orbitującej wokół czerwonego karła. Rok tutaj trwa około dziewięciu naszych dni.

— Jest jakieś życie?

— Uczeni badający to miejsce nie znaleźli żadnych śladów ani reliktów przeszłości. Szkoda. — Hiram pochylił się i podniósł kolejny kawałek bazaltu. Rzucał on podwójny cień na jego dłoni: jeden szary, rozmyty, od tej dużej czerwonej gwiazdy przed nimi i drugi słabszy, ale ostrzejszy, ze źródła światła za plecami.

… Jakiego źródła światła?

David odwrócił się. Na niebie była gwiazda podwójna: jaśniejsza niż dowolna gwiazda czy planeta widziana z Ziemi, a jednak

zmieniona odległością w dwa punkty światła. Te punkty raniły oczy. Zasłonił j e dłonią.

— Piękne — powiedział.

Odwrócił się znowu i spojrzał na gwiazdozbiór, który wstępnie określił jako Kasjopeję, z doczepioną na końcu dodatkową, jasną gwiazdą.

— Wiem, gdzie jesteśmy. Te jasne gwiazdy za nami to podwójna Alfa Centauri: najbliższe naszemu słońcu jasne gwiazdy, jakieś cztery lata świetlne stąd…

— Prawie cztery przecinek trzy, jak mi powiedziano.

— Więc to musi być planeta Proximy Centauri, najbliższej gwiazdy ze wszystkich. Ktoś sięgnął WormCamem aż do Proximy Centauri. Przez cztery lata świetlne. To niesamowite.

— Dobra robota. Mówiłem ci, tracisz kontakt. To jest właśnie pierwsza linia technologii WormCamu. Ta moc. Oczywiście, konstelacje nie zmieniły się szczególnie, cztery lata świetlne to drobiazg w gwiezdnej skali. Ale ten jaskrawy dodatek przy Kasjopei to Soi. Nasze słońce.

David spojrzał uważnie. Zwykły punkt bladożółtego światła, jasny, ale nie wyjątkowo. A jednak ta iskra była źródłem wszelkiego życia na Ziemi. I to Słońce, i Ziemię, i wszystkie planety, wszystkie miejsca, które kiedykolwiek odwiedził człowiek, można było zasłonić ziarnkiem piasku.

— Ładna jest — powiedziała Mary. Bobby nie odpowiedział.

To naprawdę okno w przeszłość.

— Nie aż takie magiczne — odparł Bobby. — Za każdym razem, kiedy oglądasz film, zaglądasz w przeszłość.

— Daj spokój — szepnęła. — Widzisz tylko to, co jakiś operator, reżyser czy redaktor zechce ci pokazać. I zwykle nawet w informacjach ludzie, na których patrzysz, wiedzą, że tam jest kamera. Ale z tym możesz patrzeć na każdego w dowolnym czasie, wszędzie, czy kamera jest tam obecna, czy nie. Oglądałeś już tę scenę, prawda?

— Musiałem.

— Dlaczego?

— Bo właśnie wtedy jakoby popełniła swoją zbrodnię.

— Ukradła tajemnicę wirtualnej rzeczywistości z IBM? Jak dla mnie, nie wygląda, żeby popełniała przestępstwo.

To go zirytowało.

— A czego się spodziewałaś, że założy czarną maskę? Przepraszam.

— Nie ma sprawy. Wiem, że to trudne. Ale dlaczego miałaby to zrobić? Wiem, że pracowała dla Hirama, ale nie kochała go przesadnie… Och. Kochała ciebie.

Odwrócił głowę.

— FBI twierdzi, że chciała zyskać szacunek w oczach Hirama. Wtedy zaakceptowałby nasz związek. Takie miała motywy… według FBI. I tyle. A potem miała zamiar mu powiedzieć, co zrobiła.

— A ty w to nie wierzysz?

— Mary, nie znasz Kate. To po prostu nie jej styl. — Uśmiechnął się. — Możesz mi wierzyć, jeśli mnie zechce, to mnie weźmie, niezależnie od opinii Hirama. Ale to wszystko świadczy przeciw niej. Technicy zbadali cały jej sprzęt i odzyskali usunięte pliki, które dowodzą, że dane o próbnych eksperymentach IBM były w pamięci, z której korzystała.

Mary wskazała na ekran.

— Przecież możemy zajrzeć w przeszłość. Kogo obchodzą ślady w komputerze? Czy ktokolwiek widział, jak otwiera taki wielki tłusty plik z logo IBM?

— Nie, ale to niczego nie dowodzi. Przynajmniej nie w oczach oskarżenia. Kate wiedziała o WormCamie. Może nawet zgadywała, że w końcu będzie można zajrzeć nim w przeszłość i będą ją obserwować w retrospekcji. Dlatego zatarła ślady.

Mary znowu parsknęła.

— Musiałaby być szalonym geniuszem, żeby wyciąć taki numer.

— Nie znałaś Kate — odparł oschle.

— Zresztą dowody i tak są tylko poszlakowe… Czy to odpowiednie słowo?

— Tak. Gdyby nie WormCam, byłaby już na wolności. Ale nie doszło nawet do procesu. Sąd Najwyższy pracuje nad nowymi ramami prawnymi, ustalającymi dopuszczalność dowodów z WormCamu. A tymczasem sporo spraw, w tym sprawę Kate, odłożono na później.

Impulsywnym gestem oczyścił ekran.

— Czy to cię nie irytuje? — spytała Mary. — To, jak oni używają WormCamu?

— Oni?

— Wielkie korporacje, które podglądają się nawzajem. FBI, które podgląda nas wszystkich. Wierzę, że Kate jest niewinna. Ale ktoś z pewnością szpiegował w IBM, przez WormCam. — Z typową dla młodości pewnością siebie oświadczyła: — Albo wszyscy powinni mieć WormCamy, albo nikt.

— Może masz rację — zgodził się. — Ale to się nie zdarzy.

— A to, co mi pokazywałeś, następna generacja, ta ściskana próżnia…

— Musisz sobie poszukać kogoś innego do dyskusji. Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu.

— Gdybym ja miała wizjer — odezwała się w końcu —

używałabym go bez przerwy. Ale nie po to, żeby ciągle wpatrywać się w jakieś gówno. Szukałabym czegoś ładnego. Dlaczego nie cofniesz się trochę dalej, do czasu, kiedy byłeś z nią szczęśliwy? Drgnął, jakoś nie przyszło mu to do głowy.

— No, dlaczego nie?

— Ponieważ to minęło. To już przeszłość. Nie warto oglądać się za siebie.

— Jeśli teraźniejszość jest do niczego, a przyszłość jeszcze gorsza, przeszłość jest wszystkim, co ci pozostało.

Zmarszczył brwi. Jej twarz, tak podobna do matki, była blada, spokojna, a szczere niebieskie oczy nieruchome.

— Tęsknisz za ojcem.

— Oczywiście, że mi go brakuje — przyznała lekko zagniewana. — Może na tej planecie, z której pochodzisz, jest inaczej. — Złagodniała wyraźnie. — Chciałabym go zobaczyć. Choćby na chwilę.

Nie powinien jej tu sprowadzać.

— Może później — zgodził się. — Chodźmy. Pogoda jest piękna. Pójdziemy na Sound. Żeglowałaś już kiedyś?

Potrzebował długich minut perswazji, żeby ją przekonać.

…A później, po rozmowie z Davidem, dowiedział się, że niektóre artykuły i ręczne notatki o tunelach ściskanej próżni zniknęły z biurka brata.

— Właściwie wpadł na to Disney — tłumaczył spokojnie Hiram, oświetlony blaskiem Proximy. — Do spółki z Boeingiem zainstalowali gigantyczny system WormCamu w starym budynku montażu pojazdów na przylądku Canaveral. Kiedyś składali tam rakiety księżycowe. Teraz wysyłaj ą kamery do gwiazd. Niezłe osiągnięcie, co? Oczywiście na ogół udostępniaj ą te wirtualne podróże naukowcom, ale dyrekcja Boeinga pozwala pracownikom bawić się tutaj podczas przerw. Już teraz oglądają każdą planetę i księżyc w Układzie Słonecznym, a przy tym nawet nie wychodzą z klimatyzowanych laboratoriów. A Disney też chce to wykorzystać. Księżyc i Mars pewnie wkrótce pojawią się w lunaparkach jako rozrywka dla wirtualnych wormcamowych podróżników. Słyszałem, że miejsca lądowania Apollo i Vikingów są szczególnie popularne, chociaż ostro konkurują z nimi stare radzieckie łunochody.

A OurWorld, pomyślał ponuro David, z pewnością ma spory pakiet akcji.

Hiram uśmiechnął się.

— Czemu jesteś taki milczący, Davidzie?

David ocenił swoje emocje: zachwyt, jak przypuszczał, lecz połączony z niechęcią. Podniósł garść kamieni i wypuścił: powolne

odbicia w małej grawitacji nie wydawały się do końca autentyczne.

— To rzeczywistość. Czytałem chyba setkę powieści i tysiąc artykułów naukowych o przyszłych misjach do Proximy. A teraz jesteśmy tu obaj. To marzenie milionów: żeby stanąć tutaj i wszystko to zobaczyć. Marzenie chyba tak silne, że w końcu zabije podróże kosmiczne. Szkoda. Ale to tylko marzenie. Wciąż jesteśmy w tym chłodnym hangarze na przedmieściach Seattle. Pokazując nam cel, ale nie wymagając męczącej podróży, WormCam zamieni nas wszystkich w planetę pełną kanapowców.

— Nie wydaje ci się, że trochę przesadzasz?

— Nie, wcale nie. Hiram, przed WormCamami dedukowaliśmy o istnieniu tej planety z mikroskopijnych odchyleń trajektorii gwiazdy. Wyliczaliśmy, jakie muszą być warunki na powierzchni, ślęczeliśmy nad analizami spektroskopowymi jej rozmytego widma, żeby się przekonać, czy odkryjemy, z czego jest zbudowana. Staraliśmy się konstruować nowe generacje teleskopów, które pozwoliłyby nam zobaczyć jej powierzchnię. Marzyliśmy o zbudowaniu statków, które tu przylecą. A teraz mamy WormCam i nie musimy dedukować, walczyć ani myśleć.

— Czy tak nie jest lepiej?

— Nie! — zawołał David. — To tak, jakby dziecko zaglądało do odpowiedzi na koniec książki. Widzisz, najważniejsze nie są te odpowiedzi, lecz rozwój umysłu, który osiągamy w ich poszukiwaniu. WormCam zniszczy cały wachlarz nauk: planetologię, geologię, astronomię. Przez pokolenia nasi naukowcy będą tylko liczyć i klasyfikować jak osiemnastowieczni kolekcjonerzy motyli. Nauka zmieni się w taksonomię.

— Zapominasz o historii — odpowiedział Hiram.

— Historii?

To przecież ty odkryłeś, że WormCam, który może sięgnąć przez cztery lata świetlne, równie łatwo może sięgnąć cztery lata w przeszłość. Nasze panowanie nad czasem jest znikome w porównaniu z przestrzenią, ale z pewnością się rozwinie. I wtedy dopiero rozpęta się piekło. Pomyśl o tym. W tej chwili możemy się cofnąć o dni, tygodnie, miesiące. Możemy szpiegować nasze żony, podglądać je w ubikacji, gliny mogą śledzić przestępców w chwili zbrodni. Spotkanie z własną przeszłością jest dostatecznie trudne, ale to głupstwo, zwykły drobiazg. Kiedy potrafimy sięgnąć wstecz o lata, wtedy otworzy się historia. I to będzie prawdziwa puszka Pandory. Niektórzy ludzie już przygotowują teren. Na pewno słyszałeś o projekcie Dwunastu Tysięcy Dni. To pomysł jezuitów, działających na polecenie Watykanu: dokładne opowieści z pierwszej ręki o rozwoju Kościoła, wstecz aż do samego Chrystusa. — Hiram skrzywił się. — Duża część z tego to nie będą piękne widoki. Lecz papież jest sprytny. Lepiej żeby zrobił to

Kościół niż ktoś inny. Ale i tak chrześcijaństwo rozsypie się jak zamek z piasku. A inne religie zaraz za nim.

— Jesteś pewien?

Tak, do diabła. — Oczy Hirama błyszczały w czerwonym świetle. — Czy Bobby nie ujawnił, że Kraina Objawienia to wielkie oszustwo stworzone przez kryminalistę?

Prawdę mówiąc, pomyślał David, Bobby tylko pomagał. To odkrycie było triumfem Kate Manzoni.

— Hiramie, Chrystus nie był Billybobem Meeksem.

— Jesteś pewien? Myślisz, że zniesiesz sprawdzenie tego? Czy zniesie to twój Kościół?

…Może nie, pomyślał David. Ale musimy mieć nadzieję, że tak.

Uświadomił sobie, że Hiram miał rację, wyciągając go z klasztornej, akademickiej celi i pokazując to wszystko. Nie powinien się ukrywać, pracować przy WormCamie i nawet nie myśleć, do czego może doprowadzić. Postanowił osobiście zająć się zastosowaniami, nie tylko teorią.

Hiram spojrzał na kopułę słońca.

— Robi się coraz zimniej. Czasami nawet pada śnieg. Chodź. — Poszukał palcami niewidocznych klawiszy przy hełmie.

David patrzył na iskrę światła, która była dalekim Słońcem, i wyobraził sobie, że jego dusza wraca do domu, że frunie z tego pustego brzegu ku pierwotnemu ciepłu.

15. Konfabulacja

Pokój przesłuchań, ukryty głęboko we wnętrzu zabytkowego gmachu sądu, wywierał przygnębiające wrażenie. Brudne ściany wyglądały, jakby nie malowano ich od zeszłego wieku, a nawet wtedy tylko na typową w rządowych pomieszczeniach bladą zieleń.

W tym właśnie pokoju miało być rozerwane na kawałeczki prywatne życie Kate.

Kate i jej adwokat — poważna, tęga kobieta — siedziały na plastikowych krzesłach przy odrapanym drewnianym stole. Na blacie ułożono pełny zestaw urządzeń rejestrujących. Sam Bobby przysiadł na twardej ławce przy ścianie; był tu na życzenie Kate jako jedyny świadek tej dziwnej sceny.

Clive Manning, psycholog wyznaczony przez sąd do sprawy Kate, stał pod przeciwległą ścianą, przy dużym ekranie. Wormcamowe obrazy, ciemne i trochę zniekształcone, migotały, gdy szukał odpowiedniego punktu początkowego. Wreszcie trafił na właściwe miejsce: nieruchomy obraz Kate z jakimś mężczyzną. Stali w ciasnym saloniku i najwyraźniej kłócili się, wrzeszcząc na siebie.

Manning — wysoki, chudy, łysy, koło pięćdziesiątki — zdjął okulary i stuknął drucianą oprawką o zęby — manieryzm, który już teraz zaczynał Bobby'ego irytować; zresztą same okulary też były tylko pozą.

— Czym jest ludzka pamięć? — zapytał Manning. Mówiąc, patrzył w powietrze, jakby zwracał się do niewidocznej publiczności… Zresztą, może tak właśnie było. — Z pewnością nie jest pasywnym mechanizmem rejestrującym jak dysk optyczny czy taśma. Bardziej przypomina urządzenie do opowiadania historii. Informacja sensoryczna zostaje rozbita na odłamki percepcji, a te rozłożone dalej i zachowane jako sceny w pamięci. Nocą, kiedy ciało wypoczywa, sceny te są przywoływane, montowane i odtwarzane. Każdy taki przebieg osadza je głębiej w neuronowej strukturze mózgu. I za każdym razem, kiedy wspomnienie jest przywoływane czy odtwarzane, podlega opracowaniu. Trochę do niego dodajemy, trochę usuwamy, majstrujemy przy logice, uzupełniamy części słabiej zapisane, a nawet zlewamy różne zdarzenia w jedno. W przypadkach ekstremalnych określamy takie działania jako konfabulację. Mózg tworzy i odtwarza przeszłość, produkując w końcu wersję wydarzeń, która nie musi mieć wiele wspólnego z tym, co nastąpiło w rzeczywistości. Na początek, jak sądzę, mogę chyba powiedzieć, że wszystko, co pamiętam, jest fałszem.

Bobby miał wrażenie, że w głosie Manninga zabrzmiała nuta lęku.

— To pana przeraża — domyśliła się Kate.

— Byłbym głupcem, gdybym nie czuł lęku. Wszyscy jesteśmy skomplikowanymi, skażonymi istotami, Kate. Kroczymy w ciemnościach. Być może nasze umysły, te niewielkie i ulotne pęcherzyki świadomości, dryfujące w przerażająco wrogim wszechświecie, potrzebują poczucia własnej ważności, przekonania o logice świata. Tylko to pozwala im przywołać dostatecznie silną wolę przetrwania. Ale bezlitosny WormCam nigdy już nie da nam uciec przed prawdą. — Zamilkł na moment, po czym uśmiechnął się lekko. — Możliwe, że ta prawda doprowadzi nas do obłędu. A może, odarci z iluzji, odzyskamy wreszcie równowagę umysłu, a ja zostanę bez pracy. Co o tym myślisz?

Kate, w bezkształtnej czarnej sukience, siedziała przygarbiona, trzymając złożone dłonie między kolanami.

— Myślę, że powinien pan ciągnąć dalej ten swój pokaz.

Manning westchnął i włożył okulary. Stuknął w róg ekranu i zaczął odtwarzać fragment życia Kate.

Kate na ekranie rzuciła czymś w mężczyznę. Uchylił się, a przedmiot plasnął o ścianę.

— Co to było? Brzoskwinia?

— O ile pamiętam, kumkwat — odparła Kate. — Trochę przejrzały.

— Niezły wybór — pochwalił Manning. — Powinnaś popracować nad celnością.

…dupku. Ciągle się z nią spotykasz, prawda?

To nie twoja sprawa.

Owszem, to jest moja sprawa, śmieciu! Nie wiem, skąd ci się wzięło przekonanie, że będę się na to godzić…

Mężczyzna na ekranie, jak dowiedział się Bobby, miał na imię Kingsley. Przez kilka lat byli z Kate kochankami, przez trzy lata mieszkali razem — aż do tego dnia, kiedy Kate w końcu go wyrzuciła.

Pokaz był dla Bobby'ego trudnym przeżyciem. Czuł się tak, jakby podglądał tę młodszą, nieznaną kobietę, która wtedy nawet nie wiedziała o jego istnieniu; patrzył na wydarzenia, o których mu nie wspominała. Poza tym, jak w większości wormcamowych nagrań, trudno było nadążyć za fabułą; rozmowa rwała się, powtarzała, przeskakiwała na boczne wątki, szwankowała logika; słowa miały raczej wyrażać emocje, niż racjonalnie posuwać akcję do przodu.

Ponad sto lat telwizji i filmu nie przygotowało widzów na rzeczywistość WormCamu. Dramat prawdziwego życia był dla tego życia typowy: nieuporządkowany, pozbawiony struktury, zagmatwany; uczestnicy, jak ludzie w ciemnym pokoju, poruszali się po omacku w stronę zrozumienia tego, co się z nimi dzieje, co czują.

Obraz przeniósł się z saloniku do potwornie zabałaganionej sypialni. Kingsley wciskał swoje rzeczy do skórzanej torby, a Kate chwytała naręcza jego ubrań i wyrzucała je za drzwi. Przez cały czas krzyczeli na siebie.

Wreszcie Kingsley wypadł z mieszkania, a Kate z hukiem zatrzasnęła za nim drzwi. Przez chwilę patrzyła na nie w bezruchu, po czym ukryła twarz w dłoniach.

Manning stuknął w ekran. Obraz znieruchomiał na zbliżeniu przesłoniętej dłońmi twarzy Kate: łzy ściekały jej między palcami, włosy tworzyły splątaną grzywę na czole, a całą scenę otaczała delikatna aureola zniekształcenia rybiego oka.

— Uważam, że to wydarzenie jest kluczem do twojej historii — rzekł Manning. — Do historii twojego życia, Kate. Do tego, kim jesteś.

Prawdziwa Kate, posępna i przygnębiona, bez wyrazu wpatrywała się w swoje młodsze wcielenie.

— Ktoś mnie wrobił — oznajmiła spokojnie. — W szpiegostwo w IBM. Wrobił mnie tak subtelnie, że nawet WormCam nie może tego wykryć. Ale to prawda. I na tym powinniśmy się skupić, a nie na tej kawiarnianej psychoanalizie.

Manning wyprostował się.

— To możliwe. Ale kwestie dowodowe nie należą do moich kompetencji. Sędzia poprosił, żebym określił strukturę twojego umysłu w czasie popełnienia przestępstwa. Motyw i intencja: prawda głębsza nawet od tej, którą ukazuje nam WormCam. W dodatku… — jego głos zabrzmiał twardo — …pozwolę sobie przypomnieć, że nie masz wyboru i musisz współpracować.

— To nie wpływa na moją opinię — stwierdziła.

— Jaką opinię?

— Że jak każdy psychiatra, jakiego spotkałam, jest pan nieludzkim dupkiem.

Adwokat dotknęła jej ramienia, ale Kate odepchnęła jej rękę.

Surowe oczy Manninga błysnęły za szkłami okularów. Bobby uświadomił sobie, że ten człowiek z przyjemnością wykorzysta władzę, jaką zyskał nad upartą kobietą.

Psychiatra odwrócił się do ekranu i raz jeszcze odtworzył scenę zerwania.

— Przypomnę, co mi opowiadałaś o tym okresie swojego życia. Mieszkałaś z Kingsleyem Romanem od prawie trzech lat, kiedy zdecydowaliście się na dziecko. Poroniłaś.

— Na pewno chętnie pan to oglądał — mruknęła Kate.

— Proszę… — Manning był urażony. — Jak rozumiem, postanowiliście z Kingsleyem spróbować jeszcze raz.

— Nie postanowiliśmy. Nie rozmawialiśmy w ten sposób. Manning zamrugał i zajrzał do notesu.

— Ależ tak. Na przykład 24 lutego 2032; to dobra ilustracja; jeśli chcesz, mogę ci pokazać. — Spojrzał na nią znad szkieł. — Nie dziw się, że twoje wspomnienia różnią się od tego, co rejestruje WormCam. To powszechne zjawisko. Posunąłbym się nawet do stwierdzenia, że to zjawisko typowe. Konfabulacja, pamiętasz? Mogę kontynuować?

Odczekał chwilę.

— Mimo podjętej decyzji nie doszło do ciąży. Co więcej, zaczęłaś regularnie zażywać środki antykoncepcyjne, więc poczęcie i tak było wykluczone. Sześć miesięcy po poronieniu Kingsley zaczyna romans z koleżanką z pracy, Jodie Morris. A kilka miesięcy później okazuje się tak nieuważny, że pozwala ci odkryć prawdę. — Przyjrzał się Kate uważnie. — Pamiętasz, co mi o tym opowiadałaś?

— Mówiłam prawdę — odparła niechętnie Kate. — Myślę, że Kingsley podświadomie przypisał mi winę za to dziecko. I zaczął się rozglądać za kimś innym. Poza tym po stracie dziecka moja kariera zaczęła się rozwijać. Odkryłam sprawę Wormwoodu… Myślę, że Kingsley był zazdrosny.

— I skoro ty nie poświęcałaś mu dość uwagi, zaczął jej szukać u kogoś innego?

— Coś w tym rodzaju. Kiedy to odkryłam, wyrzuciłam go. Twierdzi, że to on odszedł.

— Więc jest kłamliwym dupkiem.

— Przecież widzieliśmy tę scenę — przypomniał łagodnie Manning. — Nie zauważyłem żadnych przejawów świadomej decyzji ani jednostronnej akcji któregokolwiek z was.

— Nieważne, co pokazuje WormCam. Ja wiem, jak było naprawdę. Manning pokiwał głową.

— Nie zaprzeczam, że mówisz nam prawdę… w twoim pojęciu, Kate. — Uśmiechnął się z wyższością. — Nie kłamiesz. Nie na tym polega problem. Nie rozumiesz tego?

Kate wbiła wzrok w swe złożone dłonie.

Zrobili przerwę. Bobby'emu nie pozwolili pójść z Kate.

Śledztwo w sprawie Kate było jednym z licznych eksperymentów. Toczyły się w czasie, gdy politycy, eksperci prawa, grupy nacisku i zatroskani obywatele gorączkowo usiłowali zaadaptować jakoś niezwykłe możliwości WormCamu — wciąż nie w pełni znane publiczności — do zasad procesowych, a nawet — wyzwanie o wiele poważniejsze — do systemu naturalnej sprawiedliwości. Najkrócej mówiąc, nagle o wiele łatwiejsze stało się ustalenie fizycznej prawdy. Dochodzenia miały ulec radykalnym zmianom. Wyroki miały być mniej dyskusyjne, bardziej obiektywne, mniej uzależnione od zachowania podejrzanych w sali sądowej czy od klasy obrońców i oskarżycieli. Niektórzy komentatorzy przewidywali, że kiedy

WormCam będzie już dostępny sądom na poziomie federalnym, stanowym i okręgowym, pozwoli zaoszczędzić miliardy dolarów rocznie: procesy będą krótsze, częściej kończące się umowami.

A najważniejsze procesy przyszłości będą się zapewne koncentrować na tym, co pozostanie obok nagich faktów: na motywach i intencjach. Dlatego właśnie sądy zaangażowały psychologów takich jak Manning w sprawie Kate.

Kiedy uzbrojeni w WormCamy funkcjonariusze pracowali nad nierozwiązanymi przypadkami, do sądów trafiały wciąż nowe sprawy. Niektórzy kongresmani proponowali — w celu jak najszybszego nadrobienia zaległości — ogłoszenie amnestii dla przestępstw mniejszej wagi, popełnionych co najmniej jeden pełny rok kalendarzowy przed wynalezieniem WormCamu. To znaczy sugerowali amnestię w zamian za uchylenie ochrony Piątej Poprawki[1] w danej sprawie. Techniki gromadzenia dowodów stały się — dzięki WormCamowi — tak doskonałe, że prawa gwarantowane przez Piątą Poprawkę i tak były już mocno problematyczne. Ta kwestia jednak wywołała żywe dyskusje. Większość Amerykanów najwyraźniej nie chciała bez walki rezygnować z konstytucyjnej ochrony.

Zagrożenia prywatności budziły jeszcze większy opór — tym bardziej, że po dziś dzień nawet w Ameryce nie istniała ogólnie przyjęta definicja prawa do prywatności.

O prywatności nie wspominała konstytucja. Czwarta Poprawka do Karty Praw mówiła o prawie do wolności od interwencji państwa — ale pozostawiała bardzo szerokie pole manewru dla ludzi u władzy, którzy chcieliby szpiegować obywateli, a poza tym nie gwarantowała właściwie żadnej ochrony przed innymi ciałami takimi jak prasa czy korporacje, a nawet inne prywatne osoby. Z chaosu przepisów stanowych i federalnych, a także mnóstwa wyroków sądowych, gwarantujących odpowiednią liczbę precedensów, zaczęło się wyłaniać powszechnie akceptowane znaczenie prywatności. Obejmowało na przykład prawo do „bycia zostawionym w spokoju", do wolności od nieuzasadnionej ingerencji sił zewnętrznych.

Wszystko to zmienił WormCam.

Formacje porządkowe i śledcze, takie jak FBI i policja, w celu zrównoważenia utraty prywatności i innych swobód wprowadziły pewne zabezpieczenia prawne. Na przykład zapisy z WormCamu, mające służyć jako dowody w procesach sądowych, musiały być rejestrowane w ściśle określonych okolicznościach, przez wyszkolonych obserwatorów i z notarialnym potwierdzeniem. To zresztą nie stanowiło problemu — dowolną wormcamową obserwację można było powtórzyć dowolnie wiele razy, zwyczajnie otwierając nowy tunel podprzestrzenny do danego zdarzenia.

Pojawiały się nawet sugestie, że ludzie powinni dobrowolnie poddać się „dokumentacji życia". To dałoby władzom legalny dostęp do wszystkich wydarzeń w przeszłości danej osoby bez konieczności przestrzegania jakichkolwiek procedur. Byłoby też ochroną przed fałszywymi oskarżeniami i kradzieżą tożsamości.

Mimo protestów i kampanii przeciwko naruszaniu praw jednostki wszyscy chyba godzili się, że przynajmniej w sprawach sądowych i śledztwach kryminalnych WormCam pozostanie w użyciu. Był zbyt potężny, by z niego rezygnować.

Niektórzy filozofowie przekonywali, że to dobre rozwiązanie. Ludzie ewoluowali przecież do życia w niewielkich grupach, gdzie każdy znał każdego i rzadko spotykało się obcych. Dopiero niedawno — w skali ewolucyjnej — zostali zmuszeni do egzystencji w większych społecznościach, na przykład miejskich, stłoczeni razem z przyjaciółmi i obcymi obok siebie. WormCam przywracał dawny styl życia, styl myślenia o innych i stosunki z sąsiadami.

Jednak niewielką pociechę znajdowali w tych tłumaczeniach ludzie, którzy obawiali się o swoją przestrzeń osobistą — miejsce, gdzie mogli być samotni, anonimowi, oddaleni, gdzie możliwa była intymność. Ta potrzeba stawała się niemożliwa do realizacji.

A teraz, kiedy coraz bardziej powiększał się zasięg obserwowanej historii, nawet w przeszłości nie mogli znaleźć kryjówki.

Wielu ludzi w ten czy inny sposób ucierpiało po ujawnieniu prawdy. Wielu z nich obwiniało o to nie prawdę i nie samych siebie, ale WormCam i tych, którzy sprowadzili go na świat.

Sam Hiram stał się najbardziej oczywistym celem.

Z początku Bobby podejrzewał, że cieszy go ta sława — jaka by była, na pewno pomagała w interesach. Ale zmęczyła go w końcu lawina gróźb, zamachów i prób sabotażu. Zdarzały się nawet oskarżenia o pomówienie, gdyż ludzie twierdzili, że Hiram musi jakoś fałszować to, co WormCam pokazuje o nich samych, o ich bliskich, wrogach i bohaterach.

Hiram zaczął żyć w pełnym świetle. Jego rezydencja na Zachodnim Wybrzeżu zawsze była zalana blaskiem reflektorów zasilanych przez system generatorów. Nawet sypiał w tym jaskrawym oświetleniu. Żaden system bezpieczeństwa nie jest absolutnie pewny, a w ten sposób Hiram przynajmniej wiedział, że jeśli ktoś przedostanie się do niego, będzie dobrze widoczny dla WormCamów z przyszłości.

I tak żył w bezlitosnym świetle, samotny, obserwowany, znienawidzony…

Nieprzyjemna procedura rozpoczęła się znowu. Manning zajrzał do notatek.

— Pozwolisz, że ustalimy pewne fakty: niezaprzeczalne prawdy

historyczne, właściwie zaobserwowane i zarejestrowane. Po pierwsze, romans Kingsleya z panią Morris nie był pierwszym w okresie, kiedy byliście razem. Przelotnie związał się też z inną kobietą, choć przypuszczalnie nie dało mu to satysfakcji. Ten romans zaczął się miesiąc po waszym poznaniu. Potem jeszcze jeden, sześć miesięcy później.

— Nie.

— Jak się zdaje, skonsumował sześć związków z innymi kobietami, zanim zarzuciłaś mu romans z Jodie. — Manning uśmiechnął się. — Jeśli cię to pocieszy, to oszukiwał też inne partnerki, wcześniej i później. Jest chyba czymś w rodzaju maniakalnego cudzołożnika.

— To śmieszne. Musiałabym coś zauważyć.

— Ale jesteś także istotą ludzką. Mogę pokazać ci sytuacje, gdzie dowody niewierności Kingsleya były dla ciebie wyraźnie widoczne, a jednak odrzuciłaś je, racjonalizując wydarzenia i nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Konfabulacja…

— Mówiłam panu, jak było — odparła lodowatym tonem Kate. — Kingsley zaczął mnie oszukiwać z powodu poronienia, które rozbiło nasz związek.

— No tak, poronienie… Zasadnicze wydarzenie w twoim życiu. Ale obawiam się, że rzeczywistość wyglądała inaczej. Schematy zachowań Kingsleya były już ustalone, zanim jeszcze cię poznał, i fakt poronienia niewiele je zmienił. Mówiłaś też, że poronienie dało ci impuls do cięższej pracy i do zajęcia się własną karierą.

— Tak. To oczywiste.

Tę tezę nieco trudniej obalić, ale znowu mogę ci udowodnić, że twoja kariera przeszła w krzywą wznoszącą już kilka miesięcy przed poronieniem. I tak szłaś już w górę; strata dziecka niczego właściwie nie zmieniła. — Przyjrzał się jej z uwagą. — Kate, skonstruowałaś wokół tego poronienia złożoną historię. Chciałaś wierzyć, że było ważniejsze niż w rzeczywistości. Z pewnością ciężko przeżyłaś to zdarzenie. Ale realnie zmieniło ono bardzo niewiele… Wyczuwam, że mi nie wierzysz.

Milczała.

Manning splótł palce i podparł brodę.

— Myślę, że miałaś rację co do siebie i myliłaś się jednocześnie. Sądzę, że poronienie rzeczywiście zmieniło twoje życie. Ale nie w ten dość powierzchowny sposób, jaki mi przedstawiłaś. Nie skłoniło cię do cięższej pracy, nie spowodowało pęknięcia w twoim związku z Kingsleyem. Jednak strata dziecka naprawdę głęboko cię zraniła. I moim zdaniem w tej chwili kieruje tobą strach, że coś takiego mogłoby się zdarzyć po raz drugi.

— Strach?

— Uwierz mi, że nie próbuję cię osądzać. Staram się tylko wyjaśnić. Znalazłaś sobie rekompensujące zajęcie: swojąpracę. Być może ten ukryty lęk pchnął cię do większych osiągnięć, do sukcesów. Ale praca zmieniła się w obsesję. Tylko ona oddziela cię od tego, co postrzegasz jako przerażającą ciemność w samym jądrze twojej istoty. Dlatego starałaś się coraz bardziej, coraz mocniej…

— Rozumiem. I właśnie dlatego wykorzystałam tunele podprzestrzenne Hirama, żeby szpiegować jego konkurencję. — Kate pokręciła głową. — Doktorze, ile panu płacą za te bzdury?

Manning spacerował wolno przed ekranem.

— Kate, jesteś jedną z pierwszych ludzkich istot, które doznają tego, hm… tego szoku prawdy. Ale nie ostatnią. Wszyscy musimy się nauczyć żyć bez pocieszających kłamstw, jakie szepczemy do siebie w mroku naszych umysłów…

— Potrafią żyć w związku z mężczyzną, w związku trwałym i stabilnym. Jak to pasuje do pańskiej teorii, że jestem ofiarą wstrząsu psychicznego?

Manning zmarszczył brwi, jakby zaskoczony tym pytaniem.

— Chodzi ci o obecnego tu pana Pattersona? Nie ma w tym żadnej sprzeczności.

Podszedł do Bobby’ego, wymamrotał jakieś przeprosiny i przyjrzał mu się uważnie.

— Pod wieloma względami Bobby Patterson jest jednym z najbardziej dziecinnych dorosłych, jakich w życiu spotkałem. Doskonale zatem pasuje do tej, jak to powiedzieć… hm… Do tej dzieckokształtnej dziury w jądrze twojej osobowości. — Obejrzał się na Kate. — Rozumiesz?

Patrzyła na niego osłupiała, z rumieńcem na twarzy.

16. Wojna o wodę

Heather usiadła przed domowym ekranem i wprowadziła nowe parametry poszukiwania. KRAJ: Uzbekistan. MIASTO: Nukus… Bez zdziwienia zobaczyła przed sobą estetyczne, turkusowe logo blokady. Nukus leżało przecież w strefie wojny.

To jednak nie mogło jej powstrzymać na długo. Swego czasu miała dość powodów, aby szukać sposobów na omijanie programów cenzorskich, a dostęp do własnego WormCamu dawał potężną motywację.

Uśmiechnęła się i wróciła do pracy.

Kiedy — po społecznych naciskach — pierwsze firmy komercyjne zaczęły oferować dostęp do WormCamu przez Internet, Heather Mays szybko skorzystała z okazji.

Teraz mogła pracować nawet z domu. Z prostego menu wybierała miejsce, które chciała oglądać. Mogło leżeć gdziekolwiek na świecie, a określała je poprzez współrzędne geograficzne albo adres pocztowy — tak dokładnie, jak tylko potrafiła. Oprogramowanie tłumaczyło jej żądania na współrzędne długości i szerokości geograficznej, po czym proponowało dalsze opcje. Chodziło o to, by ograniczyć obszar poszukiwań do wielkości mniej więcej pokoju, gdzieś na powierzchni albo w pobliżu powierzchni Ziemi, gdzie następnie otwierał się wylot tunelu podprzestrzennego.

Była też opcja losowego wyboru, jeśli nie miała żadnych preferencji, na przykład gdyby chciała obejrzeć jakiś pocztówkowy widok atolu, jednak bez wskazania, którego konkretnie. Mogła też — za dodatkową opłatą — wybierać widoki pośrednie, na przykład mogła zobaczyć ulicę i wskazać dom, który chce „odwiedzić".

Kiedy już dokonała wyboru, otwierał się tunel pomiędzy głównym serwerem dostawcy a wskazanym przez nią punktem. Obrazy z WormCamu przesyłano wprost do jej domowego terminalu. W pewnych granicach mogła nawet sterować punktem widzenia.

Komercyjny interfejs WormCamu sprawiał, że wszystko to przypominało zabawę, a na każdym obrazie wmontowane było logo i reklamy OurWorldu. Heather wiedziała jednak, że możliwości WormCamu są o wiele większe, niż mogłoby się wydawać po tej pierwszej publicznej prezentacji.

Kiedy pierwszy raz nauczyła się posługiwać systemem, była z siebie dumna. Zawołała Mary, żeby się pochwalić.

— Spójrz. — Wskazała palcem. Ekran pokazywał zwykły dom podczas letniego wieczoru. Ramy obrazu zalepiały irytujące reklamy. — To dom, w którym się urodziłam w Boise, w Idaho. Właśnie w tym

pokoju.

Mary wzruszyła ramionami.

— Dasz mi popatrzeć?

— Oczywiście. Właściwie kupiłam to częściowo dla ciebie. Twoje prace domowe…

Tak, tak…

— Słuchaj, to nie jest zabawka… — Nagle ekran wypełnił się tapetą w delikatnym kolorze.

Mary zmarszczyła brwi.

— Co się stało? Och, rozumiem. Dołączają filtr niani. Czyli i tak widzimy to, co pozwalają nam zobaczyć.

Chodziło o to, żeby WormCamu nie używać do podglądania, żeby nie szpiegować ludzi w domach czy innych prywatnych miejscach, nie łamać tajemnic gospodarczych, nie zaglądać do budynków rządowych, instalacji wojskowych, na komisariaty i tak dalej. Oprogramowanie niani miało też monitorować wzorce korzystania z WormCamu i w przypadku groźnego lub zbyt swobodnego zachowania zerwać połączenie i zaproponować poradę — przez system ekspertowy albo przez człowieka.

Poza tym, jak dotąd, udostępniono tylko możliwość zdalnej obserwacji. Całe stado ekspertów uznało oglądanie przeszłości za zbyt niebezpieczne, aby oddać je w ręce obywateli. Twierdzono, że niebezpieczne jest nawet publiczne ujawnienie istnienia wizjera przeszłości.

Oczywiście cała ta zasłona tajemnicy mogła być tak skuteczna jak umiejętności ludzi, którzy ją projektowali. Już teraz, w wyniku internetowych plotek, przecieków z przemyski i rozmaitych spekulacji, domagano się szerszego dostępu do pełnych możliwości WormCamu: do wizjerów przeszłości.

Heather czuła, że ta nowa technologia z samej swej natury będzie trudna do ograniczenia.

Ale nie miała ochoty tłumaczyć tego swej piętnastoletniej córce.

Skasowała ekran i przygotowała się do następnego poszukiwania.

— Muszę popracować. Idź już. Później się pobawisz. Tylko godzinę dziennie.

Mary wyszła z pogardliwą miną, a Heather powróciła do pracy.

Anna Petersen z marynarki wojennej, bohaterka wormcamowej dokumentalne! mydlanki, uczestniczyła w kierowanej przez USA interwencji sił Narodów Zjednoczonych w wojnie o wodę, szalejącej w rejonie Morza Aralskiego. Tę precyzyjną wojnę toczyli alianci przeciwko głównemu agresorowi — Uzbekistanowi, którego atak zagroził zachodnim interesom, dostępowi do złóż ropy naftowej i siarki, a także do wielu ośrodków przeróbki minerałów, w tym do

jednej z ważniejszych kopalni miedzi. Młoda i wykształcona Anna pracowała zwykle na stanowiskach dowodzenia, kierowania i łączności. Technologia WormCamu zmieniła naturę działań wojennych. WormCamy w dużej mierze zastąpiły skomplikowaną technikę obserwacyjną — satelity, samoloty zwiadowcze i stacje naziemne — która od dziesięcioleci kierowała akcjami na polu bitwy. Gdyby jakieś oczy mogły je zobaczyć, to każdy większy cel w Uzbekistanie aż błyszczałby od ujść tuneli podprzestrzennych. Bomby naprowadzane, pociski cruise i inne, często nie większe od ptaków, padały jak grad na uzbeckie ośrodki obrony przeciwlotniczej, sztaby, instalacje łączności, na bunkry kryjące żołnierzy i czołgi, na elektrownie wodne i gazociągi, a także na cele w takich miastach, jak Samarkanda, Andiżan czy Namangan, i w stolicy, Taszkiencie.

Precyzja ataków nie miała precedensu i po raz pierwszy w takich operacjach można było łatwo zweryfikować sukces.

Oczywiście obecnie alianci mieli przewagę w wykorzystaniu WormCamów. Lecz przyszłe wojny będą prowadzone przy założeniu, że obie strony dysponują dokładną i bieżącą informacją na temat strategii, rezerw i ruchów przeciwnika. Heather nie miała nadziei, że taka zmiana doprowadzi do zaprzestania wojen, lecz przynajmniej da wojownikom chwilę do namysłu, co może przynieść zmniejszenie strat.

W każdym razie ta wojna — wojna Anny, chłodna bitwa informacji i techniki — była wojną, którą oglądała amerykańska publiczność, między innymi dzięki sterowanemu przez samą Heather punktowi widzenia WormCamu, unoszącemu się nad kształtnym ramieniem porucznik Petersen, przechodzącej do kolejnych klinicznych, bezkrwawych scenariuszy.

Ale były też plotki, krążące głównie w zakątkach Internetu — który wciąż pozostawał poza kontrolą — o innej, barbarzyńskiej wojnie, rozgrywającej się na ziemi, kiedy do akcji wkraczali żołnierze, aby zabezpieczyć zdobycze uzyskane atakami z powietrza.

Potem angielski kanał wiadomości nadał program o obozie jenieckim, gdzie Uzbekowie przetrzymywali jeńców z sił ONZ, w tym Amerykanów. Krążyły także plotki o jeńcach kobietach, w tym żołnierzach aliantów, które gwałcono w obozach i zmuszano do pracy w domach publicznych gdzieś w głębi kraju.

Ujawnienie tego wyraźnie służyło celom rządów tworzących antyuzbeckie sprzymierzenie. Specjaliści od propagandy z administracji prezydent Juarez nie zawahaliby się przed podsunięciem widzom niepokojącej wizji pięknej Anny z Iowa w rękach smagłych uzbeckich gwałcicieli.

Dla Heather był to dowód brudnego konfliktu, bardzo odległego od czystej gry wideo, w której uczestniczyła Anna Petersen. Dostawała

gęsiej skórki na samą myśl, że może być częścią jakiejś potężnej machiny propagandowej. Kiedy jednak poprosiła swego pracodawcę, Earth News Online, o zgodę na poszukiwanie prawdy o wojnie, odmówiono jej; gdyby próbowała czegoś samodzielnie, mogłaby stracić dostęp do firmowego WormCamu.

Dopóki była ekszoną Hirama i ośrodkiem publicznego zainteresowania, musiała zachowywać się dyskretnie.

Ale potem ognisko publicznej uwagi odsunęło się od rodziny Mays — mogła pozwolić sobie na prywatny dostęp do WormCamu. Rzuciła pracę w ENO, zatrudniła się w firmie przygotowującej wormcamową biografię Abrahama Lincolna i przystąpiła do pracy.

Po kilku dniach znalazła to, czego szukała. Podążyła śladem uzbeckich jeńców, załadowanych na otwartą ciężarówkę ONZ, która odjechała wśród deszczu. Przejechała przez miasteczko Nukus, kontrolowane przez aliantów, i ruszyła dalej w step.

Tam, jak się przekonała Heather, alianci założyli własny obóz jeniecki.

Była to porzucona kopalnia rudy żelaza. Jeńców trzymano w metalowych klatkach, ustawionych rządkiem, jedna na drugiej. Miały metr wysokości, więc ludzie nie mogli w nich wyprostować ani nóg, ani pleców. Trzymano ich tam bez żadnych sanitariatów, bez odpowiedniego pożywienia, ćwiczeń, bez dostępu Czerwonego Krzyża ani jego muzułmańskiego odpowiednika, Merhametu. Nieczystości ściekały przez pręty górnych klatek do tych na dole.

Oceniła, że musi tu być około tysiąca ludzi. Dostawali tylko kubek rzadkiej zupy dziennie. Panowała epidemia żółtaczki, inne choroby także się rozprzestrzeniały.

Codziennie żołnierze wybierali — na pozór całkiem przypadkowo — kilku więźniów, wyprowadzali ich i bili. Trzech lub czterech żołnierzy otaczało każdego i waliło metalowymi prętami, drewnianymi deskami, pałkami. Po jakimś czasie przerywali. Każdy więzień, który mógł jeszcze chodzić, wracał do czekającej grupy i bicie trwało dalej. Potem inni więźniowe odnosili pobitych do klatek.

Taki był ogólny plan dnia. Zdarzały się pojedyncze incydenty, właściwie doświadczenia przeprowadzone na więźniach przez strażników; któremuś nie pozwalano się wypróżniać; innego zmuszono do jedzenia piasku; jeszcze innego do połknięcia własnych fekaliów.

W czasie, gdy Heather obserwowała obóz, sześć osób zmarło. Śmierć była wynikiem pobicia, chorób albo wycieńczenia. Czasami któregoś z więźniów rozstrzeliwano dla przykładu za próbę ucieczki czy oporu. Jednego uwolniono; pewnie po to, żeby przekazał swym towarzyszom wieści o determinacji żołnierzy w błękitnych hełmach, i Heather zauważyła, że strażnicy starali się używać tylko zdobycznej

broni, jakby nie chcieli zostawiać śladów swoich działań. Pomyślała, że najwyraźniej do żołnierzy nie dotarły jeszcze wieści o potędze WormCamu; nie przyzwyczaili się do faktu, że mogą być obserwowani wszędzie i zawsze, a nawet z przyszłości.

Ledwie parę miesięcy temu obserwowanie tych okrucieństw byłoby prawie niemożliwe; pozostałyby nieznane, w każdym razie opinii publicznej.

Takie informacje będą jak dynamit wsadzony w tyłek prezydent Juarez, która zdaniem Heather okazała się najgorszą z wywłok zanieczyszczających powietrze w Białym Domu od początku stulecia (a to już coś mówiło). Nie wspominając już o fakcie, że jako pierwsza kobieta prezydent wzbudzała uczucie wstydu w połowie populacji.

A może — Heather pozwoliła sobie na iskierkę nadziei — masowe sumienie drgnie, gdy ludzie zobaczą, jaka naprawdę jest wojna w swej krwawej glorii, tak jak widzieli ją kiedyś tylko przelotnie, kiedy Wietnam stał się pierwszą wojną telewizyjną, a zanim dowódcy ponownie ustanowili nadzór nad mediami.

Miała nawet nadzieję, że zbliżanie się Wormwoodu zmieni uczucia ludzi wobec siebie. Jeśli wszystko ma się skończyć za parę pokoleń, czy mają znaczenie jakieś zadawnione konflikty? Czy rozsądek pozwoli wykorzystać resztkę czasu, pozostałe jeszcze dni ludzkiego istnienia, na zadawanie bólu i cierpienia innym?

Oczywiście wciąż będą wojny, ale niemożliwa będzie już demonizacja i dehumanizacja przeciwnika — nie wtedy, kiedy każdy może postukać w ekran i obejrzeć obywateli dowolnego państwa, które uznano za wrogie. Nie będzie już propagandowych kłamstw o możliwościach, celach i postawie przeciwnika. Jeśli strategia tajemnic ulegnie przełamaniu, żadnemu rządowi nie ujdą na sucho takie kłamstwa. Już nigdy.

A może jest po prostu idealistką.

Pracowała dalej, zdeterminowana, zaangażowana. Nieważne jednak, jak bardzo starała się być obiektywna — sceny były dla niej nieznośną udręką: widok nagich, wyczerpanych ludzi, wijących się w agonii u stóp żołnierzy w błękitnych hermach, z czystymi, surowymi amerykańskimi twarzami.

Zrobiła sobie przerwę. Przespała się chwilę, wykąpała, a potem Przygotowała coś do zjedzenia (śniadanie — o trzeciej po południu).

Wiedziała, że nie jest jedyną obywatelką, która w ten sposób wykorzystuje nowe możliwości.

Słyszała, że w całym kraju poszukiwacze prawdy łączyli się w grupy, korzystając z WormCamu i Internetu. Niektóre z tych grup były zaledwie czymś więcej niż strażą sąsiedzką. Ale jedna z organizacji, zwana Strażnikami Glin, rozpowszechniała instrukcje, jak nadzorować

pracę policji, aby każde ich działanie miało świadków. Podobno już teraz działalność ta wpływała znacząco na jakość pracy policjantów. Brutalnych i skorumpowanych funkcjonariuszy — na szczęście i tak rzadko spotykanych — ujawniano niemal natychmiast.

Grupy konsumentów zyskały nagle władzę, codziennie ujawniając malwersacje i oszustów. W większości stanów publikowano szczegółowe plany finansowe kampanii, w niektórych przypadkach po raz pierwszy. Sporo uwagi ściągały nie całkiem jawne działania Pentagonu i jego tajny budżet. I tak dalej.

Heather odpowiadała idea zatroskanych obywateli, uzbrojonych w WormCamy i własną podejrzliwość, tłoczących się wokół ludzi skorumpowanych i przestępców niczym białe ciałka wokół rany. Jej zdaniem istniał prosty łańcuch przyczynowo-skutkowy, motywujący podstawowe swobody obywatelskie: z jawności wynikała odpowiedzialność, a z niej z kolei wolność. Techniczny cud — albo przypadek — oddał w ręce osób prywatnych najpotężniejsze narzędzie śledcze.

Jefferson i Franklin byliby pewnie zachwyceni, choćby nawet oznaczało to rezygnację z własnej prywatności…

Z pracowni doszedł jakiś dźwięk. Stłumiony chichot.

Heather boso podkradła się do uchylonych drzwi. Mary z przyjaciółką siedziały przy jej biurku.

— Patrz na tę ofermę — mówiła Mary. — Ręka mu się ześlizguje z czubka.

Heather poznała koleżankę. Sasha, o jedną klasę wyżej od Mary, znana była w miejscowej mafii rodzicielskiej jako Zły Wpływ. Powietrze było aż gęste od dymu ze skręta — prawdopodobnie z zapasów Heather.

Obraz z WormCamu ukazywał nastoletniego chłopca. Heather poznała go także, chodził do tej samej szkoły — Jack? Jacques? Był w sypialni, spodnie miał opuszczone do kostek, siedział przed ekranem i masturbował się, przejawiając przy tym więcej entuzjazmu niż kompetencji.

— Gratulacje — powiedziała cicho Heather. — Widzę, że jednak przebiłaś się przez nianię.

Mary i Sasha aż podskoczyły. Sasha machnęła ręką, bezskutecznie próbując rozwiać obłok dymu marihuany. Mary odwróciła się do ekranu.

— Dlaczego nie? Ty się przebiłaś.

— Z ważnego powodu.

— Czyli tobie wolno, a mnie nie. Jesteś hipokrytką, mamo. Sasha wstała.

— Ja wychodzę.

Tak, wychodzisz — rzuciła Heather w stronę jej pleców. — Mary,

nie sądziłam, że zrobisz coś takiego. Szpiegujesz sąsiadów jak jakiś obleśny podglądacz.

— A co jeszcze można robić? Przyznaj, mamo, że sama robisz się trochę wilgotna.

— Wynoś się stąd.

Śmiech Mary zmienił się w demonstracyjne parsknięcie. Wyszła z pokoju.

Wstrząśnięta Heather usiadła przed ekranem i spojrzała na chłopca. Jego ekran także pokazywał widok z WormCamu — nagą dziewczynę, która też się masturbowała, lecz uśmiechała się przy tym i mówiła coś do chłopca.

Heather zastanawiała się, ilu jeszcze widzów ma ta para. Może o tym nie pomyśleli. Nie można założyć podsłuchu na WormCam, ale trudno też wciąż pamiętać, że oznacza on powszechny dostęp dla każdego. Absolutnie wszyscy mogli oglądać zabawę tych dzieciaków.

Była skłonna się założyć, że przez pierwsze miesiące dziewięćdziesiąt dziewięć procent wykorzystania WormCamu będzie tego typu prymitywnym podglądactwem. W ten sam sposób Internet udostępnił kiedyś pornografię w domu i nikt już nie musiał zaglądać do podejrzanych sklepików. I tak każdy zawsze chciał być podglądaczem, argumentowano, więc teraz możemy to robić bez ryzyka, że nas przyłapią.

Przynajmniej tak się wydawało, podczas gdy w rzeczywistości każdy mógł podglądać tych, co podglądają. Tak samo jak każdy mógł podglądać Mary i Sashę, dwie miłe nastoletnie dziewczyny, które ogarnia przyjemne podniecenie. Może jest nawet jakaś grupa, która osiąga przyjemność z oglądania właśnie jej, Heather, suchej jak kij kobiety w średnim wieku, przyglądającej się analitycznie tej głupiej rozrywce.

A może, jak sugerowali niektórzy komentatorzy, to właśnie możliwość podglądania bliźnich podbijała zainteresowanie domowym dostępem do WormCamu, a nawet przyspieszała jego techniczny rozwój. Tak jak dostawcy pornografii doprowadzili do rozwoju wczesnego Internetu. Heather chciałaby wierzyć, że jej współobywatele są rozsądniejsi, ale może po raz kolejny była idealistką.

W końcu nie zawsze podglądanie służy podnieceniu. Codziennie w wiadomościach mówili o ludziach, którzy z tego czy innego powodu szpiegowali bliskich, odkrywali tajemnice, zdrady, spiski, a to prowadziło do fali rozwodów, przemocy domowej, samobójstw i wielkich wojen między przyjaciółmi, partnerami, krewnymi, dziećmi i rodzicami. Wiele brudu trzeba będzie usunąć z dawnych związków, zanim wszyscy dojrzeją i przyzwyczają się do jawności życia w szklanych ścianach.

Zauważyła, że chłopiec miał na ścianie sypialni spektakularną fotografię pierścieni Saturna, wykonanąprzez sondę Cassini. Oczywiście nie zwracał na to uwagi, gdyż bardziej interesował go własny penis. Heather przypomniała sobie, jak jej własna matka — Boże, ileż to już lat temu — opowiadała kiedyś o wizji przyszłości, z jaką sama dorastała w dawnych, entuzjastycznych i optymistycznych latach. W roku 2025, mówiła, pomiędzy skolonizowanymi planetami powinny kursować statki z napędem jądrowym, przewożące wodę i cenne minerały wydobyte z asteroid. Być może będzie już po starcie pierwszej sondy międzygwiezdnej. I tak dalej.

Uwagę nastolatków w tamtym świecie można było chyba oderwać od rozmaitych części ciała — przynajmniej na jakiś czas! — poprzez widoki marsjańskiej Yalles Marineris, wielkiego basenu Caloris na Merkurym albo lodowych pól na Europie.

Niestety, pomyślała, w naszym świecie wciąż tkwimy na Ziemi i nawet przyszłość pewnie zakończy zbliżająca się nieuchronnie czarna skalna ściana. A wszystko, czego chcemy, to tylko podglądać siebie nawzajem.

Zamknęła tunel podprzestrzenny i wpisała w terminal kilka nowych protokołów bezpieczeństwa. Nie powstrzymaj ą Mary na długo, ale przynajmniej trochę utrudnią jej życie.

Kiedy skończyła — zmęczona i zniechęcona — powróciła do swojej pracy.

17. Maszyna demaskująca

David i Heather siedzieli przed migoczącym ekranem, a ich twarze oświetlało ostre słońce dawno minionego dnia.

…Był szeregowcem, żołnierzem pierwszej brygady piechoty Marylandu. Maszerował z muszkietem w ręku, w długiej tyralierze. Słyszeli rytmiczny i złowróżbny dźwięk werbla.

Nie poznali jeszcze jego imienia. Twarz miał brudną, wilgotną od potu, mundur zakurzony, z plamami po deszczu, połatany. Zbliżając się do linii walk, żołnierz był coraz bardziej zdenerwowany.

W dali dym przesłaniał kolejne szeregi; David i Heather słyszeli już trzask karabinów i huk dział.

Ich żołnierz minął szpital polowy: kilka namiotów ustawionych pośrodku błotnistego pola. Przed najbliższym zobaczyli rząd nie przykrytych, nieruchomych ciał. Obok, chyba jeszcze bardziej przerażający, leżał stos obciętych rąk i nóg; niektóre wciąż miały na sobie strzępy ubrania. Dwóch ludzi wsuwało te ludzkie szczątki do paleniska. Krzyki rannych w namiotach były dalekie, urywane i rozpaczliwe.

Żołnierz sięgnął do kieszeni i wyjął zatłuszczoną talię kart, przewiązanych tasiemką, oraz fotografię.

David, operując klawiszami WormCamu, unieruchomił obraz, powiększył małe zdjęcie ze śladami palców. Wizerunek był prymitywny, czarno-biały i niewyraźny.

To kobieta — powiedział wolno. — A to chyba osioł. I jeszcze… Oj.

Heather uśmiechnęła się.

— Boi się. Uważa, że może nie przeżyć tego dnia, i nie chce, żeby odesłali to do domu z jego rzeczami osobistymi.

David uwolnił obraz. Żołnierz ruszył dalej; karty i fotografię rzucił w błoto i wgniótł je obcasem.

— Posłuchaj — powiedziała Heather. — Co on śpiewa?

David poprawił głośność i ustawił filtry częstotliwości. Żołnierz miał silny akcent, ale dało się rozróżnić słowa:

W ścian lazaretu cichego biel
Gdzie krzyki rannych rozdzierały ciszę
Rannych od szabli, bagnetów i strzelb
Czyjegoś kochanka wnieśli towarzysze…

Za tyralierą pojawił się konny oficer. Jego kary, spieniony koń był wyraźnie wystraszony. Wyrównać szyk. Podciągnąć… Wyrównać.

Mówił twardo, z obcym akcentem.

Nastąpiła eksplozja, w górę wystrzelił gejzer ziemi. Ciała żołnierzy wydawały się rozpadać nagle na duże krwawe fragmenty.

David otrząsnął się. To był pocisk z działa. Nagle, niespodziewanie zaczęła się wojna.

Poziom dźwięku wzrósł gwałtownie: krzyki, przekleństwa, szczęk muszkietów i pistoletów. Szeregowiec podniósł broń, wystrzelił i sięgnął do pasa po następny nabój. Odgryzł papier, odsłaniając proch i kulę; czarne drobinki prochu przykleiły mu się do warg.

— Podobno proch smakował jak pieprz — mruknęła Heather.

Kolejny pocisk trafił niedaleko koła lawety. Zdawało się, że stojący obok koń eksplodował; na wszystkie strony pofrunęły krwawe strzępy. Idący w pobliżu mężczyzna upadł, ze zdumieniem patrząc na kikut, w który zmieniła się jego noga.

Zaczął się horror: dym, ogień, okaleczone ciała, wijący się z bólu ludzie. Wydawało się, że szeregowiec odzyskuje spokój. Maszerował naprzód.

— Nie rozumiem — powiedział David. — Jest w samym centrum masowej rzezi. Czy rozsądek nie nakazywał wycofać się gdzieś, ukryć?

— On nawet nie rozumie, o co chodzi w tej wojnie — odparła Heather. — Żołnierze często tego nie wiedzą. Ale teraz on sam za siebie odpowiada, trzyma swój los we własnych rękach. Może czuje ulgę, że ta chwila nadeszła. Dba o reputację, szacunek kolegów.

To jakieś szaleństwo — mruknął David.

— Oczywiście, że tak.

Nie słyszeli nadlatującej kuli z muszkietu.

Przebiła się przez oczodół i wyszła przez tył głowy szeregowca, wyrywając kawał czaszki wielkości dłoni. David ujrzał wewnątrz szarą i czerwoną materię.

Szeregowiec stał jeszcze przez kilka sekund, wciąż trzymając broń, lecz jego ciało drżało całe, a nogi się uginały. Wreszcie runął na ziemię.

Inny żołnierz odrzucił muszkiet i padł na kolana obok niego. Uniósł łagodnie głowę zabitego i wyglądało, jakby usiłował na powrót włożyć mózg do strzaskanej czaszki.

David stuknął w klawisz i ekran zgasł. Zerwał z uszu słuchawki.

Przez chwilę siedział jeszcze nieruchomo, czekając, aż znikną z umysłu przerażające obrazy i dźwięki z pola bitwy wojny secesyjnej, zastąpione przez naukowy spokój Wormworks i przytłumione rozmowy badaczy.

W rzędach podobnych boksów wokół nich ludzie pracowali przy wormcamowych ekranach, naciskali klawisze, słuchali dawnych głosów w słuchawkach, robili notatki. Większość uzyskała dostęp do sprzętu, składając projekty badawcze, które zostały ocenione przez

specjalny komitet, a potem wybrane drogą losowania. Inni trafili tu jako goście Hirama, tak jak Heather i jej córka. Byli tu dziennikarze, naukowcy, akademicy próbujący rozstrzygnąć historyczne dysputy oraz kilka typów o dość szczególnych zainteresowaniach — w tym wyznawcy spiskowej teorii dziejów — szukających dowodów dla swoich tez.

Ktoś gdzieś cicho gwizdał kołysankę. Melodia stanowiła dziwny kontrapunkt grozy, wciąż żywej w pamięci Davida; natychmiast zrozumiał, o co chodzi. Jeden z bardziej entuzjastycznych badaczy postanowił odkryć prostą melodię, która podobno stała się podstawą Enigma Variations Edwarda Elgara z 1899 roku. Proponowano wiele kandydatek, od murzyńskich pieśni religijnych po zapomniane przeboje musicali, takie jak Mrugaj, mrugaj gwiadko mała. Teraz wyglądało na to, że badacz odkrył prawdę. David z pamięci dopowiedział słowa do starej melodyjki: Marysia miała baranka…

Ludzie przychodzili tutaj, ponieważ w technologii WormCamu OurWorld wciąż wyprzedzał konkurencję. Zasięg aparatury rozszerzał się przez cały czas. Niektórzy z badaczy sięgali już trzysta lat w przeszłość. Na razie jednak — na dobre czy złe — wykorzystanie potężnych wormcamowych wizjerów przeszłości podlegało ścisłej kontroli, możliwe było tylko w takich miejscach jak tutaj, gdzie użytkownicy byli obserwowani i klasyfikowani, a ich wyniki monitorowane, starannie redagowane i interpretowane, zanim doczekały się publicznej prezentacji.

David wiedział jednak, że choćby zajrzał nie wiadomo jak daleko w przeszłość, cokolwiek by zobaczył, niezależnie od wszelkich analiz i dyskusji, te piętnaście minut wojny między stanami, których właśnie był świadkiem, pozostanie z nim już na zawsze.

Heather dotknęła jego ramienia.

— Nie masz zbyt silnych nerwów, co? Na razie zadrapaliśmy tylko powierzchnię tej wojny. Ledwie zaczynamy studiować przeszłość…

— Ale to była zwykła masowa rzeź.

— Oczywiście. Przecież tak jest zawsze. Wojna secesyjna była jedną z pierwszych prawdziwie nowoczesnych wojen. Ponad sześćset tysięcy zabitych, ponad pół miliona rannych, i to wszystko w kraju, który miał zaledwie trzydzieści milionów mieszkańców. To tak, jakbyśmy dzisiaj stracili pięć milionów. Doprawdy niezwykły triumf Ameryki: jako tak młody kraj doprowadziliśmy do takiego konfliktu.

— Ale był sprawiedliwy. — David wiedział, że Heather pracuje nad okresem wojny secesyjnej, który mieścił się w zakresie badań projektu pierwszej prawdziwej, uzyskanej za pomocą WormCamu biografii Abrahama Lincolna. Projekt finansowało któreś towarzystwo historyczne. — Czy takie będą wasze wnioski? W końcu wojna

doprowadziła do zniesienia niewolnictwa w Stanach Zjednoczonych.

— Ale nie o to się toczyła. Wkrótce stracimy nasze romantyczne iluzje w tej kwestii. Będziemy musieli przyjąć prawdę, którą co odważniejsi historycy znają już od dawna. Ta wojna była konfliktem interesów Pomocy i Południa, a niewolnicy to aktywa warte miliardy dolarów. W dodatku krwawa walka toczyła się w nierównym, podzielonym klasowo społeczeństwie. Żołnierzy z Gettysburga wysyłano do Nowego Jorku, żeby tłumili bunty przeciwko zaciągowi do wojska. Lincoln uwięził bez sądu ponad trzydzieści tysięcy przeciwników politycznych…

David gwizdnął pod nosem.

— Sądzisz, że reputacja Lincolna przetrwa to, co odkryjemy? Zaczął przygotowywać nową obserwację.

Heather wzruszyła ramionami.

— Lincoln pozostanie imponującą postacią. Chociaż nawet nie był gejem.

David drgnął ze zdumienia.

— Co? Jesteś pewna? Uśmiechnęła się.

— Ani nawet biseksem.

Z sąsiedniego boksu usłyszał cichy pisk. Heather uśmiechnęła się ze znużeniem.

To Mary. Znowu ogląda Beatlesów.

— Beatlesów?

Heather nasłuchiwała przez chwilę.

— Top Ten Club w Hamburgu. Chyba kwiecień 1961 roku. Legendarne występy, kiedy podobno Beatlesi grali lepiej niż kiedykolwiek. Nigdy ich nie sfilmowali, więc oczywiście nikt ich nie widział… aż do dzisiaj. Mary ogląda wszystkie koncerty, noc po nocy.

— Rozumiem. A jak układają się sprawy między wami?

Zerknęła na przepierzenie i odpowiedziała szeptem:

— Obawiam się, że nasze stosunki zmierzają do gwałtownego załamania. Davidzie, nie wiem, co ona robi przez większość czasu, nie wiem, gdzie chodzi, z kim się spotyka… A kiedy pytam, tylko się złości. Przyszła tu dziś ze mną, bo przekupiłam ją obietnicą, że będzie mogła użyć WormCamu OurWorldu. Jeśli nie liczyć Beatlesów, właściwie nie wiem, do czego go używa.

David się zawahał.

— Nie jestem pewien etycznej strony tego, co proponuję. Ale… Chcesz, żebym się dowiedział?

Zmarszczyła brwi i odgarnęła znad oczu kosmyk siwiejących włosów.

— A możesz to zrobić?

— Porozmawiam z nią.

Obraz na ekranie ustabilizował się.

Świat nie zauważy i nie zapamięta na długo tego, co my tu powiemy, ale nigdy nie może zapomnieć tego, co zrobili…

Słuchacze Lincolna w sztywnych cylindrach i czarnych surdutach, prawie sami mężczyźni, wydawali się Davidowi całkiem obcy, a sam Lincoln wyrastał nad nimi: wysoki i tak chudy, że niemal groteskowy. Głos miał irytująco wysoki i nosowy. A jednak…

— A jednak — powiedział — jego słowa wciąż poruszają.

Tak — zgodziła się Heather. — Myślę, że Lincoln przetrwa proces prawdziwej biografii. Był człowiekiem złożonym, niejednoznacznym, nigdy do końca szczerym. Mówił słuchaczom to, co chcieli usłyszeć, czasem głosił abolicję, a czasem nie. Jednym słowem nie był tym Abe z legendy, starym Abe, uczciwym Abe, ojcem Abe… Ale żył w trudnych czasach; przeżył piekielną wojnę, zmieniając ją w krucjatę. Gdyby nie on, kto wie, czy naród by to przetrwał?

— I nie był gejem.

— Nie.

— A co z dziennikiem Joshuy Speeda?

To sprytna podróbka, stworzona już po śmierci Lincolna przez grupę sympatyków Konfederacji, która zorganizowała zamach. Miała zohydzić jego pamięć, kiedy już odebrali mu życie…

Seksualność Abrahama Lincolna stała się obiektem powszechnego zainteresowania po odkryciu dziennika, napisanego jakoby przez Joshuę Speeda, kupca ze Springfield w stanie Illinois, z którym Lincoln — jako młody, ubogi prawnik — mieszkał przez kilka lat.

Wprawdzie i Speed, i Lincoln ożenili się później, a nawet cieszyli się reputacją kobieciarzy, powstała jednak plotka, że byli kochankami.

W trudnych latach początku dwudziestego pierwszego wieku Lincoln zyskał popularność jako symbol tolerancji — „Różowy Lincoln", niejednoznaczny bohater w niejednoznacznych czasach. Na Wielkanoc 2015, w sto pięćdziesiątą rocznicę zabójstwa Lincolna, odbył się festiwal wokół jego pomnika w Waszyngtonie. Przez jedną noc kamienna postać była skąpana w jaskrawych różowych światłach.

— …Mam poświadczone notarialnie zapisy WormCamu, które tego dowodzą — mówiła Heather. — Systemy ekspertowe przejrzały wszystkie erotyczne podboje Lincolna. Nie ma nawet śladu zachowań homoseksualnych czy biseksualnych.

— Ale Speed…

— Wtedy, w Illinois, on i Lincoln spali w jednym łóżku. Ale w tych czasach nie było to nic niezwykłego. Lincolna nie było stać na własne posłanie!

David podrapał się po głowie.

— To zirytuje wszystkich — stwierdził.

— Musimy się zacząć do tego przyzwyczajać — odparła. — Koniec z bohaterami, koniec z bajkami. Przywódcy muszą być

pragmatyczni. Niemal każdy wybór, jakiego dokonują, to wybór między złem i złem. Najmądrzejsi z nich, tacy jak Lincoln, regularnie wybierają mniejsze zło. I chyba więcej nie można od nich wymagać.

David kiwnął głową.

— Być może. Ale wy, Amerykanie, macie szczęście. Dochodzicie już do końca historii. My, Europejczycy, mamy jeszcze tysiące lat do zbadania.

Umilkli, skupieni na obrazie Lincolna, jego słuchaczy, na głuchych głosach i szumie oklasków dawno już zmarłych ludzi.

18. Spojrzenie w przeszłość

Po sześciu miesiącach sprawa Kate wciąż nie trafiła do sądu. Co kilka dni Bobby dzwonił do FBI, prosząc o spotkanie z agentem Michaelem Mavensem. Mavens twardo odmawiał.

A potem nagle, ku zaskoczeniu Bobby'ego, Mavens zaprosił go do kwatery głównej FBI w Waszyngtonie. Bobby szybko wsiadł w samolot.

Znalazł Mavensa w jego gabinecie — niewielkim anonimowym boksie bez okien. Agent siedział przy zaśmieconym biurku; opierał nogi o stos pudeł z dokumentami, zdjął marynarkę, rozluźnił krawat i na małym ekranie oglądał wiadomości. Gestem ręki poprosił Bobby'ego o ciszę.

Informacja dotyczyła poszerzenia działalności grup obywatelskich, które zaczęły badanie mętnych fragmentów przeszłości. Teraz, w odpowiedzi na społeczne naciski, udostępniono do prywatnego użytku WormCamy z możliwością spojrzenia w historię.

Ludzie badali cudze dawne sekrety albo obserwowali samych siebie z czasów młodości — z podziwem, zdumieniem lub wstydem. Ale kierowali też surowe spojrzenia WormCamów na bogatych i potężnych tego świata. Nastąpiła kolejna fala rezygnacji z urzędów publicznych oraz ze stanowisk w organizacjach i korporacjach — skutek ujawniania rozmaitych przeszłych występków. Powrócono do kilku dawnych skandali. Raz jeszcze przypomniano starą sprawę firm tytoniowych, które wiedziały, a nawet wykorzystywały toksyczne i uzależniające właściwości swoich produktów. Współpraca największych firm świata z nazistami w Niemczech i zyski, jakie z tego ciągnęły — wiele z tych firm wciąż funkcjonowało, niektóre na terenie Ameryki — okazały się sprawą o zasięgu większym, niż przypuszczano. Po latach wątpliwe wydawało się tłumaczenie, że zaprzestano denazifikacji, aby przyspieszyć rozwój gospodarczy po wojnie. Większość producentów komputerów rzeczywiście nie starała się o dostateczną osłonę użytkowników, kiedy w pierwszej dekadzie stulecia pojawiły się na rynku mikrochipy działające na częstotliwościach mikrofalowych, doprowadzając do wzrostu liczby zachorowań na raka…

Bobby zastanowił się.

— To tyle, jeśli chodzi o przepowiednie, że my, zwykli obywatele, nie jesteśmy wystarczająco dojrzali, żeby posługiwać się techniką tak potężną jak wizjer przeszłości. Zachowanie tych ludzi wydaje mi się całkiem odpowiedzialne.

— Możliwe — mruknął Mavens. — Chociaż wszyscy używamy też WormCamów do bardziej obleśnych celów. Dobrze przynajmniej, że ci krzyżowcy nie atakują tylko rządu. Zawsze uważałem, że wielkie korporacje to dużo poważniejsze zagrożenie dla wolności niż wszystko to, co my moglibyśmy zrobić. Tak naprawdę to rząd trzyma ich w szachu.

Bobby się uśmiechnął.

— My, OurWorld, też ucierpieliśmy na tej awanturze z mikrofalami. Wciąż trwają sprawy o odszkodowania.

— Wszyscy przepraszają wszystkich. Co za świat… Bobby, muszę ci powiedzieć, że moim zdaniem jeszcze przez jakiś czas nie można liczyć na postęp w sprawie pani Manzoni. Ale jeśli chcesz, możemy o tym pogadać.

Mavens wydawał się zmęczony; oczy miał podkrążone, jakby nie spał od dawna.

— Jeżeli nie ma żadnego postępu, to co ja tu robię?

Mavens wyglądał na nieszczęśliwego, zakłopotanego, jakby czuł się nieswojo. Stracił gdzieś tę młodzieńczą pewność siebie, którą Bobby u niego pamiętał.

— Ponieważ całkiem nagle mam sporo czasu. Nie zostałem odsunięty, jeśli o tym myślisz. Nazwijmy to urlopem. Jedna z moich dawnych spraw wróciła do ponownego rozpatrzenia. — Spojrzał na Bobby'ego. — I…

— I co?

— Chciałem ci pokazać, co wasz WormCam naprawdę z nami robi. Ten jeden raz, jeden przykład. Pamiętasz może sprawę Wilsona?

— Wilsona?

— W Nowym Jorku, parę lat temu. Nastolatek z Bangladeszu, rodzice zginęli podczas powodzi w trzydziestym trzecim.

— Pamiętam.

— Biuro uchodźców ONZ znalazło dla tego chłopca, Miana Sharifa, rodzinę zastępczą w Nowym Jorku. Bezdzietna para w średnim wieku; już raz adoptowali dziecko, dziewczynkę Barbarę, i wydawało się, że całkiem dobrze ją wychowali. Sprawa wyglądała na prostą. Mian został zamordowany w domu. Okaleczony przed i po śmierci; znaleźliśmy ślady gwałtu. Głównym podejrzanym był ojciec. — Skrzywił się. — Jak zwykle członkowie rodziny.

Zastanowił się chwilę, jakby chciał przypomnieć sobie szczegóły.

— Zajmowałem się tą sprawą. Wyniki laboratoryjne były niejasne, a analiza psychiki Wilsona nie wykazała skłonności do przemocy seksualnej ani żadnej innej. Ale mieliśmy dość, żeby go skazać. Philip George Wilson zginął od zastrzyku trucizny dwudziestego siódmego listopada 2034.

— Ale teraz…

— Jest duże zapotrzebowanie na WormCamy dla nowych i nie rozwiązanych jeszcze spraw, więc analiza spraw zamkniętych, jak Wilsona, miała dość niski priorytet. Ale teraz technologię udostępniono publicznie i ludzie sami oglądają, co chcą. Niektórzy próbują doprowadzić do wznowienia dawnych spraw: przyjaciele, rodzina, nawet sami skazańcy.

— I przyszła pora na Wilsona.

Tak. — Mavens uśmiechnął się smętnie. — Spróbuj zrozumieć, jak się czuję. Widzisz, przed WormCamem nigdy nie byłem pewien, jaka jest prawda. Żaden świadek nie jest w stu procentach godny zaufania. Przestępcy potrafią oszukiwać w badaniach. Dlatego nigdy nie mogłem wiedzieć, co się stało, jeżeli nie byłem na miejscu. Wilson był pierwszym skazanym przestępcą, na którym wykonano wyrok śmierci w wyniku mojego śledztwa. Wiedziałem, że zrobiłem, co mogłem, żeby ustalić prawdę. Ale teraz, lata po tym przypadku, po raz pierwszy mogłem zobaczyć rzekomą zbrodnię Wilsona. I odkryłem prawdę o człowieku, którego wysłałem na śmierć.

— Jesteś pewien, że chcesz mi pokazać…

— I tak wkrótce będzie to publicznie dostępne.

Mavens odwrócił ekran, aby Bobby mógł widzieć obraz, i włączył nagranie.

Ekran ukazał sypialnię z szerokim łóżkiem. Była tam komoda, półki, na ścianie animowane plakaty z gwiazdami rocka, sportu i bohaterami filmowymi. Na łóżku leżał chłopiec: szczupły, ubrany w koszulkę i dżinsy. Opierając głowę na rękach, patrzył to na książki, to na prosty softscreenowy ekran i ssał ołówek. Miał smagłą cerę i gęste, czarne włosy.

To Mian? — spytał Bobby.

Tak. Inteligentny chłopak, spokojny, pracowity. W tej chwili odrabia lekcje. Z Shakespeare'a. Ma trzynaście lat, chociaż wygląda na mniej. No cóż, więcej już mieć nie będzie… Powiedz, jeśli zechcesz przerwać.

Bobby kiwnął głową, postanawiając znieść wszystko aż do końca. To jest test, pomyślał. Test jego nowego człowieczeństwa.

Drzwi otworzyły się na zewnątrz i wszedł krępy mężczyzna w średnim wieku.

— To ojciec. Philip George Wilson.

Wilson przyniósł butelkę wody mineralnej, otworzył ją i postawił na szafce przy łóżku. Chłopiec obejrzał się i rzucił kilka słów.

— Wiemy, o czym rozmawiali. Nad czym pracujesz, o której wraca mama, bla, bla, bla. Nic istotnego, zwykła wymiana zdań.

Wilson rozwichrzył chłopcu włosy i wyszedł. Mian przygładził czuprynę i wrócił do pracy.

Mavens zatrzymał obraz i chłopiec zamienił się w posąg. Migotał

lekko.

— Opowiem ci teraz, co według nas stało się dalej, tak jak zrekonstruowaliśmy sprawę w trzydziestym czwartym. Wilson wraca do pokoju, próbuje molestować chłopaka. Ten go odpycha. Wilson go atakuje. Być może chłopiec walczył, lecz jeśli nawet, to nie zdołał go zranić. Wilson ma nóż, którego, nawiasem mówiąc, nie znaleźliśmy. Rozcina i rozrywa ubranie chłopaka. Kaleczy go. Kiedy już go zabija, podrzynając gardło, być może odbywa stosunek seksualny ze zwłokami albo się masturbuje; znaleźliśmy na ciele ślady jego nasienia. A potem, trzymając trupa w rękach, zalany krwią, wykrzykuje do wyszukiwarki wezwanie alarmowe.

— Chyba żartujesz! Mavens wzruszył ramionami.

— Ludzie czasem dziwnie się zachowują. Faktem jest, że do mieszkania można wejść tylko przez drzwi albo okna, jedne i drugie zamknięte. Nikt ich nie wyłamał. Kamery ochrony w korytarzu niczego nie zarejestrowały. Nie mieliśmy innych podejrzanych prócz Wilsona i sporo dowodów przeciwko niemu. A on nigdy nie zaprzeczył, że to zrobił. Wierzył chyba, że naprawdę się tego dopuścił, tylko niczego nie pamięta. Opinie biegłych były podzielone. Niektórzy psychoanalitycy uważali, że wiedza Wilsona o tym strasznym czynie była zbyt ciężka, aby umysł mógł to znieść. Więc stłumił ją, usunął ten epizod i wrócił do normalnego życia. Mieliśmy też cyników, którzy uważali, że kłamie, że dokładnie wiedział, co robi. Lecz kiedy uświadomił sobie, że nie ujdzie mu to na sucho, zaczął udawać chorobę psychiczną, żeby uzyskać niższy wyrok. Mieliśmy też neurologów, którzy uważali, że prawdopodobnie cierpi na jedną z form epilepsji.

— Ale teraz znamy prawdę — przypomniał Bobby.

— Tak. Teraz prawda. — Mavens stuknął w ekran i nagranie ruszyło dalej.

W rogu pokoju była klatka klimatyzatora. Otworzyła się nagle. Chłopiec, Mian, podniósł się szybko, zaskoczony, i cofnął do kąta.

— Nie krzyknął w tym momencie — zauważył Mavens. — Gdyby to zrobił…

Przez otwarty nawiew wczołgała się jakaś postać: dziewczyna ubrana w obcisły narciarski kombinezon. Wyglądała na szesnaście lat, mogła być trochę starsza. Trzymała nóż.

Mavens znów unieruchomił scenę.

Bobby zmarszczył brwi.

— Kto to jest, u diabła?

— Adoptowana córka Wilsonów. Miała na imię Barbara; wspominałem ci o niej. Tutaj ma osiemnaście lat, od paru lat mieszka poza domem.

— Ale wciąż zna kod dostępu…

— Tak. Przyszła w przebraniu, weszła do przewodów wentylacyjnych, dużych i szerokich w tym starym budynku. W ten sposób dostała się do mieszkania. Za pomocą WormCamu obserwowaliśmy ją parę lat wstecz. Okazuje się, że jej związek z ojcem był nieco bardziej złożony, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Wszystko szło świetnie, dopóki mieszkała z rodzicami. Kiedy wyjechała do college'u, przeżyła kilka ciężkich chwil. Chciała wrócić do domu. Rodzice rozmawiali z nią, lecz zachęcali, żeby została w szkole, stała się niezależna. Może się mylili, może nie. Ale mieli dobre chęci. W każdym razie i tak wróciła pewnej nocy, kiedy matki nie było. Wczołgała się do łóżka, gdzie spał ojciec, i odbyła z nim oralny stosunek seksualny. To ona była inicjatorką. Ale nie powstrzymał jej, a potem czuł się winny. Mian spał w sąsiednim pokoju.

— I pokłócili się…

— Nie. Wilson był przerażony, zawstydzony, ale starał się zachować rozsądek. Odesłał ją do college'u, przekonał, że powinna o tym zapomnieć, że to jednorazowy incydent. Może naprawdę wierzył, że czas uleczy rany. Mylił się. Nie rozumiał, że Barbara jest zazdrosna. Była przekonana, że Mian odebrał jej uczucia rodziców i to dlatego trzymają ją z dala od domu.

— Rozumiem. Dlatego próbowała uwieść ojca: żeby odzyskać swoje miejsce…

— Niezupełnie. — Mavens przycisnął ekran i dramat zaczął się rozwijać dalej.

Mian rozpoznał swoją przybraną siostrę, opanował szok i zrobił krok do przodu.

Barbara podbiegła z zadziwiającą szybkością i uderzyła go łokciem w krtań. Chwycił się za szyję, próbował złapać oddech…

— Sprytnie — stwierdził Mavens z uznaniem profesjonalisty. — Teraz już nie może krzyknąć.

Barbara pchnęła chłopca na plecy i usiadła na nim okrakiem. Złapała go za ręce, przytrzymała nad głową i zaczęła zrywać ubranie.

— Zdawałoby się, że nie ma dość sił na coś takiego — zdziwił się Bobby.

— To nie siła się liczy, tylko determinacja. Mian nawet w tej chwili nie mógł uwierzyć, że dziewczyna, o której myślał jak o siostrze, chce naprawdę zrobić mu krzywdę. Ty byś uwierzył?

Pierś chłopca była już obnażona. Barbara opuściła rękę z nożem…

— Dość — rzucił Bobby.

Mavens wcisnął przycisk i ekran pociemniał — ku uldze Bobby'ego.

— Reszta to szczegóły. Kiedy Mian już nie żył, oparła go o drzwi i zawołała ojca. Wilson przybiegł. Otworzył drzwi, a jeszcze ciepłe ciało syna wpadło mu w ramiona. Wtedy wezwał wyszukiwarkę.

— Ale j ego nasienie…

— Po tamtym incydencie zachowała trochę w specjalnym termosie, który wypożyczyła z laboratorium medycznego. Planowała to wszystko już wtedy. — Wzruszył ramionami. — I udało jej się. Zemsta, zniszczenie ojca, który ją odrzucił, jak sądziła. Wszystko szło po jej myśli, dopóki nie pojawił się WormCam. I tak…

— I tak skazaliście niewłaściwego człowieka.

— Zabiliśmy.

Mavens stuknął w ekran i przywołał nowy obraz. Przedstawiał kobietę około czterdziestki, blondynkę. Siedziała w jakimś zaniedbanym biurze. Była wyraźnie zrozpaczona.

— To Mae Wilson — wyjaśnił Mavens. — Żona Philipa, matka dwójki adoptowanych dzieci. Pogodziła się jakoś ze śmiercią chłopca, którą uważała za straszliwą zbrodnię męża. Pojednała się nawet z Barbarą, u której znalazła pociechę. Teraz, w tej właśnie chwili, musi spojrzeć w oczy o wiele straszniejszej prawdzie.

Bobby czuł się zakłopotany wobec tej grozy, takiego bólu. Lecz Mavens zatrzymał obraz.

— Właśnie teraz — mruknął — złamaliśmy jej serce. I ja jestem za to odpowiedzialny.

— Robiłeś, co mogłeś.

— Nie. Mogłem postarać się bardziej. Ta dziewczyna, Barbara, miała alibi. Teraz widzę, że spokojnie mogłem je obalić. Były inne drobiazgi, niezgodności w czasie, rozkład plam krwi. Ale wtedy tego nie widziałem. — Oczy mu błyszczały. — Nie widziałem prawdy. Tym jest właśnie wasz WormCam. Maszyną prawdy. Bobby pokręcił głową.

— Nie. To maszyna do patrzenia wstecz.

— Na pewno słusznie jest odkryć prawdę — rzekł Mavens. — Wciąż w to wierzę. Oczywiście, że wierzę. Ale czasami prawda boli, budzi cierpienie, jak u tej nieszczęsnej Mae Wilson. I wiesz co? Prawda jej nie pomogła. Nie odda jej Miana ani męża. Jedyne, co zrobiła, to zabrała jej i córkę.

— Wszyscy przez to przechodzimy w ten czy inny sposób. Wszyscy jesteśmy zmuszeni raz jeszcze przeżywać każdy popełniony błąd.

— Być może — zgodził się cicho Mavens. Uśmiechnął się i przejechał palcem wzdłuż krawędzi biurka. — Ale widzisz, co WormCam zrobił dla mnie. Moja praca nie jest już ćwiczeniem intelektualnym, zagadką w stylu Sherlocka Holmesa. Teraz siedzę tu codziennie i oglądam determinację, okrucieństwo… premedytację. Jesteśmy zwierzętami, Bobby. Bestiami w eleganckich ubraniach. — Pokręcił głowę, wciąż uśmiechnięty, i nadal przesuwał palcem wzdłuż biurka, tam i z powrotem, tam i z powrotem…

19. Czas

Dostępność i zasięg WormCamów rosły niepowstrzymane. Niewidzialne oczy opadały niby płatki śniegu przez historię ludzkości, głębiej, coraz głębiej w czas…

Princeton, New Jersey, USA, 17 kwietnia 1955

Jego dobry humor w tych ostatnich godzinach zaskakiwał odwiedzających. Rozmawiał całkiem spokojnie, żartował z lekarzy i zdawał się przyjmować zbliżający się koniec z prostotą, jak zjawisko naturalne.

I oczywiście do samego końca wydawał szorstkie polecenia. Nie życzył sobie, by być celem pielgrzymek. Polecił więc, by jego gabinetu w instytucie nie zachowywać w takim stanie, w jakim go pozostawił, by jego domu nie zmieniać w muzeum i tak dalej.

Doktor Dean zajrzał do niego po raz ostatni o jedenastej wieczorem i przekonał się, że pacjent śpi spokojnie.

Krótko po północy pielęgniarka — pani Alberta Roszel — zauważyła zmianę w rytmie oddechu. Wezwała pomoc i wraz z inną pielęgniarką uniosły podgłówek łóżka.

Mamrotał coś i pani Roszel schyliła się, by posłuchać.

Gdy ten najwspanialszy umysł od czasów Newtona zaczął się wreszcie rozpadać, ku powierzchni świadomości wypływały ostatnie myśli. Może żałował wielkiego projektu unifikacji, który pozostawił niedokończony. Może zastanawiał się, czy pacyfizm był jednak słuszną postawą — czy nie miał racji, zachęcając Roosevelta, by wkroczył w erę atomu. A może zwyczajnie żałował, że zawsze naukę stawiał na pierwszym miejscu, nawet przed tymi, którzy go kochali.

Teraz było już za późno. Jego życie, tak barwne i ciekawe w latach młodości i w wieku średnim, teraz zostało zredukowane — jak każde życie — to pojedynczego, absolutnie prostego wątku.

Pani Roszel pochyliła się, by usłyszeć jego cichy głos. Ale słowa były niemieckie, w języku jego młodości, i ich nie zrozumiała.

Nie widziała też, nie mogła widzieć, roju zmarszczek czasoprzestrzennych, które w tych ostatnich chwilach zawisły nad drżącymi wargami Einsteina, by wysłuchać ostatnich słów: …Lieserl! Och, Lieserl!

FRAGMENTY ZEZNANIA PROF. MAURICE'A PATEFIELDA Z MASSACHUSETTS INSTITUTE OF TECHNOLOGY

PRZEWODNICZĄCEGO GRUPY NACISKU WORMSEED, PRZED KOMISJĄ KONGRESU DO STUDIÓW NAD ELEKTORATEM, 23 WRZEŚNIA 2037

Gdy tylko stało się jasne, że WormCam może spojrzeć nie tylko przez ściany, ale w przeszłość, pojawiła się obejmująca cały ludzki rodzaj obsesja historyczna.

Na początku prezentowano nam profesjonalnie zrealizowane „faktograficzne" wormcamowe nagrania, ukazujące takie ważne wydarzenia jak wojny, zabójstwa czy skandale polityczne. Na przykład „Niezatapialny", rejestrowana z wielu punktów widzenia rekonstrukcja katastrofy „Titanica", okazała się dramatycznym, przykuwającym uwagę nagraniem — mimo że zburzyła wiele związanych z wypadkiem mitów, powtarzanych przez bezkrytycznych pisarzy, i chociaż całe zdarzenie rozegrało się w czerni północnoatlantyckiej nocy.

Wkrótce jednak nie chcieliśmy już czekać na opracowania profesjonalistów. Chcieliśmy zobaczyć coś sami.

Pospieszne badania wielu znanych historycznych momentów z niedawnej przeszłości ujawniły zarówno banały, jak i niespodzianki. Przygnębiające prawdy otaczające Elvisa Presleya, OJ. Simpsona czy nawet śmierci Kennedych z pewnością nikogo nie zaskoczyły. Z drugiej strony rewelacje o morderstwach wielu sławnych kobiet — od Marilyn Monroe przez Matkę Teresę po Dianę, księżną Walii — wywołały szok, nawet w społeczeństwie przyzwyczajonym do prawdy w zbyt wielkiej ilości. Istnienie mrocznej, nieustępliwej grupy mizoginicznych mężczyzn, których działania przeciwko zbyt potężnym (jak uważali) kobietom trwały przez całe dziesięciolecia, kazało obu płciom przeanalizować swoje postawy.

Jednak liczne prawdziwe wersje historycznych wydarzeń — rakietowy kryzys kubański, Watergate, upadek muru berlińskiego, załamanie euro — choć interesujące dla niektórych, okazały się niejasne, pogmatwane i złożone. Niepokój może budzić świadomość, że nawet ci w ośrodkach władzy na ogół niewiele wiedzieli, a jeszcze mniej rozumieli z tego, co działo się wokół nich.

Z całym szacunkiem dla wspaniałych tradycji tej izby, muszę stwierdzić, że niemal wszystkie kluczowe wydarzenia ludzkiej historii to skutki błędów, podobnie jak niemal wszystkie wielkie namiętności to zaledwie prymitywne, manipulanckie rozgrywki.

A co gorsza, prawda na ogół okazuje się… nudna.

Brak planu i logiki w praktycznie całej, prawie nierozpoznawalnej prawdziwej historii, którą teraz właśnie odkrywamy, okazuje się tak trudny do zaakceptowania, tak zniechęcający, że znowu zyskują popularność beletryzowane sprawozdania historyczne. Podają bowiem strukturę narracyjną dostatecznie prostą, by przyciągnąć widza.

Potrzebujemy opowieści i znaczeń, a nie nagich faktów…

Tuluza, Francja, 14 stycznia 1636

W ciszy swej zakurzonej pracowni zdjął z półki ukochaną kopię Artithmetiki Diofantosa. Podniecony, odnalazł Księgę II, Problem 8, i sięgnął po gęsie poro.

> …Z drugiej strony niemożliwe jest, by sześcian zapisać jako sumę dwóch sześcianów albo czwartą potęgę zapisać jako sumę dwóch czwartych potęg ani też, ogólnie, dla dowolnej liczby będącej potęgą większą niż druga, by była zapisana jako suma dwóch takich samych potęg. Znalazłem prawdziwie piękny dowód tego twierdzenia, jednakże margines jest zbyt wąski, by go tu zmieścić…

Bernadette Winstanley, czternastoletnia uczennica z Harare w Zimbabwe, zarezerwowała czas na szkolnym WormCamie i poświęciła się śledzeniu wydarzeń poprzedzających ten krótki zapis Fermata na marginesie książki.

> …Od tego wszystko się dla niego zaczęło, więc tutaj też powinno się skończyć. To przecież ósmy problem Diofantosa tak go zaintrygował i pchnął na drogę matematycznego odkrycia: daną liczbę, która jest kwadratem, zapisać jako sumę dwóch innych kwadratów. Chodzi o algebraiczne wyrażenie twierdzenia Pitagorasa, oczywiście; każde dziecko w szkole zna rozwiązania: na przykład 3 kwadrat plus 4 kwadrat, czyli 9 plus 16, równa się 25, to znaczy 5 w kwadracie.

A gdyby rozszerzyć problem poza geometryczną trywialność? Czy istnieją liczby, które można wyrazić jako sumy wyższych potęg? 3 sześcian plus cztery sześcian to 27 plus 64, w sumie 91, która nie jest sześcianem. Ale czy w ogóle istnieją takie trójki? I co z wyższymi potęgami: czwartą, piątą, szóstą…?

To jasne, że starożytni nie znali takich przypadków — ani też dowodu na niemożliwość ich istnienia.

A teraz on — prawnik i urzędnik, nawet nie zawodowy matematyk — zdołał dowieść, że żadne takie trzy liczby nie istnieją dla dowolnego wykładnika większego od dwóch.

Bernadette odnalazła arkusze notatek, wyrażających samą ideę dowodu, i z niewielką pomocą nauczyciela odszyfrowała ich

znaczenie.

… W tej chwili zajmująco inne obowiązki, ale kiedy tylko znajdzie wolną chwilę, zapisze formalny dowód na podstawie notatek i szkiców, które zebrał. I wtedy zademonstruje go Desarguesowi, Kartezjuszowi, Pascalowi, Bemoullemu i innym… Jakże będą się zachwycać perfekcyjną elegancją wnioskowania!

Potem będzie dalej studiował liczby: te proste, a jednak złożone obiekty, które czasami wydawały się tak niezwykłe, że wyobrażał sobie, iż muszą istnieć niezależnie od ludzkiego umysłu, który je stworzył…

Pierre de Fermat nigdy nie zapisał dowodu tego, co stało się sławne jako jego wielkie twierdzenie. Jednak krótka notka na marginesie, odkryta po śmierci Fermata przez jego syna, kusiła i fascynowała całe pokolenia matematyków. Dowód został odkryty — choć dopiero pod koniec dwudziestego wieku; był technicznie bardzo skomplikowany i wykorzystywał abstrakcyjne właściwości krzywych eliptycznych i innych nieznanych za czasów Fermata obiektów matematycznych. Uczeni nie wierzyli, by Fermat mógł znaleźć dowód w swojej epoce. Może popełnił błąd — a może zakpił sobie z przyszłych pokoleń.

Aż nagle, w roku 2037, ku powszechnemu zdumieniu, uzbrojona jedynie w matematykę szkoły średniej czternastoletnia Bernadette Winstanley zdołała udowodnić, że Fermat miał rację.

I kiedy wreszcie opublikowano dowód wielkiego twierdzenia Fermata, zaczęła się rewolucja w matematyce.

ZEZNANIE PATEFIELDA: Oczywiście, różni dziwacy natychmiast skorzystali z okazji, żeby osobiście zajrzeć w historię. Jako naukowiec i racjonalista uważam za wielkie szczęście, że WormCam okazał się najznakomitszym stworzonym dotąd demaskatorem.

Nie podlega więc już dyskusji, na przykład, że jakieś UFO rozbiło się w 1947 roku w Roswell, stan Nowy Meksyk. Ani jeden przypadek porwania przez obcych, jaki dotąd zbadano, nie był niczym więcej niż błędną interpretacją jakiegoś niewinnego zjawiska, często skomplikowaną przez psychicznie niezrównoważony umysł. Podobnie nawet strzęp dowodu nie potwierdził dotąd żadnego zjawiska paranormalnego, niezależnie od jego popularności.

Systematycznie upadają całe gałęzie usług parapsychicznych, mediów, astrologów, uzdrowicieli, homeopatów i innych. Czekamy na dzień, kiedy punkty widzenia WormCamu sięgną aż do czasów budowy piramid,

Stonehenge, geoglifów z płaskowyżu Nazca oraz innych źródeł „mądrości” i „tajemnicy”. A potem przyjdzie czas na Atlantydę…

Być może zaczyna się nowa era — być może w niezbyt odległej przyszłości ludzkość wreszcie uzna, że prawda jest ciekawsza od złudzeń.

Florencja, Włochy, 12 kwietnia 1506

Bernice zdawała sobie sprawę, że jest tylko początkującym badaczem w biurze kustosza Luwru. Dlatego zdziwiło ją — i ucieszyło — kiedy zaproponowano, by sprawdziła pochodzenie jednego z najsłynniejszych obrazów w muzeum.

Nawet jeśli wyniki badań mniej ją ucieszyły.

Z początku wszystko szło łatwo. Obserwacje ograniczały się do murów samego Luwru: przed rozmazanymi tłumami zwiedzających, pilnowana przez pokolenia kustoszy, piękna dama siedziała w półmroku za płytą pancernego szkła i patrzyła, jak mija czas.

Lata poprzedzające przeniesienie do Luwru okazały się ciekawsze.

Bernice obejrzała przelotnie ciąg pięknych domów, pokolenia elegancji i władzy, przerywane okresami wojen, niepokojów społecznych i ubóstwa. Większość tych zdarzeń, aż po siedemnasty wiek, potwierdzała udokumentowaną historię obrazu.

Potem — na początku wieku, ponad sto lat od przypuszczalnego powstania dzieła — pojawiła się pierwsza niespodzianka. Bernice patrzyła zdumiona, jak chudy, wygłodniały młody malarz stoi przed dwoma wiszącymi obok siebie kopiami słynnego malowidła — a potem, z wstecznym biegiem czasu, jednym pociągnięciem pędzla po drugim eliminuje kopię, która po wiekach trafiła do Luwru.

Na krótko podążyła z czasem, śledząc los starszego „oryginału”, na podstawie którego namalowano wiszącą w muzeum kopię — tylko kopię, zwykłą replikę. „Oryginał” przetrwał nieco ponad dwieście lat, jak odkryła, i przepadł w wielkim pożarze w okresie rewolucji francuskiej.

Wormcamowe studia ujawniły, że większość najsłynniejszych dzieł sztuki jest fałszerstwami albo kopiami — ponad siedemdziesiąt procent obrazów pochodzących sprzed dwudziestego wieku (i nieco mniejsza część rzeźb, prawdopodobnie z powodu większego nakładu pracy, niezbędnego do stworzenia kopii). Historia była niebezpieczną, niszczycielską drogą, którą niewiele rzeczy wartościowych pokonywało bez szwanku.

Nic jednak nie wskazywało, by ten obraz, właśnie ten spośród wszystkich innych, mógł nie być prawdziwy. Wiadomo wprawdzie, że w różnych okresach i miejscach krążyło przynajmniej kilkanaście replik, ale Luwr dysponował ciągłą dokumentacją własności od chwili, kiedy artysta odłożył pędzel. Poza tym pod wierzchnią warstwą farby dało się wykryć ślady zmian kompozycji, wskazujące raczej na przerabiany i poprawiany oryginał niż na kopię.

Ale przecież, domyśliła się Bernice, techniki kompozycji i dokumenty także można podrobić.

Oszołomiona powróciła w głąb czasu, do tego brudnego pokoiku i pomysłowego malarza fałszerza. Po czym ruszyła śladem „oryginału", który skopiował — dalej w przeszłość.

Mijały dziesięciolecia, zmieniali się właściciele — wszystko to było jednak nieistotnymi ruchomymi plamami wokół niezmiennego portretu.

I wreszcie zbliżyła się do początku szesnastego wieku, do jego pracowni we Florencji. Nawet teraz powstawały kopie — wykonane przez uczniów mistrza. Ale wszystkie były naśladownictwem jednego, zaginionego „oryginału", który Bernice zidentyfikowała.

Może teraz, pomyślała, nie czekają jej już nowe niespodzianki.

Myliła się.

Owszem, on sam zajął się kompozycją, wstępnymi szkicami i projektem obrazu. Miał to być portret doskonały, oświadczył dumnie; fizyczne cechy i symboliczne znaczenia tematu miały zostać zsyntetyzowane w perfekcyjną jedność, razem z zamaszystym, płynnym stylem, który oszołomi współczesnych i zafascynuje przyszłe pokolenia. Do niego należała koncepcja i triumf.

Ale nie wykonanie. Mistrz — pochłonięty licznymi zamówieniami oraz swą pasją: nauką i techniką — wykonanie pozostawił innym.

Bernice, czując wzbierające w jej sercu podziw i niepokój, patrzyła, jak Rafael Sanzio, młody człowiek z prowincji, pracowicie kładzie ostatnie pociągnięcia na ten łagodny, tajemniczy uśmiech…

ZEZNANIE PATEFIELDA: Można jedynie żałować, że pada wiele ulubionych — i nieszkodliwych — mitów, wystawionych na ostry blask dnia dzisiejszego.

Betsy Ross to znany, niedawno ujawniony przykład.

Betsy Ross istniała naprawdę. Ale nigdy nie odwiedził jej Jerzy Waszyngton; nie proszono jej, by stworzyła sztandar nowego narodu; nie pracowała nad projektem wspólnie z Waszyngtonem; nie uszyła flagi w swoim salonie. O ile można to stwierdzić, całą tę legendę spreparował jej wnuk prawie sto lat później.

Mit Davy'ego Crocketta został stworzony przez niego samego, a legendę dość cynicznie rozwijano, by zwiększyć popularność Partii Wigów w Kongresie. Żadna jednak wormcamowa obserwacja nie potwierdziła, by na wzgórzu Kapitolu Crockett choć raz użył frazy „b'ar-hunting".

Za to reputację Paula Revere'a WormCam potwierdził, a nawet poprawił.

Przez wiele lat Revere służył jako główny goniec w Bostońskim Komitecie Bezpieczeństwa. Jego najsłynniejsza jazda — do Lexington, by ostrzec przywódców rewolucji o wymarszu sił brytyjskich — była, co zakrawa na ironię, jeszcze bardziej ryzykowna, a dokonania Revere'a bardziej heroiczne, niż głosi legenda prezentowana w poemacie Longfellowa. Mimo to wielu współczesnych Amerykanów jest zdegustowanych wyraźnym francuskim akcentem, jaki bohater odziedziczył po ojcu.

l tak dalej — nie tylko w Ameryce, ale na całym świecie. Okazało się również, że kilka słynnych postaci — komentatorzy nazywają je „bałwanami" — w ogóle nie istniało. Bardziej interesujące od samych mitów staje się zatem badanie drogi ich powstawania. Rodzą się one z nielicznych, jałowych faktów, a czasem bez żadnych faktów. Można w tym dostrzec działanie jakby niemego spisku, jakiejś tęsknoty, rzadko kontrolowanej w sposób świadomy.

Musimy się zastanowić, dokąd nas to wszystko doprowadzi. Ludzka pamięć, jak wiemy, nie jest pasywnym urządzeniem rejestrującym, ale narzędziem służącym kreacji własnego „ja". Podobnie historia nigdy nie była zwykłym zapisem przeszłości, ale metodą kształtowania społeczeństw.

l tak jak każdy człowiek musi teraz nauczyć się konstruować własną osobowość w bezlitosnym świetle WormCamów, społeczeństwa także muszą się pogodzić z nagą prawdą o swej przeszłości — i znaleźć nowe sposoby wyrażenia wspólnie wyznawanych wartości. Tylko wtedy zdołają przetrwać w przyszłości. Im szybciej się do tego zabierzemy, tym lepiej.

Lodowiec Similaun, Alpy, kwiecień 2321 p.n.e.

Ten świat należał do żywiołów: czarne skały, błękitne niebo, lśniący biały lód. Była to jedna z najwyższych alpejskich przełęczy.

Samotny człowiek szedł przez to zabójcze otoczenie — i szedł z absolutną pewnością.

Ale Marcus wiedział, że obserwowany człowiek zbliża się już do miejsca, gdzie — skulony pod głazem, z ułożonymi obok siebie neolitycznymi narzędziami — spotka swój koniec.

Z początku, badając możliwości WormCamu w Instytucie Studiów Alpejskich uniwersytetu w Innsbrucku, Marcus Pinch obawiał się, że nowe urządzenie zniszczy archeologię i zastąpi ją czymś podobnym do zbierania motyli: prymitywnymi obserwacjami „prawdy", być może prowadzonymi przez niewyszkolone oczy. Nie będzie więcej Schliemannów, nie będzie Troi, skończy się cierpliwe odszyfrowywanie przeszłości z niewielkich pozostałości i śladów.

Okazało się jednak, że wciąż jest potrzebna skumulowana mądrość archeologii jako najlepszej z możliwych osiągalnej rekonstrukcji prawdziwej przeszłości. Po prostu zbyt wiele było do zobaczenia — a horyzont zasięgu WormCamu rozrastał się bez przerwy. Przez pewien czas urządzenie pełniło rolę uzupełniającą dla konwencjonalnych metod archeologicznych: dostarczało kluczowych argumentów w dyskusjach, wzmacniało bądź obalało hipotezy. Z wolna pojawiała się zgodna opowieść o przeszłości.

W tym przypadku, dla Marcusa, prawda ujawniona tu i teraz, za pośrednictwem błękitno-biało-czarnych obrazów przekazywanych na ekran przez czas i przestrzeń, miała dać odpowiedź na jedno z najciekawszych pytań w jego zawodowej karierze.

Człowiek, na którego patrzył, łowca, został wykopany z lodu pięćdziesiąt trzy wieki po swej śmierci. Plamy krwi, tkanki, skrobi, włosów i fragmentów piór na jego narzędziach pozwoliły uczonym, w tym samemu Marcusowi, zrekonstruować znaczną część jego życia. Współcześni badacze nadali mu nawet żartobliwe imię: Ötzi, Lodowy Człowiek.

Marcusa szczególnie interesowały dwie strzały — posłużyły nawet za temat jego pracy doktorskiej. Obie były złamane i Marcus zdołał wykazać, że łowca przed śmiercią usiłował je rozłożyć i zbudować jedną dobrą, mocując lepszy grot do całego drzewca.

Właśnie taka żmudna, detektywistyczna praca pociągała Marcusa w archeologii. Nie dostrzegał żadnych granic dla stosowanych metod. Być może każde zdarzenie pozostawiało jakiś ślad we wszechświecie, ślad możliwy do wykrycia dostatecznie czułym instrumentem. W pewnym sensie WormCam był spełnieniem niewypowiedzianej intuicji każdego archeologa: że przeszłość jest realnie istniejącą krainą, którą można dokładnie badać centymetr po centymetrze.

Ale otwierały się także nowe księgi. WormCam mógł bowiem odpowiedzieć na pytania nietknięte przez tradycyjną archeologię niezależnie od stosowanych metod. Te pytania dotyczyły nawet

Ötziego, choć stał się najlepiej znanym ze wszystkich ludzi żyjących w czasach prehistorycznych.

Pytanie, na jakie nie znaleziono odpowiedzi — na które nie można było znaleźć odpowiedzi na podstawie odkopanych fragmentów — to dlaczego zginął Lodowy Człowiek. Może uciekał przed bitwą albo ścigał swoją miłość. Może był przestępcą i uchodził przed okrutną sprawiedliwością swej epoki.

Marcus przeczuwał, że wszystkie te wyjaśnienia są fałszywe, są projekcjami pojęć współczesnego świata w surową przeszłość. Ale wraz z całym światem pragnął poznać prawdę.

Teraz jednak świat zapomniał o Ötzim, jego skórzanym okryciu, narzędziach z krzemienia i miedzi, o tajemnicy jego samotnej śmierci. W świecie, gdzie mogła powrócić do życia dowolna postać z przeszłości, Ötzi nie był już sensacją. Nie był nawet szczególnie interesujący. Nikogo nie obchodziło, jak właściwie umarł.

Nikogo oprócz Marcusa. Dlatego Marcus siedział teraz w chłodnym uniwersyteckim laboratorium i sunął przez alpejską przełęcz nad ramieniem Ötziego. Czekał, aż pozna prawdę.

Ötzi był wysokiej klasy alpejskim łowcą. Miedziane ostrze toporka i czapka z niedźwiedziej skóry dowodziły prestiżu i myśliwskiej zręczności. Celem jego ostatniej wyprawy była zwierzyna najbardziej nieuchwytna, jedyne zwierzę alpejskie, które nocą chroni się w wysokich skałach: kozica ibeks.

Ale Ötzi był już stary: miał czterdzieści sześć lat, a więc, jak na człowieka tego okresu, osiągnął zaawansowany wiek. Dokuczał mu artretyzm, a tego dnia zapadł na zakażenie jelitowe, skutkujące chroniczną biegunką. Pewnie był słabszy i wolniejszy, niż mu się zdawało — i niż chciał przyznać.

Coraz głębiej zapuszczał się w mroźne góry. Na przełęczy rozbił biwak, zamierzając naprawić połamane strzały i następnego dnia podjąć pościg. Zjadł ostatni posiłek: solone mięso kozicy i suszone śliwki.

Ale noc okazała się krystalicznie czysta, a wiatr wył na przełęczy, wysysając z ciała Ötziego resztki ciepła.

To była smutna, samotna śmierć. Marcus miał wrażenie, że w pewnej chwili Ötzi próbował wstać, jakby zdał sobie sprawę ze straszliwej pomyłki, jaką popełnił — jakby wiedział, że umiera. Ale nie miał już sił, a Marcus nie mógł sięgnąć przez podprzestrzenny tunel WormCamu, żeby mu pomóc.

I tak Ötzi miał leżeć w samotności, pogrzebany w lodzie, przez pięć tysięcy lat.

Marcus wyłączył WormCam i Ötzi raz jeszcze spoczął w spokoju.

ZEZNANIE PATEFIELDA: Wiele krajów — nie tylko Ameryka — musi mierzyć się z poważnymi wewnętrznymi dyskusjami o nowych prawdach ujawnionych w przeszłości — prawdach, które w wielu przypadkach były zaledwie wspomniane albo całkiem pominięte w konwencjonalnej historii.

We Francji na przykład pojawił się problem nieoczekiwanie szerokiej kolaboracji z nazistowskim reżimem podczas okupacji niemieckiej w czasie drugiej wojny światowej. Pocieszające mity o znaczeniu wojennego Resistance uległy zachwianiu, między innymi przez rewelacje dotyczące Davida Moulina, szanowanego przywódcy ruchu oporu. Mało kto ze znających legendę Moulina gotów był na odkrycie, że bohater rozpoczął swą karierę jako nazistowski „kret" — choć później dał się przekonać do sprawy narodowej i rzeczywiście był torturowany i zamordowany przez SS w 1943 roku.

Współcześni Belgowie są przytłoczeni brutalną rzeczywistością Wolnego Państwa Kongo, silnie scentralizowanej kolonii, której celem było ogołocenie terytorium z bogactw naturalnych, przede wszystkim kauczuku. Porządek utrzymywano okrucieństwem, zabójstwami, głodem, wycieńczeniem i chorobami, co doprowadziło do wysiedlania całych społeczności oraz śmierci ośmiu milionów ludzi w latach od 1885 do 1906.

Na obszarach byłego Związku Radzieckiego ludzi pochłania obserwacja okresu stalinowskiego terroru. Niemcy znowu stają wobec holocaustu. Japończycy po raz pierwszy od pokoleń muszą radzić sobie z prawdą o wojennych masakrach i zbrodniach w Seczuanie i nie tylko. Izraelczycy odkrywają swoje zbrodnie wobec Palestyńczyków. Kruchej demokracji w Serbii grozi załamanie wskutek ujawnienia grozy działań wojennych w Bośni i w innych republikach po rozpadzie dawnej Jugosławii.

l tak dalej.

Większość tych zbrodni była oczywiście znana jeszcze przed WormCamem. Powstawało wiele otwartych i sumiennych dzieł historycznych. Ale mimo to nieskończona, ponura banalność tego wszystkiego, rzeczywistość pełna tylu okrucieństw, cierpień i zniszczeń budzi niepokój.

Rodzą się także emocje silniejsze od niepokoju.

Trwające od wieków spory narodowościowe i religijne były przyczyną wielu dawnych konfliktów. Tak też dzieje się i tym razem: byliśmy świadkami odruchów gniewu,

zamieszek, rozruchów etnicznych, a nawet zamachów i niewielkich wojen. Gniew często kierowany jest przeciwko OurWorldowi — jak na posłańca przynoszącego złe wieści.

Jednakże mogło być gorzej.

Co prawda wiele gniewu zrodziło ujawnienie dawnych krzywd, niektórych wykrytych po raz pierwszy, jednak, ogólnie rzecz biorąc, każda większa społeczność zbyt dokładnie uświadomiła sobie własne zbrodnie przeciwko swoim i obcym, by szukać zemsty za cudze przewiny. Żaden naród nie jest bez grzechu, żaden nie jest skłonny jako pierwszy rzucić kamieniem, l niemal każda istniejąca dzisiaj poważna organizacja — czy to naród, czy korporacja, czy Kościół — czuje się zmuszona do przepraszania za występki popełniane w przeszłości w jej imieniu.

Czeka nas jednak szok o wiele poważniejszy.

WormCam nie przekazuje nam przecież lekcji historii w formie wykładu czy też kolorowych, animowanych mapek. Nie ma wiele do powiedzenia o chwale czy honorze. WormCam po prostu ukazuje ludzkie istoty, pojedyncze, często głodujące, cierpiące, ginące z ręki współbliźnich.

Wielkość nie ma już znaczenia. Widzimy teraz, że każdy umierający człowiek jest środkiem wszechświata, niezwykłą iskierką nadziei i rozpaczy, miłości i nienawiści, w samotności odchodzącą w ciemność. WormCam wniósł do obserwacji przeszłości nową demokrację. Jak mógłby to ująć Lincoln, historia, jaka wyłania się z tych obserwacji, będzie nową historią ludzkości: opowieścią o ludziach, tworzoną przez ludzi i dla ludzi.

Najważniejsza staje się moja historia — albo ukochanej osoby, rodzica, przodka, który zginął najzwyczajniejszą, bezsensowną śmiercią w błotach pod Stalingradem, Passchendaele czy Gettysburgiem lub po prostu umarł złamany znojnym życiem. Wyposażeni w WormCamy, przy wsparciu wielkich centrów genealogii, takich jak mormońskie, odkrywamy własnych przodków.

Są tacy, którzy twierdzą, że to niebezpieczne i grozi destabilizacją. Trzeba przyznać, że po fali rozwodów i samobójstw, jaka nastąpiła po udostępnieniu wormcamowej otwartości, nadeszła kolejna fala — wynik szpiegowania partnerów nie tylko w czasie rzeczywistym, ale i w przeszłości, tak daleko, jak tylko zechcemy; każdy dawny grzech, ujawniony czy ukryty, może być teraz zbadany, wszystkie stare rany na nowo otwarte. Ale to tylko proces dostosowania, który najsilniejsze związki z pewnością

przetrwają. Zresztą takie relatywnie proste konsekwencje WormCamu są nieistotne wobec wielkiego daru prawdy historycznej, jaka po raz pierwszy stała się dla nas dostępna.

Dlatego nie zgadzam się z prorokami zguby. Powiadam: należy zaufać ludziom. Dajcie nam narzędzia, a my skończymy robotę.

Szerzą się pogłoski — tragicznie niemożliwe do realizacji — o szukaniu sposobu, metody zmiany przeszłości: by pomóc dawno zmarłym cierpiącym, a nawet by ich ocalić. Ale przeszłość jest niezmienna; tylko przyszłość możemy kształtować.

Mimo wszelkich trudności i zagrożeń dano nam przywilej życia w tym niezwykłym okresie. Zapewne nigdy już światło prawdy nie będzie się rozprzestrzeniać tak prędko w mrokach przeszłości, nigdy już zbiorowa świadomość ludzkiej rasy nie dozna tak dramatycznych przemian. Nowe pokolenia, zrodzone we wszechobecnym cieniu WormCamu, będą dorastać, całkiem inaczej postrzegając własny gatunek i jego historię. Na dobre czy złe…

Bliski Wschód, ok. 1250 p.n.e.

Miriam prowadziła kursy obsługi ekspertowych systemów księgowych; nie była zawodowym historykiem. Ale jak niemal wszyscy jej znajomi, gdy tylko było to możliwe, zarezerwowała dostęp do WormCamu i poświęciła się osobistej pasji. W jej przypadku pasja dotyczyła jednego człowieka: człowieka, którego historia była dla niej inspiracją.

Ale im bliżej WormCam doprowadzał Miriam do obiektu jej studiów, tym bardziej człowiek ów zdawał się rozpływać. Sam fakt obserwacji go niszczył, jakby ulegał jakiejś nieprzewidzianej formie historycznej zasady nieoznaczoności.

Nie poddawała się.

W końcu, po drugich godzinach poszukiwań prowadzonych w ostrym blasku słońca nad starożytnymi pustyniami, zaczęła szukać pomocy u zawodowych historyków, którzy przed nią zanurzyli się w głębiny czasu. I powoli sama przekonywała się o tym, co oni wydedukowali.

Życie tego człowieka — po odarciu z elementów nadprzyrodzonych — okazało się dość prymitywnym kolażem

biografii kilku przywódców z ery, gdy naród Izraelitów tworzył się z grup palestyńskich uchodźców, uciekających po rozpadzie miast-państw regionu Kanaan. Cała reszta była wymysłem albo zapożyczeniem.

Na przykład kwestia jego ukrycia w koszyku i spuszczenia z prądem Nilu w celu ocalenia przed masowym mordowaniem pierworodnych Izraelitów… Opowieść powstała na podstawie starszych legend z Egiptu i Mezopotamii — na przykład o bogu Horusie — z których zresztą żadna nie opierała się na faktach. Nigdy też nie był księciem Egiptu. Ten fragment życiorysu zaczerpnięto z historii Syryjczyka imieniem Bay, który służył jako główny skarbnik Egiptu, a potem został nawet faraonem i rządził jako Ramosehajemnetjeru.

Ale co jest prawdą?

W końcu, zachowany w mitach, człowiek ów był istotą złożoną, głęboko ludzką, wzorem do naśladowania. Miał swoje wady — wahał się, często popadał w konflikty z ludem, który prowadził. Kłócił się nawet z Bogiem. Ale zwycięstwo nad tymi niedoskonałościami było przez trzy tysiące lat inspiracją dla wielu ludzi, nie wyłączając samej Miriam, nazwanej tak na cześć jego ukochanej siostry. Miriam także pokonała trudne przeszkody, jakie postawiło przed nią życie i jej porażenie mózgowe.

Był wspaniały, tak realny jak dowolna postać z „prawdziwej" historii. Miriam wiedziała, że będzie żył także w przyszłości. A wobec tego, czy było ważne, że Mojżesz nie istniał naprawdę?

To było jak obsesja. Bobby widział, jak miliony postaci historycznych — słynnych lub nieznanych — wracały na krótko do życia pod spojrzeniem pierwszego pokolenia wormcamowych obserwatorów.

Fala absencji sięgnęła już chyba szczytu. Ludzie porzucali pracę, zainteresowania, nawet swoich najbliższych, by całkowicie poddać się fascynacji WormCamem. Zdawało się, że cała ludzkość stała się nagle stara, że chętnie się izoluje i żyje już tylko wspomnieniami.

Zresztą może tak właśnie było, myślał Bobby. W końcu, jeśli nie uda się zepchnąć z kursu Wormwoodu, to nie istniała żadna przyszłość warta uwagi. Może WormCam i niesiony przez niego dar przeszłości był właśnie tym, czego ludzkość w tej chwili potrzebowała: kryjówką, mysią dziurą.

Każdy z obserwatorów w końcu uświadamiał sobie, że pewnego dnia i on będzie jedynie obiektem ze światła i cienia, zatopionym w czasie, może także badanym przez patrzących z jakiejś nieznanej przyszłości.

Ale Bobby nie martwił się całą ludzkością ani potężnymi prądami

historii czy nowymi nurtami myśli, które zostały wzbudzone. Martwił się złamanym sercem brata.

20. Kryzys wiary

Bobby miał wrażenie, że David staje się odludkiem. Zjawiał się w Wormworks bez zapowiedzi, przeprowadzał jakieś dziwne eksperymenty i wracał do domu, gdzie — według rejestrów OurWorldu — intensywnie wykorzystywał WormCam, realizując swoje własne, tajemnicze, nieujawnione projekty.

Po trzech tygodniach Bobby postanowił go odwiedzić. David otworzył mu drzwi i zdawało się, że ma ochotę nie wpuścić brata do wnętrza. Po chwili jednak odsunął się.

Mieszkanie było ciasne; wszędzie leżały książki i softscreenowe ekrany. Typowe mieszkanie samotnego mężczyzny, który nie musi się przejmować innymi.

— Co się z tobą dzieje, do licha? David uśmiechnął się z przymusem.

— WormCam, Bobby. Cóż by innego?

— Heather mówiła, że pomagałeś jej przy projekcie biografii Lincolna.

— Owszem. Chyba wtedy złapałem bakcyla. Ale teraz zbyt wiele już widziałem historii… Jestem złym gospodarzem. Może się czegoś napijesz? Mam piwo…

— Daj spokój, David. Pogadajmy. David poskrobał się po blond czuprynie.

— To się nazywa kryzysem wiary, Bobby. Nie spodziewam się, że zrozumiesz.

Zirytowany Bobby rozumiał jednak i był nieco rozczarowany tym, jak przyziemne okazały się problemy brata. Wormcamowi nałogowcy codziennie dobijali się do drzwi OurWorldu i żądali szerszego dostępu. Ale David żył w izolacji — może nawet nie wiedział, że pozostał typowym przedstawicielem ludzkiej rasy, że jego nałóg jest powszechny.

Jak mu to powiedzieć?

— Przeżyłeś szok historii. To obecnie stan dość… modny. Przejdzie ci.

— Modny? — David spojrzał na niego niechętnie.

— Wszyscy odczuwamy to samo. — Poszukał w pamięci przykładów. — Oglądałem premierowe wykonanie IXSymfonii Beethovena w Kartnertor Theater w Wiedniu z 1824 roku. Widziałeś? — Koncert został profesjonalnie zarejestrowany i wyemitowany przez jedną z sieci medialnych, ale zyskał marne oceny. — Było fatalne. Grali marnie, chór śpiewał nierówno. A Shakespeare okazał się jeszcze gorszy.

— Shakespeare?

— Naprawdę zmieniłeś się w pustelnika. Chodzi o premierę Hamleta w Globe Theatre w 1601. Gra na poziomie amatorskim, kostiumy śmieszne, jako publiczność pijany motłoch, a sam teatr to niewiele więcej niż zadaszona dziura. W dodatku mówili z takim akcentem, że trzeba było dodać napisy. Im dalej patrzymy w przeszłość, tym dziwaczniej wygląda. Wielu ludziom trudno zaakceptować historię. OurWorld stał się ich kozłem ofiarnym, więc wiem, że tak jest. Hirama bez przerwy ciągają po sądach: zniesławienie, podżeganie do zamieszek, prowokowanie nienawiści rasowej… Czepiają się różne grupy patriotów, organizacje religijne, rodziny obalonych bohaterów, nawet kilka rządów państwowych. Zdarzają się też groźby fizyczne. Oczywiście, nie pomaga mu fakt, że usiłuje opatentować historię.

David nie mógł powstrzymać zdumienia.

— Chyba żartujesz…

— Nie. Twierdzi, że historię się odkrywa jak ludzki genom. A jeśli można opatentować elementy genomu, to czemu nie historię? A przynajmniej te jej fragmenty, do których WormCamy OurWorldu sięgnęły jako pierwsze. Czternasty wiek jest teraz analizowany jako precedens. Jeśli się nie uda, planuje objąć prawem autorskim bałwany. Takie jak Robin Hood.

Jak większość na wpół mitycznych bohaterów z przeszłości pod bezlitosnym spojrzeniem WormCamu Robin Hood rozpłynął się w legendę i zmyślenia. Legenda brała swój początek z cyklu czternastowiecznych angielskich ballad, zrodzonych w czasie rebelii baronów i niepokojów społecznych, które doprowadziły do rewolty chłopskiej w 1381.

David uśmiechnął się lekko.

To mi się podoba. Hiram zawsze zachowywał się trochę jak Robin Hood. Chyba wyobraża sobie, że jest jego współczesnym odpowiednikiem. Sam siebie oszukuje, naturalnie, bo więcej ma wspólnego z królem Janem. Byłoby doprawdy ironią losu, gdyby został właścicielem Robina.

— Posłuchaj, Davidzie… Wielu ludzi odczuwa to co ty. Historia pełna jest grozy, ludzi zapomnianych, niewolników, takich, którym odebrano życie. Ale nie możemy jej zmienić. Możemy tylko iść naprzód, starając się nie popełniać tych samych błędów.

Tak myślisz? — spytał z goryczą David. Wstał i szybkimi ruchami zaciemnił okna, odcinając światło dnia. Potem usiadł obok Bobby'ego i rozwinął softscreenowy ekran.

— Popatrz sobie. Przekonasz się, że to nie takie proste. Kilkoma klawiszami przywołał zapisane w pamięci nagranie. Bracia patrzyli razem, skąpani w świetle minionych dni.

…Niewielki, pękaty żaglowiec zbliżał się do brzegu. Dwa kolejne widać było na horyzoncie. Piasek leżał czysty, woda była spokojna i błękitna, niebo przestronne.

Ludzie wybiegli na plażę: mężczyźni i kobiety, nadzy, smagli, piękni. Wydawali się zdumieni. Niektórzy wypłynęli na spotkanie statku.

— Kolumb — szepnął Bobby.

— Tak. A to są Arawakowie. Rodowici mieszkańcy Bahamów. Byli przyjaźni. Wręczyli Europejczykom dary: papugi, kule bawełny i włócznie z trzciny. Ale mieli też złoto, które nosili w postaci ozdób w uszach. Kolumb natychmiast kilku uwięził, żeby wydobyć z nich informację o złocie. A potem już się potoczyło. Hiszpanie mieli zbroje, muszkiety i konie. Arawakowie nie znali żelaza, nie mogli stawiać oporu europejskiej broni i dyscyplinie. Zostali niewolnikami. Na Haiti, na przykład, w poszukiwaniu złota przekopano góry od stóp po szczyty. Arawakowie marli tysiącami, mniej więcej jedna trzecia robotników co sześć miesięcy. Wkrótce potem zaczęły się masowe samobójstwa przy użyciu trucizny cassava. Zabijano noworodki, by ocalić je przed Hiszpanami. I tak dalej. W chwili przybycia Kolumba na Haiti zamieszkiwało około ćwierć miliona Arawaków. Po kilku latach połowa nie żyła wskutek mordów, okaleczeń i samobójstw. A w roku 1650, po dziesięcioleciach zabójczej niewolniczej pracy, na Haiti nie pozostał ani jeden Arawak ani żadni ich potomkowie. Potem okazało się, że jednak nie było tam złota; tylko odrobina pyłu, który Arawakowie zbierali w strumieniach i przekuwali na swą żałosną śmiercionośną biżuterię. I tak, Bobby, rozpoczęła się nasza inwazja Ameryk.

— David…

— Patrz. — Stuknął w ekran i przywołał nową scenę.

Bobby zobaczył rozmyty obraz miasta: niewielkiego, ciasnego, zatłoczonego, wzniesionego z białego kamienia, który lśnił w słońcu.

— To Jeruzalem — wyjaśnił David. — Piętnasty lipca 1099. Miasto pełne Żydów i mahometan. Krzyżowcy, zbrojna misja zachodniego chrześcijaństwa, przez miesiąc oblegali miasto. Teraz atak osiągnął punkt przełomowy.

Bobby patrzył na ciężkie postacie wspinające się na mury, na żołnierzy biegnących im na spotkanie. Ale obrońcy cofnęli się, a rycerze szli naprzód, wymachując mieczami. Bobby zobaczył niewiarygodny obraz człowieka, jednym cięciem pozbawionego głowy.

Krzyżowcy przebili się aż do okolic świątyni i tutaj Turcy powstrzymali ich jeszcze przez jeden dzień. Wreszcie — brodząc po kostki we krwi — krzyżowcy przełamali ich szyki i szybko wymordowali pozostałych jeszcze obrońców.

Rycerze i ich oddziały przetoczyli się przez miasto, rabując konie i muły, złoto i srebro. Ogołocili z lamp i kandelabrów Kopułę na Skale. Rozcinali zwłoki, gdyż czasami znajdowali monety w brzuchach zabitych.

A kiedy rabunek i rzeź trwały już długo, Bobby zobaczył, jak chrześcijanie wycinaj ą z powalonych wrogów pasy mięsa, wędzaje i zjadają.

Wszystkie obrazy były gwałtowne, barwne: czerwone błyski okrwawionych mieczy, rżenie przerażonych koni, lodowate oczy posępnych, wygłodzonych rycerzy, śpiewających psalmy i hymny nawet wtedy, kiedy cięli swymi wielkimi mieczami. Mimo to walka wydawała się dziwnie cicha — nie słyszało się karabinów i dział, tylko broń poruszaną ludzkimi mięśniami.

— To była katastrofa naszej cywilizacji — szepnął David. — Akt gwałtu, który między Wschodem i Zachodem wywołał schizmę, nigdy do końca nie zaleczoną. I wszystko to działo się w imię Chrystusa. Bobby, dzięki WormCamowi miałem okazję oglądać stulecia chrześcijańskiego terroru, orgię okrucieństwa i destrukcji, trwającą od krucjat po rabunek Meksyku w szesnastym wieku, a nawet dalej. Motorem była religia papieży: moja religia, a także pragnienie złota i majątku, kapitalizm, którego mój własny ojciec jest tak znakomitym przedstawicielem.

W zbrojach, z błyszczącymi krucyfiksami krzyżowcy przypominali królewskie bestie, siejące zniszczenie w blasku słońca, wśród pyłu. Barbarzyństwo tej sceny wręcz porażało.

A jednak…

— Davidzie, przecież wiedzieliśmy o tym. Krucjaty były dobrze opisane przez kronikarzy. Historycy potrafili oddzielić fakty od propagandy i to na długo przed nadejściem WormCamu.

— Możliwe. Ale jesteśmy tylko ludźmi, Bobby. Dopiero okrutna moc WormCamu pozwoliła wyrwać historię z zakurzonych podręczników i ożywić na nowo, udostępnić naszym prostym zmysłom. Dlatego musimy przeżywać ją znowu, kiedy raz jeszcze przepływają zalane krwią stulecia. Przeszłość jest rzeką krwi, Bobby. I WormCam zmusza nas, żebyśmy to zrozumieli. Historia spłukuje ludzkie żywoty niczym ziarenka piasku do morza ciemności, j a każdy z tych żywotów był cenny, barwny jak twój czy mój. I żadnego nie można zmienić, nie da się ocalić choćby kropli krwi.

David zerknął na brata.

— Jesteś gotów na więcej?

Davidzie, nie jesteś jedyny, myślał Bobby. Wszyscy przeżywamy ten horror. Popadasz w egocentryzm, jeśli sądzisz, że tylko ty oglądasz te sceny, tylko ty tak je przeżywasz.

Ale nie potrafił tego powiedzieć.

David wywołał kolejny obraz. Bobby miał ochotę wyjść albo odwrócić głową. Ale wiedział, że jeśli chce pomóc bratu, musi wytrwać.

Raz jeszcze na ekranie popłynęły życie i krew.

Mimo wszystko, w tych trudnych dla siebie chwilach, David dotrzymał danej Heather obietnicy i odszukał Mary.

Nigdy nie uważał się za szczególnie kompetentnego w sprawach ludzkich serc. Dlatego — z poczucia własnej niewiedzy i własnego wewnętrznego chaosu — długo się zastanawiał, w jaki sposób podejść do trudnej, rozdartej córki Heather. Droga, którą wymyślił, okazała się jednak techniczna — prowadziła przez fragment programu.

Zajrzał do jej boksu w Wormworks. Było późno i większość obserwatorów już wyszła. Mary siedziała w plamie światła padającego z ekranu, otoczona sennym półmrokiem zakurzonego laboratorium, pełnego instrumentów i elektroniki. Kiedy się zbliżył, pospiesznie wygasiła ekran. Zdążył tylko dostrzec słoneczny dzień i roześmiane dzieci, biegnące za kimś dorosłym; potem zapadła ciemność.

Mary obejrzała się na niego z niechęcią. Miała na sobie obwisłą, brudną koszulkę z jaskrawym napisem:

ŚWIĘTY MIKOŁAJ PRZYBYWA DO MIASTA

David musiał przyznać, że nie rozumie znaczenia tego tekstu. Nie miał jednak zamiaru prosić o wyjaśnienie.

Postawą i milczeniem wyraźnie dała mu do zrozumienia, że nie jest miłym gościem. Ale nie zamierzał łatwo rezygnować. Usiadł przy niej.

— Słyszałem dużo dobrego o programie śledzącym, który tu rozwijasz.

Spojrzała na niego ostro.

— Kto ci powiedział, co robię? Pewnie matka.

— Nie. Nie twoja matka.

— Więc kto? Zresztą to bez znaczenia. Myślisz pewnie, że jestem paranoiczna, co? Zbyt agresywna? Zbyt drażliwa?

— Jeszcze nie zdecydowałem — odpowiedział spokojnie. To niezwykłe, ale uśmiechnęła się.

— Przynajmniej szczerze stawiasz sprawę. Ale poważnie, skąd wiesz o moim programie?

— Jesteś użytkownikiem WormCamu. Jednym z warunków korzystania ze sprzętu Wormworks jest to, że każda wprowadzona

innowacja staje się intelektualną własnością OurWorldu. Taką umowę musiałem podpisać w imieniu twojej matki… i twoim, oczywiście.

— Typowe dla Hirama Pattersona.

— Chcesz powiedzieć, że to dobry interes? Mnie wydaje się to rozsądne. Wszyscy wiemy, że ta technika ma przed sobą przyszłość…

— Mnie to mówisz? A cały ten interfejs jest do bani, Davidzie.

— A któż mógłby poprawić go lepiej niż sami użytkownicy, którzy przecież z nim pracują?

— Macie tu szpiegów? Ludzi, którzy obserwują obserwatorów przeszłości?

— Mamy warstwę metaoprogramowania, która monitoruje zmiany wprowadzane przez użytkowników, a także ocenia ich jakość i funkcjonalność. Jeśli trafimy na dobry pomysł, możemy go przejąć i rozwijać. Najlepiej oczywiście znaleźć coś, co opiera się na dobrym pomyśle i jest już dobrze rozwinięte.

Okazała ślad zainteresowania, nawet dumy.

— Jak u mnie?

— Twój program ma potencjał. Jesteś inteligentna, Mary, i masz przed sobą jasną przyszłość. Ale… jak by to ująć… nie masz zielonego pojęcia o projektowaniu oprogamowania.

— Przecież działa, prawda?

— Zwykle tak. Ale wątpię, czy ktoś oprócz ciebie potrafiłby coś w nim poprawić, nie przebudowując całości od podstaw. — Westchnął ciężko. — To nie koniec zeszłego wieku, Mary. Programowanie jest dzisiaj rzemiosłem.

— Wiem, wiem. Uczą nas tego w szkole. Ale sądzisz, że pomysł jest dobry?

— Może mi pokażesz?

Sięgnęła do ekranu; zauważył, że chce skasować ustawienia i uruchomić nowe połączenie. Ujął jej rękę.

— Nie. Pokaż mi, co oglądałaś, kiedy przyszedłem. Spojrzała na niego niechętnie.

— Więc o to chodzi… Matka cię przysłała, prawda? I wcale cię nie interesuje mój program śledzący.

— Wierzę w prawdę, Mary.

— To przestań kłamać.

Przyjrzał się czubkom swoich palców.

— Twoja matka martwi się o ciebie. Przyjście tutaj było moim pomysłem, nie jej. Uważam, że powinnaś mi pokazać, co oglądałaś. Owszem, twój program posłużył mi jako pretekst, żeby z tobą porozmawiać, ale interesuje mnie naprawdę. Czy coś jeszcze?

— Jeśli odmówię, pewnie wyrzucisz mnie z Wormworks.

— Tego bym nie zrobił.

— W porównaniu ze sprzętem tutaj to, co można znaleźć w sieci,

jest do niczego.

— Powiedziałem już, że nie zamierzam ci grozić. Milczenie przeciągało się.

Wreszcie opadła głębiej w fotel i David wiedział, że wygrał tę rundę.

Kilkoma klawiszami odtworzyła scenę.

Zobaczył nieduży ogród — właściwie podwórze: prostokąty wyschniętej trawy rozdzielone łatami żwiru, kilka zaniedbanych grządek z kwiatami. Obraz był jasny, niebo błękitne, cienie wydłużone. Wszędzie leżały zabawki — plamy koloru; niektóre jeździły samodzielnie tam i z powrotem po zaprogramowanych torach.

Pojawiła się para dzieci: chłopiec i dziewczynka, około sześciu i ośmiu lat. Śmiali się i kopali do siebie piłkę. Mężczyzna biegał za nimi i także śmiał się głośno. Złapał dziewczynkę i podrzucił ją w powietrze, tak że pofrunęła przez cień i światło…

Mary unieruchomiła obraz.

— Banał — stwierdziła. — Prawda? Wspomnienie z dzieciństwa, letnie popołudnie, długie i spokojne…

— To twój ojciec i brat, prawda? Wykrzywiła usta w smętnym uśmiechu.

— To scena sprzed zaledwie ośmiu lat, a już dwóch jej uczestników nie żyje. Co o tym sądzisz?

— Mary…

— Chciałeś zobaczyć mój program. Przytaknął.

— Pokaż.

Puknęła w ekran. Punkt widzenia odchylił się w prawo i w lewo, potem przesunął się w czasie o kilka sekund w przód i w tył. Dziewczynka została podniesiona, opuszczona na ziemię, znów podniesiona; włosy kołysały się jej w obie strony, jakby oglądali film przesuwany tam i z powrotem.

— W tej chwili korzystam ze standardowego interfejsu stacji roboczej. Punkt widzenia jest jak frunąca w powietrzu mała kamera. Mogę kierować jego położeniem w przestrzeni i przesuwać w czasie, zmieniając pozycję wylotu tunelu. Ale jeśli chcę obejrzeć dłuższe okresy, to strasznie męczy. Sam wiesz.

Scena potoczyła się dalej. Ojciec postawił córkę na ziemi. Mary zogniskowała widok na jego twarzy i stukając w klawisze, śledziła ją krótkimi, urywanymi ruchami „kamery”, gdy mężczyzna biegł za dzieckiem po nieistniejącym już trawniku.

— Mogę podążać za obiektem — wyjaśniła chłodno. — Ale to trudne i męczące. Dlatego szukałam sposobu zautomatyzowania tej pracy. — Wcisnęła kilka wirtualnych klawiszy. Wykorzystuję procedury rozpoznawania wzorców, żeby namierzyć twarz.

Punkt widzenia WormCamu spłynął w dół, jakby kierowany przez

niewidzialnego kamerzystę, i zogniskował obraz na twarzy ojca. Twarz pozostawała pośrodku ekranu, chociaż mężczyzna poruszał głową, rozglądał się, śmiał, krzyczał coś. Tło z tyłu przesuwało się gwałtownie.

— Pełna automatyka — stwierdził David.

Tak. Mam tu procedury, które monitorują moje preferencje, i mogę uzyskać wygodniejszy plan.

Kolejne uderzenia w klawisze i punkt widzenia cofnął się. Kąt był teraz bardziej typowy, ustabilizowany, nie przywiązany już tak mocno do twarzy. Ojciec wciąż pozostawał centralną postacią sceny, ale widoczne było również otoczenie.

David pokiwał głową.

— To cenna idea, Mary. Powiązana z oprogramowaniem interpretującym może nawet pozwolić na automatyczną kompilację biografii postaci historycznych, przynajmniej w pierwszych szkicach. Zasłużyłaś na pochwałę.

Westchnęła.

— Dzięki. Ale i tak uważasz, że jestem dziwolągiem, bo oglądam swojego ojca, a nie Johna Lennona. Prawda?

Wzruszył ramionami.

— Wszyscy inni oglądają Johna Lennona — stwierdził ostrożnie. — Jego życie, na dobre czy złe, stało się własnością publiczną. Twoje życie, to złociste popołudnie, należy tylko do ciebie.

— Ale mam obsesję. Niczym ci szurnięci, którzy stale podglądają, jak kochają się ich rodzice, patrzą na moment swojego poczęcia…

— Nie jestem psychoanalitykiem — przerwał jej łagodnie. — Miałaś ciężkie życie. Nikt temu nie zaprzeczy. Straciłaś brata, potem ojca. Ale…

— Ale co?

— Ale otaczają cię ludzie, którzy nie chcą, żebyś była nieszczęśliwa. Musisz w to uwierzyć.

Westchnęła ciężko.

— Wiesz, kiedy byliśmy mali, Tommy i ja, mama często wykorzystywała przeciwko nam innych dorosłych. Jak byłam niegrzeczna, wskazywała na coś w dorosłym świecie… samochód, który zatrąbił

o kilometr od nas, nawet odrzutowiec przelatujący z hukiem nad nami… i mówiła: „Ten człowiek słyszał, jak się odzywasz do mamy, i teraz chce ci pokazać, co o tym myśli”. To było straszne. Dorastałam pod wrażeniem, że jestem samotna w wielkiej dżungli dorosłych, którzy wszyscy mnie obserwują i przez cały czas osądzają.

— Pełny nadzór… — David uśmiechnął się. — W takim razie nietrudno ci będzie się przyzwyczaić do życia z WormCamem.

— Chcesz powiedzieć, że szkoda już się stała? Nie jestem pewna,

czy mnie to pociesza. — Przyjrzała mu się badawczo. — A ty, Davidzie? Co oglądasz, kiedy masz WormCam dla siebie?

Wrócił do mieszkania, podłączył własną stację roboczą do komputera Mary w Wormworks i sprawdził zapisy wykorzystania WormCamu, jakie OurWorld rutynowo prowadził dla wszystkich użytkowników.

Uznał, że zrobił już dosyć, żeby nie czuć winy z powodu tego, co mu pozostało, jeśli chciał spełnić daną Heather obietnicę. To znaczy szpiegować Mary.

Niedługo zajęło mu dotarcie do najważniejszego. W końcu oglądała ten sam wypadek, raz za razem.

Scena ukazała kolejne słoneczne popołudnie, rodzinę i zabawę — niedługo po wizji, którą razem oglądali. Tutaj Mary miała osiem lat i razem z rodziną była na wycieczce w Parku Narodowym Rainier. Wszyscy szli powoli, tempem sześciolatka. Słońce, skały, drzewa.

I wtedy wreszcie znalazł: klucz do życia Mary. Trwał tylko kilka sekund.

Nie podejmowali żadnego ryzyka; nie oddalali się od wyznaczonej ścieżki, nie próbowali niczego przesadnie ambitnego. To był zwyczajny wypadek.

Tommy jechał ojcu na barana, ściskając rączkami gęste, czarne włosy. Nogi zwisały mu z ojcowskich ramion, przytrzymywane mocno szerokimi dłońmi. Mary wybiegła do przodu, ścigając coś, co wyglądało na cień jelenia. Tommy wyciągnął do niej rękę, na moment stracił równowagę, dłoń ojca ześliznęła się — tylko odrobinę, ale to wystarczyło.

Samo uderzenie nie robiło wielkiego wrażenia: cichy trzask, kiedy czaszka uderzyła o ostrą wulkaniczną skałę, dziwnie bezwładnie padające ciało. Zwykły pech, nawet w tym śmiertelnym uderzeniu o grunt. Niczyja wina.

I to wszystko. Skończone w trakcie jednego uderzenia pulsu. Zwyczajny nieszczęśliwy wypadek, niezawiniony przez nikogo — chyba że, pomyślał nagle rozgniewany David, przez Kosmicznego Projektanta, który umieścił coś tak cennego jak dusza sześciolatka w tak kruchym pojemniku.

Za pierwszym razem Mary — a teraz także i David jako nieproszony duch — obserwowali ten wypadek z nietypowego punktu widzenia: przez oczy Mary-dziecka. Zupełnie, jakby wylot tunelu podprzestrzennego zakotwiczył się w samym jądrze jej duszy, w tajemniczym miejscu w głowie, gdzie trwała jej jaźń, otoczona miękką maszynerią ciała.

Mary widziała, że chłopiec spada. Zareagowała: wyciągnęła ręce, zrobiła krok w jego stronę. Zdawał się opadać wolno, jak we śnie. Ale

była zbyt daleko, by go dosięgnąć, nie mogła zmienić biegu wydarzeń.

Potem, śledząc obserwacje dziewczyny, David musiał zobaczyć ten sam wypadek z punktu widzenia ojca. Miał wrażenie, że spogląda z wieży: mała Mary była tylko rozmazaną plamą w dole, chłopiec cieniem wokół głowy. Ale te same wydarzenia następowały z tragiczną nieuchronnością: utrata równo wagi, ześliznięcie, zaczepione nogi hamujące trochę, przez co chłopiec spadał głową w dół, prosto na kamienisty grunt.

Ale rym, co Mary wciąż oglądała, nie była sama śmierć brata, ale kilka chwil wcześniej. Spadający Tommy znalazł się o metr od siostry, ale to było za daleko; nie dalej niż centymetry od rąk ojca, ułamek sekundy czasu reakcji. Równie dobrze mógłby być o kilometr dalej, o godzinę opóźnienia — nic nie mogło odwrócić tragedii.

To właśnie, jak podejrzewał David, było prawdziwą przyczyną samobójstwa ojca Mary. Nie popularność, jaka nagle spadła na niego i jego rodzinę — choć to na pewno mu nie pomogło. Jeśli był choć trochę podobny do Mary, musiał natychmiast dostrzec skutki nowej techniki — jak miliony innych, badających teraz możliwości WormCamu i ciemności we własnych sercach.

Jak zrozpaczony ojciec mógłby nie oglądać tej tragedii? Jak mógłby wciąż na nowo nie przeżywać tych strasznych chwil? Jak mógby odwrócić się od swego dziecka, uwięzionego w maszynie, tak żywego, a jednak niezdolnego przeżyć choć o sekundę dłużej — dziecka, które już nigdy nic nie zrobi inaczej?

I jak mógł ten ojciec żyć w świecie, gdzie wypadek był dostępny odtwarzaniu z przerażającą wyrazistością, w każdej chwili, pod dowolnym kątem — wiedząc, że nie potrafi zmienić najmniejszego szczegółu?

Jak bardzo pobłażał sobie on sam — David — oglądając ponure epizody z historii chrześcijaństwa, wypadki o stulecia oddalone od jego własnej rzeczywistości… W końcu zbrodnie Kolumba nie szkodzą już nikomu — może z wyjątkiem samego Kolumba, myślał ponuro. O ileż większą odwagę wykazała Mary, samotne, skrzywdzone dziecko, kiedy patrzyła na moment, który na dobre czy złe ukształtował jej życie.

To bowiem, uświadomił sobie, jest sednem spotkania z WormCamem: nie lękliwe szpiegowanie czy podglądanie, nie oglądanie jakiegoś niemożliwie odległego okresu historycznego, ale szansa zobaczenia wydarzeń, które kształtowały własne życie.

Ale moje oczy nie są przystosowane do oglądania takich widoków. Moje serce nie jest przystosowane, by wytrzymać takie powtarzane objawienia. Kiedyś mówiło się, że czas jest najlepszym lekarzem; teraz została mu zabrana lecznicza moc dystansu.

Dano nam oczy Boga, myślał. Oczy, które widzą niezmienną

krwawą przeszłość, jakby działa się dzisiaj. Ale nie jesteśmy Bogiem i płomienny blask historii może nas oślepić.

Gniew ucichł. Niezmienną… Dlaczego mamy godzić się z taką niesprawiedliwością? Może da się coś zrobić w tej sprawie.

Ale najpierw musi się zastanowić, co powiedzieć Heather.

Kiedy po kilku tygodniach odwiedził brata, Bobby był wstrząśnięty stanem Davida.

David nosił workowaty kombinezon, który wyglądał na niezmieniany od dawna. Włosy miał rozwichrzone i był niedbale ogolony. W mieszkaniu panował jeszcze większy bałagan; na wszystkich meblach leżały softscreenowe ekrany, otwarte książki i pisma, notatniki, porzucone ołówki. Na podłodze, ułożone w stosy wokół przepełnionego kosza, stały brudne papierowe podstawki, pudełka z pizzy i kartony po gotowych posiłkach.

Ale David starał się tłumaczyć, może nawet przepraszać.

— To nie to, co myślisz, Bobby. Uzależnienie od WormCamu, tak? Być może cierpię na obsesję, ale z tego chyba się już wyrwałem.

— No więc co…

— Pracowałem.

Pod ścianą na trójnogu stała tablica pokryta czerwonymi znakami, równaniami, strzępami zdań po angielsku i francusku, połączonymi krętymi strzałkami i pętlami.

— Heather mówiła — zaczął ostrożnie Bobby — że wycofałeś się z projektu Dwunastu Tysięcy Dni, prawdziwej biografii Chrystusa.

Tak, wycofałem się. Z pewnością rozumiesz dlaczego.

— W takim razie co tu robiłeś, Davidzie? David westchnął ciężko.

— Próbowałem dotknąć przeszłości, Bobby. I nie udało mi się.

— Zaraz… czyja cię dobrze rozumiem? Próbowałeś wykorzystać tunel podprzestrzenny, żeby wpłynąć na przeszłość? To chcesz powiedzieć? Przecież twoja teoria mówi, że to niemożliwe. Zgadza się?

— Tak. Ale próbowałem mimo wszystko. Przeprowadziłem w Wormworks kilka prób. Usiłowałem przesłać sygnał wstecz w czasie, przez niewielki tunel, do samego siebie. Przez kilka milisekund, ale to wystarczy, żeby sprawdzić zasadę.

— I?

David uśmiechnął się smętnie.

— Sygnały mogą przesuwać się naprzód w czasie przez wormhole. W ten sposób widzimy przeszłość. Ale kiedy spróbowałem wysłać sygnał wstecz, nastąpiło sprzężenie. Wyobraź sobie foton, który opuszcza wylot tunelu kilka sekund w przeszłości. Może przebiec do przyszłego wylotu, wrócić przez czas i wypaść z przeszłego wylotu w tej samej chwili, kiedy zaczął podróż. Nakłada się na siebie…

— …i podwaja swoją energię.

— Właściwie nawet więcej niż podwaja ze względu na efekt Dopplera. Powstaje dodatnie sprzężenie zwrotne. Promieniowanie przelatuje przez wormhole raz za razem, gromadząc energię pobieraną z samego tunelu. W końcu staje się tak silne, że niszczy wormhole… ułamek sekundy przed rozpoczęciem działania jako maszyna czasu.

— I twój testowy tunel się zawalił.

— Z większą energią, niż się spodziewałem — przyznał niechętnie David. — Wygląda na to, że kochany stary Hawking miał rację, kiedy mówił o ochronie chronologii. Prawa fizyki nie pozwalają na maszyny czasu działające wstecz. Przeszłość jest wszechświatem relatywistycznym, przyszłość jest nieoznaczonością kwantową, a obie łączą się w teraźniejszości… która, jak sądzę, jest złączem kwantowo-grawitacyjnym… Przepraszam. Techniczne szczegóły nie mają znaczenia. Przeszłość, rozumiesz, przypomina sunący lodowiec, który pochłania płynną przyszłość. Każde zdarzenie zamarza w krystalicznej strukturze już na zawsze. Najważniejsze, że wiem lepiej niż ktokolwiek na całej planecie, że przeszłość jest nienaruszalna, niezmienna: otwarta na obserwacje przez wormhole, ale ustalona. Czy pojmujesz, jakie to uczucie?

Bobby ruszył dookoła pokoju, przestępując nad stosami papierów i książek.

— Świetnie. Rozumiem, że cierpisz. Stosujesz abstrakcyjną fizykę jako terapię. A co z twoją rodziną? Czy poświęciłeś nam choć jedną myśl?

David przymknął oczy.

— Opowiedz mi. Proszę. Bobby nabrał tchu.

— No cóż… Hiram ukrył się jeszcze głębiej. Ale zamierza zrobić jeszcze większe pieniądze na prognozach pogody: o wiele dokładniejszych prognozach, opartych na precyzyjnych danych z wielu stuleci. Uważa, że możliwe będzie nawet opracowanie metod kontroli klimatu dzięki zrozumieniu długoterminowych zmian klimatycznych.

— Hiram jest… — David poszukał odpowiedniego słowa — … fenomenem. Czy jego kapitalistyczna wyobraźnia nie zna granic? A masz jakieś wieści o Kate?

— Przysięgli radzą.

— Myślałem, że dowody są raczej poszlakowe.

— Tak. Ale mogli ją zobaczyć przy terminalu w chwili, kiedy popełniono przestępstwo. Widzieli, że miała możliwość… Myślę, że to wielu z nich przekonało.

— Co zrobisz, jeśli zostanie skazana?

— Jeszcze nie postanowiłem.

Mówił prawdę. Koniec procesu, nieunikniony i niechciany jak

śmierć, był czarną dziurą, czekającą, by pochłonąć przyszłość Bobby'ego. Wolał o nim nie myśleć.

— Widziałem się z Heather — powiedział. — Ma dobre samopoczucie, mimo wszystko. Opublikowała swoją prawdziwą biografię Lincolna.

— Niezła praca. A te jej reportaże z wojny nad Morzem Aralskim były znakomite. — David zerknął na Bobby'ego. — Musisz być z niej dumny… ze swojej matki.

Bobby zastanowił się.

— Chyba powinienem. Ale nie jestem pewien, co powinienem odczuwać wobec niej. Wiesz, kiedyś chętnie przyglądałem się jej z Mary. Mimo wszelkich tarć jest między nimi więź. Jakby stalowa lina łączyła je razem. Ja nie czuję niczego podobnego. To pewnie moja wina…

— Powiedziałeś, że przyglądałeś się im. W czasie przeszłym? Bobby spojrzał mu w oczy.

Pewnie nie słyszałeś… Mary uciekła z domu.

— Hm… Jestem rozczarowany.

— Miały kolejną awanturę o to, jak Mary korzysta z WormCamu. Heather zamartwia się o nią.

— Dlaczego jej nie poszuka?

— Próbowała. David parsknął.

— To śmieszne. Jak ktokolwiek może się ukryć przed WormCamem?

— Najwyraźniej są sposoby… Posłuchaj, Davidzie, chyba już czas, żebyś powrócił do ludzkości.

David splótł palce — potężny mężczyzna, pogrążony w smutku.

— Ale to jest nie do zniesienia — powiedział. — Z pewnością dlatego uciekła Mary. Pamiętaj, że próbowałem. Próbowałem znaleźć sposób, żeby coś zmienić, naprawić rozbitą przeszłość. I przekonałem się, że nikt z nas nie ma wyboru co do historii. Nawet Bóg. Mam dowód doświadczalny. Nie rozumiesz? Patrzeć na tę krew, te gwałty i rabunki, morderstwa… Gdybym mógł powstrzymać jeden cios miecza krzyżowca, ocalić życie jednego dziecka Arawaków…

— Dlatego uciekasz w jałową fizykę.

— A co chcesz mi zaproponować?

— Nie możesz naprawić przeszłości. Ale możesz zająć się sobą. Wróć do projektu Dwunasty Tysięcy Dni.

— Już ci mówiłem…

— Pomogę ci. Będę przy tobie. Zrób to, Davidzie. Poszukaj Jezusa. — Bobby uśmiechnął się. — To wyzwanie.

Po długiej chwili milczenia David odpowiedział uśmiechem.

21. Ujrzycie człowieka

FRAGMENTY WSTĘPU DAVIDA CURZONA DO DWUNASTU TYSIĘCY DNI: KOMENTARZE WSTĘPNE, WYD. S.P. KOZLOV l G. RISHA, RZYM 2040

Międzynarodowy projekt badawczy, znany powszechnie jako Dwanaście Tysięcy Dni, osiągnął koniec pierwszej fazy. Należałem do międzynarodowego zespołu dwunastu tysięcy (właściwie nieco więcej) obserwatorów, którzy mieli studiować życie i czasy człowieka, znanego Jego współczesnym jako Yesho Ben Pantera, a późniejszym pokoleniom jako Jezus Chrystus. Zaszczytem była dla mnie propozycja napisania tego wstępu…

Zawsze wiedzieliśmy, że kiedy spotykamy Jezusa w Piśmie, widzimy Go oczami ewangelistów. Na przykład Mateusz wierzył, że Mesjasz przyjdzie na świat w Betlejem, jak zdaje się przewidywać starotestamentowy prorok Micheasz; dlatego też powiada, że Jezus narodził się w Betlejem (choć w rzeczywistości Jezus, Galilejczyk, urodził się, co dość naturalne, w Galilei).

Rozumiemy to; bierzejny to pod uwagę. Ale pomyślmy, jak wielu chrześcijan przez wieki marzyło, by zobaczyć Jezusa osobiście, za pośrednictwem neutralnego medium — np. kamery, a jeszcze lepiej spotkać się z Nim twarzą w twarz? Jak wielu by uwierzyło, że nasza generacja będzie pierwszą, dla której takie spotkanie jest możliwe?

Ale to właśnie się zdarzyło.

Każdemu z Dwunastu Tysięcy powierzono jeden Dzień z krótkiego życia Jezusa: Dzień, który miał obserwować, korzystając z technologii WormCamu, w czasie rzeczywistym, od północy do północy. W ten sposób udało się szybko skompilować pierwszy szkic „prawdziwej" biografii Chrystusa.

Biografia wizualna i związane z nią komentarze są zaledwie szkicem: prostym zapisem obserwacji, planem wydarzeń tragicznie krótkiego żywota. Pozostało jeszcze wiele dodatkowych badań. Na przykład nawet tożsamość czternastu (nie dwunastu!) apostołów nie została na razie określona, a losy Jego braci, sióstr, żony i dziecka znamy jedynie pobieżnie. Potem przyjdzie czas na porównanie wydarzeń centralnej opowieści ludzkości z rozmaitymi

kanonicznymi i apokryficznymi sprawozdaniami, które przetrwały, by mówić nam o Jezusie i Jego posłannictwie.

Później, oczywiście, rozpocznie się prawdziwa debata: debata o znaczeniu Jezusa i Jego misji — debata, która może trwać tak długo jak sama ludzkość.

Pierwsze spotkanie nie było łatwe. Ale już teraz czysty blask słońca Galilei wypala fałsz.

David ułożył się na sofie i sprawdził systemy: sam aparat rzeczywistości wirtualnej oraz układy odżywiania, sterujące kroplówkami i cewnikami, obracaniem opuszczonego ciała, by zmniejszyć groźbę odleżyn, a nawet myciem go w razie potrzeby, gdyby był w śpiączce.

Bobby siedział przy nim w zaciemnionym pokoju; twarz lśniła mu w blasku ekranu.

David czuł się dość absurdalnie pośrodku całego sprzętu, niczym astronauta szykujący się do startu. Ale Dzień sprzed wielu lat, niezmienny i jaskrawy, zakrzepły w czasie niby owad w bursztynie, oczekiwał na zbadanie. Poddał się temu wyzwaniu.

Podniósł obręcz Oka Duszy i włożył sobie na głowę. Poczuł znajomy dotyk, kiedy obręcz dopasowała się do skroni.

Z trudem opanował falę paniki. Pomyśleć, że ludzie poddają się temu dla rozrywki…

…I zalało go światło, ostre i jaskrawe.

Urodził się w Nazarecie, niewielkim i zamożnym miasteczku w Galilei. Poród był typowy — dla tamtych czasów. Rzeczywiście, zrodziła Go Maria, która była dziewicą — Dziewicą Świątyni.

Jak wiedzieli Jego współcześni, Jezus Chrystus był nieślubnym synem rzymskiego legionisty Ilirianina zwanego Panterą.

Związek Marii z tym człowiekiem opierał się na miłości, nie przymusie — chociaż była już wtedy zaręczona z Józefem, bogatym wdowcem i mistrzem budowlanym. Jednak, gdy tylko ciąża Marii przestała być tajemnicą, Panterę przeniesiono do innego okręgu. Józef zasługuje na uznanie, gdyż rnimo to wziął Marię za żonę i wychował chłopca jak własnego syna.

Jezus nie wstydził się swego pochodzenia i później przybrał imię Yesho Ben Pantera, co znaczy Jezus, syn Pantery.

Tak przedstawiają się fakty historyczne, związane z

narodzinami Jezusa. Wszelkie głębsze tajemnice leżą poza zasięgiem WormCamu.

Nie było rzezi niewiniątek, wyprawy do Betlejem, stajenki, żłóbka, bydła, trzech króli, pasterzy, gwiazdy. Wszystko to — zapisane przez ewangelistów, żeby wykazać, że chłopiec był spełnieniem proroctwa — to jedynie wymysł.

WormCam niszczy wiele złudzeń o nas samych i o przeszłości. Niektórzy twierdzą, że WormCam to narzędzie masowej terapii, które ludziom jako gatunkowi pozwala osiągnąć stan zdrowia psychicznego. Możliwe. Ale twarde musi być serce, które nie zapłacze nad odrzuceniem legendy Bożego Narodzenia.

Stał na plaży. Żar owijał go niczym ciężki, wilgotny koc; krople potu zakłuły na czole.

Po lewej stronie widział wzgórza w zieleni, po prawej błękitne morze i drobne fale. Na zamglonym horyzoncie odróżniał łodzie — brązowoniebieskie cienie, nieruchome i płaskie jak sylwetki wycięte z kartonu. Na północy, nad brzegiem, zobaczył miasto: zbiorowisko budynków o brunatnych ścianach i płaskich dachach. To na pewno Kafamaum. Wiedział, że może skorzystać z wyszukiwarki i znajdzie się tam w jednej chwili. Ale droga pieszo wydawała się właściwsza.

Przymknął oczy. Czuł na twarzy ciepło słońca, słyszał plusk wody, czuł aromat trawy i ostry zapach ryb. Dzień był tak jasny, że różowe światło było widoczne nawet przez zamknięte powieki. Ale w kąciku oka lśniło maleńkie złociste logo OurWorldu.

Ruszył przed siebie, dotykając stopami chłodnej wody Galilei.

Miał kilkoro braci i sióstr, także przyrodnich, z poprzedniego małżeństwa Józefa. Jeden z braci, Jakub, był do Niego zadziwiająco podobny i poprowadził Kościół (a w każdym razie jeden z odłamów) po śmierci Jezusa.

Jezus został uczniem swojego wuja, Józefa z Arymatei — nie jako cieśla, ale jako budowniczy. Sporą część młodości i pierwszych lat męskich przeżył w mieście Sepphoris, pięć kilometrów na północ od Nazaretu.

Sepphoris było dużym miastem — właściwie nawet największym w Judei, nie licząc Jeruzalem i stolicy Galilei. Nie brakowało tam pracy dla budowniczych, murarzy i architektów, gdyż zostało w dużej części zniszczone przez Rzymian w czasie powstania żydowskiego z roku 4 p.n.e.

Czas spędzony w Sepphoris miał duże znaczenie. Tutaj

bowiem Jezus stał się kosmopolitą.

W Sepphoris spotkał się z kulturą helleńską, poznał teatr grecki oraz — co istotne — pitagorejską tradycję liczb i proporcji. Na pewien czas przyłączył się nawet do żydowskiej grupy pita-gorejskiej, zwącej siebie esseńczykami. Była ona częścią o wiele starszej tradycji, obejmującej całą Europę — a nawet sięgającej czasów druidów w Brytanii.

Jezus stał się nie prostym cieślą, ale mistrzem w swym rzemiośle, przedstawicielem trudnego zawodu o bogatych tradycjach. Interesy Józefa pozwalały Mu na dalekie podróże po całym świecie rzymskiej cywilizacji.

Swe życie przeżył w pełni. Ożenił się (biblijna opowieść o weselu w Kanie i wodzie zamienionej w wino wydaje się oparta na wypadku z własnego ślubu Jezusa). Jego żona zmarła przy porodzie i nie ożenił się po raz drugi. Jednak dziecko — córka — przeżyło. Zaginęła gdzieś w zamieszaniu otaczającym koniec życia ojca. Poszukiwania owej córki Jezusa i żyjących może do dzisiaj jej potomków to obecnie jedna z najbardziej aktywnych gałęzi wormcamowych badań.

Jezus był też niespokojnym duchem. W niezwykle młodym wieku zaczął tworzył podstawy swojej własnej filozofii. Można ją uznać — w znacznym uproszczeniu — za opartą na szczególnej syntezie prawd mojżeszowych i mądrości pitagorejskiej. Chrześcijaństwo zrodziło się zatem z kolizji wschodniego mistycyzmu z zachodnią logiką. Jezus uważał się, metaforycznie, za pośrednika pomiędzy Bogiem i ludzkością — a koncepcja środka, zwłaszcza złotego środka, punktu pośredniego, była w tradycji pitagorejskiej tematem wielu dyskusji.

Był i zawsze miał pozostać dobrym Żydem. Ale miał też wiele idei, w jaki sposób można ulepszyć praktykowanie Jego religii.

Przyjaźnił się z ludźmi, których Jego rodzina uważała za towarzystwo nieodpowiednie dla człowieka o Jego pozycji: z nędzarzami czy z przestępcami. Nawiązał nawet tajemnicze kontakty z rozmaitymi grupami lestai, przyszłych powstańców.

Spierał się o to z rodziną i wreszcie wyjechał do Kafarnaum, gdzie zamieszkał z przyjaciółmi.

W tych właśnie latach zaczął czynić cuda.

Z przeciwka zbliżali się dwaj ludzie.

Obaj byli niżsi od Davida, ale krępi i dobrze zbudowani; obaj nosili gęste, związane z tyłu czarne włosy. Ubrania mieli praktyczne; wyglądały na jednoczęściowe bawełniane tuniki z głębokimi, wypchanymi kieszeniami. Szli wzdłuż brzegu, nie dbając o fale, które zalewały im czasem stopy. Wyglądali na jakieś czterdzieści lat, ale prawdopodobnie byli młodsi. Byli też zdrowi, dobrze odżywieni, zamożni; pewnie kupcy, pomyślał David.

Tak mocno pogrążyli się w rozmowie, że jeszcze go nie zauważyli.

…Nie, przypomniał sobie. Nie mogli go zobaczyć, ponieważ go tam nie było tego dnia, kiedy miała miejsce ich rozmowa w blasku słońca. Nie wiedzieli, że człowiek z dalekiej przyszłości zechce pewnego dnia ich oglądać — człowiek potrafiący na nowo ożywić tę zwyczajną chwilę i odtwarzać japo wielokroć, absolutnie niezmienną.

Drgnął, kiedy idący się z nim zderzyli. Światło nagle przygasło i nie czuł już pod stopami twardych kamieni.

Zaraz jednak przeszli; spotkanie z duchem nie zakłóciło im rozmowy. A żywa „realność" otoczenia powróciła natychmiast tak płynnie, jakby regulował system na jakimś niewidocznym ekranie.

Ruszył dalej w stronę Kafarnaum.

Jezus potrafił leczyć rozmaite choroby typu placebo i o podłożu psychicznym, takie jak nerwobóle, jąkanie, wrzody, stres, katar sienny, porażenie czynnościowe, ślepotę histeryczną, a nawet ciąże rzekome. Niektóre z tych „uleczeń" były zadziwiające i poruszające dla naocznych świadków. Ograniczały się jednak do osób, których wiara w Jezusa była silniejsza niż wiara we własne choroby, l — jak żaden „uzdrawiacz" wcześniej i potem — nie potrafił leczyć poważniejszych schorzeń organicznych (choć trzeba Mu przyznać: nigdy nie twierdził, że potrafi).

Cuda uzdrawiania oczywiście przyciągały do Niego wyznawców. Ale tym, co różniło Jezusa od licznych hasidim Jego czasu, było przesłanie, które głosił.

Jezus wierzył, że obiecywany przez proroków Mesjasz przybędzie nie wtedy, gdy Żydzi odniosą zwycięstwo militarne, ale kiedy oczyszczą swe serca. Wierzył, że tę wewnętrzną czystość można osiągnąć nie tylko poprzez życie w cnocie, ale przez poddanie się straszliwej łasce Boga. l wierzył, że łaska ta obejmuje cały Izrael: nieczystych, wyrzutków i grzeszników. Poprzez Swe uleczenia i egzorcyzmy dowodził realności tej łaski.

Jezus był złotym środkiem pomiędzy tym, co boskie, i

tym, co ludzkie. Nic dziwnego, że tak silnie oddziaływał na ludzi; potrafił sprawić, że najnędzniejszy grzesznik czuł się bliski Boga.

Niewielu jednak przedstawicieli podbitego narodu zdołało pojąć Jego przesłanie. Jezusa niecierpliwiły coraz częstsze żądania, by objawił się jako Mesjasz. A lestai, przyciągani Jego charyzmą, zaczęli w Nim widzieć wygodny obiekt ogniskujący pragnienie buntu przeciwko znienawidzonym Rzymianom.

Zbliżały się kłopoty.

David jak duch przechodził z jednego ciasnego pokoju do drugiego, obserwując, jak wchodzą i wychodzą mężczyźni, kobiety, służba i dzieci.

Dom był bardziej imponujący, niż David się spodziewał. Zbudowano go na planie rzymskiej willi, z centralnym odkrytym atrium i wokół niego licznymi pomieszczeniami, wychodzącymi na rodzaj krużganku.

Już teraz, w tak wczesnym okresie misji Jezusa, za murami domu powstał stały obóz: chorzy, chromi, pielgrzymi… Miniaturowe miasteczko namiotów.

Potem w tym miejscu powstanie kaplica, a jeszcze później bizantyjski kościół, który przetrwa do czasów Davida — wraz z legendą o tych, którzy tu kiedyś mieszkali.

Na zewnątrz rozległy się hałasy: odgłos biegnących stóp, krzyki ludzi. David wyszedł za mury.

Większość mieszkańców namiotowego miasteczka — niektórzy z zadziwiającą energią — maszerowała w stronę morza, które David dostrzegał między domami. Podążył za tłumem, wyrastając ponad otaczających ludzi; starał się ignorować smród niemytych ciał, w dużej części ekstrapolowany przez oprogramowanie kontrolne — bezpośredni przekaz zapachów przez WormCamy wciąż pozostawiał wiele do życzenia.

Tłum rozbiegł się wzdłuż brzegu niedużej portowej zatoczki. David przedostał się nad samą wodę; nie zwracał uwagi na chwilowe zaciemnienia, kiedy zderzali się z nim podekscytowani Galilejczycy.

Na spokojnej wodzie stała łódź. Miała jakieś sześć metrów długości, była drewniana i dość prymitywna. Czterech mężczyzn wiosłowało w stronę brzegu; obok krępego sternika na rufie leżały zwinięte sieci.

Szósty mężczyzna stał na dziobie, patrząc na zebrany tłum.

David usłyszał niecierpliwe szepty: On głosił już kazania z łodzi w innych miejscach wzdłuż brzegu. Stanowczy miał głos ten Yesho, ten

Jezus; dobrze niósł się nad wodą…

Starał się przyjrzeć mu dokładniej, ale odbite w wodzie światło oślepiało.

I tak musimy się zwrócić, coś niechętnie, do prawdziwej historii męki.

Jeruzalem — wyrafinowane, chaotyczne, zbudowane z promiennie jasnego, białego miejscowego kamienia — w tę Paschę wypełniło się tłumem pielgrzymów, którzy przybyli, by w murach świętego miasta spożyć paschalnego baranka, jak wymaga tradycja. Stacjonował tu również silny garnizon rzymski.

W tę Paschę w mieście panowało napięcie. Istniały tu liczne grupy powstańcze, na przykład zeloci, niezłomni wrogowie Rzymu, czy iscarii, skrytobójcy, którzy zwykle działali w dużych zbiorowiskach ludzkich podczas świąt.

l w ten historyczny węzeł wkroczył Jezus ze swymi uczniami.

Grupa Jezusa spożyła paschalny posiłek (ale nie przeprowadzili próby eucharystii: Jezus nie nakazał, by spożywali chleb i wino dla Jego pamięci tak, jakby to były fragmenty Jego własnego ciała; ten rytuał został najwyraźniej wymyślony przez ewangelistów; tej nocy Jezus myślał o wielu sprawach, ale nie o tworzeniu nowej religii).

Wiemy teraz, że Jezus miał powiązania z wieloma sektami i grupami operującymi na obrzeżach Jego społeczności. Ale Jego intencją nie było powstanie zbrojne.

Dotarł do miejsca zwanego Getsemani — gdzie po dziś dzień rosną drzewa oliwkowe, a niektóre (co możemy dzisiaj potwierdzić) przetrwały od Jego czasów. Jezus starał się oczyścić judaizm z sekciarstwa. Sądził, że spotka się tutaj z autorytetami, z przywódcami rozmaitych rewolucyjnych grupek i spróbuje doprowadzić do pokoju i jedności. Jak zawsze starał się być złotym środkiem, mostem pomiędzy skonfliktowanymi grupami.

Ale ludzie w czasach Jezusa nie byli bardziej racjonalni niż w dowolnej innej epoce. Na spotkanie wyszedł mu oddział zbrojnych żołnierzy, wysłanych przez kapłanów. A wydarzenia późniejsze rozwijały się ze śmiertelną, znaną nam logiką.

Sąd nie był wydarzeniem teologicznym. Dla najwyższego kapłana — sumiennego, znużonego starca — najważniejsze było zachowanie porządku publicznego.

Wiedział, że musi chronić swój naród przed okrutnym odwetem Rzymian; dla tego celu godził się na mniejsze zło, za jakie uznał wydanie tego trudnego, anarchistycznego uzdrowiciela w ręce wrogów.

Kiedy to uczynił, najwyższy kapłan wrócił do łóżka i zapadł w niespokojny sen.

Piłat, prokurator rzymski, wyszedł na spotkanie kapłanów, którzy nie chcieli wejść do jego pretorium z obawy, że staną się nieczyści. Piłat był człowiekiem kompetentnym i okrutnym, przedstawicielem okupanta — mocarstwa trwającego od wieków. A jednak i on się zawahał, jak się zdaje z obawy, że skazując popularnego lidera na egzekucję, doprowadzi do jeszcze większego wybuchu przemocy.

Oglądaliśmy na własne oczy lęki, odrazę i przerażające kalkulacje ludzi, którzy stawali przed sobą nawzajem tej mrocznej nocy — a bez wątpienia każdy z nich wierzył, że dokonuje słusznego wyboru.

Kiedy już zapadła decyzja, Piłat działał z brutalną skutecznością. Aż za dobrze znamy straszne szczegóły tego, co nastąpiło potem. Nie był to nawet okazały spektakl — ale przecież męka Chrystusa to zdarzenie, które trwało nie dwa dni, ale dwa tysiące lat.

Wielu jednak rzeczy nadal nie wiemy. Sam moment Jego śmierci jest dziwnie niewyraźny; badania wormcamowe wydają się tam podlegać niezwykłym ograniczeniom. Niektórzy uczeni sugerują, że w tych kluczowych sekundach punkty widzenia pojawiają się tak gęsto, że intruzje tuneli naruszają samą strukturę czasoprzestrzni. l te punkty widzenia pochodzą zapewne od obserwatorów z naszej przyszłości — czy może z licznych możliwych przyszłości, jeśli to, co leży przed nami, nie jest zdeterminowane.

Dlatego wciąż nie słyszeliśmy jego ostatnich słów wypowiedzianych do matki; wciąż nie wiemy, czy — pobity, konający, zdezorientowany — wzywał swego Boga. Nawet dzisiaj, mimo technicznych możliwości, wciąż widzimy Go jakby w zwierciadle, niejasno.

Pośrodku miasta znajdował się plac targowy, już teraz zatłoczony. Opanowując drżenie lęku, David zmusił się, by przechodzić przez ludzi.

W samym środku zebranego tłumu żołnierz w prostym mundurze ściskał za ramię kobietę. Wyglądała nędznie, suknię miała podartą,

włosy potargane i brudne, a pulchna, niegdyś ładna twarz była zalana łzami. Obok stali dwaj ludzie w czystych, religijnych szatach — może kapłani, a może faryzeusze. Wskazywali na kobietę, gestykulowali gniewnie i dyskutowali z człowiekiem, który — ukryty za tłumem gapiów — przykucnął w pyle.

David zastanawiał się, czy zdarzenie to pozostawiło po sobie jakiś ślad w ewangeliach. Może właśnie tę kobietę skazano za cudzołóstwo, a faryzeusze zadali Jezusowi kolejne ze swych podchwytliwych pytań, próbując ujawnić Jego bluźnierstwa.

Człowiek pochylony nad ziemią miał dużą grupę przyjaciół. Byli potężni — może rybacy; łagodnie, ale stanowczo odsuwali napierający tłum. A mimo to — David widział wyraźnie, zbliżając się niczym widmo — niektórzy jakoś przeciskali się, wyciągając niepewnie ręce, by dotknąć szaty czy nawet pogłaskać kosmyk włosów.

> Nie myślę, by Jego śmierć — poniżonego, złamanego — musiała pozostawać jądrem naszej obsesji Jezusa, jakim była przez dwa tysiące lat. Dla mnie zwieńczeniem Jego żywota jest moment, kiedy Piłat wystawia Go, umęczonego już i zakrwawionego, wydanego przez Jego własny lud, na drwiny swych żołnierzy.
>
> Wszystko, co zamierzał, wydaje się leżeć w gruzach; być może czuje się opuszczony przez Boga… Jezus powinien zatem się załamać. A jednak stoi dumnie: człowiek tkwiący w swych czasach, pobity, ale nie pokonany, jest Gandhim, jest świętym Franciszkiem, jest Wilberforcem, jest Elizabeth Fry, jest ojcem Damianem wśród trędowatych. Jest swym ludem i straszliwymi cierpieniami, jakich lud ów dozna w imię religii stworzonej w Jego imieniu.
>
> Wszystkie główne religie znalazły się w kryzysie, kiedy ich początki, ich zagmatwana przeszłość stanęła otworem wobec badaczy. Żadna nie wyszła z tego nietknięta; niektóre upadły całkowicie. Ale w religii nie chodzi jedynie o moralność, o osobowość założycieli i wyznawców. Religia mówi o sile wyższej, o wyższym wymiarze naszej natury, l wciąż są tacy, którzy pragną transcendencji, chcą zrozumieć znaczenie i sens.
>
> Już teraz — oczyszczony, zreformowany, odnowiony — Kościół zaczyna nieść pociechę ludziom oszołomionym zniszczeniem prywatności i historycznej pewności.
>
> Być może straciliśmy Chrystusa — ale odnaleźliśmy Jezusa, l Jego przykład nadal może nas prowadzić w nieznaną przyszłość — nawet jeśli ta przyszłość zawiera

tylko Wormwood, a jedyną rolą, jaka pozostała religii, to nas pocieszać.

Historia wciąż niesie nam niespodzianki. Okazało się bowiem, że jedna z najdziwniejszych, ale i najtrwalszych legend z życia Jezusa jest — wbrew wszelkim oczekiwaniom — prawdziwa…

Pochylony mężczyzna był chudy. Włosy miał związane z tyłu i przedwcześnie posiwiałe na skroniach. Pokryta kurzem szata opadała aż do ziemi. Nos był wydatny, dumny, rzymski, oczy czarne, błyszczące, inteligentne. Wydawał się rozgniewany i rysował coś palcem po ziemi.

Ten milczący, smutny człowiek oceniał faryzeuszy, choć nie odzywał się ani słowem.

David wystąpił do przodu. Pod stopami czuł pył na rynku Kafarnaum. Wyciągnął rękę do skraju szaty…

Ale oczywiście palce przeszły przez tkaninę na wylot. I chociaż słońce pociemniało na moment, David nie poczuł niczego.

Człowiek podniósł głowę i spojrzał mu prosto w oczy.

David krzyknął. Galilejskie słońce zgasło, zastąpione nagle przez zatroskaną twarz Bobby'ego.

Jako młody człowiek, pokonawszy wraz z wujem, Józefem z Arymatei, uczęszczany szlak handlowy, Jezus odwiedził zagłębie cynowe w Kornwalii.

Ruszył z towarzyszami dalej w głąb kraju i dotarł aż do Glastonbury — w owym czasie ważnego portu — gdzie studiował u druidów, a także pomógł zaprojektować i wybudować niewielki dom, w przyszłości miejsce, gdzie stanęło opactwo Glastonbury. Te odwiedziny przetrwały — w pewnym sensie — w strzępach folkloru.

Utraciliśmy tak wiele. Ostre światło WormCamu ujawniło, że wiele z naszych legend zbudowanych jest z cieni i szeptów: Atlantyda wyparowała jak rosa; król Artur powrócił w cień, skąd nigdy naprawdę nie wyszedł. A jednak prawdą jest, jak śpiewał Blake, że te stopy w dawny czas rzeczywiście chodziły po zielonych górach Anglii.

22. Wyrok

Przed Bożym Narodzeniem 2037 roku proces Kate dobiegł końca. Sala sądowa była niewielka, wyłożona dębowymi panelami, a gwiaździsty sztandar zwisał bezwładnie pod ścianą. Sędzia, adwokat i prokurator oraz urzędnicy sądowi siedzieli w posępnym splendorze przed rzędami ławek, w których pojawiło się tylko kilku widzów: Bobby, przedstawiciele OurWorldu, reporterzy notujący na softscreenowych ekranach.

Ława przysięgłych składała się z przypadkowo dobranych obywateli; niektórzy nosili kolorowe maski i ubrania z intkamo — modnej od kilku miesięcy inteligentnej tkaniny kamuflażowej. Jeśli Bobby nie przyglądał się zbyt uważnie, mógł całkiem stracić z oczu którąś z przysięgłych — dopóki się nie poruszyła. Wtedy nagle w pustce pojawiała się twarz, kosmyk włosów czy dłoń, a reszta ciała była niewyraźnie widoczna jako mgliste, nierówne odkształcenie tła.

To ironiczne, pomyślał, że intkamo jest kolejnym genialnym pomysłem Hirama, nowym produktem OurWorldu, sprzedawanym ze sporym zyskiem, by przeciwdziałać skutkom poprzedniego.

Na ławie oskarżonych zasiadła samotna Kate. Ubrała się na czarno, włosy związała z tyłu; wargi miała zaciśnięte, oczy puste.

Nie dopuszczono kamer na salę, niewielu też dziennikarzy czekało przy wejściu do gmachu sądu. Ale wszyscy wiedzieli, że zakazy nic już nie znaczą. Bobby wyobrażał sobie, że powietrze wokół skrzy się od punktów widzenia WormCamów; z pewnością całe ich roje unosiły się wokół Kate i jego twarzy.

Wiedział, że Kate nauczyła się zawsze, w każdej sekundzie pamiętać o nadzorze WormCamów; nie mogła przeszkodzić niewidzialnym podglądaczom, ale mogła im odmówić satysfakcji zobaczenia, jak bardzo cierpi. Dla Bobby'ego jej delikatna, samotna postać miała w sobie więcej siły niż cała prawna machina, która usiłowała ją zniszczyć, i wielka, bogata korporacja, która j ą oskarżała.

Ale nawet Kate nie zdołała ukryć rozpaczy, kiedy w końcu ogłoszono wyrok.

— Rzuć ją, Bobby — mruknął Hiram. Krążył po sali konferencyjnej; ulewny deszcz spływał po szybach i szumiał jednostajnie. — Zrobiła ci tylko krzywdę. A teraz jest jeszcze skazaną oszustką. Czy trzeba innych powodów? Daj sobie spokój, synu. Uwolnij się od niej. Nie jest ci potrzebna.

— Ona uważa, że to tyją wrobiłeś.

— Właściwie mało mnie to obchodzi. A ty w co wierzysz? To tylko się liczy. Naprawdę uważasz mnie za krętacza, który wrobiłby

kochankę własnego syna, cokolwiek by o niej myślał?

— Nie wiem, tato — odparł chłodno Bobby. Był spokojny i opanowany; słowa Hirama, który wyraźnie próbował nim manipulować, nie mogły go dosięgnąć. — Nie wiem już, w co powinienem wierzyć.

— Po co o tym gadać? Możesz przecież skorzystać z WormCamu i zobaczyć, co robiłem.

— Nie zamierzam cię szpiegować. Hiram spojrzał na syna.

— Jeśli próbujesz się dokopać do mojego sumienia, to musisz sięgnąć głębiej. Zresztą to tylko reprogramowanie. Do diabła, powinni ją zamknąć i wykasować klucze. Reprogramowanie to drobiazg.

Bobby pokręcił głową.

— Nie dla Kate. Przez lata walczyła przeciwko takim metodom. Naprawdę się tego boi, tato.

— Bzdury. Ty też byłeś reprogramowany i krzywda ci się od tego nie stała.

— Nie wiem, czy mi się stała, czy nie. — Bobby wstał i stanął przed ojcem. Poczuł, że w nim także wzbiera gniew. — Kiedy implant został wyłączony, czułem się inaczej. Byłem zły, wystraszony, zagubiony. Nie wiedziałem nawet, jak powinienem się czuć.

— Mówisz jak ona! — wrzasnął Hiram. — Zreprogramowała cię swoim gadaniem i swojącipką bardziej, niż ja potrafiłem kawałkiem krzemu! Nie widzisz tego? Chryste… Najlepsze, co zrobił dla ciebie ten cholerny implant, to uczynił cię za głupim, żebyś widział, co się z tobą dzieje…

Umilkł nagle i odwrócił wzrok.

— Lepiej wytłumacz, co chciałeś przez to powiedzieć — zażądał lodowato Bobby.

Hiram się odwrócił; gniew, niecierpliwość, a nawet chyba poczucie winy walczyły w nim o pierwszeństwo.

— Zastanów się. Twój brat jest wybitnym fizykiem. Nie używam tego słowa zbyt często, ale ma szansę dostać nominację do Nobla. Co do mnie… — Rozłożył ręce. — Ja to wszystko zbudowałem od zera. Ale ty…

— Chcesz powiedzieć, że to z powodu implantu?

— Wiedziałem, że istnieje jakieś ryzyko. Kreatywność powiązana jest z depresją. Wielkie osiągnięcia często wynikają z osobowości obsesyjnej. Bla bla… Ale nie potrzebujesz zbyt wielkiego mózgu, żeby zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych. Zgadza się? Zgadza.

Sięgnął Bobby'emu do policzka, jakby chciał go uszczypnąć niczym dziecko. Bobby cofnął się.

— Pamiętam sto, tysiąc okazji, kiedy mi to mówiłeś. Jako dziecko nie rozumiałem, o co ci chodzi.

— Daj spokój, Bobby.

— Zrobiłeś to, prawda? Wrobiłeś Kate. Wiesz, że jest niewinna. I gotów jesteś pozwolić im na grzebanie w jej mózgu. Tak jak grzebałeś w moim.

Przez chwilę Hiram stał nieruchomo, po czym opuścił rękę.

— Pieprzyć to. Wracaj do niej, jeśli tak ci zależy, jeśli tak cię ciągnie do jej cipki. W końcu i tak przyjdziesz tutaj, głupi gówniarzu. Nie przeszkadzaj mi w pracy.

Usiadł przy biurku, zastukał w blat, by uruchomić ekrany, a po chwili blask przewijających się liczb rozświetlił mu twarz, jakby Bobby przestał dla niego istnieć.

Kiedy wyszła z aresztu, Bobby zabrał ją do domu.

Gdy tylko tam dotarli, przebiegła dookoła, zaciągając story, odcinając blask słońca, pozostając w ciemnych pokojach.

Zdjęła ubranie, jakie nosiła od opuszczenia sali sądowej, i rzuciła je do śmieci. Bobby leżał w całkowitej ciemności i nasłuchiwał szumu prysznica. Po długich minutach wśliznęła się pod kołdrę. Była zimna i drżała; włosy miała jeszcze mokre — kąpała się w zimnej wodzie. Nie pytał o to; objął ją tylko i tulił, dopóki się nie rozgrzała.

Po chwili odezwała się szeptem:

— Musisz kupić grubsze zasłony.

— Ciemność nie ukryje cię przed WormCamem.

— Wiem — odparła. — I wiem, że nawet w tej chwili słuchają każdego naszego słowa. Ale nie musimy im tego ułatwiać. Nie umiem tego znieść. Hiram mnie pokonał, Bobby. A teraz zamierza mnie zniszczyć.

Tak jak zniszczył mnie, pomyślał.

— Przynajmniej nie trafisz do więzienia — powiedział. — Przynajmniej będziemy mieli siebie.

Kate zacisnęła pięść i uderzyła go w pierś, tak mocno, że zabolało.

— Na tym właśnie polega problem! Nie rozumiesz? Nie będziesz miał mnie, bo kiedy już skończą, nie będzie żadnej mnie. Kimkolwiek się stanę, będę… inna.

Położył dłoń na jej pięści i czekał, aż zaciśnięte palce się wyprostują.

— To tylko reprogramowanie…

— Powiedzieli, że muszę cierpieć na syndrom E. Spazmy nadaktywności w płatach czołowo-oczodołowych i przedczołowych. Nadmierne natężenie sygnałów korowych nie pozwala, by emocje sięgnęły poziomu świadomości. W ten sposób mogę popełnić przestępstwo przeciwko ojcu mojego kochanka, nie czując wyrzutów sumienia, skrupułów ani obrzydzenia do siebie.

— Kate…

— Potem mam zostać uwarunkowana przeciwko używaniu

WormCamu. Skazani zbrodniarze, tacy jak ja, nie mają dostępu do narzędzi przestępstwa. Umieszczą fałszywe ślady wspomnień w moim jądrze migdałowatym, siedlisku emocji. Będę dostawać fobii, niepokonanego lęku na samą myśl o skorzystaniu z WormCamu czy oglądaniu wyników jego użycia.

— Nie ma się czego bać.

Podparła się na łokciach. Jej twarz majaczyła w mroku, jej oczodoły były jak gładkie jamy ciemności.

— Jak możesz ich bronić? Akurat ty, ze wszystkich ludzi…

— Nikogo nie bronię. Zresztą nie wierzę, żeby byli jacyś „oni". Wszyscy uczestniczący w tej sprawie wykonywali po prostu swoje obowiązki: FBI, sądy…

— A Hiram?

Nie próbował nawet odpowiadać.

— Chcę tylko cię przytulić — szepnął.

Westchnęła i oparła mu głowę o pierś; wydawała się ciężka; czuł ciepły dotyk policzka na skórze. Zawahał się.

— Poza tym wiem, na czym naprawdę polega problem. Wyczuł, że marszczy czoło.

— Chodzi o mnie. Nie chcesz przełącznika w głowie, ponieważ ja taki miałem, kiedy mnie spotkałaś. Boisz się, że będziesz taka jak ja… kiedyś. Na pewnym poziomie… — Wyrzucił wreszcie te słowa. — Na pewnym poziomie gardzisz mną.

Odsunęła się od niego.

— Myślisz tylko o sobie. Ale to mnie chcą wyjąć mózg łyżką do lodów.

Wstała, wyszła z pokoju i spokojnie zamknęła za sobą drzwi, zostawiając go samego w ciemności.

Przespał się trochę.

Kiedy się zbudził, poszedł jej szukać. Salon był nadal pogrążony w ciemności, zasłony zaciągnięte i światła wyłączone. Mimo to wiedział, że Kate tam jest.

— Światło.

Zalało pokój, jaskrawe i ostre.

Kate, ubrana, siedziała na sofie. Patrzyła na stół, gdzie stała butelka jakiegoś przezroczystego płynu i druga mniejsza. Barbiturany i alkohol… Obie butelki były zamknięte, ich kapsle nienaruszone. Alkohol wyglądał na dość kosztowny absynt.

— Zawsze miałam dobry gust — oświadczyła. Kate…

Oczy łzawiły jej od światła, a źrenice miała wielkie, przez co wyglądała jak dziecko.

— Zabawne, co? Robiłam w życiu reportaże o kilkunastu samobójstwach, jeszcze więcej o próbach. Wiem, że są szybsze

sposoby. Mogłabym podciąć sobie żyły albo nawet gardło. Pewnie mogłabym też rozwalić sobie mózg, zanim zaczną w nim grzebać. To będzie bardziej powolne. Prawdopodobnie bardziej bolesne. Ale łatwiejsze. Widzisz? Po prostu bierzesz do ust i połykasz, bierzesz i połykasz. Roześmiała się. — I nawet zdążysz się przy tym upić.

— Nie chcesz tego robić.

— Nie. Masz rację. Nie chcę tego robić. Dlatego jesteś mi potrzebny: żeby mi pomóc.

Zamiast odpowiedzi chwycił butelkę alkoholu i cisnął nią przez pokój. Rozbiła się o ścianę, tworząc na tynku spektakularny, kosztowny kleks.

Kate westchnęła.

— To nie jest jedyna butelka na świecie. W końcu mi się uda. Wolę umrzeć, niż pozwolić im majstrować w moim mózgu.

— Musi być inny sposób. Pójdę do Hirama i powiem mu…

— Co mu powiesz? Że skończę ze sobą, jeśli się nie przyzna? Wyśmieje cię, Bobby. On chce mnie wykończyć, tak albo inaczej.

Bobby krążył po pokoju, coraz bardziej zrozpaczony.

— W takim razie wyjedźmy stąd. Westchnęła znowu.

— Mogą nas obserwować, jak wychodzimy z pokoju, mogą nas wszędzie śledzić. Choćbyśmy polecieli na Księżyc i tak nie będziemy wolni.

— Jeśli w to wierzysz, od razu możesz się poddać. Głos zdawał się dobiegać z pustej przestrzeni.

Kate syknęła; Bobby podskoczył i odwrócił się. Miał wrażenie, że to głos kobiety, dziewczyny… znajomy głos. Ale pokój był pusty.

— Mary? — zapytał powoli.

Najpierw, gdy zdjęła kaptur, zobaczył w powietrzu jej twarz. Potem, kiedy przesunęła się na tle ściany, perfekcja intkamowego maskowania zaczęła się załamywać, ujawniając kontury ciała: tutaj mgliste ramię, tam niewyraźną bezbarwną plamę, gdzie powinna mieć tors, a wszystko to w zniekształcającym, mylącym wzrok efekcie rybiego oka, jak najwcześniejsze obrazy z WormCamu. Odruchowo zauważył, że jest czysta, zdrowa i chyba dobrze odżywiona.

— Jak się tu dostałaś? Uśmiechnęła się.

— Kate, jeśli ze mną pójdziesz, to ci pokażę.

— Iść z tobą? — zdziwiła się Kate. — Dokąd?

— I dlaczego? — dodał Bobby.

— Dlaczego? To oczywiste, Bobby — odparła Mary tonem przypominającym jej dawną nastoletnią zapalczywość. — Ponieważ, jak twierdzi Kate, jeśli się stąd nie wyniesie, to ktoś zamiesza jej w mózgu łyżką.

— Dokądkolwiek ucieknie, potrafią ją wyśledzić — przypomniał rozsądnie Bobby.

— No tak — mruknęła Mary. — WormCam. Ale mnie jakoś nie potrafiliście wyśledzić, odkąd parę miesięcy temu uciekłam z domu. Nie widzieliście, że tu wchodzę. Nie mieliście pojęcia, że jestem w mieszkaniu, dopóki się nie ujawniłam. Owszem, WormCam to znakomite narzędzie. Ale przecież nie jest czarodziejską różdżką. Mimo to paraliżuje ludzi. Przestali myśleć. A nawet jeśli święty Mikołaj was zobaczy, co może zrobić? Zanim tu dotrze, wy będziecie daleko.

Bobby zmarszczył brwi.

— Święty Mikołaj?

— Święty Mikołaj widzi cię cały czas — domyśliła się Kate. — W wigilię Bożego Narodzenia ogląda cały miniony rok i sprawdza, czy byłeś grzeczny.

— Mikołaj musiał dostać pierwszy na świecie WormCam. — Mary uśmiechnęła się szeroko. — Prawda? Wesołych świąt.

— Zawsze sądziłam, że to ponura legenda — oświadczyła Kate. — Ale przecież przed Mikołajem możesz uciec tylko, jeśli widzisz, kiedy nadchodzi.

— To proste.

Mary podniosła rękę, podciągnęła intkamowy rękaw i pokazała im coś, co przypominało zegarek — kwadratowy, porysowany i wyglądający, jakby zrobiono go w domowym warsztacie. Tarcza była miniaturowym ekranem; pokazywał obraz korytarza przed drzwiami, ulicy, wind i chyba sąsiednich mieszkań.

— Wszędzie pusto — stwierdziła Mary. — Możliwe, że jakiś czubek słucha każdego naszego słowa. Ale kogo to obchodzi? Zanim się tu dostanie, nas już nie będzie.

— To jest WormCam — stwierdziła z niedowierzaniem Kate. — Noszony na ręku. Jakiś piracki projekt.

— Nie mogę uwierzyć — oznajmił Bobby. — W porównaniu z gigantycznymi akceleratorami w Wormworks…

— Alexander Graham Bell — odparła Mary — też pewnie by nie pomyślał, że można zrobić telefon bez kabla i taki mały, że daje się wszczepić w nadgarstek.

Kate zmrużyła oczy.

— Iniektor Casimira nie da się tak zminiaturyzować. To musi być technologia ściskanej próżni. To, nad czym pracował David.

— Jeśli tak… — Bobby westchnął ciężko — …to w jaki sposób ta technika wyciekła z Wormworks? — Zerknął na Mary. — Czy twoja matka wie, gdzie jesteś?

— Typowe — burknęła dziewczyna. — Parę minut temu Kate chciała popełnić samobójstwo, a ty oskarżasz mnie o szpiegostwo przemysłowe i martwisz się o moje stosunki z matką.

— Mój Boże… — szepnęła Kate. — Co to będzie za świat, jeśli

każdy dzieciak zacznie nosić na ręku WormCam?

— Zdradzę ci tajemnicę — odpowiedziała Mary. — My już nosimy. W Internecie są szczegóły. Warsztaty w garażach produkują je na całej planecie. — Wyszczerzyła zęby. — Dżinn wydostał się z butelki. — Spoważniała. — Posłuchaj, przyszłam tu, żeby ci pomóc. Bez żadnych gwarancji. Święty Mikołaj nie jest wszechmocny, ale trudno się przed nim schować. Proponuję ci szansę. — Spojrzała na Kate z naciskiem. — To chyba lepsze niż to, co cię czeka. Prawda?

— Dlaczego chcesz mi pomóc? — spytała zaintrygowana Kate. Mary była wyraźnie zakłopotana.

— Bo jesteś rodziną. Mniej więcej.

— Twoja matka też jest rodziną — przypomniał Bobby. Mary spojrzała na niego niechętnie.

— Jeśli masz się od tego poczuć lepiej, to zawrzemy umowę. Pozwól mi wyciągnąć was stąd. Pozwól mi uratować Kate przed grzebaniem w mózgu. W zamian obiecuję, że zadzwonię do mamy. Zgoda?

Kate i Bobby porozumieli się wzrokiem.

— Zgoda.

Mary sięgnęła pod tunikę i wyjęła zwój tkaniny, który przed nimi rozwinęła.

— Intkamo.

— Zmieszczą się tam dwie osoby? — zainteresował się nagle Bobby.

Mary uśmiechnęła się radośnie.

— Miałam nadzieję, że zapytasz. Chodźcie, pora się stąd wynosić.

Strażnicy z ochrony Hirama, zaalarmowani przez rutynową kontrolę wormcamową, zjawili się dziesięć minut później. Jasno oświetlony pokój był pusty. Zaczęli się kłócić, kto powie o tym Hiramowi i weźmie na siebie jego gniew. Umilkli, kiedy uświadomili sobie, że i tak ich teraz ogląda — albo będzie oglądał.

Część trzecia
ŚWIATŁO MINIONYCH DNI

Bywa, że w nocy, póki sen
Nie włoży na mnie kajdan swych,
Pamięć zapala wokół mnie
Światło minionych dni.

Thomas Moore (1779–1852)

Przeł. Janusz Jęczmyk

23. Rozświetlona scena

Rzym roku 2041: Trzymając Heather za rękę, David szedł przez gęsto zatłoczone serce miasta. Przesłonięte smogiem nocne niebo wydawało się pomarańczowe, jak chmury na Tytanie.

Nawet o tak późnej porze w Rzymie tłoczyli się turyści. Wielu z nich, jak Heather, spacerowało w obręczach Oka Duszy lub w okularach i rękawicach.

Cztery lata po wprowadzeniu WormCamu na rynek masowy stał się on kuszącą i modną rozrywką, chętnie wykorzystywaną przez turystów; w wielu zabytkach na całym świecie przybysze wędrowali w głębokich warstwach przeszłości. David postanowił, że zanim wyjedzie z Włoch, musi spróbować nurkowania w zatopionej Wenecji… Kuszące — tak, i David rozumiał dlaczego. Przeszłość stała się miejscem wygodnym i znajomym, a jej badanie bezpieczną przygodą, idealną, by odwrócić wzrok od ślepej ściany meteorytu, który zamykał przyszłość. Jakie to ironiczne, pomyślał, że świat pozbawiony przyszłości nagle otrzymał przeszłość.

Kusiła ucieczka ze świata, gdzie nawet teraźniejszość była dziwna i niepokojąca.

Teraz niemal każdy nosił WormCam jakiegoś typu, najczęściej model zegarkowy, zminiaturyzowany, wykorzystujący technologię ściskanej próżni. Osobisty WormCam stanowił łącze z resztą ludzkości, z chwałą i grozą przeszłości oraz, co nie mniej ważne, użyteczny aparat do zaglądania za róg ulicy.

Bezustanne spojrzenie WormCamu przekształciło każdego.

Ludzie nawet nie ubierali się tak jak kiedyś. Niektórzy, starsi, tutaj, na zatłoczonych ulicach Rzymu, wciąż nosili ubrania, które byłyby rozpoznawalne, a nawet modne kilka lat wcześniej. Turyści często chodzili w wyzywających, krzykliwych koszulkach i szortach, tak jak to robili przez dziesięciolecia. Jedna z kobiet miała na koszulce jaskrawy, błyszczący napis:

HEJ, WY, TAM, W PRZYSZŁOŚCI: ZABIERZCIE STĄD WASZĄ BABCIĘ!

Lecz wielu innych okrywało całe ciała; nosili jednoczęściowe kostiumy zapinane pod szyję z długimi rękawami i nogawkami, zakończonymi wszywanymi rękawicami i butami. Zdarzały się nawet długie opończe importowane ze świata islamu: bezkształtne peleryny i

tuniki wlokące się po ziemi, kaptury zakrywające wszystko prócz zawsze czujnie spoglądających oczu.

Jeszcze inni reagowali całkiem inaczej. Obok przeszła para nudystów: dwaj mężczyźni trzymający się za ręce, z obwisłymi brzuchami nad skurczonymi w tym wieku genitaliami, które demonstrowali z wyzywającą dumą.

Lecz ostrożni czy wyzywający, starsi ludzie — do których David niechętnie zaliczał i siebie — zdradzali niepokój i świadomość nieustannej obserwacji WormCamów.

Młodzi, dorastający z WormCamem, byli całkiem inni.

Wielu z nich chodziło po prostu nago, używając tylko praktycznych elementów ubrania, takich jak sakiewki czy sandały. Ale, zdaniem Davida, nie przejawiali ani zakłopotania, ani skrępowania starszych — jakby decydowali, co na siebie włożyć, wyłącznie na podstawie użyteczności danej rzeczy lub w celu ukazania własnej osobowości. Nie przejmowali się skromnością ani żadnymi tabu.

Któraś z mijanych grup młodzieży nosiła maski, ukazujące projekcje szerokiej twarzy młodego człowieka. Tę twarz nosiły i dziewczęta, i chłopcy, różniła się tylko stanem zewnętrznym czy emocjami — zalana deszczem, oświetlona słońcem, brodata lub ogolona, roześmiana, płacząca, nawet śpiąca. Nie miało to żadnego związku z tym, co akurat robili młodzi ludzie. Lecz widok budził niepokój. David miał wrażenie, że patrzy na grupę wędrujących przez nocny Rzym klonów.

Były to maski Romulusa, najnowszy modny towar OurWorldu. Romulus, założyciel miasta, stał się wśród młodych rzymian znaną postacią, od czasu gdy WormCam udowodnił, że istniał naprawdę, nawet jeśli jego brat i cała historia o wilczycy okazali się mitem.

Każda z masek była po prostu softscreenowym ekranem ukształtowanym na wzór twarzy, z wbudowanym wormcamowym łączem, które ukazywało oblicze Romulusa dokładnie, co do minuty, w wieku noszącego maskę. W innych krajach OurWorld reklamował regionalne warianty tego samego pomysłu.

Maski były świetnym osiągnięciem marketingowym, lecz David wiedział, że całe życie zajmie mu przyzwyczajanie się do widoku twarzy młodego samca z epoki żelaza nad parą sterczących nagich piersi.

Przeszli przez niewielki skwer — prostokąt niezdrowej zieleni, otoczony przez wysokie, antyczne budynki. Na ławce David zauważył młodą parę, chłopca i dziewczynę, oboje nagich. Mieli pewnie po szesnaście lat. Dziewczyna siedziała chłopcu na kolanach i całowali się z entuzjazmem. Dłoń chłopca nerwowo ściskała drobną pierś dziewczyny, a jej ręka, wsunięta między ciała, obejmowała penisa.

David wiedział, że niektórzy starsi lekceważyli ten hedonizm, szaleńczy taniec młodych przed wybuchem pożaru. Było to jakoby bezmyślne młodzieńcze odbicie strasznych, desperackich i nihilistycznych filozofii, które rozwijały się ostatnio w reakcji na istnienie Wormwoodu — filozofii, według których wszechświat był czymś tylko odrobinę różnym od gigantycznej pięści, próbującej raz po raz zgniatać całe życie, piękno i myśl. Oczywiście, nigdy nie istniał sposób przetrwania powolnej cieplnej śmierci wszechświata. Jednak Wormwood uczynił ten kosmiczny koniec straszliwie realnym i bliskim. Nie pozostało już nic prócz tańca, rui i krzyku.

Takie pomysły były straszliwie zaraźliwe. Jednak wyjaśnienie zachowań współczesnej młodzieży, uznał David, z pewnością jest prostsze. To prawdopodobnie jeden ze skutków wprowadzenia WormCamu: odrzucenie wszelkich tabu w świecie, gdzie i tak padły wszystkie mury.

Garstka ludzi przystanęła, by obserwować młodą parę. Jeden z mężczyzn, mniej więcej dwudziestoletni i też nagi, onanizował się powoli.

Formalnie rzecz biorąc, nadal było to nielegalne. Lecz nikt nie próbował egzekwować takich praw. W końcu ów człowiek mógł wrócić do pokoju hotelowego i użyć WormCamu, żeby obejrzeć kogo tylko zechce, w dowolnej chwili dnia czy nocy. Do tego właśnie wykorzystywano WormCamy, odkąd wprowadzono je na rynek, a filmy i magazyny od jeszcze dawniejszych czasów. Przynajmniej w erze WormCamu zniknęła związana z tym hipokryzja.

Jednak takie incydenty stawały się coraz rzadsze. Tworzyły się nowe normy społeczne.

Świat wydawał się Davidowi trochę podobny do zatłoczonej restauracji. Owszem, można słuchać, co mówi do żony mężczyzna przy sąsiednim stoliku, ale to nieuprzejme. Jeżeli będzie się to robić zbyt często, człowieka czeka ostracyzm. Poza tym wielu ludzi lubiło zatłoczone miejsca publiczne; szum, podniecenie, poczucie przynależności mogło zwyciężyć z tęsknotą za prywatnością.

David zauważył nagle, że dziewczyna odsuwa się i uśmiecha do chłopca, zsuwa wzdłuż jego ciała, by wziąć penisa do ust. I…

Odwrócił się. Twarz mu płonęła.

Ich miłość była niezręczna, naiwna, może nadmiernie gorliwa; dwa ciała, choć młode, nie były szczególnie atrakcyjne. Lecz w końcu nie była to sztuka ani nawet pornografia; to było ludzkie życie w całym niezgrabnym, zwierzęcym pięknie. David spróbował sobie wyobrazić, jak by to było być tym chłopcem, tu i teraz, uwolnionym od tabu, rozkoszującym się mocą ciała swojego i swojej kochanki.

Jednak Heather tego wszystkiego nie widziała. Szła obok, z błyszczącymi oczami, wciąż zanurzona w głębokiej przeszłości. Może

już pora, żeby do niej dołączyć, pomyślał. Z poczuciem ulgi, rzuciwszy wyszukiwarce krótkie polecenie prowadzenia go, David włożył swoje Oko Duszy i spłynął w inny czas.

…Wszedł w światło dnia. Lecz zatłoczona ulica, wzdłuż której stały prostokątne bryły budynków, tonęła w mroku. Szczególna topografia miasta, owe słynne siedem wzgórz, zmuszała rzymian, których było już prawie milion, do budowania coraz wyższych domów.

W pewnym sensie miasto sprawiało wrażenie zadziwiająco nowoczesnego, choć z pewnością nie był to dwudziesty pierwszy wiek. Oglądał tę ludną, pełną życia metropolię w jasne słoneczne popołudnie, pięć lat po okrutnej śmierci samego Chrystusa. Oczywiście, nie było tu pojazdów motorowych i nawet niewiele wozów ciągniętych przez zwierzęta. Najpopularniejszą formą transportu, prócz własnych nóg, wydawały się lektyki i niesione krzesła. Mimo to ulice były tak zatłoczone, że nawet ruch pieszy posuwał się w żółwim tempie.

Ludzi było mnóstwo — obywateli, żołnierzy, biedaków i niewolników. Otaczali ich ze wszystkich stron. David i Heather wyrastali nad nimi, a poza tym — idąc po współczesnej powierzchni gruntu — unosili się ponad brukiem starożytnego miasta. Biedacy i niewolnicy wydawali się przygarbieni, niektórzy w widoczny sposób cierpieli z powodu niedożywienia i chorób; niczym szczury otaczali publiczne fontanny z wodą. Jednak wielu obywateli — często w śnieżnobiałych togach wyszywanych złotem — którym rozrastające się imperium przyniosło długie pokolenia dostatku, było równie wysokich i dobrze rozwiniętych, jak David. W odpowiednim ubraniu nie wyglądaliby dziwacznie czy nie na miejscu na ulicy dowolnego miasta dwudziestego pierwszego wieku.

David jednak nie mógł się przyzwyczaić do tego, że tłumy ludzi po prostu przeciskają się przez niego. Trudno pogodzić się z faktem, że dla tych zajętych własnymi sprawami rzymian jest zaledwie niematerialnym widmem. Chciałby znaleźć się tutaj, żyć naprawdę.

Dotarli na otwartą przestrzeń. To było Forum Romanum: gładko wybrukowany prostokątny dziedziniec otoczony wspaniałymi dwupiętrowymi budynkami publicznymi i rzędami wąskich marmurowych kolumn. Linia zwieńczonych złocistymi posągami kolumn triumfalnych ciągnęła się dumnie ku środkowi placu. Dalej, za typowo rzymskimi, skośnymi czerwonymi dachami, widział zakrzywioną ścianę Koloseum.

W rogu zauważył grupę wykwintnie ubranych obywateli — być może senatorów. Kłócili się gwałtownie, wskazując na tabliczki; nie zwracali uwagi na otaczające ich piękno. Byli dowodem, że to miasto

nie jest muzeum, lecz żywą stolicą potężnego, rozległego i dobrze zarządzanego imperium — Waszyngtonem swoich czasów. Ta przyziemność podniecała, tak bardzo różniła się od gładkich, lśniących i pustych rekonstrukcji w dawnych muzeach, w filmach i książkach sprzed wormcamowej epoki.

Jednak to imperialne miasto, już teraz starożytne, miało przed sobą jeszcze tylko kilka wieków. Wielkie akwedukty rozpadną się, publiczne fontanny runą i przez następne tysiąc lat rzymianie będą musieli sami nosić wodę z Tybru.

Ktoś stuknął go w ramię.

David obejrzał się zaskoczony. Za nim stał mężczyzna ubrany w prosty ciemnoszary garnitur i w krawat, zupełnie nie pasujący do tego miejsca. Miał krótko ścięte jasne włosy i trzymał odznakę. Podobnie jak David i Heather unosił się ponad gruntem imperialnego Rzymu.

Był to agent specjalny FBI Michael Mavens.

To pan — stwierdził David. — Czego pan od nas chce? Chyba już dość pan zaszkodził mojej rodzinie.

— Nie chciałem nikomu szkodzić, proszę pana.

— A teraz…

— A teraz potrzebuję pańskiej pomocy.

David stłumił westchnienie i sięgnął do obręczy Oka Duszy. Poczuł nieokreślone mrowienie, które zawsze towarzyszyło zerwaniu łącza aparatu z korą mózgową.

Nagle znalazł się w środku gorącej rzymskiej nocy.

Wokół niego rozciągało się zniszczone Forum Romanum. Na ziemi leżały wielkie kawały marmuru, a ich powierzchnia zbrązowiała, rozpadając się w zanieczyszczonym powietrzu miasta. Z wielkich budynków pozostała tylko garść kolumn i belek — wystawały z ziemi jak odsłonięte kości. Chora, zatruta trawa przeciskała się przez pęknięcia bruku.

To dziwne, ale wśród krzykliwych dwudziestopierwszowiecznych turystów agent w szarym garniturze wydawał się jeszcze bardziej nie na miejscu niż w starożytnym Rzymie.

Michael Mavens odwrócił się i spojrzał na Heather. Jej oczy z wielkimi źrenicami lśniły łatwo rozpoznawalnym perłowym błyskiem punktów widzenia, rzucanym przez wszczepione w siatkówkę miniaturowe generatory WormCamów. David wziął ją za rękę. Delikatnie ścisnęła jego dłoń.

Mavens spojrzał na Davida i ze zrozumieniem pokiwał głową. Lecz nie ustąpił.

— Muszę z panem porozmawiać. To ważne.

— Chodzi o mój ego brata?

— Tak.

— Dobrze. Przejdzie się pan z nami do hotelu? To niedaleko.

— Będę wdzięczny.

I tak David opuścił zrujnowane Forum Romanum, delikatnie prowadząc Heather między marmurowymi blokami. Heather obracała głowę jak kamera na trójnogu, wciąż zanurzona w glorii dawno zmarłego miasta, a w jej oczach błyszczały deformacje czasoprzestrzeni.

Dotarli do hotelu.

Od Forum Romanum Heather prawie się nie odzywała. Pozwoliła Davidowi pocałować się w policzek i poszła do pokoju. Tam położyła się w ciemności na wznak, a jej tunelowe oczy błyszczały w mroku. David uświadomił sobie z niepokojem, że nie ma pojęcia, na co ona właściwie patrzy.

Wrócił do siebie. Mavens czekał. David przygotował drinki z minibaru: whisky single malt dla siebie i bourbona dla agenta. Mavens zaczął luźną rozmowę.

— Wie pan, zasięg wynalazków Hirama Pattersona jest szokujący. Przed chwilą w łazience użyłem wormcamowego lustra, żeby wyjąć spomiędzy zębów kawałek szpinaku. Moja żona ma w domu tunelową nianiokamerę. Brat ze swoją żoną używają wormcamowego monitora, aby pilnować swojej trzynastoletniej córki, która w ich mniemaniu jest trochę zwariowana… I tak dalej. Kto by pomyślał: cud techniki naszego wieku, a wykorzystujemy go w tak trywialny sposób.

— Dopóki go sprzedaje, Hirama nie obchodzi, co z nim robimy — odparł David. — Może powie mi pan, agencie, czemu szukał mnie pan aż tak daleko?

Mavens sięgnął do kieszeni swojej pomiętej marynarki i wyjął dysk danych rozmiaru paznokcia. Odwrócił go jak monetę i David ujrzał lśniący na powierzchni hologram. Agent ostrożnie umieścił dysk na blacie stolika, obok szklanki.

— Szukam Kate Manzoni — powiedział. — I Bobby'ego Pattersona oraz Mary Mays. To ja zmusiłem ich do ukrywania się. Chcę sprowadzić ich z powrotem. Pomóc w odbudowaniu życia.

— Co mogę zrobić? — spytał kwaśno David. — To w końcu pan ma do dyspozycji wsparcie całego FBI.

— Nie w tej sprawie. Prawdę mówiąc, firma dała sobie spokój z tą trójką. Ja nie.

— Dlaczego? Chce ich pan jeszcze za coś ukarać?

— Wręcz przeciwnie — odparł zakłopotany Mavens. — Sprawa Manzoni była pierwszym głośnym procesem, w którym wyrok zależał od dowodów uzyskanych przez WormCam. I pomyliliśmy się. — Uśmiechnął się ze znużeniem. — Sprawdziłem. To właśnie jest najwspanialsze, prawda? WormCam to najlepsza na świecie maszyna sprawdzająca. Widzi pan, teraz przez WormCam możemy odczytać

wiele typów informacji, w szczególności zawartość pamięci i dysków komputera. Sprawdziłem sprzęt, którego Kate Manzoni używała w czasie rzekomego przestępstwa. I w końcu odkryłem, że od początku mówiła prawdę.

— To znaczy?

— Że Hiram Patterson popełnił to przestępstwo, chociaż trudno będzie go skazać, nawet z użyciem WormCamu. I że to on wrobił panią Manzoni. — Pokręcił głową. — Znałem i podziwiałem kunszt dziennikarski Kate Manzoni na długo przed tą sprawą. Wspaniale ujawniła tę historię z Wormwoodem.

— To nie była pańska wina — odparł spokojnie David. — Wykonywał pan tylko swoją pracę.

— Pracę, którą spieprzyłem — rzucił szorstko Mavens. — Nie pierwszy raz. Ale ci, którzy zostali skrzywdzeni, to znaczy Bobby i Kate, zniknęli nam z oczu. Zresztą nie tylko oni.

— Ukrywają się przed WormCamem — mruknął David.

— Oczywiście. WormCam zmienia każdego…

To była prawda. Biznes rozkwitał. Przestępczość spadła do nieredukowalnego minimum występków, popełnianych przez ludzi psychicznie niezrównoważonych. Ostrożni politycy znaleźli w końcu sposoby działania w nowym świecie o szklanych ścianach, gdzie każdy ich ruch, teraz i w przeszłości, obserwowany był przez zatroskanych obywateli. Turystyka w czasie była trywialna, lecz nowa historia, oczyszczona z mitów i kłamstw — choć przez to nie mniej cudowna — z wolna trafiała do świadomości ludzkiej rasy. Narody, religie i korporacje przeszły już etap przepraszania siebie nawzajem. Religie, które przetrwały, odnowione i oczyszczone z zepsucia i chciwości, zaczynały — zdaniem Davida — wypełniać swoją prawdziwą misję, którą było poszukiwanie transcendencji.

Zmiany następowały na wszystkich poziomach. Nawet maniery uległy zmianom. Ludzie stali się trochę bardziej tolerancyjni wobec siebie, skłonni akceptować różnice i błędy, ponieważ każdy wiedział, że także jest obserwowany.

— Wie pan — mówił Mavens — to trochę tak, jakbyśmy dotąd stali w świetle reflektora na zaciemnionej scenie. A teraz zapaliły się światła i widzimy wszystko, aż po kulisy, czy się nam to podoba, czy nie. Pewnie słyszał pan o WGD? Wzajemnie Gwarantowany Dozór, konsekwencja faktu, że wszyscy noszą WormCamy i każdy obserwuje każdego. Nagle cały kraj pełen jest ostrożnych, uprzejmych i czujnych obywateli. Ale to może zaszkodzić. Niektórzy chyba dostają obsesji na punkcie obserwacji; nie chcą zrobić niczego, co wyróżni ich jako odbiegających od normy. To jakby żyć w wiosce opanowanej przez wścibskie plotkarki…

— Lecz z pewnością WormCam w sumie wyszedł nam na dobre.

Na przykład Otwarte Niebo.

Otwarte Niebo było dawnym marzeniem prezydenta Eisenhowera, snem o międzynarodowej jawności. Jeszcze przed WormCamem próbowano zrealizować tę wizję z użyciem rozpoznania lotniczego, satelitów szpiegowskich i inspektorów uzbrojenia. Jednak możliwości tych środków były ograniczone: inspektorów można usunąć, wyrzutnie pocisków zamaskować siatkami.

— A teraz — stwierdził agent — w tym cudownym wormcamowym świecie obserwujemy ich i wiemy, że oni też nas obserwują. Niczego nie da się ukryć. Układy o ograniczeniu zbrojeń można weryfikować i nawet kilka zbrojnych konfliktów wpadło w impas, ponieważ obie strony wiedzą, co ci drudzy planują. Zresztą nie tylko to. Obywatele też nas obserwują. Na całej planecie…

Liczne reżimy dyktatorskie i represyjne zaczynały kolejno upadać. Wprawdzie kilka totalitarnych rządów usiłowało wykorzystać nową technologię jako narzędzie ucisku, lecz świadome zasypanie tych krajów WormCamami zagwarantowało w końcu otwartość i odpowiedzialność władzy. Była to kontynuacja działań takich grup jak Program Świadków, które przez dziesięciolecia dostarczały sprzęt wideo dla komitetów praw człowieka. Ich hasłem było: „Niech prawda walczy za nas”.

— Może pan wierzyć — rzekł Mavens — że Stany Zjednoczone wychodzą z tego obronną ręką. Najgorszy skandal, jaki ostatnio wybuchł, to odkrycie wormwoodowych bunkrów.

Żałosne, beznadziejne przedsięwzięcie — kilka wydrążonych gór i zaadaptowane kopalnie, przeznaczone na Dzień Wormwoodu jako schronienie dla bogatych i potężnych, a przynajmniej ich dzieci. Istnienie takich kryjówek podejrzewano od dawna, a kiedy je ujawniono, naukowcy szybko wykazali, że nie spełnią swojej funkcji. Budowniczowie, wyśmiani przez opinię publiczną, stali się nieszkodliwi.

— Jeśli się nad tym zastanowić — stwierdził agent — w dowolnej chwili w przeszłości można odkryć o wiele większe skandale. Stajemy się bardziej oczyszczeni. Niektórzy twierdzą, że może zbliżamy się do prawdziwego, jednomyślnego światowego rządu, a nawet utopii.

— Pan w to wierzy?

Mavens uśmiechnął się kwaśno.

— Ani przez moment. Mam przeczucie, że dokądkolwiek zmierzamy, gdziekolwiek prowadzi nas WormCam, przyszłość będzie o wiele dziwniejsza.

— Być może — zgodził się David. — Przeżyliśmy jedną z tych chwil, które całkowicie zmieniają perspektywę. Poprzednie pokolenie było pierwszym, które zobaczyło Ziemię z kosmosu. Nasze było pierwszym, które ujrzało całą prawdziwą historię i prawdę o nas

samych. Wie pan, ja sam powinienem sobie z tym jakoś poradzić. — Uśmiechnął się z przymusem. — Może pan wierzyć katolikowi, agencie specjalny. Dorastałem, wierząc, że i tak jestem pod obserwacją czegoś w rodzaju WormCamu. Lecz tamten WormCam był wszystkowidzącym okiem Boga. Musimy się nauczyć żyć bez oszustw i bez wstydu. Tak, to dla nas trudne. Trudne dla mnie. Ale wydaje mi się, że dzięki WormCamowi każdy z nas jest trochę zdrowszy psychicznie.

Zadziwiające, że wszystko to wyniknęło z wynalezienia aparatu, który Hiram uważał ledwie za rodzaj inteligentniejszej kamery telewizyjnej. Ale teraz Hiram, ukryty gdzieś głęboko, jak zwykle tacy wynalazcy od czasów Frankensteina, był zagrożony zniszczeniem przez własny twór.

— Może za pokolenie czy dwa WormCam oczyści nas całkowicie — zamyślił się Mavens. — Ale nie każdy wytrzymuje takie odsłonięcie. Liczba samobójstw pozostała wysoka; byłby pan zdziwiony, wiedząc, jak wysoka. A wielu ludzi, tak jak Bobby, znika z rejestrów, ankiet, spisów ludności. Niektórzy nawet wycinają z ramion wykrywalne wszczepy. Widzimy ich, oczywiście, lecz nie potrafimy nadać im imienia. — Zerknął na Davida. — Sądzę, że do takiej grupy dołączył Bobby i obie kobiety. Nazywają się Uchodźcami. I tych ludzi musimy wyśledzić, jeśli chcemy go odnaleźć.

David zmarszczył czoło.

— Dokonał wyboru. Może jest szczęśliwy.

— Ucieka. W tej chwili nie ma żadnego wyboru.

— Jeśli go pan znajdzie, znajdzie pan też Kate. A wtedy będzie musiała poddać się wyrokowi.

Mavens pokręcił głową.

— Mogę zagwarantować, że do tego nie dojdzie. Mówiłem panu, mam dowody, że jest niewinna. Przygotowuję już materiały do apelacji. — Podniósł dysk z danymi i postukał nim o stół. — A więc? — zapytał. — Chce pan rzucić bratu linę ratunkową?

— A co właściwie miałbym zrobić?

— Potrafimy śledzić ludzi WormCamem, podążając za nimi — wyjaśnił Mavens. — Jest to niełatwe, pracochłonne, lecz możliwe. Ale takiego śledzącego można zmylić. Nie potrafimy też powiązać wormcamowego namiaru z żadnym zewnętrznym wskaźnikiem, nawet wszczepem. Zresztą wszczepy można wyciąć, wymienić, przeprogramować albo zniszczyć. Dlatego laboratoria FBI poszukiwały lepszej metody.

— Na czym opartej?

— Na DNA. Uważamy, że można zacząć od dowolnego możliwego do analizy fragmentu organicznego: strzępków skóry, kawałka paznokcia… Czegoś, co pozwoli zarejestrować odcisk DNA. A potem

śledzić ten fragment wstecz w czasie, dopóki, hm, nie połączy się z poszukiwanym osobnikiem. Wtedy, wykorzystując klucz DNA, możemy śledzić obiekt w czasie wstecz i do przodu, tak daleko, jak tylko zechcemy. Dysk zawiera oprogramowanie śledzące. Od pana oczekujemy, że powiąże go pan z działającym WormCamem. Wy, w OurWorldzie, a zwłaszcza pan, doktorze Curzon, wciąż wyprzedzacie w tych kwestiach całą konkurencję.

Uśmiechnął się.

— Sądzimy, że w końcu uda się założyć globalną bazę danych sekwencji DNA. Dzieci będą badane i rejestrowane zaraz po urodzeniu. Bazę będzie można wykorzystywać jako dane do procedur wyszukiwania, bez konieczności używania fizycznych fragmentów.

— A wtedy — rzekł powoli David — będzie pan mógł siedzieć w sztabie FBI, a pańscy wormholowi szpiedzy zbadają całą planetę, aż znajdą tego, kogo pan szuka, nawet w całkowitej ciemności. To będzie ostateczna śmierć prywatności. Zgadza się?

— Niech pan da spokój, doktorze Curzon — nie ustępował Mavens. — Czym jest prywatność? Proszę się rozejrzeć. Już teraz dzieciaki pieprzą się na ulicach. Jeszcze dziesięć lat i będzie pan im musiał tłumaczyć, co w ogóle znaczyło to słowo. Te dzieciaki są inne. Tak twierdzą socjologowie. I pan to widzi. Dorastaj ą przyzwyczajeni do otwartości, w blasku reflektorów; i bez przerwy ze sobą rozmawiają. Słyszał pan o Arenach? To gigantyczne, trwające bez przerwy dyskusje, przekazywane przez wormcamowe łącza, niemoderowane, międzynarodowe. Czasem uczestniczą w nich tysiące ludzi. I nie włącza się prawie nikt w wieku powyżej dwudziestu pięciu lat. Sami zaczynają rozwiązywać pewne sprawy, bez prawie żadnych odwołań do świata, który zbudowaliśmy. W porównaniu z nimi to my spieprzyliśmy robotę, prawda?

David niechętnie musiał przyznać, że się zgadza. Zresztą na tym się nie skończy. Może konieczne będzie, aby ta skrzywiona starsza generacja, w tym i on, ustąpiła miejsca, zabierając swoje niepokoje i tabu. Aby pozwoliła, żeby młodzi odziedziczyli świat, który tylko oni naprawdę rozumieją.

— Możliwe — mruknął agent, gdy David powtórzył to na głos. — Lecz nie jestem jeszcze gotów zrezygnować. A póki co…

— A póki co, mogę poszukać brata.

Mavens zapatrzył się w szklankę.

To nie jest moja sprawa, ale… Heather jest tunelowcem, prawda?

Tunelowcy byli krańcowym rezultatem wormcamowego uzależnienia. Odkąd wszczepiła sobie WormCamy w siatkówkę, Heather spędzała życie w wirtualnym śnie. Oczywiście, mogła dostroić oczy tak, by widzieć teraźniejszość, a przynajmniej bardzo niedaleką przeszłość, jakby wciąż miała oryginalne organiczne oczy. Ale, o ile

wiedział David, prawie nigdy tego nie robiła.

Zwykle wędrowała po świecie oświetlonym blaskiem dalekiej przeszłości. Czasami spacerowała z samą sobą, młodszą, a nawet patrzyła przez własne oczy, po wielokroć przeżywając dawne wydarzenia. David był prawie pewien, że często przebywa z Mary — z niemowlęciem na ręku, z dziewczynką biegnącą w jej stronę — niezdolna i nawet nie pragnąca zmienić żadnego szczegółu.

Stan Heather nie powinien obchodzić Mavensa, jednak obchodził Davida. Być może odruch, aby się nią opiekować, był reakcją na jego własną niedawną fascynację uwodzicielską wizją przeszłości.

— Niektórzy uważają — stwierdził David — że to właśnie jest nasza przyszłość. Tunele podprzestrzenne w oczach, w uszach. Nauczymy się nowej percepcji, gdzie warstwy przeszłości będą dla nas widoczne jak teraźniejszość. Zrodzi się nowy rodzaj myślenia, życia we wszechświecie. Ale na razie…

— Na razie — dokończył łagodnie Mavens — Heather potrzebuje pomocy.

— Wiem. Ciężko przeżyła stratę córki.

— Więc niech pan coś z tym zrobi. Niech pan mi pomoże. Proszę posłuchać, śledzenie DNA to nie tylko narzędzie dochodzeniowe. — Agent pochylił się. — Niech pan pomyśli, co jeszcze można z nim osiągnąć. Na przykład walka z chorobami. Można prześledzić epidemię poprzez czas, wzdłuż wektorów rozprzestrzeniania przez powietrze czy wodę, wszystko jedno. Można jednym spojrzeniem zastąpić miesiące żmudnej i niebezpiecznej pracy detektywistycznej. Ośrodki epidemiologiczne już teraz próbują tego dokonać. A historia? Może pan prześledzić dowolnego osobnika aż do łona matki. Prawda? Niewielka przeróbka oprogramowania pozwoli proces śledzenia przenieść na DNA każdego z rodziców. I na ich rodziców. Można się cofać po drzewach genealogicznych. Można też w drugą stronę: zacząć od dowolnej historycznej postaci i wytropić wszystkich żyjących potomków…

Jest pan uczonym, Davidzie. WormCam wywrócił już naukę i historię do góry nogami. Zgodzi się pan? Proszę pomyśleć, co możemy jeszcze z tym zrobić.

Przytrzymał dysk przed twarzą Davida. Ściskał go między kciukiem i palcem wskazującym, jakby to była hostia.

24. Patrząc na Bobby'ego

Nazywała się Mae Wilson. Jej intencje były czyste jak kryształ.

Ten fakt stał się oczywisty od chwili, gdy jej adoptowana córka Barbara została skazana za zamordowanie jej adoptowanego syna Miana i podążyła za ojcem, mężem Mae, Philem, do celi, gdzie dostała zastrzyk trucizny.

Chodzi o to, że Mae przyzwyczaiła się już do myśli o mężu jako potworze, który molestował i w końcu zabił chłopca powierzonego ich opiece. Przez lata nauczyła się obwiniać Phila, a nawet nienawidzić jego cień. Dało jej to odrobinę spokoju.

I wciąż, choć daleko, miała Barbarę — ostatni fragment rozbitego życia, dowód, że jednak było w nim coś dobrego.

Teraz, z powodu WormCamu, straciła tę wiarę. Zbrodniarzem nie był Phil, lecz Barbara. To nie do przyjęcia. Potworem okazał się nie ktoś, kto okłamywał j ą całe lata, lecz ktoś, kogo karmiła, wychowała, kogo stworzyła.

A ona, Mae, nie była ofiarą oszustwa, lecz w jakiś sposób przyczyną całej katastrofy.

Oczywiście skazanie Barbary było sprawiedliwe. Oczywiście, taka była prawda. Oczywiście, tym błędnym wyrokiem wyrządzono Philowi — im wszystkim — wielką krzywdę. Teraz, dzięki WormCamowi, błąd częściowo naprawiono.

Lecz Mae nie pragnęła sprawiedliwości ani prawdy. Nikt jej nie pragnął. Czy ci ludzie, którzy tak uwielbiają WormCamy, nie mogą tego pojąć? Mae chciała tylko pociechy.

Jej intencje były zatem czyste od samego początku. Chciała znaleźć kogoś nowego, kogo mogłaby nienawidzić.

Nie potrafiła nienawidzić Barbary mimo zbrodni, jaką córka popełniła. To wciąż była Barbara, związana z Mae jak stalową liną.

Dlatego zmieniała potencjalne obiekty nienawiści, w miarę jak pogłębiał się i rozwijał jej sposób myślenia.

Z początku skupiła się na agencie FBI Mavensie, człowieku, który mógł odkryć prawdę już w dawnych, przedwormcamowych czasach. Ale to nie był dobry pomysł. Ten człowiek był dosłownie agentem i tępo wykonywał swoją pracę, korzystając z takiej techniki, jaką mu udostępniono.

Może sama technika — wszechobecny WormCam? Ale nienawiść do maszyny była płytka i nie dawała satysfakcji.

Nie potrafiła nienawidzić rzeczy. Musiała nienawidzić ludzi.

Hiram Patterson, oczywiście.

Rzucił na ludzką rasę swą monstrualną maszynę prawdy, a jedynym jego celem, jaki potrafiła dostrzec, był zysk.

Jakby przypadkiem maszyna zniszczyła nawet religię, która dawała jej pociechę.

Hiram Patterson.

Trzy dni intensywnej pracy w Wormworks zajęło Davidowi połączenie oprogramowania śledzącego FBI z działającym tunelem podprzestrzennym.

Potem poszedł do apartamentu Bobby'ego. Szukał długo, aż w końcu znalazł przyczepiony do poduszki pojedynczy włos z głowy brata. W innym laboratorium Hirama przeprowadził sekwencjonowanie DNA.

Pierwszym obrazem, wyraźnym i czystym na ekranie, był sam włos, leżący spokojnie na poduszce. David zaczął go śledzić wstecz w czasie. Opracował sposób efektywnego i szybkiego cofania punktu widzenia w przeszłość — w rzeczywistości tworzył się wtedy ciąg nowych tuneli wzdłuż linii istnienia molekuł DNA z włosa.

Przyspieszył; dni i noce rozmyły się w szarości. Włos i poduszka nie zmieniały się pośrodku ekranu.

Potem nastąpił jakiś ruch.

Cofnął, wyostrzył obraz i pozwolił, by przesuwał się w normalnym tempie.

Działo się to trzy lata temu. Zobaczył Bobby'ego, Kate i Mary. Rozmawiali gorączkowo. Mary była na wpół ukryta pod intkamem. Uświadomił sobie, że przygotowywali się do zniknięcia. Już teraz, w tym punkcie, cała trójka opuściła świat, w którym żyli David i Heather.

Test dobiegł końca. Program działał. Teraz mógł śledzić DNA do przodu, coraz bliżej teraźniejszości, aż zlokalizuje Bobby'ego i pozostałych… Ale może lepiej zostawić to agentowi Mavensowi?

Miał już wyłączyć WormCam, kiedy pod wpływem nagłego kaprysu ustawił obraz tak, że w centrum ekranu znalazła się twarz Bobby'ego, jakby zawisła przed nim niewidzialna kamera — tuż przed oczami, w których odbijało się jego młode życie.

A potem David zaczął się cofać.

Utrzymał szybkie tempo przez kluczowe momenty niedawnego życia Bobby'ego: w sądzie z Kate, w Wormworks z Davidem, kłótnia z ojcem, płacz w ramionach Kate, zdobywanie wirtualnej cytadeli Billyboba Meeksa.

Potem David zwiększył jeszcze szybkość przewijania, wciąż utrzymując twarz brata w centrum ekranu. Widział, jak Bobby je, śmieje się, śpi, bawi, kocha. Migoczące światło nocy i dni zlało się w tle w jednolitą szarość, nieistotne obramowanie twarzy. Różne miny zmieniały się tak szybko, że rysy uległy wygładzeniu — oblicze

Bobby'ego wydawało się spokojne, jak pogrążone we śnie, z półprzymkniętymi oczami. Blask lata przychodził i odpływał jak fala. Od czasu do czasu, z nagłością, która Davida zaskakiwała, zmieniała się fryzura Bobby'ego: z krótkich włosów do długich, z jasnych do naturalnie ciemnych, a nawet do wojskowego jeża.

W miarę upływu lat twarz Bobby'ego traciła zmarszczki, które pojawiły się z wiekiem wokół oczu i warg; nabrała młodzieńczej gładkości. Z początku niedostrzegalnie, a potem coraz szybciej ta młodniejąca twarz stawała się bardziej delikatna, mniejsza, jakby uproszczona. Trochę migoczące, wpółotwarte oczy były bardziej okrągłe i niewinne, a kształty za nim — cienie dorosłych i widoki obcych, nierozpoznawalnych miejsc — o wiele większe.

David zatrzymał obraz kilka dni po narodzinach Bobby'ego. Patrzyła na niego okrągła twarz bez wyrazu, a błękitne oczy były wielkie i puste jak okna.

Lecz z tyłu David nie zobaczył szpitalnej sali, której się spodziewał. Bobby leżał pod ostrymi jarzeniówkami, wśród lśniących ścian, skomplikowanego sprzętu, kosztownej aparatury i techników w zielonych fartuchach.

Wyglądało to na laboratorium.

Niepewnie przesunął obraz do przodu.

Ktoś trzymał małego Bobby'ego w powietrzu: dłonie w rękawicach podtrzymywały dziecko pod pachami. Z wyćwiczoną płynnością David przesunął punkt widzenia. Spodziewał się, że zobaczy młodą Heather albo nawet Hirama.

Nic z tego. Uśmiechnięta twarz, wyrastająca przed nim jak księżyc, należała do człowieka w średnim wieku, siwiejącego, pomarszczonego, smagłego, wyraźnie Japończyka z pochodzenia.

Tę twarz David znał dobrze. I nagle zrozumiał okoliczności narodzin Bobby'ego, a także wiele innych spraw.

Przez długi czas przyglądał się obrazowi i myślał, co powinien zrobić.

Mae wiedziała, może lepiej niż ktokolwiek z żyjących, że nie trzeba nikogo zranić fizycznie, żeby go skrzywdzić.

Sama nie była bezpośrednio zamieszana w straszliwą zbrodnię, która zniszczyła jej rodzinę. Nie było jej wtedy w mieście, nie widziała nawet plamki krwi. Lecz teraz pozostali nie żyli i to ona musiała nieść w sobie ten ból — całkiem sama, przez resztę życia.

Więc aby uderzyć Hirama tak, żeby cierpiał jak ona, musiała zranić tego, kogo Hiram kochał najbardziej. Nie musiała długo szukać, by odkryć, kto to taki: Bobby Patterson, złoty chłopak, jego syn.

Oczywiście trzeba to zrobić w taki sposób, żeby Hiram wiedział, że ostatecznie to on jest odpowiedzialny — tak jak Mae. W ten sposób

ból będzie największy.

Powoli, w mrocznej pustce umysłu kreśliła swe plany.

Była ostrożna. Nie miała zamiaru podążyć za mężem i córką do celi, gdzie czeka igła. Wiedziała, że gdy tylko zostanie popełnione przestępstwo, władze wykorzystają WormCam, by przeskanować jej życie. Będą szukać motywu i dowodów, że planowała zbrodnię.

Nie wolno jej o tym zapominać. To tak, jakby była na scenie: każde jej działanie było obserwowane, rejestrowane i analizowane przez fachowych obserwatorów z przyszłości, ukrytych tuż za kręgiem światła i notujących wszystko, co robi.

Nie mogła ukryć swoich działań. Musiała się postarać, żeby to wyglądało jak zbrodnia w afekcie.

Musiała nawet udawać, że nie pamięta o przyszłych obserwacjach. Gdyby uznali, że gra swoją rolę, nikogo by nie przekonała. Dlatego nadal wykonywała te same osobiste, intymne czynności: puszczała bąki, dłubała w nosie, masturbowała się, próbowała nie zdradzać świadomości obserwacji, w każdym razie nie bardziej niż ktokolwiek inny w tej epoce szklanych ścian.

Musiała też zbierać informacje. Ale to można było ukryć dość łatwo. W końcu Hiram i Bobby byli najsłynniejszymi ludźmi na planecie. Mogła udawać nie obsesyjną podglądaczkę, lecz samotną wdowę, szukającą pociechy w programach o życiu sławnych ludzi.

Po jakimś czasie uznała, że znalazła sposób, by do nich sięgnąć.

Oznaczało to nowy zawód. Ale w tym również nie było nic dziwnego. Panował wiek paranoi i czujności, a osobista ochrona stała się powszechną i kwitnącą dziedziną usług, interesującą karierą dla wielu osób. Zaczęła trenować, by wzmocnić ciało i wyćwiczyć umysł. Brała różne zlecenia, pilnowała ludzi i ich własności — początkowo bez związku z Hiramem i jego imperium.

Niczego nie zapisywała i nie mówiła głośno. Kiedy z wolna zmieniała trajektorię swego życia, starała się dopilnować, by każdy niewielki krok wydawał się naturalny, powodowany wewnętrzną logiką. Jakby przypadkiem dryfowała w stronę Hirama i Bobby'ego.

Przez cały czas obserwowała Bobby'ego, raz za razem, przez całą jego złotą młodość, jego lata wejścia w wiek męski. Był monstrum Hirama, ale był też pięknym stworzeniem.

W końcu nabrała przekonania, że go zna.

Zamierzała go zniszczyć. Ale kiedy spędzała z nim długie godziny, wbrew jej woli wkradał się do jej serca i wypełniał ziejącą tam pustkę.

25. Uchodźcy

Bobby i Kate, szukający Mary, ostrożnie przesuwali się wzdłuż Oxford Street.

Trzy lata temu, wkrótce po wprowadzeniu obojga do komórki Uchodźców, Mary zniknęła z ich życia. Nie było w tym nic niezwykłego. Luźna, rozrzucona po całym świecie siatka Uchodźców dzieliła się na autonomiczne komórki jak dawne grupy terrorystyczne.

Ale ostatnio, zatroskany, że od wielu miesięcy nie ma od przyrodniej siostry żadnych wieści, Bobby wytropił ją aż w Londynie. I dzisiaj, jak mu obiecano, miał ją spotkać.

Niebo Londynu było szare, zadymione, grożące deszczem. Trwało lato, lecz dzień nie był ani zimny, ani ciepły, ale irytująco, miejsko nijaki. Bobby pocił się w intkamowym kombinezonie, który, oczywiście, musiał nosić cały czas zapięty.

Przesuwali się płynnie i niezauważalnie od grupy do grupy. Z wypraktykowaną łatwością dołączali do chwilowego zagęszczenia tłumu, przebijali się aż do środka, a potem, kiedy grupa się rozchodziła, ruszali dalej, zawsze zmieniając kierunek. Jeśli nie było wyboru, cofali się czasem drogą, którą przyszli. Przemieszczali się powoli, lecz zwykły wormcamowy obserwator nie potrafiłby śledzić ich dłużej niż przez kilka kroków. Metoda była tak skuteczna, że Bobby zastanawiał się, ilu innych Uchodźców jest w pobliżu, ilu sunie przez tłum niczym duchy.

Mimo katastrofy klimatycznej i ogólnej biedy Londyn wciąż przyciągał turystów. Ludzie przyjeżdżali tu, aby zobaczyć galerie sztuki, odwiedzić najsłynniejsze miejsca i pałace, opuszczone przez rodzinę królewską, która udała się na tron w bardziej słonecznej Australii.

Było też oczywistym, choć smutnym faktem, że czasy dobrobytu miasta już minęły. Większość sklepów przerobiono na stragany bez wystaw, kilka było pustych jak szpary w uśmiechu starca. Mimo to na obu chodnikach tej arterii ze wschodu na zachód, która od dawna była jedną z głównych ulic handlowych Londynu, tłoczyły się gęste, leniwe rzesze ludzkie. Dzięki temu łatwo tu było się ukryć.

Jednak Bobby'ego irytował nacisk ciał dookoła. Minęły cztery lata, odkąd Kate wyłączyła jego implant, lecz wiedział, że wciąż zbyt łatwo daje się zaskakiwać, zbyt mocno napełnia go odrazą nie chciany dotyk innych ludzi. Najbardziej denerwowały go przypadkowe zetknięcia z brzuchami czy obwisłymi pośladkami podstarzałych Japończyków. Wydawało się, że ten naród zareagował na WormCam masowym przejściem na nudyzm.

Ponad gwarem rozmów usłyszał nagle wołanie: „Hej, tam! Z

drogi!” Ludzie przed nimi rozstępowali się, odbiegali, jakby przepychało się rozjuszone zwierzę. Bobby wciągnął Kate w drzwi sklepu.

Korytarzem otwartym w tłumie zirytowanych przechodniów przejechała riksza. Pedałował gruby, obnażony do pasa londyńczyk; pot ściekał mu z tłustej piersi. Kobieta w rikszy, mówiąca coś do implantu na przegubie, mogła być Amerykanką.

Gdy przejechali, Bobby i Kate włączyli się w ruszający ponownie strumień ludzi. Bobby przesunął rękę, żeby dotknąć dłoni Kate, i wystukał palcami:

Czarujący facet.

Nie jego wina, odstukała Kate. Rozejrzyj się. Peanie rikszarz by\ kiedyś kanclerzem albo skarbnikiem.

Szli dalej na wschód, w stronę skrzyżowania Oxford Street z Tottenham Court Road. Kiedy minęli Oxford Circus, tłum przerzedził się lekko. Teraz Kate i Bobby poruszali się ostrożniej i szybciej, wiedząc, że są odsłonięci. Bobby upewnił się, że pamięta trasy ucieczki i zawsze ma do dyspozycji kilka bocznych uliczek.

Kate nosiła intkamowy kaptur odrobinę rozchylony, ale jej maska cieplna pod spodem była gładka i anonimowa. Kiedy stała nieruchomo, projektory holograficzne intkamu, które przekazywały dookoła obraz tła, stabilizowały się i czyniły Kate niewidoczną. Dawało to niezłą iluzję niewidzialności, przynajmniej dopóki nie ruszyła znowu; wtedy opóźnienie procesora powodowało, że fałszywy obraz rozpadał się i rozlewał. Jednak mimo swych ograniczeń intkam mógł zmylić nieuważnego lub słabo skoncentrowanego operatora WormCamu. Dlatego warto było go nosić.

Z tych samych przyczyn Bobby i Kate włożyli dziś maski cieplne, ukształtowane na gładkie anonimowe twarze. Maski przekazywały fałszywą sygnaturę podczerwoną, lecz były wyjątkowo niewygodne. Bobby czuł na skórze ciepło wbudowanych elementów grzejnych. Można było używać również masek cieplnych, okrywających całe ciało i działających na tej samej zasadzie. Niektóre potrafiły nawet maskować charakterystyczną dla mężczyzny sygnaturę jako kobiecą i na odwrót. Lecz Bobby, po wypróbowaniu niezbędnej uprzęży z wplecionymi przewodami cieplnymi, zrezygnował, zatrzymując się przed kolejnym stopniem niewygody.

Minęli elegancki miejski dom, prawdopodobnie przerobiony ze sklepu; wszystkie ściany zastąpione były przejrzystymi szklanymi panelami. Zaglądając do jasno oświetlonych pokoi, Bobby spostrzegł, że nawet podłogi i sufity są przezroczyste, podobnie jak większość mebli, nawet w łazience. Ludzie wewnątrz chodzili po pokojach nadzy, najwyraźniej nie dbając o spojrzenia przechodniów. Ten dom minimum był jeszcze inną z reakcji na wszechobecność WormCamów,

demonstracją, że mieszkańców nie obchodzi, kto się im przygląda. A dla nich samych także stałym przypomnieniem, że wszelka prywatność będzie już zawsze iluzoryczna.

Na skrzyżowaniu z Tottenham Court Road zbliżyli się do ruin Center Point, wieżowca nigdy w pełni nie wykorzystanego, a potem zburzonego w najgorszym okresie terroryzmu szkockich separatystów.

Właśnie tutaj, jak im obiecywano, ktoś wyszedł na spotkanie.

Migotliwy kontur stanął Bobby'emu na drodze. Dostrzegł maskę cieplną pod otwartym kapturem intkamu i wyciągniętą ku sobie rękę. Minęło kilka sekund, zanim przystosował się do szybkiego, pewnego ręcznego pisma.

…25. 4712425. Jestem 4712425. Jestem…

Bobby przekręcił dłoń i odpowiedział.

Zrozumiałem 4712425. 5650982 ja 8736540 druga.

Dobrze, nareszcie, nadeszła szybka i energiczna odpowiedź. Idziemy.

Obca postać poprowadziła ich w labirynt zaułków, w bok od głównej ulicy. Bobby i Kate, trzymając się za ręce, szli pod murami, a gdy tylko mogli, kryli się w cieniach. Unikali jednak wejść do domów, gdyż tam, przed zaryglowanymi drzwiami, zwykle siedzieli żebracy.

Bobby ujął dłoń obcej.

Chyba cię znam.

Dłoń rozmówczyni klasycznymi znakami zdradziła niepokój.

To tyle jeśli chodzi o intkanty i numery. Są do niczego.

Chodziło jej o anonimowy numer identyfikacyjny, którego każdy członek światowej nieoficjalnej sieci Uchodźców powinien używać na co dzień. Numery dostarczano na żądanie z centralnego źródła, dostępnego przez WormCam. Podobno był to generator liczb losowych, ukryty w nieczynnej kopalni w Montanie. Jego niemożliwe do złamania kody opierały się na zasadach mechaniki kwantowej.

Nie to, napisał w odpowiedzi.

Więc co? Mój wielki tłusty tytek, którego nie mogę ukryć nawet pod intkamem?

Bobby stłumił śmiech. Ta odpowiedź wystarczyła za potwierdzenie, że 4712425 jest tą osobą, której się domyślił: kobietą z południowej Anglii, około sześćdziesiątki, tęgą, wesołą, pewną siebie.

Rozpoznaje styl. Styl ręcznego pisma.

Wykonała znak potwierdzenia.

Tak, tak, tak. Słyszałam to już. Muszę zmienić.

Nie można zmienić wszystkiego.

Nie, ale można probować.

Alfabety ręcznego pisma, w których czubki palców muskały dłonie i palce odbiorcy, zostały początkowo opracowane dla ludzi głuchych i ślepych. Potem przejęli je i rozwinęli wormcamowi Uchodźcy. Komunikacja dotykowa, zachodząca wewnątrz złożonych

dłoni, była prawie niemożliwa do odcyfrowania przez obserwatora.

…Prawie, ale niezupełnie. Nikt nie jest całkiem bezpieczny. A Bobby zawsze pamiętał o tym, że obserwatorzy WormCamu mają możliwość spojrzenia wstecz w przeszłość i obejrzenia jeszcze raz wszystkiego, co przeoczyli — tak często, jak tylko będą mieli ochotą, z dowolnego kąta i w najwygodniejszym zbliżeniu.

Jednak Uchodźcy nie musieli ułatwiać życia szpiegom.

Z plotek od znajomych Bobby wiedział, że 4712425 była babcią. Przeszła na emeryturę kilka lat wcześniej, nie popełniła żadnego przestępstwa, nie doświadczyła zbyt natrętnej obserwacji, nie miała żadnych oczywistych powodów, by zejść do podziemia, jak wielu innych Uchodźców, których poznał przez te lata. Po prostu nie chciała, żeby ludzie się jej przyglądali.

W końcu 4712425 doprowadziła ich do drzwi. Niemym gestem poleciła im przystanąć i poprawić intkamy i maski, aby upewnić się, że nie widać ani kawałka ciała.

Drzwi otworzyły się, ukazując jedynie ciemność.

A potem wykonali końcowy manewr w celu zmylenia szpiegów: 4712425 dotknęła ich lekko i poprowadziła dalej wzdłuż ulicy. Bobby obejrzał się i zobaczył, że drzwi zamykają się cicho.

Sto metrów dalej podeszli do drugich drzwi. Otworzyły się i wpuściły ich w ciemność.

Ostrożnie. Stopień, stopień, stopień, jeszcze dwa…

W absolutnej ciemności 4712425 sprowadziła Bobby'ego i Kate po niskich schodach.

Bobby po echach i zapachu wyczuł przed sobą pokój. Był duży, z twardymi ścianami — tynk, może pomalowany — i tłumiącym dźwięk dywanem na podłodze. Pachniało jedzeniem i gorącymi napojami. Byli tu też ludzie — czuł ich mieszane zapachy, słyszał cichy szelest poruszających się ciał.

Jestem w tym coraz lepszy, pomyślał. Jeszcze parę lat i w ogóle nie będę musiał używać oczu.

Stanęli u stóp schodów.

Jeden pokój, kwadrat jakieś piętnaście metrów, wypisała 4712425. *Para drzwi na tyłach. Toalety. Są ludzie, jedenaście, dwanaście, trzynaście, czternaście, wszyscy dorośli. Okna zaciemniane.*

Było to typowe maskowanie: pokoje, które zawsze były ciemne stawały się znane jako kryjówki Uchodźców.

Chyba OK, wypisała Kate. *Jest jedzenie i łóżka. Wchodzimy.* Zdjęła intkam, a potem dres, który miała pod spodem.

Bobby westchnął i postąpił podobnie. Oddał odzież do rąk 4712425, a ona powiesiła rzeczy na wieszaku, którego nie widział. Potem nadzy, jedynie w cieplnych maskach, trzymając się za ręce,

weszli między anonimowych w swej nagości ludzi. Bobby spodziewał się, że przed końcem spotkania zmieni nawet maskę, żeby jeszcze bardziej zmylić kogoś, kto mógłby ich obserwować.

Powitano ich. Ręce — męskie i kobiece, z wyraźnie odmienną teksturą — falowały przed twarzą Bobby'ego. Wreszcie ktoś go dotknął; miał holistyczne wrażenie kobiety koło pięćdziesiątki, niższej od niego. Jej drobne dłonie niezręcznie gładziły jego twarz, ramiona i nadgarstki.

W ten sposób, dotykając się w ciemności, Uchodźcy badali siebie nawzajem. Poznanie, zyskiwane z trudnością, potwierdzane ostrożnie, a nawet niechętnie, opierało się nie na imionach, twarzach, wizualnych czy dźwiękowych etykietach, ale na oznakach subtelnych, niematerialnych: kształcie osoby w ciemności, zapachu — nieusuwalnym i charakterystycznym nawet pod warstwą brudu albo po energicznym myciu, stanowczości lub delikatności dotyku, sposobie komunikacji, cieple czy chłodzie, po stylu.

Przy pierwszym takim spotkaniu Bobby kulił się i cofał w ciemności przed każdym dotykiem. Lecz nie był to niemiły sposób witania się z ludźmi. Jak twierdziła Kate, taka milcząca komunikacja, dotykanie i głaskanie, odwoływała się do jakiegoś głębokiego zwierzęcego poziomu ludzkiej osobowości.

Zaczął się rozluźniać. Był bezpieczny.

Oczywiście anonimowość społeczności Uchodźców przyciągała niezrównoważonych i przestępców, tym bardziej, że grupy były łatwo infiltrowane przez ludzi, którzy w dobrych czy złych celach szukali innych uciekinierów. Ale doświadczenie mówiło Bobby'emu, że Uchodźcy zadziwiająco skutecznie dbali o porządek w swoim gronie. Wprawdzie nie istniał żaden centralny ośrodek koordynujący, jednak w interesie każdego z nich leżało zachowanie integralności lokalnej grupy i ruchu jako całości. Dlatego ci źli byli szybko identyfikowani i usuwani, podobnie jak agenci federalni i inni obcy.

Bobby myślał czasem, że Uchodźcy to model organizacji społeczeństw w podglądanej, wormcamowej przyszłości: luźne, rządzące się samodzielnie sieci, chaotyczne, być może nawet nieefektywne, lecz trwałe i elastyczne. Jego zdaniem Uchodźcy byli zaledwie kontynuacją takich grup jak sieci WGD, Straż Bombowa czy zespoły prawdy, a nawet wcześniejsze ugrupowania, takie jak obserwujący niebo amatorzy, którzy odkryli Wormwood.

Kiedy WormCam zlikwidował wszelkie tabu i prywatność, ludzie powracali do wcześniejszych norm zachowania. Uchodźcy rozmawiali, głaskając się i drapiąc jak szympansy. Przesycone ciepłem, zapachem, dotykiem i smakiem innych ludzi takie spotkania były niezwykle zmysłowe, a czasami wręcz erotyczne. Bobby nieraz widział, jak przeradzają się w pełną orgię. W takich wypadkach on i Kate zwykle

przepraszali milcząco i wycofywali się, zanim zaangażowali się zbyt mocno.

Bycie Uchodźcą nie było takie złe. A z pewnością lepsze niż alternatywa, jaką miała przed sobą Kate.

Ale był to tylko cień życia.

Nie można było zostać zbyt długo w jednym miejscu, nie można było posiadać majątku ani nawet zbliżyć się do kogoś w obawie przed zdradą. Bobby znał imiona tylko garstki Uchodźców, których poznał w ciągu tych trzech lat w podziemiu. Wielu stało się jego towarzyszami, oferując — zwłaszcza na początku — nieocenioną pomoc i radę parze bezradnych neofitów, których ocaliła Mary. Towarzyszami tak, ale bez minimalnego ludzkiego kontaktu chyba nigdy nie mogli zostać przyjaciółmi.

WormCam wprawdzie nie pozbawił go wolności i prywatności, lecz odgrodził od reszty ludzi.

Nagle Kate pociągnęła go za rękę i wbiła palce w dłoń.

Znalazłam ją. Mary. Mary tu jest. Tam. Chodź, chodź, chodź.

Zaskoczony Bobby ruszył za nią.

Siedziała sama w rogu pokoju.

Bobby delikatnie zbadał palcami sytuację. Mary była ubrana w dres. Przy niej leżał stygnący, nietknięty talerz jedzenia. Nie nosiła maski.

Oczy miała zamknięte. Nie reagowała na dotyk, lecz wyczuł, że nie śpi.

Kate nerwowo stuknęła w dłoń Bobby'ego.

Równie dobrze może nosie neon: tu jestem weźcie mnie.

Co z nią?

Nie wiem. Skąd mam wiedzieć.

Bobby ujął bezwładną dłoń siostry, roztarł ją i zaczął wypisywać jej imię.

Mary, Mary, Mary, Mary Mays, tu Bobby, Bobby Patterson, Mary, Mary…

Nagle jakby się przebudziła.

— Bobby?

Wyczuł głęboko zaszokowaną ciszę w całym pokoju. To było pierwsze słowo, które ktoś wymówił głośno, odkąd tu przyszli. Kate wyciągnęła rękę i zasłoniła Mary usta.

Bobby znalazł dłoń siostry, żeby mogła coś do niego napisać.

Przepraszam, przepraszam. Zamyślona.

Uniosła jego dłoń do ust i poczuł, jak rozciąga wargi w uśmiechu. Czyli zamyślona i szczęśliwa. Ale to niekoniecznie dobry znak. Szczęśliwa znaczy nieuważna.

Co się z tobą działo?

Uśmiechnęła się szerzej.

Nie powinnam być szczęśliwa, duży bracie?

Wiesz o co mi chodzi.

Wszczep, odparła krótko.

Wszczep, jaki wszczep?

Korowy.

O rany, pomyślał przerażony. Szybko przekazał informację Kate.

Paskudnie, bardzo paskudnie, odparła. *Nielegalne.*

Wiem.

…Jamajka, poinformowała go Mary.

Co?

Kumpel z komórki na Jamajce. Widzę przez jego oczy, słyszę przez jego uszy. Lepiej niż w Londynie.

Dotyk Mary był delikatny niczym odpowiednik szeptu.

Nowe wszczepy korowe, zaadaptowane z aparatów wirtualnej rzeczywistości, były ostatnim krzykiem technologii WormCamu: niewielkie próżniowe generatory tuneli podprzestrzennych, połączone z czujnikami neuronowymi i wszczepione w korę mózgową pacjenta. Generator pokrywano środkami neurotropowymi, więc w ciągu kilku miesięcy sieć neuronowa łączyła się z nim płynnie, budując ścieżki do wnętrza. A czujnik neuronowy był bardzo czułym analizatorem wzorców aktywności neuronowej, zdolnym do wykrywania napięć pojedynczych synaps.

Taki wszczep mógł czytać i pisać w mózgu, mógł łączyć go z innymi. Świadomym wysiłkiem woli posiadacz wszczepu mógł otworzyć wormcamowe połączenie z własnego umysłu do umysłu dowolnego innego nosiciela.

Wyposażona w implanty, nowa połączona społeczność rozwijała się wokół Aren, zespołów prawdy i innych ośrodków myśli i dyskusji. Stawała się charakterystyczna dla organizacji nowego, młodego świata. Mózgi łączyły się z mózgami. Umysły współpracowały.

Nazywali się Złączonymi.

Stanowili, jak podejrzewał Bobby, świetlaną przyszłość ludzkości. Jednak tu i teraz jej przedstawicielką była osiemnastoletnia dziewczyna, jego siostra, z tunelem podprzestrzennym w głowie.

Przestraszony? wypisała Mary. *Opowieści grozy. Zbiorowy umysł. Utrata duszy. Bla bla.*

Tak do diabła.

Lek nieznany. Może…

Lecz nagle Mary odsunęła się od niego, podrywając się na nogi. Bobby na ślepo wyciągnął rękę i odnalazł jej głowę, ale cofnęła się i zniknęła.

W całym pokoju, dokładnie w tej samej chwili, poruszyli się też inni. Jakby stado ptaków podrywało się z drzewa do lotu.

Błysnęło światło, gdy ktoś otworzył drzwi wejściowe.

Chodź, wypisał Bobby. Chwycił Kate za rękę i wraz z pozostałymi ruszył w stronę wyjścia.

Boisz się, zauważyła Kate, gdy szli szybko. *Przestraszony. Zimna dłoń. Puls. Poznaję.*

Musiał przyznać, że jest przestraszony. Lecz nie bał się wykrycia. Bywał już w takich sytuacjach: grupa w kryjówce zawsze dysponowała systemem wyposażonych w WormCamy strażników. Nie, to nie wykrycia czy nawet schwytania się obawiał.

Chodziło o to, że Mary i pozostali działali jak jedna osoba. Pojedynczy organizm. Złączeni.

Wciągnął na siebie intkam.

26. Prababki

David usiadł przed wielkim ściennym ekranem w Wormworks. Patrzyła na niego twarz Hirama — młodszego Hirama, o gładszej skórze, ale niewątpliwie Hirama. Za nią rozciągał się słabo widoczny miejski pejzaż: niszczejące bloki mieszkalne i skomplikowany system dróg; miejsce wyglądało tak, jakby zaprojektowano je, by wykluczyć stąd ludzkie istoty. Były to przedmieścia Birmingham, wielkiego miasta w sercu Anglii, tuż przed końcem dwudziestego wieku — kilka lat przed wyjazdem Hirama z tego starego, upadającego kraju w poszukiwaniu nowych możliwości w Ameryce.

Davidowi udało się połączyć otrzymane do Mavensa oprogramowanie śledzące DNA z systemem naprowadzania WormCamu, po czym rozbudował je, by mogło także przekraczać granicę pokoleń. I jak poprzednio przeskanował wstecz linię życia Bobby'ego, teraz przeszedł do jego ojca i dawcy DNA. Ciekawość kazała mu sięgnąć jeszcze dalej, zbadać własne korzenie — co było w końcu jedynym fragmentem historii, jaki naprawdę się liczy.

Jakiś cień przesunął się po ścianie w półmroku ogromnej hali laboratorium — cień bez źródła. David dostrzegł go kątem oka i wiedział, że to Bobby, jego brat. Nie miał pojęcia, po co tu przybył, ale wiedział, że Bobby przyłączy się do niego, kiedy będzie gotów.

Ujął mocno niewielki joystick i pchnął go do przodu.

Twarz Hirama wygładziła się, odmłodniała. Tło rozmyło się w niewyraźną plamę, w wir nocy i dni, w ledwie rozpoznawalne budynki, nagle zastąpione szarozieloną równiną: krainą Fens, gdzie Hiram dorastał. Wkrótce twarz zmniejszyła się, stała niewinna, chłopięca, a po chwili już niemowlęca.

Wtedy zastąpiła ją twarz kobiety.

Kobieta uśmiechała się do Davida — a raczej do kogoś stojącego poza niewidzialnym ujściem tunelu podprzestrzennego, zawieszonego przed jej oczami. David wybrał taki punkt widzenia, by prześledzić linię mitochondrialnego DNA, przekazywanego od matki do córki. W takim razie kobieta musiała być jego babką. Była młoda, koło dwudziestu lat… Oczywiście, że młoda: ślad DNA przeskoczył z Hirama na nią w chwili zapłodnienia. Na szczęście David nie musiał patrzeć, jak jego babki będą się starzały. Ta była piękna na swój spokojny sposób, klasycznie angielską urodą: wysokie kości policzkowe, niebieskie oczy, jasnorude włosy związane w ciasny kok.

Azjatyckie geny Hirama pochodziły z linii jego ojca. David pomyślał, że romans musiał sprawić tej pięknej kobiecie wiele kłopotów w tamtym czasie i miejscu.

Wyczuł, że za jego plecami, w Wormworks, cień podpływa bliżej.

Pchnął joystick i znowu zamigotały dni i noce. Twarz zmieniła się w dziewczęcą; zmieniane fryzury rozmyły się na granicy widoczności. Potem straciła wyrazistość — czyżby zmiany okresu dorastania? — i wreszcie stała się bezkształtną twarzą noworodka.

Kolejne skokowe przejście — jego prababka. Młoda kobieta siedziała w biurze, skupiona, z czołem zmarszczonym pod fryzurą przypominającą śmieszną rzeźbę z ciasno splecionych warkoczyków. W tle David zauważył inne kobiety, pracujące przy rzędach niezgrabnych mechanicznych maszyn liczących: pilnie wciskały klawisze i ciągnęły za dźwignie. To pewnie lata trzydzieste, przed wynalezieniem krzemowego komputera; biuro mogło być jednym z najbardziej zaawansowanych ośrodków przetwarzania danych na planecie. Już ta przeszłość, tak bliska jego czasów, wydawała się całkowicie obca.

Uwolnił dziewczynę z czasowej pułapki i jej twarz zmieniła się do okresu niemowlęctwa.

Po chwili spojrzała na niego następna młoda kobieta. Miała na sobie długą spódnicę i źle dopasowaną, źle uszytą bluzkę. Obejmowana przez żołnierza w płaskim blaszanym hełmie machała małą brytyjską flagą. Ulica za nią była zatłoczona: mężczyźni w garniturach i w mundurach, kobiety w długich płaszczach. Padał obrzydliwy jesienny deszcz, ale nikt nie zwracał na to uwagi.

— Listopad 1918 — stwierdził głośno David. — Zawieszenie broni. Koniec czteroletniej rzezi w Europie. Nie taka zła noc, żeby zostać poczętym. Jak sądzisz, Bobby?

Nieruchomy cień zdawał się wahać. Potem odsunął się od ściany, podszedł, stał się konturem ludzkiej sylwetki. Pojawiły się zawieszone w powietrzu twarz i dłonie.

— Witaj, Davidzie.

— Siadaj — zaprosił brata David.

Bobby zajął miejsce, szeleszcząc intkamową tkaniną. Sprawiał wrażenie niespokojnego, jakby odzwyczaił się od tak otwartej bliskości innych ludzi. Nie miało to znaczenia — David niczego od niego nie oczekiwał.

Twarz dziewczyny z końca pierwszej wojny światowej wygładziła się, zmniejszyła, zapadła w siebie i nastąpił kolejny przeskok: dziewczyna trochę podobna do jej potomków, z niebieskimi oczami i rudawymi włosami, ale chudsza, bledsza, o zapadniętych policzkach. Ubywało jej lat, a w tle zmieniały się mroczne miejskie krajobrazy: fabryki, szeregi nędznych domków… A potem błysk dzieciństwa i kolejne pokolenie, kolejna dziewczyna i ten sam ponury krajobraz.

— Są takie młode… — rzucił Bobby. Głos miał zgrzytliwy, jakby dawno nieużywany.

— Chyba trzeba się do tego przyzwyczaić — odparł posępnie David. — Zagłębiliśmy się w dziewiętnasty wiek. Straciliśmy już wielkie osiągnięcia medycyny, a wiedza o higienie jest szczątkowa. Ludzie umierają na proste, uleczalne choroby. I pamiętaj, że śledzimy linię kobiet, które żyły dość długo, żeby osiągnąć wiek rozrodczy. Nie widzimy ich sióstr, które umarły w niemowlęctwie i nie zostawiły potomstwa.

Mijały kolejne pokolenia; twarze zmniejszały się jak przekłute balony, jedna po drugiej. Zmieniały się też z pokolenia na pokolenie — działał powolny dryf genetyczny.

Oto dziewczyna, której wykrzywiona w chwili porodu twarz była mokra od łez. Odebrano jej dziecko — a raczej, przy wstecznym biegu czasu, podano je w chwilę po urodzeniu. Ciąża rozwijała się w bólu i hańbie, aż dotarli do momentu, który zmienił jej życie: brutalnego gwałtu, popełnionego przez członka rodziny, wuja czy brata. Oczyszczona z tego cienia twarz odmłodniała, wypiękniała, uśmiechnęła się. Mimo nędzy życia dziewczyna cieszyła się nadzieją przyszłości; odnajdywała piękno w prostocie, w kwiatku, w kształcie obłoku.

Świat musi być pełen takich bolesnych biografii, myślał David, odsłaniających — w miarę zagłębiania się w przeszłość — skutki przed przyczynami, ból i cierpienia odpływające wraz z nadejściem dzieciństwa.

I nagle tło uległo kolejnej zmianie. Teraz, wokół kolejnej twarzy prababki, oddalonej o jakieś dziesięć pokoleń, pojawiła się wieś: niewielkie poletka, pasące się krowy i ryjące w ziemi świnie, gromada brudnych dzieciaków. Kobieta była zabiedzona, o pomarszczonej twarzy, z brakującymi zębami — wyglądała staro, choć David wiedział, że może mieć najwyżej trzydzieści pięć, może czterdzieści lat.

— Nasi przodkowie byli farmerami — odezwał się Bobby.

— Jak prawie wszyscy, zanim rozpoczęła się wielka migracja do miast. Ale rewolucja przemysłowa wygasa. Prawdopodobnie nie potrafią już robić stali.

Pulsowały pory roku, lata i zimy, światło i mrok. Pokolenia kobiet zmieniały się w powolniejszym cyklu: od zniszczonej życiem matki przez młodą pannę do dziecka o wielkich oczach. Niektóre z kobiet pojawiały się na ekranie z twarzą wykrzywioną straszliwym bólem — to te nieszczęśliwe, coraz częstsze, które zmarły przy porodzie.

Historia cofała się. Znikały stulecia, świat pustoszał. Gdzie indziej Europejczycy opuszczali obie Ameryki, by wkrótce zapomnieć, że te wielkie kontynenty w ogóle istnieją. Złota Orda — wielkie armię Mongołów i Tatarów, których ciała podrywały się z ziemi — stawała w szyku i odjeżdżała do Azji.

Żadne z tych wydarzeń nie miało wpływu na ciężko pracujących angielskich wieśniaków, pozbawionych edukacji i książek, przez pokolenia obrabiających ten sam skrawek pola. Dla tych ludzi, uświadomił sobie David, miejscowy poborca podatków był postacią o wiele groźniejszą niż Tamerlan czy chan Kubła. Choćby WormCam nie pokazał nic więcej, jedno uświadomił nam z bezlitosną wyrazistością: że życie większości ludzi było nędzne i krótkie, pozbawione swobody i radości, że krótki pobyt na świecie to wyrok, który musieli odcierpieć.

Aż w końcu, wokół twarzy kolejnej dziewczyny — ze splątanymi ciemnymi włosami, ziemistą cerą, przerażoną nieufną miną — gwałtownie zmieniła się sceneria. Bracia zobaczyli ponurą okolicę, idącą powolnym krokiem obdartą rodzinę uchodźców, tu i tam płonące stosy trupów.

— Zaraza — domyślił się Bobby.

— Tak. Musieli uciekać. Ale nie mieli dokąd.

Wkrótce obraz ustabilizował się, ukazując kolejny anonimowy skrawek gruntu na rozległej równinie i kolejne pokolenia. Ciężka praca, tak gwałtownie przerwana, zaczęła się na nowo.

Na horyzoncie wyrastała normańska katedra: ogromny, nieruchomy blok piaskowca. Jeśli trafili na Fens, wielką równinę na wschodzie Anglii, to katedra mogła stać w Ely. Już wtedy trwała od wieków; przypominała wielki, kamienny statek kosmiczny, który spłynął z niebios. Musiała całkowicie dominować nad wizjami tutejszych ludzi — co oczywiście było jej głównym celem.

Ale nawet wielka katedra zmalała, zadziwiająco prędko rozpadła się na mniejsze, prostsze formy i w końcu zniknęła bez śladu.

Liczba ludzi zmniejszała się ciągle; na całej planecie wysychała wielka fala ludzkości. Normańscy najeźdźcy musieli już rozebrać swoje twierdze i zamki i odpłynąć do Francji. Wkrótce powrócą do domów także fale napastników ze Skandynawii i Europy. Daleko stąd zbliżał się czas narodzin Mahometa, a muzułmanie opuszczali Afrykę. Zanim zdejmą z krzyża ciało Chrystusa, na całym świecie pozostanie około stu milionów ludzi — mniej niż połowa ludności Stanów Zjednoczonych w czasach Davida.

Twarze prababek pulsowały; nastąpiła kolejna zmiana scenerii, krótka migracja. Teraz dalecy przodkowie obrabiali ziemię wśród ruin — niskie mury, odsłonięte piwnice, tu i tam bloki marmuru i innych kamieni.

Potem budynki rozkwitły jak kwiaty oglądane w przyspieszonym tempie.

David zatrzymał obraz. Zogniskował wizję na twarzy kobiety, jego prababki oddalonej o osiemdziesiąt pokoleń. Miała około czterdziestu lat: przystojna, z rudymi, przyprószonymi siwizną włosami i niebieskimi oczami. Nos miała dumny, wydatny, rzymski.

Za nią ponure pola zastąpiła uporządkowana zabudowa miejska: skwer otoczony kolumnadami i posągami, wysokie budynki kryte czerwoną dachówką. Na placu stały gęsto stragany, a sprzedawcy znieruchomieli w akcie zachwalania towaru. Sprawiali zabawne wrażenie: walczący o nieznaczący zysk, nieświadomi ani ponurych stuleci, leżących w niedalekiej przyszłości, ani swej własnej nadchodzącej śmierci.

— Rzymskie osiedle — stwierdził Bobby.

— Tak. — David wskazał fragment obrazu. — To chyba forum. A to bazylika, ratusz i siedziba sądów. Za kolumnami są wejścia do urzędów i sklepów. A ten budynek, o tutaj, to chyba świątynia…

— Wszystko wydaje się takie uporządkowane — zauważył Bobby. — Nawet nowoczesne. Ulice, budynki, urzędy, sklepy. Widać, że budowali osadę na planie prostokątnym, jak Manhattan. Mam wrażenie, że mógłbym spokojnie wejść w ekran i poszukać baru.

Kontrast pomiędzy tą niewielką wysepką cywilizacji i szerokim na całe stulecia morzem niewiedzy i ciężkiej pracy był tak uderzający, że David nie miał ochoty stąd odchodzić.

— Ryzykowałeś, przychodząc tutaj — powiedział, zwracając się do brata.

Twarz Bobby'ego, unosząca się ponad intkamem, przypominała dziwaczną maskę, rozjaśnioną znieruchomiałym uśmiechem dalekiej babki.

— Wiem. I wiem, że pomagałeś FBI. Śledzenie DNA… David westchnął.

— Jeśli nie ja, zrobiłby to ktoś inny. A tak przynajmniej wiem, co planują. — Stuknął w ekran. Wokół obrazu kobiety zapaliły się mniejsze prostokąty. — Masz. To wormcamowe obrazy sąsiednich pomieszczeń i korytarzy. Widok z góry na parking. Dołączyłem też rozpoznawanie w podczerwieni. Gdyby ktoś się zbliżał…

— Dzięki.

— To już tak długo, bracie. Nie zapomniałem, jak mi pomogłeś, kiedy to ja przechodziłem kryzys i byłem bliski uzależnienia.

— Wszyscy miewamy problemy. To był drobiazg.

— Wręcz przeciwnie. Ale nie powiedziałeś, dlaczego tu przyszedłeś.

Bobby wzruszył ramionami; ruch pod intkamem był tylko niewyraźnym rozmyciem konturu.

— Wiem, że nas szukałeś. Żyję i jestem zdrowy. Kate też.

— I szczęśliwy?

— Gdyby mi zależało na szczęściu, mógłbym włączyć chip w mózgu. W życiu są sprawy ważniejsze od szczęścia, Davidzie. Chciałem, żebyś przekazał wiadomość dla Heather.

David zmarszczył czoło.

— Chodzi o Mary? Coś się stało?

— Nie… Nie, właściwie nie. — Bobby otarł twarz; pod intkamem był wyraźnie zgrzany. — Stała się jedną ze Złączonych. Próbujemy ją skłonić, żeby odwiedziła dom. Chciałem, żebyś mi pomógł to zorganizować.

To były niepokojące wieści.

— Oczywiście. Możesz mi zaufać. Bobby uśmiechnął się szeroko.

— Wiem. Inaczej bym nie przyszedł.

A ja, pomyślał niespokojnie David, od naszego ostatniego spotkania odkryłem coś niezwykłego o tobie…

Spojrzał na zaciekawioną twarz brata, oświetloną blaskiem dnia sprzed dwóch tysięcy lat. Czy warto teraz dręczyć Bobby'ego kolejną rewelacją o tym, jak bardzo Hiram wpłynął na jego życie? O tej chyba największej zbrodni, jaką popełnił wobec własnego syna?

Później, zdecydował. Później. Na pewno trafi się lepszy moment.

A poza tym wormcamowy obraz wciąż jarzył się na ekranie: kuszący, obcy, nieodparty. WormCam we wszystkich swych zastosowaniach odmienił świat. Ale nic nie mogło się równać z potęgą techniki, która odsłaniała coś, co uważano za bezpowrotnie minione.

Nadejdzie jeszcze czas na życie, na jego skomplikowane problemy, na nieukształtowaną przyszłość. Na razie historia przyzywała Davida. Ujął joystick, pchnął lekko i rzymskie budynki rozpłynęły się jak płatki śniegu na słońcu.

Kolejne migotanie migracji i pojawił się nowy typ twarzy, wciąż z charakterystycznymi rudawymi włosami i niebieskimi oczami, ale bez śladu rzymskiego nosa.

Wokół młodniejących twarzy David widział pola — małe i prostokątne, obrabiane pługami zaprzężonymi w woły, a w gorszych czasach nawet w ludzi. Stały tam drewniane spichlerze, biegały owce, świnie, bydło i kozy. Za wąskimi polami dostrzegał ziemne nasypy, zmieniające osadę w fort — a kiedy zagłębili się dalej w przeszłość, w miejscu wałów wyrosła prymitywna drewniana palisada.

— Świat się upraszcza — stwierdził Bobby.

— Owszem. Jak to powiedział Francis Bacon? „Dobre skutki dzieł założycieli miast, prawodawców, ojców ludu, pogromców tyranów i bohaterów tej klasy trwają tylko przez krótki czas; za to dzieło Wynalazcy, choć z mniejszą pompą tworzone, dociera wszędzie i trwa przez wieczność". Mniej więcej teraz ludzie mieczami z brązu walczą w wojnie trój ańskiej. Ale brąz łatwo się kruszy; właśnie dlatego wojna trwała dwadzieścia lat, przy stosunkowo niskiej liczbie ofiar. Zapomnieliśmy, jak wytwarzać żelazo, i nie możemy już zabijać się tak skutecznie jak niegdyś.

Ciężka praca na roli nie ustawała przez kolejne pokolenia. Owce i

krowy, choć udomowione, wyglądały na coraz dziksze odmiany.

Sto pięćdziesiąt generacji w głąb czasu: narzędzia z brązu ustąpiły miejsca kamiennym. Gdy spadło tempo historycznych przemian, David zaczął szybciej się cofać. Przebiegło przed nimi dwieście, trzysta pokoleń; widoczne przez chwilę twarze przechodziły płynnie jedna w drugą, rzeźbione powoli przez czas, wysiłek i mieszanie genów.

Wkrótce to wszystko straci znaczenie, myślał smętnie David: gdy nadejdzie Dzień Wormwoodu. Tego ranka cała ta cierpliwa walka, cały trud miliarda nieważnych żywotów zostanie wymazany; zniknie wszystko, co poznaliśmy i zbudowaliśmy. Może nawet nie pozostanie nikt, kto by nas wspominał i opłakiwał. A ta granica czasu jest już blisko, o wiele bliżej nawet niż rzymska wiosna, którą oglądaliśmy; niewiele już historii pozostało, by rozegrać się do końca.

Nagle ta myśl stała się nie do zniesienia — jak gdyby po raz pierwszy w pełni uświadomił sobie realność Wormwoodu. Musimy znaleźć sposób, by go odepchnąć, stwierdził. Dla dobra innych, tych, którzy odeszli i teraz spoglądają na nas przez WormCam. Nie wolno nam zniszczyć sensu ich dawnego życia.

Tło wokół twarzy znowu się rozmyło.

— Staliśmy się nomadami — odgadł Bobby. — Gdzie jesteśmy? David spojrzał na panel wskaźników.

— Pomocna Europa. Zapomnieliśmy, jak się uprawia ziemię. Wioski i osady zniknęły. Nie ma już imperiów ani miast. Ludzie to dość rzadkie istoty, żyjące w koczowniczych grupach i klanach, w osiedlach stojących rok, najwyżej dwa.

Dwanaście tysięcy lat w przeszłość zatrzymał skaner.

Mogła mieć najwyżej piętnaście lat; na policzku nosiła jakiś prymitywnie wytatuowany znak. Wydawała się zdrowa. Na rękach trzymała dziecko otulone zwierzęcą skórą — mój daleki wuj, pomyślał David — i głaskała jego krągły policzek. Miała na sobie buty, nogawice i ciężki płaszcz z plecionej trawy. Reszta odzieży wyglądała jak zszyta z pasków skóry. Do butów i pod kapelusz napchała trawy, zapewne aby ochronić się przed chłodem.

Obejmując dziecko, szła za grupą mężczyzn, kobiet z niemowlętami na rękach, dzieci. Wspinali się płytkim wąwozem. Szli spokojnie, bez pośpiechu, w tempie, które mogli pewnie utrzymywać całymi kilometrami. Niektórzy z dorosłych trzymali oszczepy z krzemiennymi grotami — zapewne raczej z obawy przez atakiem jakiegoś zwierzęcia niż przed zagrożeniem ze strony innych ludzi.

Przekroczyła grzbiet wzniesienia. David i Bobby, sunący nad ramieniem swej prababki, zobaczyli ukrytą dotąd krainę.

— O rany… — szepnął David. — O rany…

Spoglądali na szeroką, rozległą równinę. W oddali, chyba na północy, wyrastały góry — ciemne i nieruchome, z pasami oślepiająco

białych lodowców. Niebo było krystalicznie błękitne, słońce stało wysoko.

Nie widzieli nawet śladu dymu, konturów pól, żadnych płotów. Z zimnego świata zniknęły wszelkie ślady ludzkiej działalności.

Ale równina nie była pusta.

…Są jak ogromny dywan, pomyślał David; ruchomy dywan wielkich cielsk, każde okryte długim, rudym futrem, zwisającym do ziemi jak sierść wołu piżmowego. Poruszały się wolno, cały czas skubiąc trawę — wielkie stado utworzone z mniejszych grupek. Na skraju jedno z młodych nieostrożnie oderwało się od rodziców i zaczęło drapać kończynami ziemię. Z boku zbliżył się biały, wychudły wilk. Matka młodego nadbiegła, błyskając kłami. Wilk uciekł.

— Mamuty — stwierdził David.

— Muszą ich być dziesiątki tysięcy. A te tam, co to? Jakieś jelenie? A te? Wielbłądy? I popatrz… Boże… to chyba tygrys szablozębny!

— Lwy, tygrysy i niedźwiedzie — mruknął David. — Chcesz iść dalej?

Tak. Tak, idźmy dalej.

Dolina z epoki lodowcowej zniknęła jak we mgle. Pozostały tylko ludzkie twarze, opadające jak kartki z kalendarza.

David miał wrażenie, że rozpoznaje rysy swoich żeńskich przodków: krągłe twarze, prawie zawsze szokująco młode w chwili porodu, wciąż zachowywały charakterystyczne rudawe włosy i niebieskie oczy.

Ale świat zmieniał się dramatycznie.

Potężne burze szalały na niebie, czasami po kilka lat bez przerwy. Przodkowie przedzierali się przez tereny pokryte lodem albo zniszczone suszą, czasem po pustyniach, wygłodniali, spragnieni, nigdy zdrowi.

— Mieliśmy szczęście — stwierdził David. — Dostaliśmy tysiąclecia stosunkowo stabilnego klimatu. Dość czasu, żeby rozwinąć rolnictwo, zbudować miasta i podbić świat. A wcześniej: to.

— Tacy delikatni — mruknął zdziwiony Bobby. Ponad tysiąc pokoleń wstecz twarze zaczęły ciemnieć.

— Migrujemy na południe — domyślił się Bobby. — Tracimy adaptację do chłodniejszego klimatu. Wracamy do Afryki?

— Tak. — David uśmiechnął się. — Wracamy do domu. Jeszcze kilkanaście pokoleń i pierwsza wielka migracja cofnęła się całkowicie. Obrazy znów były stabilne.

Znaleźli się na południowym krańcu Afryki, na wschód od Przylądka Dobrej Nadziei. Grupa przodków trafiła do jaskini niedaleko plaży, skąd sterczały brązowe skały osadowe.

Okolica była szczodra. Sawanny i lasy, zdominowane przez

krzewy i drzewa o wielkich, barwnych, kolczastych kwiatach, opadały aż na brzeg. Ocean był spokojny, a ptaki krążyły nad głowami. Na brzegu, poniżej linii przypływu, leżały wodorosty, meduzy, czasem jakieś mątwy.

W lesie roiło się od zwierzyny. Z początku widzieli tylko znajome gatunki, takie jak antylopy eland, gazele, słonie i dzikie świnie, ale głębiej w czasie pojawiły się też inne: długorogi bawół, gigantyczna karna i coś w rodzaju ogromnego konia, pasiastego jak zebra.

Tu właśnie, w tych spokojnych jaskiniach, przodkowie zamieszkali na wiele pokoleń.

Tempo zmian stało się przeraźliwie wolne. Z początku ludzie nosili odzież, ale ta — po setkach pokoleń — była coraz gorszej jakości, wreszcie zredukowana do zwykłych skórzanych opasek na biodrach; potem zniknęły i one. Polowali z oszczepami o kamiennych ostrzach i ręcznymi toporkami, ale już nie używali łuków i strzał. Ale i kamienne narzędzia stawały się coraz bardziej prymitywne, łowy coraz mniej ambitne, często wyglądające raczej na próbę dobicia rannej antylopy.

W jaskiniach — gdzie podłoże zapadało się z mijającymi tysiącleciami, kiedy znikały warstwy ludzkich odpadków — z początku dało się zauważyć swego rodzaju organizację ludzkiej społeczności. Występowała nawet sztuka: obrazy ludzi i zwierząt, pracowicie kreślone na ścianach poplamionymi barwnikiem palcami. W końcu jednak, dwieście tysięcy pokoleń wstecz, zeskrobano ostatnie wizerunki i ściany jaskiń stały się czyste.

David zadrżał. Dotarli do świata bez sztuki: nie było tu obrazów, książek, rzeźb, może nawet pieśni i poematów. Z Ziemi odpływała myśl.

Zapadali się coraz głębiej, przez trzy, cztery tysiące pokoleń: ogromna pustynia czasu, przekroczona przez łańcuch przodków, którzy rozmnażali się albo walczyli w nagiej jaskini. Ciąg prababek prawie nie zdradzał znaczących zmian — choć David miał wrażenie, że dostrzega w tych ciemnych twarzach rosnące zmieszanie, zdumienie czy nawet stan trwałego, niezrozumiałego lęku.

W końcu nastąpiła gwałtowna, ostra nieciągłość. Tym razem to nie pejzaż się zmienił, ale sama twarz.

David zwolnił tempo i bracia spojrzeli na tę najdalszą z prababek, wyglądającą z wylotu jaskini, którą jej potomkowie mieli zamieszkiwać przez tysiące pokoleń.

Twarz była zbyt duża, oczy zbyt mocno rozstawione, nos płaski, a wszystkie rysy poszerzone, jakby ktoś rozciągnął tę twarz wszerz; żuchwa szeroka, ale podbródek niski i cofnięty. Wypukłość na czole tworzyła wał brwiowy, kościste obrzmienie, jakby guz napierający na twarz, aż oczy wydawały się zapadać w głębokich oczodołach.

Wypukłość z tyłu równoważyła ciężar wału brwiowego, ale w efekcie głowa pochylała się, niemal oparta podbródkiem o pierś, wyginając masywny kark do przodu.

Ale oczy pozostały czyste, rozumne.

Była bardziej ludzka niż dowolna małpa, ale nie była człowiekiem. I właśnie ten poziom bliskości wobec takich różnic najbardziej Davida niepokoił.

Należała też bez wątpienia do neandertalczyków.

— Jest piękna — oświadczył Bobby.

— Tak — szepnął David. — Ale na coś takiego wszyscy paleontolodzy wrócą do swoich tablic.

Uśmiechnął się zadowolony.

Nagle zastanowił się, jak wielu obserwatorów z przyszłości studiuje w tej chwili jego i brata — skoro to oni, jako pierwsi z ludzi, zobaczyli własnych, tak dalekich przodków. Podejrzewał, że nie jest w stanie nawet sobie wyobrazić ich wyglądu ani używanych narzędzi — tak jak neandertalska prababka nie mogła sobie wyobrazić tego laboratorium, na wpół niewidzialnego brata, błyszczących na biurku aparatów.

A poza tymi obserwatorami, jeszcze dalej w przyszłości, muszą być inni, obserwujący ich z kolei — i dalej, ku jeszcze bardziej niewyobrażalnym czasom, dopóki istnieje ludzkość albo ci, którzy przyjdą po niej.

Ta myśl budziła dreszcze.

…Oczywiście pod warunkiem, że ktokolwiek przeżyje Wormwood.

— Niech to… — szepnął nagle Bobby. Wydawał się zawiedziony.

— O co chodzi?

— To nie twoja wina. Wiedziałem, na co się narażam. Zaszeleścił intkam, przesunęła się rozmazana plama cienia. David obejrzał się: Bobby zniknął.

Za to do laboratorium wpadł Hiram. Trzaskał drzwiami i krzyczał.

— Mam je! Niech to diabli, mam je! — Klepnął Davida w plecy. — Śledzenie DNA zadziałało jak burza. Manzoni i Mary, obie!

Podniósł głowę.

— Słyszysz mnie, Bobby? Wiem, że tu jesteś! Mam je! I jeśli chcesz jeszcze zobaczyć którąkolwiek z nich, musisz przyjść do mnie! Zrozumiałeś?

David spojrzał prosto w oczy swej zagubionej w czasie prababki, przedstawicielki innego gatunku, oddalonej od niego o pięć tysięcy pokoleń… I wyłączył ekran.

27. Historia rodzinna

Kiedy z przymusu powróciła do społeczeństwa, Kate z ulgą przekonała się, że oczyszczono ją z zarzutów. Ale z przerażeniem odkryła, że została rozdzielona z Mary i przyjaciółmi i natychmiast uwięziona — przez Hirama Pattersona.

Drzwi do pokoju otworzyły się, jak zawsze się otwierały dwa razy dziennie.

Za progiem stała strażniczka: wysoka, szczupła kobieta, ubrana w spokojny żakiet i spodnie. Była nawet ładna, ale twarz i ciemne oczy miała jak martwe. Kate czuła dreszcz na jej widok.

Nazywała się Mae Wilson.

Wepchnęła przez drzwi niewielki wózek, wyciągnęła wczorajszy i szybkim, czujnym spojrzeniem zbadała pomieszczenie. Potem zamknęła drzwi. I to wszystko — skończone bez jednego słowa.

Kate siedziała na jedynym elemencie umeblowania w całym pokoju — na łóżku. Teraz wstała, podeszła do wózka i zdjęła białą papierową serwetkę. Pod nią znalazła zimne mięso, sałatkę, chleb, owoce i napoje: termos z kawą, butelkę wody mineralnej, sok pomarańczowy. Na dolnej półce była świeża bielizna, kombinezon, pościel. To co zwykle.

Już dawno zbadała wszystkie możliwości, jakie dawał jej dostarczany dwa razy dziennie wózek. Papierowe talerze i plastikowe sztućce nie nadawały się do niczego prócz swojej zasadniczej funkcji, a nawet do niej tylko w ostateczności. Nawet kółka wózka wykonano z miękkiego plastiku.

Wróciła na łóżko i usiadła, z roztargnieniem gryząc brzoskwinię.

Sam pokój był równie beznadziejny. Gładkie ściany pokrywał przejrzysty plastik, w który nie zdołała wbić paznokci. Nie było nawet lampy; szary blask, zalewający pomieszczenie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, pochodził z jarzeniówek ukrytych za panelami sufitu, pod warstwą plastiku. Zresztą i tak nie umiałaby ich dosięgnąć. Łóżko było plastikowym pudłem, gładko wtopionym w podłogę. Próbowała porwać pościel, ale materiał okazał się zbyt mocny. Poza tym nie była jeszcze gotowa do myśli, że mogłaby kogokolwiek udusić — nawet Wilson.

Hydraulika: muszla klozetowa i prysznic — także nie miały żadnej wartości dla jej podstawowego celu. Toaleta była chemiczna, a odpływ łączył się chyba z hermetycznym zbiornikiem, więc nie można było przemycić wiadomości, nawet gdyby wymyśliła jakiś sposób.

Ale mimo wszystko raz niemal udało jej się uciec. Przyjemnie było wspominać to prawie zwycięstwo.

Cały plan ułożyła w głowie, gdzie nawet WormCam nie mógł

jeszcze zajrzeć. Realizację przygotowywała przez tydzień. Co dwanaście godzin zostawiała wózek odrobinę dalej w głębi pokoju.

Wypróbowała w myślach całą choreografię: dwa kroki od łóżka do drzwi, można ten drugi krok ściąć jeszcze kawałeczek…

I za każdym razem, kiedy otwierała drzwi, żeby zabrać wózek, Wilson musiała sięgać trochę dalej.

Aż wreszcie przyszedł dzień, kiedy Wilson — aby dosięgnąć wózka — musiała zrobić jeden krok za próg. Tylko krok, nic więcej, ale Kate miała nadzieję, że to wystarczy.

Dwa szybkie kroki doprowadziły ją do drzwi. Pchnięcie ramieniem przewróciło Wilson na podłogę. Kate dotarła całe dwa kroki za próg.

Jej pokój okazał się skrzynią ustawioną w wielkiej jak hangar hali, z dalekimi, ledwie widocznymi w słabym świetle ścianami. Wokół byli inni strażnicy, mężczyźni i kobiety: podrywali się zza biurek, sięgali po broń. Kate rozglądała się gorączkowo, nie wiedząc, w którą stronę uciekać…

Dłoń, która ją chwyciła, przypominała imadło. Wykręciła jej ramię i wygięła mały palec. Kate opadła na kolana; poczuła eksplozję bólu, kiedy pękały kości palca; nie mogła powstrzymać krzyku.

To była Wilson, oczywiście.

Kiedy odzyskała przytomność, leżała na podłodze swojej celi, skrępowana taśmą izolacyjną, a lekarz opatrywałjej palec. Inny strażnik przytrzymywał Wilson, która obrzucała Kate morderczym spojrzeniem tych obojętnych zwykle oczu.

Palec bolał jeszcze przez kilka tygodni. A Wilson, kiedy zjawiła się następnym razem, przeszyła Kate wzrokiem pełnym nienawiści. Zraniłam jej dumę, uświadomiła sobie Kate. Następnym razem zabije mnie bez wahania.

Jednak było jasne, że nawet po próbie ucieczki Wilson nie na nią kierowała swoją nienawiść. Kate zastanawiała się, kto jest prawdziwym celem strażniczki — i czy Hiram wie o tym.

Tak samo domyślała się, że nie ona jest głównym celem Hirama. Ona była tylko przynętą w pułapce. Po prostu znalazła się na drodze tych szaleńców i ich nieodgadnionych planów.

Nie warto się zastanawiać, uznała. Położyła się na łóżku. Później, zgodnie z narzuconą sobie dyscypliną, trochę poćwiczy. Na razie, w nigdy nie gasnącym blasku jarzeniówek, starała się zaciemnić umysł.

I wtedy czyjeś palce dotknęły jej dłoni.

Wśród chaosu, wzajemnych oskarżeń i gniewu, jakie nastąpiły po schwytaniu Mary i Kate, David poprosił o spotkanie z Mary. Odbyło się w chłodzie i spokoju Wormworks.

Natychmiast wstrząsnęły nim znajome niebieskie oczy dziewczyny, tak podobne do oczu, które śledził w głębinach czasu aż

do Afryki. Przeszył go dreszcz na myśl o ulotności ludzkiego życia. Czyżby Mary rzeczywiście nie była niczym więcej niż chwilową manifestacją genów, przekazanych j ej przez tysiące pokoleń jeszcze z czasów neandertalskich — genów, które sama z kolei przekaże w nieznaną przyszłość? Ale WormCam rozbił tę przerażającą perspektywę: życie Mary było ulotne, ale nie mniej ważne z tego powodu. A teraz, kiedy przeszłość stanęła otworem, z pewnością będzie pamiętana, szanowana przez tych, którzy przyj da po niej.

Życie, ukształtowane przez zmieniający się szybko świat, może jeszcze doprowadzić ją w miejsca, których sobie teraz nawet nie wyobraża.

— Wyglądasz na zmartwionego — powiedziała.

— To dlatego, że nie wiem, z kim rozmawiam.

Prychnęła i na chwilę znów zobaczył przed sobą dawną, zbuntowaną, agresywną Mary.

— Wybacz moją ignorancję — dodał szybko David. — Próbuję tylko zrozumieć. Jak wszyscy. To dla nas coś nowego.

Skinęła głową.

— A więc coś, czego trzeba się lękać…? Tak — uznała po chwili. — Tak, rzeczywiście. Jesteśmy tutaj. Tunel w mojej głowie nigdy się nie zamyka, Davidzie. Wszystko, co robię, wszystko, co widzę, słyszę i czuję, co myślę, jest…

— Wspólne?

— Tak. — Przyjrzała mu się. — Ale wiem, co chcesz przez to powiedzieć: rozcieńczone. Prawda? Ale to nie tak. Nie stałam się mniej sobą. Ale jestem… poprawiona. To po prostu kolejna warstwa świadomości. Albo dodatkowe przetwarzanie danych. Warstwa nałożona na mój centralny system nerwowy, jak on został nałożony na starsze sieci, na przykład biochemiczną. Moje wspomnienia nadal należą do mnie. Czy to takie ważne, że są przechowywane w cudzej głowie?

— Przecież tu nie chodzi o coś w rodzaju lepszej sieci telefonicznej — zaprotestował David. — Wy, Złączeni, macie większe ambicje. Czy jest w tym nowa osobowość, nowe, wspólne „ja”? Wyłaniający się z sieci zbiorowy umysł z tunelami podprzestrzennymi zamiast włókien nerwowych?

— Sądzisz, że byłoby to coś strasznego, prawda?

— Sam nie wiem, co mam o tym myśleć.

Przyglądał się jej, próbując w skorupie Złączoności pochwycić samą Mary.

W dodatku Złączeni szybko stali się znani jako znakomici aktorzy — albo kłamcy, mówiąc brutalnie. Dzięki rozdzielonym warstwom świadomości każdy z nich w pełni kierował mową własnego ciała, mięśniami twarzy — zyskiwali władzę nad kanałami komunikacji,

które ewoluowały, by przekazywać informację szczerze i uczciwie. Złączeni przewyższali w tym względzie najznakomitszych aktorów. David nie miał powodu przypuszczać, że Mary go okłamuje — niepokoiło go, że nie może stwierdzić, czy to robi.

— Dlaczego nie zapytasz o to, co naprawdę chciałbyś wiedzieć? — odezwała się po chwili.

— Dobrze — odpowiedział zakłopotany. — Mary… Jakie to uczucie?

— Takie samo — odparła powoli. — Tylko… bardziej. To jakby rozbudzić się w pełni, poczuć całkowitą jasność umysłu, pełną świadomość. Musisz to znać. Nie jestem naukowcem, ale rozwiązywałam zagadki. Na przykład gram w szachy. Nauka jest trochę podobna, prawda? Wymyślasz coś i nagle widzisz, że cała łamigłówka zaczyna się układać. Jak gdyby chmury rozstąpiły się na moment i widzisz dalej, o wiele dalej niż przedtem.

— Tak — przyznał. — Przeżyłem w życiu kilka takich chwil. Miałem szczęście.

Ścisnęła jego dłoń.

— A ja to czuję przez cały czas. Czy to nie cudowne?

— Rozumiesz, dlaczego ludzie się was boją?

— Nie tylko się boją — wyznała spokojnie. — Polują na nas. Atakują. Ale nie mogą nam zaszkodzić. Widzimy, gdy po nas idą, Davidzie.

To go zmroziło.

— I nawet jeśli ktoś z nas zginie… nawet jeśli ja zginę… i tak my, wyższa istota, przetrwamy.

— Co to niby ma znaczyć?

— Sieć informacyjna, która określa Złączonych, jest rozległa. I cały czas rośnie. Prawdopodobnie jest też niezniszczalna, jak Internet umysłów.

Zmarszczył brwi, nie wiadomo dlaczego zirytowany.

— Słyszałeś o teorii przywiązania? — zapytała. — Opisuje psychologiczną potrzebę tworzenia bliskich związków, posiadania bliskich osób. Takie związki są nam niezbędne, by ukryć straszną prawdę, którą odkrywamy, dorastając: że każdy z nas jest samotny. Największym konfliktem ludzkiej egzystencji jest próba pogodzenia się z tym faktem. I dlatego bycie Złączonym wydaje się takie atrakcyjne.

— Ale chip w głowie ci nie pomoże — przerwał jej brutalnie. — W ostatecznym rozrachunku musisz umrzeć sama, tak jak ja.

Uśmiechnęła się łagodnie i David poczuł, że czerwieni się ze wstydu.

To nie musi być prawdą — powiedziała. — Może zdołam przetrwać śmierć mojego ciała… ciała Mary. Ale moja jaźń, świadomość i wspomnienia, nie będą umieszczone w ciele jednego z

członków sieci, ale rozdzielone. Między wszystkich. Czy to nie wspaniałe?

— Ale czy to nadal będziesz ty? — szepnął. — Czy w ten sposób naprawdę możesz uniknąć śmierci? A może ta podzielona jaźń będzie tylko kopią?

Westchnęła.

— Nie wiem. Poza rym technice trochę jeszcze brakuje do realizacji takiego zadania. Na razie podlegamy chorobom, wypadkom, śmierci. I zawsze będziemy się smucić.

— Im jesteście mądrzejsi, rym większy ból.

— Tak. Stan ludzkości jest tragiczny, Davidzie. Im więksi są Złączeni, tym wyraźniej to widzę. I mocniej odczuwam.

Jej twarz zmieniła się nagle w widmową, o wiele starszą maskę.

— Chodź ze mną — poprosił David. — Chcę ci coś pokazać.

Kate nie mogła się powstrzymać. Drgnęła i gwałtownie cofnęła rękę.

Ale natychmiast zamaskowała mimowolne syknięcie jako kaszel i przedłużyła ruch dłoni, by zasłonić usta. Potem spokojnie ułożyła rękę na kołdrze.

Poczuła delikatne dotknięcie silnych, ciepłych palców — rozpoznawalnych natychmiast, mimo intkamowej rękawiczki, która musiała je okrywać. Poczuła, że sięgają do wnętrza jej dłoni. Starała się siedzieć spokojnie i nie przerywała jedzenia brzoskwini.

Przepraszam, ze przestraszałem. Nie mogłem uprzedzić

Pochyliła się nieco, by ukryć za plecami ruch własnych palców.

Bobby?

Kto inny? Niezłe więzienie.

W WormWorks, tak?

Tak. Sledzenie DNA. David pomógł. Metody Uchodźców. Mary pomogła. Cała rodzina wspólnie.

Nie powinienes przychodzić, odpisała pospiesznie. Tego chce Hiram. Złapać cię. Przynęta w pułapce.

Nie porzucę cię. Potrzebna. Bądź gotowa.

Raz probowałam. Ochrona ostłra, czujna.

Zaryzykowała szybkie spojrzenie w bok. Nie dostrzegła żadnego znaku jego obecności, nawet cienia, zagłębienia w pościeli, śladu zniekształceń. Najwyraźniej technologia intkamu rozwijała się równie szybko, jak WormCam.

Może nie będzie już okazji, pomyślała. Muszę mu powiedzieć.

Bobby Widziałam Davida. Ma Wiadomości. O tobie.

Co o mnie? Odpisywał ostrożnie, z wahaniem.

Twoja rodzina… Nie mogę tego zrobić, uznała. *Pytaj Hirama,* napisała rozgoryczona.

Ciebie pytam.

Urodziny Twoje.

Ciebie pytam. Ciebie pytam.

Kate nabrała tchu.

Nie to, co myślisz. Zastanów się. Hiram chciał dynastii. David rozczarowanie, poza kontrola. Matka duża niedogodność. Czyli, lepiej chłopiec bez matki.

Nie rozumiem. Mam matkę. Heather matka.

Zawahała się.

Nie, nie matka. Bobby, jesteś klonem.

David odsunął się trochę i włożył na głowę zimną obręcz Oka Duszy. Gdy zapadał się w wirtualną rzeczywistość, świat stał się ciemny i cichy. Przez krótką chwilę nie czuł nawet własnego ciała, nawet ściskanej w palcach drobnej i ciepłej dłoni Mary.

A potem wokół nich rozbłysły gwiazdy. Mary syknęła i chwyciła go za ramię.

Był zawieszony w trójwymiarowej dioramie gwiazd, rozrzuconych na czarnym aksamicie nieba, gęściejszych niż w najciemniejszą noc na pustyni. A jednak z wolna dostrzegał w nich strukturę. Wzdłuż niebiańskiego równika płynęła wielka rzeka światła — gwiazdy stłoczone tak blisko, że wyglądały jak lśniące obłoki. To Droga Mleczna, naturalnie: wielki gwiezdny dysk, w którego wnętrzu wciąż się znajdował.

Spojrzał w dół. Zobaczył swoje ciało, tak dobrze znajome, wyraźnie widoczne w złożonym świetle z licznych źródeł. Ale unosił się w blasku gwiazd bez żadnej osłony ani podparcia.

Mary płynęła obok, wciąż ściskając go za ramię. Jej dotyk dodawał otuchy. To dziwne, pomyślał; możemy cisnąć nasze umysły o dwa tysiące lat świetlnych od Ziemi, a jednak wciąż musimy trzymać się siebie. To nasze zwierzęce dziedzictwo, nigdy zbyt odległe od wrót świadomości.

Obce niebo nie było puste.

Wokół niego wisiały: słońce, słońce, planeta i księżyc, niczym trzy ciała niebieskie, od zawsze dominujące nad środowiskiem człowieka. Ale słońce było niezwykłe — nie pojedyncza gwiazda, jak na Ziemi, ale podwójna.

Większy obiekt był pomarańczowym olbrzymem, gasnącym i chłodnym. Poza żółto lśniącym jądrem składał się głównie z masy pomarańczowego gazu, coraz bardziej rozrzedzonego. Na dysku David dostrzegał liczne szczegóły: tańczące przy biegunach linie żółtobiałego światła i brzydkie blizny szaroczarnych plam wokół równika.

Pomarańczowy olbrzym był wyraźnie spłaszczony. Miał towarzysza, gwiazdę maleńką i niebieskawą, tak bliską, że krążyła

niemal w rzadkiej zewnętrznej atmosferze giganta. David widział nawet wąską smugę gazu, wyrwaną z większej gwiazdy: wciąż jasna, zwijała się wokół towarzysza i opadała na powierzchnię — piekielny deszcz reagującego termojądrowo wodoru.

Spojrzał na planetę wiszącą mu pod stopami. Była kulą o pozornej wielkości piłki plażowej, w połowie oświetloną czerwonym i białym blaskiem gwiazd macierzystych. Ale wyraźnie nie miała atmosfery, a powierzchnię znaczyła sieć kraterów meteorytowych i górskich łańcuchów. Być może kiedyś posiadała atmosferę, a nawet oceany; mogła też być kamiennym lub metalicznym jądrem gazowego olbrzyma, dawnym Neptunem czy Uranem. Możliwe nawet, jak przypuszczał, że kiedyś rozwinęło się na niej życie. Jeśli tak, teraz uległo zniszczeniu albo uciekło, a na powierzchni wszelkie ślady jego istnienia wypaliło konające słońce.

Ale ten martwy, spalony świat miał księżyc. Choć mniejszy od planety, świecił jaśniej, odbijając większą część promieniowania obu gwiazd. Jego powierzchnia wydawała się całkiem gładka, przez co wyglądał jak kula bilardowa, wytoczona w jakiejś niebiańskiej obrabiarce. Kiedy jednak David przyjrzał się dokładniej, dostrzegł na całej powierzchni siatkę wąskich szczelin i grzbietów, niektóre długości setek kilometrów. Księżyc przypominał raczej, uznał po namyśle, jajko na twardo, którego skorupkę ktoś pracowicie, ale delikatnie opukiwał łyżeczką.

Ten księżyc był kulą lodu. Gładka powierzchnia to dowód niedawnego globalnego topnienia, zapewne wywołanego ekspansją gwiazdy macierzystej; grzbiety to linie styku płyt lodowych. Być może, jak na Europie, księżycu Jowisza, wciąż pozostała w głębi warstwa wody pod lodem — pradawny ocean, który mógłby jeszcze teraz służyć za kryjówkę dla cofającego się życia.

Westchnął. Nikt tego nie wie. A w tej chwili nikt nie ma dość czasu ani możliwości, żeby to sprawdzić. Pozostało jeszcze zbyt wiele do zrobienia, zbyt dużo miejsc do zbadania.

Ale to nie skalista planeta ani jej lodowy księżyc, ani nawet niezwykła podwójna gwiazda sprowadziły go tutaj. Chodziło o coś o wiele wspanialszego…

Obejrzał się i spojrzał ku gwiazdom.

Mgławica obejmowała połowę nieboskłonu.

Lśniła pasmem barw, od jaskrawego jasnego błękitu pośrodku, poprzez zieleń i pomarańcz, aż do przyciemnionego fioletu i czerwieni na peryferiach. Przypominała ogromną akwarelę z kolorami płynnie przechodzącymi jeden w drugi. Widział kolejne warstwy — tekstura i rozkład cieni sprawiały, że mgławica wydawała się zadziwiająco trójwymiarowa, z bardziej delikatną strukturą w samym jądrze.

Najbardziej uderzającą cechą obiektu był wzór ciemnych,

obfitujących w pył obłoków, ułożonych tuż przed lśniącą masą w zdumiewająco wyraźną literę V — jak gdyby gigantyczny ptak podrywał się do lotu, uciekając przed płomieniem. A jeszcze bliżej, jak iskry z ogniska, jarzyła się cienka zasłona gwiazd, oddzielająca go od mgławicy. Wielka rzeka, która była galaktyką, płynęła wokół mgławicy i za nią, jakby ją okrążała.

Nawet kręcąc głową na boki, David nie potrafił uchwycić pełnej skali zjawiska. Czasami mgławica wydawała się tak bliska, że mógłby jej dotknąć, niczym ogromnej, dynamicznej płaskorzeźby. A czasem oddalała się, na pozór do nieskończoności. Wiedział, że jego wyobraźnia, przystosowana ewolucją do tysiąckilometrowej ziemskiej skali, nie radzi sobie z ogromnymi odległościami, z jakimi ma tutaj do czynienia.

Gdyby bowiem ziemskie słońce przesunąć do środka mgławicy, ludzie mogliby zbudować międzygwiezdne imperium, nie docierając do jej brzegu.

Nagle opanował go głęboki zachwyt. Mam szczęście, pomyślał, że pozwolono mi żyć w tych czasach. Zapewne pewnego dnia uzbrojony w WormCam badacz zanurzy się pod lodową pokrywę księżyca i sprawdzi, co leży w jego jądrze. Może całe zespoły przeczeszą powierzchnie, planety w poszukiwaniu reliktów przeszłości.

Zazdrościł tym przyszłym uczonym głębi ich wiedzy. A jednak był pewien, że oni także będą zazdrościć jego generacji. Ponieważ, płynąc naprzód wraz z wciąż się rozszerzającym frontem wormcamowych badań, to on, David, zobaczył to wszystko jako pierwszy. Już nikt w całej historii ludzkości nie będzie mógł tego o sobie powiedzieć.

Długa historia. Japońskie laboratorium. Klonowali tam tygrysy dla rożnych czarowników. Heather tylko zastępcza. David wormcamował wszystko. A potem ta kontrola umysłu przez wszczep. Hiram nie chciał popełnić błędu.

Heather. Nic do niej nie czułem. Teraz wiem czemu. To smutne.

Miała wrażenie, że wyczuwa puls w niewidocznym dotyku na dłoni.

Tak. Smutne, smutne.

I wtedy, bez ostrzeżenia, drzwi otworzyły się z trzaskiem.

Weszła Mae Wilson z pistoletem w dłoni. Bez chwili wahania wystrzeliła raz, potem drugi, po obu stronach Kate. Pistolet miał tłumik i strzały zabrzmiały jak ciche puknięcia.

Rozległ się krzyk i w powietrzu wykwitła plama krwi, potem druga — niby eksplozja w miejscu, gdzie kula wyszła z ciała Bobby'ego.

Kate spróbowała wstać. Ale lufa pistoletu dotknęła jej karku.

— Nawet o tym nie myśl — rzuciła strażniczka.

Intkam wyłączał się koncentrycznymi kręgami zniekształceń i cieni wokół rany. Kate widziała, że Bobby próbuje dobiec do drzwi, ale tam czekali następni strażnicy Hirama. Nie mógł już uciec.

Po chwili w drzwiach stanął sam Hiram. Twarz wykrzywiały mu emocje, których Kate nie potrafiła zidentyfikować. Spoglądał to na nią, to na ciało syna.

— Wiedziałem, że nie potrafisz się oprzeć. I złapałem cię, gówniarzu.

Kate nie wychodziła ze swojej celi… od jak dawna? Od trzydziestu, czterdziestu dni? Teraz, w ogromnych, pogrążonych w szarości przestrzeniach Wormworks czuła się odsłonięta, bezbronna.

Okazało się, że kula przebiła ramię Bobby'ego, rozszarpała mięśnie i strzaskała kość, ale — przez przypadek — nie zagroziła życiu. Lekarze chcieli mu przed opatrunkiem podać znieczulenie, lecz on — patrząc na Hirama — odmówił i zniósł ból z pełną świadomością.

Potem Hiram poprowadził całą grupę przez pustą halę, obok wielkich, milczących maszyn. Wilson i inni strażnicy otaczali Bobby'ego i Kate; niektórzy szli przed nimi tyłem, by nie spuszczać więźniów z oka. Ucieczka była niemożliwa.

Hiram, myślący pewnie o kolejnym projekcie, wydawał się nerwowy, wystraszony. Zdradzał dziwne, obsesyjne nawyki jak człowiek, który zbyt wiele czasu spędził w samotności. Sam jest obiektem eksperymentu, pomyślała niechętnie Kate: istota ludzka pozbawiona towarzystwa, lękająca się ciemności, pod bezustanną, mniej lub bardziej niechętną obserwacją pozostałej części ludności planety. Niewidzialne oczy otaczały go pewnie bez chwili przerwy. Był nieuchronnie niszczony przez maszynę, której nie planował, nie wyobrażał sobie, z której istnienia wniosków nie rozumiał chyba nawet teraz. Poczuła litość — chyba żaden człowiek w historii nie miał większego prawa, by wpaść w paranoję.

Ale nie mogła mu wybaczyć tego, co jej uczynił — jej i Bobby'emu. W dodatku, uświadomiła sobie, nie miała najmniejszego pojęcia, co dla nich planuje teraz, kiedy schwytał już syna.

Bobby mocno ściskał Kate za rękę. Pilnował, by nigdy nie zrywać z nią fizycznego kontaktu; dawał do zrozumienia, że są nierozłączni. I chroniąc ją, mógł się dyskretnie na niej wspierać, nie zdradzając niczego, czerpać od niej siłę, którą chętnie się dzieliła.

Dotarli do części Wormworks, której Kate nigdy dotąd nie widziała. Wznosił się tu rodzaj bunkra, masywny sześcian, do połowy wpuszczony w podłogę. Wnętrze było jaskrawo oświetlone. Z boku tkwiły drzwi, zamykane ciężkim kołem, jak grodź na okręcie podwodnym.

Bobby, wciąż ściskając dłoń Kate, ostrożnie zrobił krok naprzód.

— Co to jest, Hiram? Dlaczego nas tu sprowadziłeś?

— Niezłe miejsce, co? — Hiram uśmiechnął się i dumnie poklepał ścianę. — Pożyczyliśmy konstrukcję z dawnej bazy NORAD-u, którą wyryli w górach Colorado. Cały ten bunkier stoi na absorbujących wstrząsy sprężynach.

— I po co ci jest potrzebny? Żeby przetrwać atak jądrowy?

— Nie. Te ściany nie mają chronić przed zewnętrzną eksplozją. Mają ograniczyć wewnętrzną.

Bobby zmarszczył brwi.

— O czym ty mówisz?

— O przyszłości. Przyszłości OurWorldu. Naszej przyszłości, synu.

— Są ludzie, którzy wiedzieli, że się tu wybieram — ostrzegł Bobby. — David. Mary. Agent specjalny Mavens z FBI. Wkrótce mnie tu znajdą. A wtedy wyjdę stąd. Razem z nią.

Kate wpatrywała się w oczy Hirama, chytre, zerkające na nich oboje.

Masz rację, oczywiście. Nie mogę was tu zatrzymać. Choć próba mogłaby być zabawna. Ale daj mi pięć minut. — Hiram uśmiechnął się z przymusem. — Pozwól przedstawić moją sprawę, Bobby.

— Tylko tego chcesz? Przekonać mnie o czymś? O to tylko chodzi?

— Najpierw ci coś pokażę.

Skinął na ochronę, wskazując, żeby wprowadzili Bobby'ego i Kate do bunkra.

Ściany bunkra zrobiono z grubej stali. Wnętrze było ciasne, z miejscem tylko dla Hirama, Kate, Bobby'ego i Wilson.

Kate rozejrzała się czujnie, w napięciu. Znalazła się najwyraźniej w laboratorium doświadczalnym: były tu tablice, stelaże, ekrany, bloki papieru, składane krzesła i blaty przymocowane do ścian. Pośrodku stała aparatura, która zapewne była głównym obiektem eksperymentów; przypominała wymiennik ciepła i niewielką turbinę, otoczone przez anonimowe białe skrzynki. Na jednym z blatów stał kubek kawy, do połowy opróżniony, ale wciąż parujący.

Hiram stanął pośrodku bunkra.

— Wcześniej, niż planowałem, straciliśmy monopol na WormCam. Ale i tak zarobiliśmy masę forsy. Wciąż zarabiamy: Wormworks nadal wyprzedza wszystkie inne laboratoria na świecie. Jednak wkrótce staniemy w miejscu, Bobby. Za parę lat WormCam potrafi sięgnąć na drugi koniec wszechświata. Już dzisiaj każdy bachor nosi własny aparat, więc rynek generatorów się nasycił. Pozostanie nam wymiana i udoskonalanie, a tam margines zysku jest minimalny, a konkurencja wściekła.

— Ale ty masz lepszy pomysł — domyśliła się Kate. — Mam

rację? Hiram spojrzał na nią niechętnie.

— To nie twoja sprawa. — Pogładził aparaturą. — Jesteśmy dobrzy w znajdowaniu tuneli podprzestrzennych w pianie kwantowej i rozszerzaniu ich. Do tej chwili służyły do przekazywania informacji, tak? Ale twój genialny braciszek David na pewno ci wytłumaczy, że aby zarejestrować nawet jeden bit informacji, potrzebna jest skończona ilość energii. Czyli, jeśli przekazujemy dane, to musimy też przekazywać energię. Do tej pory tylko małą strużkę: nie dość, żeby zaczęła się żarzyć żarówka.

Bobby sztywno skinął głową. Wyraźnie cierpiał z powodu rany.

— Ale ty zamierzasz to zmienić. Hiram wskazał aparaturę.

— To jest generator tunelowy. Technologia ściskanej próżni, ale daleko wyprzedzająca wszystko, co można znaleźć na rynku. Chcę dostać tunele większe i bardziej stabilne. O wiele bardziej, niż komukolwiek się dotąd udało. Dość szerokie, by posłużyły za przewody dla znacznych ilości energii. Wydobywana energia przepływa przez to urządzenie, wymiennik ciepła i turbinę i zmienia się w możliwą do wykorzystania energię elektryczną. To prosta, dziewiętnastowieczna technika, ale wystarcza. Potrzebny jest tylko stały dopływ energii. Tutaj mamy tylko instalację doświadczalną, ale powinna wykazać samą możliwość i rozwiązać pewne problemy, głównie stabilność tuneli…

— A skąd — przerwał mu Bobby — będziesz tę energię wydobywał?

Hiram wyszczerzył zęby i wskazał pod nogi.

— Tam z dołu. Z jądra Ziemi, synu. To kula niklu i żelaza wielkości Księżyca, rozgrzana jak powierzchnia słońca. To energia uwięziona tam od czasów formowania planety, to siła napędzająca wulkany i płyty kontynentalne. Do niej zamierzam sięgnąć. Dostrzegasz piękno tej idei? Energia, jaką ludzie uzyskują ze spalania tutaj, na powierzchni, jest niczym świeczka w porównaniu z tym piecem. Gdy tylko faceci od techniki rozwiążą problem stabilności tuneli, każde urządzenie generujące energię w ciągu jednej nocy stanie się przestarzałe. Synteza jądrowa, też mi coś… Na tym się zresztą nie skończy. Może pewnego dnia nauczymy się czerpać z samych gwiazd? Rozumiesz, Bobby? Nawet WormCam jest tylko zabawką wobec czegoś takiego. Zmienimy świat. Będziemy bogaci…

— Bardziej niż skąpstwo może sobie wyobrazić — mruknął Bobby.

— Przedstawiłem ci marzenie, chłopcze. Chcę, żebyśmy razem pracowali nad jego urzeczywistnieniem. Ty i ja. Żebyśmy budowali przyszłość, budowali OurWorld.

— Tato. — Bobby machnął zdrową ręką. — Podziwiam cię. I podziwiam to, co budujesz. Nie zamierzam ci przeszkadzać. Ale ja

tego nie chcę. Nic z tego nie jest rzeczywiste, ani twoje pieniądze, ani twoja władza. Tylko ja jestem rzeczywisty. Kate i ja. Mam twoje geny, ale nie jestem tobą, Hiramie. I nigdy nie będę, choćbyś nie wiem jak starał się mnie zmusić.

A kiedy Bobby to powiedział, w umyśle Kate połączyły się pewne informacje, jak zawsze, kiedy zbliżała się do samego jądra prawdy w sercu najbardziej skomplikowanych spraw.

Nie jestem tobą, powiedział Bobby.

Ale, teraz to zrozumiała, o to właśnie chodziło.

Dryfująca w przestrzeni Mary z szeroko otwartymi ustami przyglądała się gwiazdom. David uśmiechnął się i dotknął palcem jej brody.

— Niewiarygodne — stwierdziła.

— To mgławica — wyjaśnił. — Nazywa się Trifid.

— Jest widoczna z Ziemi?

— O tak. Ale jesteśmy tak daleko, że światło, które opuściło ją w czasach Aleksandra Macedońskiego, dopiero teraz dociera do Ziemi. — Wyciągnął rękę. — Widzisz te ciemne kropki? — Były to drobne kulki, niby krople atramentu w kolorowej wodzie. — Nazywają się globulami Boka. Nawet najmniejsza mogłaby pomieścić nasz cały Układ Słoneczny. Uważamy, że w nich rodzą się gwiazdy: chmury pyłu i gazu, które kondensują się w nowe słońca. Oczywiście, tworzenie gwiazdy trwa długo. Ale etap końcowy, kiedy włącza się synteza, a gwiazda zdmuchuje otaczający ją obłok pyłu i zaczyna świecić, może nastąpić dość gwałtownie. — Zerknął na nią. — Pomyśl o tym. Gdybyś żyła w tym miejscu, może na tej lodowej kuli pod nami, mogłabyś oglądać w ciągu swego życia narodziny kilkunastu, może nawet setek gwiazd.

— Ciekawe, jaką religię byśmy wtedy wymyślili. To było dobre pytanie.

— Może coś delikatniejszego. Religię bardziej zdominowaną przez obrazy narodzin, nie śmierci.

— Dlaczego mnie tu sprowadziłeś? Westchnął.

— Każdy powinien to zobaczyć, zanim umrze.

Teraz i my widzieliśmy — oświadczyła Mary oficjalnym tonem. — Dziękujemy ci.

Nieco zirytowany pokręcił głową.

— Nie oni. Nie Złączeni. Ty, Mary. Mam nadzieję, że mi to wybaczysz.

— Co takiego próbujesz mi powiedzieć, Davidzie? Zawahał się. Wskazał ręką mgławicę.

— Gdzieś tam, za tą mgławicą, leży jądro galaktyki. Jest tam ogromna czarna dziura o masie miliony razy większej od słońca. I

ciągle rośnie. Chmury pyłu i gazu czy rozbite gwiazdy płyną ku niej ze wszystkich stron.

— Widziałam rysunki…

— Tak. Pływa tam już cały rój stapledonów. Mają kłopoty przy zbliżaniu się do samej czarnej dziury, bo ogromne pole grawitacyjne destabilizuje tunele podprzestrzenne…

— Stapledonów?

— Punktów widzenia WormCamu. Bezcieleśni obserwatorzy, wędrujący przez czas i przestrzeń. — Uśmiechnął się. — Kiedy przyzwyczaisz się do wormcamowych badań z użyciem aparatury VR, przekonasz się, że nie trzeba zabierać takiego bagażu. — Wskazał swoje ciało. — Chodzi o to, Mary, że posyłamy ludzkie umysły jak pyłki dmuchawców w blok czasoprzestrzeni szeroki na dwieście tysięcy lat świetlnych i głęboki na setki mileniów, przez sto miliardów gwiezdnych systemów, aż do początków ludzkości. Już teraz jest tego więcej, niż możemy zbadać, nawet gdybyśmy mieli tysiąc razy więcej wyszkolonych obserwatorów. A granice zasięgu rozszerzają się coraz bardziej. Niektóre nasze teorie zostają potwierdzone, inne bezlitośnie odrzucone. To dobrze; tak powinna działać nauka. Ale wydaje mi się, że jest też głębsza, ważniejsza lekcja, którą poznajemy.

— To znaczy?

— Umysł, samo życie, jest bezcenne — odparł powoli. — Wręcz niewyobrażalnie. Dopiero zaczęliśmy poszukiwania. Ale już wiemy, że w granicach naszego zasięgu nie istnieje żadna znacząca biosfera. Pewnie, są może jakieś mikroorganizmy czepiające się życia w jakimś ciepłym, mulistym stawie albo ukryte głęboko w szczelinach wulkanicznych rozpadlin. Ale nie ma drugiej Ziemi.

Odetchnął.

— Wiesz, Mary, WormCam odsunął mojąpercepcję od własnych problemów. Niepowstrzymanie, krok po kroku. Widziałem zło i dobro w sercu swego sąsiada, kłamstwa w mojej przeszłości, banalną grozę w historii mojego narodu. Ale teraz sięgnęliśmy dalej, poza zgiełk ludzkich stuleci, poza tę hałaśliwą wysepkę, na której żyjemy. Teraz zobaczyliśmy pustkę wszechświata i nie warto już bezmyślnie mleć przeszłości. Skończyliśmy już z obwinianiem siebie za grzechy przodków i zaczynamy dostrzegać głębszą prawdę: jesteśmy otoczeni przez otchłanie, przez milczenie, przez ślepe działania nieświadomych sił. WormCam jest w ostatecznym rachunku maszyną zmieniającą perspektywę. I ta perspektywa nas przeraża.

— Dlaczego mi to mówisz? Spojrzał jej w oczy.

— Skoro muszę już mówić do was wszystkich, to chcę, żebyście wiedzieli, jaka może spoczywać na was odpowiedzialność. Był kiedyś jezuita, Teilhard de Chardin. Wierzył, że podobnie jak życie, które pokryło całą Ziemię, tworząc biosferę, tak i ludzkość, myśl, kiedyś

pokryje całe życie i utworzy wyższą warstwę, warstwę świadomości, którą nazwał noosferą. Twierdził, że prymitywna organizacja noosfery będzie się komplikować, aż powstanie jedna nadświadoma istota, którą nazwał Punktem Omega.

— Tak — powiedziała i przymknęła oczy. — „Koniec świata: całościowa wewnętrzna introwersja w siebie noosfery, która równocześnie osiągnęła najwyższą granicę złożoności i centralizacji…".

— Czytałaś de Chardina?

— My czytaliśmy.

— Widzisz, chodzi o Wormwood — wykrztusił wreszcie. — To jest mój problem. Nie dają mi pociechy wywody nowych, nihilistycznych myślicieli. Świadomość, że ten drobny strzęp życia i myśli ma być zmiażdżony przez jakiś przypadkowy kawał skały właśnie w chwili transcendentnego zrozumienia, jest po prostu nie do przyjęcia.

Dotknęła jego twarzy swymi drobnymi, młodymi dłońmi.

— Rozumiem. Zaufaj mi. Pracujemy nad tym.

A David, patrząc w jej młode-stare oczy, uwierzył.

Światło zmieniało się wolno i zauważalnie słabło. To niebieskobiała gwiazdka chowała się za gęściejsze jądro gwiazdy macierzystej. David widział, jak światło przebija się przez warstwy gazu wokół olbrzyma, a kiedy mała towarzyszka dotknęła jego niewyraźnego horyzontu, zobaczył nawet cienie, rzucane w rozrzedzoną atmosferę przez zgęstnienia gazu w zewnętrznych warstwach. Linie cienia sięgały ku niemu, długie na miliony kilometrów i absolutnie proste. To zachód słońca na gwieździe, uświadomił sobie z podziwem; ćwiczenie z geometrii ruchu i perspektywy.

A jednak spektakl ten najbardziej przypominał mu zachody słońca nad oceanem, które oglądał jako dziecko, kiedy bawił się z matką na atlantyckich plażach we Francji. Pamiętał te chwile, kiedy promienie światła, przebijające chmury nad oceanem, kazały mu się zastanawiać, czy ogląda blask samego Boga.

Czy Złączeni rzeczywiście stanowią zalążek nowego porządku ludzkości — porządku umysłu? Czy w tej chwili dokonuje czegoś w rodzaju pierwszego kontaktu z istotą, która może przewyższyć go intelektem i rozumem, jak on przewyższa swoją neandertalską prababkę?

Ale może nowa forma umysłu musi dorosnąć, wykształcić nowe siły psychiczne, pojąć szerszą perspektywę, jaką daje WormCam?

Pomyślał: budzicie lęk i pogardę, a teraz jesteście słabi. Ja sam się was boję, ja sam wami gardzę. Ale i Chrystusa się obawiano, i Chrystus był pogardzany. A jednak do Niego należała przyszłość. Może

należy i do was.

Dlatego to wy możecie być moją jedyną nadzieją, jak próbowałem ci to wytłumaczyć.

Ale niezależnie od przyszłości nie potrafię nie tęsknić za pewną gniewną dziewczyną, która żyła kiedyś za tymi mądrymi niebieskimi oczami. I niepokoi mnie, że ani razu nie wspomniałaś o matce, która to, co pozostało jej z życia, prześni w zaciemnionych pokojach. Czy my, którzy was poprzedzaliśmy, tak mało dla was znaczymy?

Mary przysunęła się bliżej, objęła go w pasie i przytuliła. Mimo niespokojnych myśli ten zwykły, ciepły ludzki gest przyniósł mu pocieszenie.

— Wracajmy do domu — powiedziała. — Myślę, że twój brat cię potrzebuje.

Kate wiedziała, że musi mu o tym powiedzieć.

— Bobby…

— Stul pysk, Manzoni — warknął Hiram. Był wściekły: wymachiwał rękami w powietrzu i krążył wokół bunkra. — A co ze mną? Ja cię stworzyłem, szczeniaku. Stworzyłem cię tak, żebym nie musiał umierać, wiedząc…

— Wiedząc, że stracisz wszystko — dokończyła Kate.

— Manzoni!

Wilson zrobiła krok do przodu, stając między Hiramem i Bobbym. Obserwowała ich czujnie. Kate nie zwracała na nią uwagi.

— Chcesz założyć dynastię. Chcesz, żeby twój potomek rządził tą pieprzoną planetą. Nie udało ci się z Davidem, więc spróbowałeś jeszcze raz, unikając konieczności dzielenia się nim z matką. Tak, stworzyłeś Bobby'ego i usiłowałeś nad nim zapanować. Ale mimo to on nie chce bawić się w twoje gierki.

Hiram stanął przed nią, zaciskając pięści.

— To, czego on chce, nie ma znaczenia. Nic mnie nie powstrzyma.

— Nie — przyznała Kate. — Nie pozwolisz na to. Wielki Boże, Hiram…

— Kate — wtrącił z naciskiem Bobby. — Chyba powinnaś mi wytłumaczyć, o czym mówicie.

— Nie twierdzę, że taki był od początku jego plan. Ale zawsze uwzględniał tę możliwość jako rozwiązanie awaryjne, na wypadek gdybyś… gdybyś nie współpracował. Oczywiście, musiał poczekać, aż rozwinie się technika. Ale ona jest już gotowa. Prawda, Hiram? — Kolejny kawałek łamigłówki wskoczył na miejsce. — To ty finansujesz Złączonych! Mam rację? Dyskretnie, ma się rozumieć. Ale to twoje pieniądze stoją za rozwojem techniki łączenia mózgów. Miałeś w tym swój cel.

W oczach Bobby'ego — podkrążonych, pełnych bólu — wreszcie dostrzegła zrozumienie.

— Jesteś klonem, Bobby. Twoje ciało i struktura układu nerwowego są tak bliskie Hiramowym, jak to tylko możliwe dla technik klonowania. Hiram chce, żeby OurWorld przetrwał jego śmierć. Nie życzy sobie, żeby został podzielony albo, co gorsza, przeszedł w ręce kogoś spoza rodziny. Jesteś jego nadzieją. Ale jeśli odmówisz współpracy…

Bobby zwrócił się do ojca.

— Jeśli nie zostanę twoim spadkobiercą, zabijesz mnie. Potem weźmiesz moje ciało i przeniesiesz do niego swój obrzydliwy umysł.

— To nie tak — zaprotestował gwałtownie Hiram. — Nie rozumiesz? Będziemy razem, Bobby. Pokonam śmierć. A kiedy się zestarzejesz, możemy zrobić to znowu. I znowu, i jeszcze raz.

Bobby puścił dłoń Kate i ruszył w stronę Hirama.

Wilson stanęła mu na drodze. Pchnęła Hirama za siebie i podniosła pistolet.

Kate próbowała podbiec do niej, przeszkodzić, ale miała wrażenie, że jest zanurzona w gęstym syropie.

Wilson wahała się. Wreszcie chyba podjęła decyzję. Lufa pistoletu zakołysała się… A potem, błyskawicznym ruchem, Wilson odwróciła się i uderzyła Hirama za uchem tak mocno, że poleciał na podłogę. Chwyciła Bobby'ego. Próbował ją uderzyć, ale złapała go za zranione ramię i mocno przycisnęła kciukiem. Krzyknął, przymknął oczy i osunął się na kolana.

Kate była zdumiona, oszołomiona. Co teraz? Jak bardzo może się jeszcze skomplikować sytuacja? Kim jest ta Wilson? Czego chce?

Stanowczymi ruchami Wilson ułożyła Bobby'ego obok ojca i zaczęła ustawiać przełączniki na konsoli w środku pomieszczenia. Zaszumiały wentylatory, trzasnęły wyładowania elektryczne. Kate wyczuła, że zbierają się ogromne siły.

Hiram próbował usiąść, ale Wilson powaliła go kopnięciem w pierś.

— Co ty wyprawiasz, do diabła? — wycharczał.

— Otwieram tunel podprzestrzenny — mruknęła skupiona Wilson. — Most do środka Ziemi.

— Nie możesz! — zawołała Kate. — Tunele są ciągle niestabilne!

— Wiem. O to właśnie chodzi. Jeszcze nie zrozumiałaś?

— O Boże — jęknął Hiram. — Planowałaś to od początku.

— Zabić cię? Oczywiście. Czekałam na okazję, a teraz ją wykorzystam.

— Dlaczego, na miłość boską?

— Za Barbarę Wilson. Moją córkę.

— Kogo?

— Ty j ą zniszczyłeś. Ty i twój WormCam. Bez ciebie… Hiram parsknął złośliwym, zduszonym śmiechem.

— Nie tłumacz mi. To bez znaczenia. Zawsze wiedziałem, że ktoś z was, żałosnych dupków, w końcu się przedrze. Ale tobie ufałem, Wilson.

— Gdyby nie ty, byłabym szczęśliwa. — Głos miała wyraźny, spokojny.

— Co ty wygadujesz? Zresztą, kogo to obchodzi… Posłuchaj: masz mnie — przekonywał desperacko Hiram. — Wypuść Bobby'ego. I dziewczynę. Oni nie są ważni.

— Ależ są. — Zdawało się, że Wilson za chwilę się rozpłacze. — Nie rozumiesz? Chodzi o niego. — Szum aparatury wzmógł się; na ściennych ekranach przewijały się liczby. — Jeszcze kilka sekund. To przecież niedługo, prawda? A potem wszystko się skończy. — Spojrzała na Bobby'ego. — Nie bój się.

— Co? — wykrztusił z trudem, ledwie przytomny.

— Niczego nie poczujesz.

— A co cię to obchodzi?

— Ależ obchodzi. — Schyliła się i pogładziła jego policzek. — Tak długo ci się przyglądałam… Wiem, że jesteś klonem. To nieważne. Widziałam, jak robisz swój pierwszy kroczek. Kocham cię.

— Cholerna wormcamowa podglądaczka — warknął Hiram. — Tym tylko jesteś? Jakież to… niskie. Prześladowali mnie kapłani i alfonsi, politycy, kryminaliści, nacjonaliści, normalni i wariaci. Każdy miał jakieś pretensje do wynalazcy WormCamu. Uniknąłem ich wszystkich. A teraz doszło do czegoś takiego… — Spróbował się ruszyć. — Nie. Nie w ten sposób… Nie tak…

Błyskawicznym, wężowym ruchem rzucił się ku nodze Wilson i zatopił zęby za jej kolanem.

Krzyknęła, zachwiała się i upadła. Hiram zaciskał szczęki jak buldog, a krew ściekała mu z ust. Wilson przetoczyła się na niego i podniosła pięść. Hiram wypuścił jej nogę.

— Zabierz go stąd! — wrzasnął do Kate. — Zabierz…

Ale wtedy Wilson wbiła pięść w jego pokrwawioną krtań. Kate usłyszała chrobot kości i chrząstek, a głos Hirama zmienił się w cichy bulgot.

Kate chwyciła Bobby'ego za zdrową rękę i przeciągnęła przez drzwi bunkra. Krzyknął, gdy uderzył głową o stalowy próg, ale nie zwracała na to uwagi.

Kiedy tylko jego stopy znalazły się na zewnątrz, zatrzasnęła drzwi, blokując narastający szum otwieranego tunelu, i zaczęła kręcić kołem zamka.

Zbliżyli się wyraźnie zaskoczeni ochroniarze Hirama.

— Zabierzcie go i uciekajcie stąd! — krzyknęła Kate, wisząc na

kole.

A potem ściana wybrzuszyła się i Kate zobaczyła światło, jasne jak słońce. Ogłuszona, oślepiona, miała wrażenie, że spada. Spada w ciemność.

28. Wiek Syzyfa

Jako dwa stapledony, bezcielesne punkty widzenia WormCamu, Bobby i David wzlecieli ponad południową Afryką.

Był rok 2082. Czterdzieści lat minęło od śmierci Hirama Pattersona. A Kate, od trzydziestu pięciu lat żona Bobby'ego, także już nie żyła.

Rok po tragedii pogodził się z tym brutalnym faktem, jednak nigdy o nim nie zapominał, choć WormCam zabierał go w wiele cudownych miejsc. Ale on sam, Bobby, ciągle żył i musiał żyć; zmusił się do działania, do studiów nad Afryką.

Dzisiaj równiny tego najbardziej starożytnego z kontynentów pokrywała sieć prostokątnych pól. Tu i ówdzie wyrastały budynki: czyste plastikowe chaty. Ziemię uprawiały maszyny; autonomiczne kultywatory przypominały przerośnięte żuki z pancerzami błyszczącymi od baterii słonecznych. Ludzie poruszali się wolno wzdłuż pól. Wszyscy nosili białe ubrania, kapelusze z szerokimi rondami i kolorowe warstwy kremów filtrujących na twarzach.

Na którymś wysprzątanym do czysta podwórzu bawiła się gromadka dzieci. Wydawały się czyste, dobrze ubrane i odżywione. Biegały i krzyczały wesoło — jaskrawe kamyki w rozległym i płaskim jak stół krajobrazie. Ale Bobby nie widywał ostatnio wielu dzieci, więc ta garstka wydawała się cenna, ważna.

A kiedy przyjrzał się im dokładniej, zauważył, że ich działania, choć skomplikowane, są ściśle skoordynowane, jakby każde z dzieci natychmiast wiedziało, co myślą pozostałe. I może naprawdę wiedziało. Ponieważ — tak słyszał — dzisiejsze dzieci rodziły się już z tunelami podprzestrzennymi w głowach, związane z grupowymi umysłami Złączonych, zanim jeszcze opuściły łono matki.

Bobby zadrżał, gdy sobie to wyobraził. Wiedział, że jego ciało reaguje na taką myśl, pozostawione w budowli wciąż nazywanej Wormworks — choć czterdzieści lat po śmierci Hirama jej właścicielem stało się konsorcjum muzeów i uniwersytetów.

Tyle czasu minęło od tamtego dnia, a Bobby wciąż pamiętał wszystko, jakby sama pamięć była WormCamem połączonym na stałe z przeszłością. Teraz przeszłość ta mieściła wszystko, co pozostało mu po Kate, zmarłej rok temu na raka; wszystkie jej działania zostały unieruchomione w niezmiennej historii, tak samo jak czyny bezimiennych miliardów, które przed nią zeszły do grobu.

Biedny Hiram, pomyślał. On przecież chciał tylko zarabiać pieniądze. Teraz, kiedy nie żyje, jego firma się rozpadła, a fortuna zniknęła. A jednak przypadkiem zdołał odmienić świat.

David, niewidoczny, ale obecny przy nim, milczał od dłuższego

czasu. Bobby uruchomił procedurę empatii, by spojrzeć przez punkt widzenia brata.

Zadbane pola zniknęły, zastąpione jałowym pustkowiem, gdzie tylko kilka karłowatych drzew walczyło o przetrwanie.

W ostrym blasku słońca szła wolno przez pustynię długa kolumna kobiet. Każda niosła na głowie wielki plastikowy pojemnik z niezbyt czystą wodą. Były chude jak patyki, okryte łachmanami, o sztywno wyprostowanych karkach.

Jedna z nich prowadziła za rękę dziecko. Było oczywiste, że — nagie i zbudowane jakby z samych kości i cienkiej jak papier skóry — jest ofiarą ostrego niedożywienia, może nawet AIDS. Tutaj, przypomniał sobie Bobby z wisielczym humorem, nazywali AIDS chorobą chudzielców.

— Po co patrzysz w przeszłość, Davidzie? — zapytał. — Dzisiaj wygląda to lepiej.

— Ale taki był świat, który my stworzyliśmy — odparł z goryczą David. Jego głos brzmiał, jakby rozlegał się o kilka metrów od Bobby'ego w ciepłym, wygodnym pokoju, a nie tutaj, ponad zapomnianym pustkowiem. — Nic dziwnego, że dzieciaki uważają nas, starych, za bandę dzikusów. To była Afryka z AIDS, z niedożywieniem, z suszami i malarią, zakażeniami gronkowcem, gorączką dengową i nieskończonymi, bezsensownymi wojnami. Afryka pogrążona w zdziczeniu… Ale — dodał po chwili — Afryka ze słoniami.

— Słonie nadal istnieją — przypomniał Bobby.

To była prawda: żyła w ogrodach zoologicznych garstka zwierząt, a ich nasienie i jaja przewożono między placówkami, by utrzymać zdolną do życia populację. Zygoty słoni i wielu innych zagrożonych czy wymarłych gatunków, zamrożone w ciekłym azocie, przechowywano nawet w wiecznych cieniach krateru na południowym biegunie Księżyca — ostatniej kryjówce ziemskiego życia, jeśli jednak nie uda się odchylić Wormwoodu z kursu.

A więc rzeczywiście istniały słonie — ale już nie w Afryce. Nie pozostał o nich żaden ślad prócz kości, wykopywanych od czasu do czasu przez samoczynne maszyny rolnicze, niekiedy ze śladami zębów wygłodniałych ludzi. Za życia Bobby'ego wyginęły wszystkie: słoń, lew, niedźwiedź, a nawet najbliżsi krewni człowieka, szympansy, goryle i inne małpy człekokształtne. Poza domami ludzi, ogrodami zoologicznymi, zbiorami kolekcjonerów i laboratoriami na Ziemi nie pozostał już żaden duży ssak. Żaden oprócz człowieka.

Ale co się stało, to się stało.

Wznieśli się w przestrzeni i czasie, a lśniące kolorami pola wróciły. Dzieci zmniejszyły się i zniknęły, z tej wysokości sieć pól uprawnych zmieniła się w szachownicę pozbawioną szczegółów,

przesłoniętą mgłą i chmurami.

Potem, gdy Ziemia odsuwała się coraz dalej, w polu widzenia Bobby'ego wypłynął kształt samej Afryki, tak dobrze znany z podręczników.

Na zachodzie, nad Atlantykiem, szarobiała pokrywa chmur przesłaniała wypukłą powierzchnię oceanu. Obrót planety niósł Afrykę w stronę cienia nocy. Bobby widział kliny burz równikowych, sięgające na setki kilometrów w głąb lądu, wyciągające fioletowe palce mroku.

Ale nawet z tej odległości dostrzegał ludzkie dzieła.

Na oceanie widział depresję, wielki wir białych chmur nad błękitną wodą. Nie był to system naturalny; przejawiał stabilizację i regularność, przeczącą jego skali. Nowe systemy kontroli pogody z wolna zmniejszały gwałtowność układów sztormowych, które nadal szalały na całej planecie, a zwłaszcza wzdłuż wybrzeża Pacyfiku.

Na południu kontynentu Bobby wyraźnie widział sunące przez atmosferę ogromne statki zasłonowe; ich przewodzące arkusze migotały jak skrzydła ważek, oczyszczając powietrze i odnawiając zniszczoną warstwę ozonową. A wzdłuż zachodniego brzegu na setki kilometrów rozciągał się jasny pas — rafy, odbudowywane pospiesznie przez nowy gatunek genetycznie przekształconego koralu — aby związać nadwyżkę dwutlenku węgla z atmosfery i stworzyć sanktuarium zagrożonym roślinom i zwierzętom, które dawniej zamieszkiwały naturalne rafy koralowe, zniszczone przez zanieczyszczenia, nadmierne połowy i sztormy.

Wszędzie pracowali ludzie: naprawiali, odbudowywali.

Ląd także się zmienił. Niebo nad kontynentem było prawie bezchmurne, a ziemia w dole brunatnozielona zielenią życia. Wielką północną równinę, Saharę, pocięły cienkie nitki błękitu. Już teraz znad brzegów nowych kanałów rozprzestrzeniała się zieleń. Tu i tam widział lśniące jak klejnoty konstrukcje elektrowni tunelowych, realizację ostatniego marzenia Hirama, czerpiących ciepło z samego jądra Ziemi — energię darmową i czystą, która w dużej mierze umożliwiła stabilizację i przekształcenie planety. To był doprawdy wspaniały widok, a jego skala i regularność oszałamiała. David twierdził, że najbardziej przypomina mu dawne wyobrażenia Marsa, konającego, pustynnego świata, przywróconego do życia przez inteligencję.

Ludzka rasa odzyskała chyba w porę rozsądek, by ocalić siebie. Ale okres dojrzewania był niełatwy.

Liczba ludności rosła, zmiany klimatyczne zniszczyły większą część rezerw żywności i wody, wielkie obszary w Ameryce Pomocnej i Azji zmieniły się w pustynie, podnoszące się morze zalało wiele nizinnych terenów rolniczych, wody gruntowe były zanieczyszczone, a

wielkie jeziora słodkiej wody zatrute kwasami albo wysychające. Wkrótce zresztą problem nadmiernie licznej populacji zmienił się na przeciwny, gdy z powodu suszy, chorób i głodu ludzie wymierali na całej planecie. Była to katastrofa względna: większość ludzkości przeżyła. Ale jak zwykle najwyższą cenę zapłacili słabi: starcy i dzieci.

W krótkim czasie świat stał się miejscem ludzi w wieku średnim.

Nowe pokolenia pojawiały się w świecie, wolno leczącym rany, wciąż pełnym starzejących się ocalonych. A młodzi — nieliczni, bezcenni, połączeni WormCamem — traktowali rodziców z coraz mniejszą tolerancją, z obojętnością i nieufnością.

Dzieci pokolenia WormCamu prowadziły w szkołach badania naukowe nad erą, w której dorastali ich rodzice i dziadkowie: niepojętym, pełnym różnych tabu okresem sprzed WormCamu, oddalonym zaledwie o kilka dziesięcioleci. W tamtym świecie prosperowali kłamcy i oszuści, rosła przestępczość, ludzie zabijali się nawzajem z powodu kłamstw i mitów, a sama planeta była systematycznie niszczona na skutek bezmyślności, chciwości i braku współczucia dla innych. Dominował całkowity brak myślenia o przyszłości.

Równocześnie dla starszego pokolenia młodzi byli bandą niepojętych dzikusów, mających własny język i mniej więcej tyle przyzwoitości, co stado szympansów.

Ale konflikt pokoleń nie wyjaśniał wszystkiego. Bobby uważał, że otwierała się też inna, poważniejsza przepaść.

Zbiorowe umysły wciąż znajdowały się, w opinii Bobby'ego, w stadium wczesnego dzieciństwa, a starsze pokolenia Niezłączonych miały nad nimi ogromną przewagę liczebną — ale już teraz ich zbiorowe przemyślenia, narzucone ludzkiemu społeczeństwu, powodowały dramatyczne efekty.

Nowe superumysły podejmowały najtrudniejsze wyzwania, wymagające zarówno najsprawniejszego intelektu, jak też odrzucenia najgorszych cech ludzkości: egoizmu i kłótliwości. Na przykład modyfikacja i kontrola światowego klimatu, ze względu na chaotyczną naturę globalnego systemu pogody, kiedyś wydawała się problemem nie do rozwiązania. Ale teraz był on właśnie rozwiązywany.

Nowe pokolenia dojrzewających Złączonych już teraz kształtowały przyszłość. W tej przyszłości, jak obawiało się wiele osób, demokracja stanie się nieistotna, a nawet pociecha religijna utraci znaczenie. Złączeni wierzyli bowiem — nie bez pewnych podstaw — że potrafią pokonać nawet śmierć.

Może nie będzie to już przyszłość człowieka.

Wszystko to wzbudzało podziw, zachwyt i lęk. Bobby wiedział, że miał szczęście, żyjąc w takich czasach, gdyż z pewnością nigdy się już nie powtórzy taka eksplozja umysłów.

Jednakże prawdą było też, że on — i David, i pozostali z ich pokolenia, ostatni Niezłączeni — czuli się coraz bardziej samotni na planecie, która ich zrodziła.

Wiedział, że ta cudowna przyszłość nie jest już dla niego. A w rok po śmierci Kate, po chorobie, która zabrała ją tak nagle, teraźniejszość przestała go interesować. Pozostała tylko — jemu i Davidowi — przeszłość.

I właśnie przeszłość postanowili zbadać, tak głęboko i szybko, jak to tylko możliwe — dwóch starych durniów, którzy i tak już dla nikogo się nie liczyli.

Poczuł ucisk — niewyraźny, niemal niewyczuwalny, ale naglący. Całkiem, jakby ktoś ściskał go za rękę.

— David?

— Jesteś gotowy?

Bobby pozwolił, by jakiś zakątek umysłu powrócił do na moment dalekiego ciała. Kiedy uformowały się mgliste ręce i nogi, odetchnął głęboko, po czym zacisnął i rozprostował palce.

— Jedziemy…

Punkt widzenia Bobby'ego runął z afrykańskiego nieba w dół, ku południowemu wybrzeżu. I kiedy spadał, dni i noce zamigotały na cierpliwej powierzchni kontynentu, a stulecia opadały jak jesienne liście.

Zatrzymali się po stu tysiącach lat w przeszłość. Jak dwa świetliki zawiśli przed twarzą: z wystającymi brwiami, płaskim nosem, czystymi oczami… kobiecą.

Nie całkiem ludzką.

Za nią widzieli niewielką grupę rodziny — potężnie zbudowanych dorosłych, dzieci podobne do młodych goryli. Wszyscy pracowali wokół ogniska, którego pilnowali na pradawnej plaży. Za nimi wznosiło się niewysokie urwisko, a nad nim niebo miało barwę czystego błękitu. Może była zima.

Bracia ruszyli w głąb.

Wszystkie szczegóły: grupa krewniaków i błękitne niebo, zgasły nagle. Sama neandertalska prababka rozmyła się, twarz straciła wyraz; jedno pokolenie nakładało się na drugie zbyt szybko, by wzrok mógł nadążyć za zmianami. Pejzaż stał się szarym konturem; w każdej sekundzie przesuwały się stulecia zmian pogody i sezonowej roślinności.

Twarz zmieniała się płynnie. Pół miliona lat głębiej czoło obniżyło się wyraźnie, mocniej zarysowały się brzegi oczodołów, cofnął podbródek, zęby i szczęka wysunęły się do przodu. Być może twarz była teraz bardziej małpia, pomyślał Bobby. Ale oczy pozostały ciekawe, inteligentne.

Barwa skóry zaczęła się zmieniać powolnymi falami, od ciemnej przez jaśniejszą do znowu ciemnej.

— Homo erectus — oświadczył David. — Wytwarzający narzędzia. Migrował po całej planecie. Ciągle opadamy: sto tysięcy lat w parę sekund. Dobry Boże! A tak niewiele się zmienia.

Kolejny przeskok nastąpił nagle. Czoło opadło niżej, twarz się wydłużyła — choć mózg tej dalekiej prababki i tak był większy niż u szympansa.

— Homo habilis — stwierdził David. — A może już Australopithecus. Linie ewolucyjne są zagmatwane. Jesteśmy na głębokości dwóch milionów lat.

Antropologiczne etykiety nie miały właściwie znaczenia. Jednak przeżycie budziło niepokój Bobby'ego. Patrzeć na tę wielopokoleniową twarz, twarz szympansopodobnej istoty, na którą w zoo pewnie by nie zwrócił uwagi… i wiedzieć, że to jego przodek, matka jego babek w nieprzerwanej linii dziedziczenia… Może tak właśnie czuli się ludzie w epoce wiktoriańskiej, kiedy Darwin powrócił z Galapagos.

Ostatnie resztki człowieczeństwa zniknęły; puszka mózgowa zmalała, oczy były coraz bardziej tępe, zamglone.

Mijające lata rozmazały szczegóły tła; widzieli jednak coraz wyraźniej szą zieleń — być może w otchłani czasu Afrykę porastały lasy. Twarz uchwycona w wizji WormCamu malała, była coraz prostsza, oczy większe, bojaźliwe. Teraz prababka przypominała Bobby'emu raczej wyraka albo lemura.

Ale te skierowane przed siebie oczy na płaskiej twarzy wciąż niosły w sobie przejmujące wspomnienie czy raczej obietnicę.

David zwolnił lot i na głębokości około czterdziestu milionów lat na krótko wrócił do rzeczywistego biegu czasu.

Na Bobby'ego spojrzała mordka przodka, podobnego do ryjówki; oczy były szerokie i nerwowe. W tle widział liście i gałęzie. Z tyłu, na równinie słabo widocznej w zielonym blasku, pasło się stado zwierząt podobnych do nosorożców, ale o wielkich, niekształtnych głowach, wyposażonych w sześć rogów każda. Stado przesuwało się powoli, z godnością kołysząc ogonami, skubiąc niskie krzewy albo sięgając do zwisających gałęzi drzew. A zatem roślinożercy… Młodego marudera śledziła grupa stworzeń podobnych do koni, lecz te „konie" miały wielkie zęby i poruszały się czujnie, ostrożnie. Wyglądały na drapieżniki.

— Pierwszy wielki dzień dla ssaków — wyjaśnił David. — Lasy na całej planecie; stepy praktycznie zniknęły. Podobnie jak cała współczesna fauna. Nie ma w pełni wyewoluowanych koni, nosorożców, świń, bydła, kotów, psów…

Prababka co kilka sekund nerwowo kręciła głową, nie przerywając żucia owoców i liści. Bobby zastanowił się, jacy drapieżcy

mogą runąć nagle z nieba na nieostrożnego ssaka.

Nie protestował, gdy David opuścił tę chwilę i znowu pomknęli w głębinę czasu. Tło rozmyło się w niebieskozieloną plamę, a mordka przodka zmniejszyła się płynnie, choć oczy urosły. Były teraz czarne — może zwierzęta prowadziły nocny tryb życia.

Bobby dostrzegał czasami gęstą, zieloną roślinność, całkiem obcą. A jednak świat wydawał się dziwnie pusty: żadni wielcy roślinożercy, żadne drapieżniki nie pojawiały się na pustej scenie za wąskim, szarym, wielkookim pyszczkiem przodka. Planeta przypomina miasto opuszczone przez ludzi, pomyślał; tylko małe stworzenia: myszy, szczury lub nornice ryją tunele wśród ruin.

Ale w końcu zaczęły znikać lasy; rozpływały się jak poranna mgła latem. Okolica przypominała miejsce katastrofy: równina znaczona połamanymi pniami drzew, które kiedyś musiały być wysokie.

Lód zebrał się nagle i leżał w szerokich pasach. Bobby miał wrażenie, że życie znika z tej ziemi niczym fala odpływu.

Potem nadciągnęły chmury i świat pogrążył się w ciemności. Ledwie dostrzegalny deszcz wystrzelił z czarnego gruntu. Wielkie stosy kości wynurzały się z błota i obrastały w mięso, wiszące szarymi bryłami.

— Kwaśny deszcz — mruknął David. Zapłonęło światło, oślepiające i potężne.

Nie było to światło dnia, ale pożar, który obejmował chyba całą okolicę. Szalał gwałtowny, potężny, przerażający…

Ale i on się cofnął.

Pod ołowianym niebem pożar zaczął przygasać, rozpadać się na odizolowane ogniska, które także gasły, a każde liźnięcie płomienia odradzało zieleń kolejnej ulistnionej gałęzi. Wreszcie pozostały tylko jaskrawe bryły, które wzleciały w górę i zmieniły się w obłok spadających gwiazd pod czarnym niebem.

Gęste czarne chmury rozsunęły się niczym kurtyna. Przemknął wicher, mocujący połamane konary do drzew i łagodnie sadzający na nich stadka latających istot. Na horyzoncie łuna światła skupiała się, nabierała barw różu i bieli, wreszcie zmieniła się w smugę jasności skierowaną wprost w niebo.

Była to kolumna roztopionej skały.

Kolumna opadła w pomarańczowym blasku. I, jak kolejny świt, uniosła się nad horyzontem jasna, niewyraźna masa, a długi lśniący ogon sięgnął przez połowę nieba we wspaniałym, nieregularnym łuku. Niewidoczna za dnia i jaskrawa nocą kometa odlatywała, unosząc swój ładunek zniszczenia z powrotem w głąb Układu Słonecznego.

Bracia zatrzymali się w ożywionym nagle świecie — świecie obfitym i spokojnym.

Prababka była wielkookim, przerażonym stworzeniem,

zawieszonym nad ziemią, być może nieostrożnie uwięzionym na gałęzi. Za nią Bobby widział coś, co uznał za wybrzeże śródlądowego morza. Bujne lasy porastały bagniste równiny nad brzegiem, a rzeka spływała z odległych błękitnych gór. Szerokie grzbiety zwierząt, zapewne krokodyli, rozcinały leniwe, żółte wody. Kraina kipiała życiem — obcym w szczegółach, ale przecież nie tak odległym od lasów młodości Bobby'ego.

Tylko niebo straciło swój błękit — miało teraz barwę delikatnego fioletu. Nawet kształty chmur w górze wydawały się niewłaściwe. Może powietrze było inne tutaj, w głębinach czasu.

Bagnistym brzegiem sunęło stado rogatych zwierząt; z wyglądu przypominały nosorożce. Ale ruchy miały dziwne, niemal ptasie, gdy podbiegały, przeszukiwały krzaki, przysiadały, walczyły albo muskały się nawzajem. Bobby zauważył też stado innych stworzeń, podobnych do strusi — szły wyprostowane, kołysząc głowami i rzucając wokół lękliwe, czujne spojrzenia.

Wśród drzew przesunął się duży cień: sunął wolno, jakby śledził wielkich roślinożerców. Może to drapieżnik, a nawet, pomyślał Bobby w podnieceniu, veplociraptor.

Nad stadami dinozaurów unosiły się chmary owadów.

— Mamy szczęście — stwierdził David. — Możemy obserwować miejscowe zwierzęta. Era dinozaurów okazała się rozczarowaniem dla czasowych turystów. Jak Afryka jest rozległa, niezwykła i w większości pusta. W końcu ciągnie się ponad sto milionów lat.

— Dla mnie — odparł Bobby — największym rozczarowaniem było odkrycie, że tyranozaur jest padlinożercą. Tyle tu piękna, Davidzie, i ani jednego umysłu, który mógłby je podziwiać. Czy czekało na nas? Przez tyle lat?

— A tak, niewidziane piękno… „Czy cudowne spiralne i stożkowe muszle z epoki eocenu albo pięknie rzeźbione amonity okresu kredy stworzone zostały, by człowiek mógł po wiekach podziwiać je w swojej gablocie?". Darwin, O powstawaniu gatunków.

— Czyli on też nie wiedział.

— Raczej nie. To bardzo starożytne miejsce, Bobby. Sam widzisz: antyczna społeczność, która ewoluowała przez setki milionów lat. A jednak…

— A jednak zniknie, kiedy Wormwood z kredy dokona zniszczeń.

— Ziemia jest ogromnym cmentarzem, Bobby. A kiedy zanurzamy się w przeszłość, te kości powstają znowu, by stanąć przed nami.

— Nie całkiem. Przetrwały ptaki.

— Tak, ptaki. Owszem, piękne zakończenie tego szczególnego wątku ewolucji. Miejmy nadzieję, że my skończymy nie gorzej. Ruszamy dalej?

— Tak.

Zanurkowali znowu, opadając bezpiecznie przez mezozoiczne lato dinozaurów dwieście milionów lat temu.

Rozmazane w plamach zieleni pradawne dżungle przesuwały się przez pole widzenia Bobby'ego jako obramowanie bojaźliwych, bezmyślnych oczu milionów pokoleń przodków — rozmnażających się, żyjących, umierających.

Zieleń zniknęła nagle, odsłaniając płaską, suchą równinę i puste niebo.

Ogołocony teren był pustynią, spieczoną przez stojące wysoko słońce; piasek miał jednolicie czerwonawy kolor. Sięgnęli tak głęboko w czas, że nawet góry przesunęły się i zmieniły kształty.

Przodek był niewielkim, podobnym do jaszczurki stworzeniem, które obgryzało pracowicie coś, co wyglądało na szczątki małego szczura. Stało na skraju karłowatego lasu, sięgającego brzegu leniwej rzeki.

Coś jakby iguana przebiegło w pobliżu, błyskając rzędami ostrych zębów. Być może to matka wszystkich dinozaurów, pomyślał Bobby. A za drzewami zobaczył stado zwierząt, wyglądających jak dzikie świnie, ryjące w błocie niedalego wody.

— Lystrosaurus — mruknął David. — Najszczęśliwsze stworzenie, jakie żyło na Ziemi. Jedyne duże zwierzę, które przetrwało zagładę.

— Chodzi ci o tę kometę, która wybiła dinozaury? — zdziwił się Bobby.

— Nie — zaprzeczył posępnie David. — O tę następną, która pojawi się wkrótce. Dwieście pięćdziesiąt milionów lat przed nami. Najgorsza ze wszystkich…

Więc to dlatego zniknęła bujna dżungla i stada dinozaurów. Z Ziemi po raz kolejny odpływało życie. Bobby'ego opanowało poczucie grozy.

Pomknęli dalej w głąb.

Ostatnie karłowate drzewa skurczyły się w końcu do ukrytych w glebie nasion, a resztki wątłych krzewów zwiędły i zginęły. Wypalona ziemia zaczęła odtwarzać spalone pnie i połamane gałęzie, gdzieniegdzie stosy kości. Skały, coraz bardziej odsłonięte przez cofającą się falę życia, nabrały czerwonej barwy.

— Jak na Marsie…

— I z tego samego powodu — potwierdził David. — Na Marsie praktycznie nie istniało życie. A podczas jego nieobecności skały osadowe rdzewiały: poddawane morderczemu żarowi i zimnu reagowały z atmosferą i ulegały erozji. Ziemia, kiedy zbliżamy się do najstraszniejszej zagłady, jest taka sama: prawie bez życia. Skały erodują.

Przez cały czas łańcuch maleńkich przodków czepiał się życia w

błotnistych jamach na brzegach śródlądowych mórz, które prawie — ale nie całkiem — wyschły, zmieniając się w zagłębienia martwego marsjańskiego pyłu.

Ziemia w tej erze była zupełnie inna, stwierdził David. Dryf tektoniczny zebrał wszystkie kontynenty w jedną ogromną masę lądową, największą w całej historii planety. W regionach tropikalnych dominowały rozległe pustynie, a na dużych wysokościach tworzyły się lodowce. W głębi lądu klimat zmieniał się gwałtownie od zabójczego upału do mrozu.

Ten delikatny świat spotkała kolejna katastrofa: olbrzymia nadwyżka dwutlenku węgla w atmosferze. Gaz dusił zwierzęta i do i tak już zabójczego klimatu dodawał skutki efektu cieplarnianego.

— Ucierpiały przede wszystkim zwierzęta, cofnięte niemal do poziomu życia w stawie. Ale dla nas to już się prawie kończy, Bobby. Nadmiar dwutlenku węgla wraca tam, skąd pochodzi: do morskich wulkanów i syberyjskich kraterów, wyrzucających płynny bazalt i gazy, które ulotniły się z wnętrza Ziemi, by zatruć powierzchnię. Wkrótce ten monstrualny kontynent się rozpadnie. Pamiętaj o jednym: życie przetrwało. Więcej nawet: nasi przodkowie przetrwali. To najważniejsze. Inaczej by nas tu nie było.

Bobby, wpatrzony w częściowo gadzi, częściowo gryzoniowaty pyszczek w centrum pola widzenia, odkrył, że świadomość ta daje mu pewną pociechę.

Przesunęli się przez czas zagłady w głębszą przeszłość.

Powracająca do życia Ziemia wydawała się całkiem inna. Nie pozostał żaden ślad gór, a przodkowie usiłowali przetrwać na brzegach ogromnych i płytkich śródlądowych mórz, które przez wieki przesuwały się tam i z powrotem. Z wolna, po milionach lat, gdy trujące gazy cofnęły się z powierzchni, na planetę powróciła zieleń.

Przodek stał się niskim, człapiącym niezgrabnie stworzeniem, pokrytym krótką, szarobrązową sierścią. Gdy mijały pokolenia, szczęka wydłużała się, czoło cofało, zniknęły zęby, pyszczek pokryła twarda tkanka, upodabniając go do dzioba. Potem cofnęła się także sierść, a pyszczek wydłużył jeszcze bardziej. Przodek, według Bobby'ego, stał się istotą nieodróżnialną od jaszczurki.

Uświadomił sobie, że zanurzyli się już tak głęboko w czasie, iż wielkie rodziny zwierząt lądowych: żółwie, ssaki i jaszczurki, krokodyle i ptaki, łączą się w jedną grupę macierzystą: gady.

Potem, ponad trzysta pięćdziesiąt milionów lat w przeszłość, przodek znowu się zmienił. Głowa stała się bardziej tępa, kończyny krótsze i grubsze, ciało bardziej opływowe. Być może był już płazem. I w końcu te krótkie nogi zmieniły się w zwykłe płetwy, a te wtopiły się w tułów.

— Życie wycofuje się z lądu — oświadczył David. — Ostatni z

bezkręgowców, prawdopodobnie skorpion, czołga się do morza. Na lądzie rośliny wkrótce strącaliście i przestaną rosnąć pionowo. Potem jedyną formą życia pozostałą na lądzie będą proste organizmy…

Nagle Bobby znalazł się pod wodą, wciągnięty przez cofającą się prababkę do płytkiego morza.

W wodzie było tłoczno. W dole rafa koralowa ciągnęła się w mglistą, błękitną dal. Porastały ją jakieś wielkie kwiaty na długich łodygach, a między nimi szukała pożywienia niewiarygodna rozmaitość stworzeń w skorupach. Bobby rozpoznał nautilusa i coś, co wyglądało jak ogromny amonit.

Przodek był małą, wąską rybką, jedną z wielkiej ławicy. Ich poruszenia zdawały się tak samo szybkie i nerwowe jak u współczesnych gatunków.

W oddali krążył rekin — znajoma sylwetka mimo upływu czasu. Ławica ryb ze strachem skręciła i odpłynęła. Bobby'ego ogarnęło współczucie.

Znów przyspieszyli: czterysta milionów lat temu, czterysta pięćdziesiąt…

Widzieli migotanie ewolucyjnych eksperymentów; na smukłych ciałach przodków pojawiały się rozmaite odmiany kostnego pancerza, a niektóre wersje trwały chyba tylko kilka pokoleń — całkiem jakby te prymitywne ryby straciły talent do udanego planowania ciała. Bobby wiedział, że życie komplikuje się, gromadzi informacje przechowywane w samych strukturach żywych istot — informacje zdobywane z trudem przez miliony pokoleń, kosztem cierpień i śmierci. Teraz, w ruchu wstecznym, odrzucało je niedbale.

A potem brzydka pierwotna ryba zniknęła. David zwolnił tempo.

W tym pradawnym morzu nie było żadnych ryb. Przodek stał się bladym robakiem, kryjącym się w piasku na dnie.

— Od teraz wszystko się upraszcza — stwierdził David. — Istnieje tylko parę wodorostów… Aż w końcu, na głębokości miliarda lat, pozostanąjedynie organizmy jednokomórkowe, aż do samego początku.

— Daleko jeszcze?

— Bobby, dopiero zaczęliśmy. Musimy sięgnąć trzy razy głębiej niż teraz.

Ruszyli.

Przodek był prymitywnym robakiem o zmiennym kształcie, a potem skurczył się do drobinki protoplazmy w dywanie alg. Kiedy zanurzyli się jeszcze głębiej, zostały tylko algi. I nagle ogarnęła ich ciemność.

— Niech to szlag — mruknął Bobby. — Co się stało?

— Nie wiem.

David przesunął ich w głąb: milion lat, dwa… Ciemność nie ustępowała.

Zniecierpliwiony David zerwał kontakt z przodkiem z tego okresu — mikrobem czy prymitywnym wodorostem — przeniósł punkt widzenia ponad ocean i zawiesił go tysiąc kilometrów nad krzywizną Ziemi.

Ocean był biały, od bieguna po równik pokryty lodem; wypiętrzenia i szczeliny długości setek kilometrów przecinały wielkie lodowe pola. Nad zamarzniętym horyzontem wschodził Księżyc; poorana kraterami tarcza nie zmieniła się przez cały ten czas — znajomy rysunek twarzy już w tej odległej epoce był niewyobrażalnie stary. Ale ciemna zwykle część Księżyca tutaj lśniła niemal równie jasno w świetle odbitym od Ziemi, co jego sierp w blasku słońca.

Ziemia stała się oślepiająco jasna, może jaśniejsza niż Wenus — gdyby istniały oczy, które mogłyby je porównać.

— Popatrz na to — szepnął David.

W pobliżu ziemskiego równika wyrastał kolisty wał o zaokrąglonych ścianach, ze zniszczoną przez erozję bryłą w środku.

— Krater meteorytowy. I to stary. Ta pokrywa lodowa leży już bardzo długo.

Zaczęli się cofać. Zmienne nierówności lodowej pokrywy — pęknięcia, wyszczerbione wały, łańcuchy zasp śnieżnych — rozmyły się w perłową gładź. Ale sama lodowa powłoka nie ustępowała.

Nagle, po pięćdziesięciu milionach lat, lód zniknął jak szron, parujący z ogrzanej szyby. I natychmiast, ledwie Bobby zdążył odetchnąć z ulgą, na nowo skuł planetę od bieguna po biegun.

Widzieli jeszcze trzy przerwy w zlodowaceniu, zanim cofnęło się na dobre.

Lód odsłonił świat podobny do Ziemi, ale inny. Były tu błękitne oceany i kontynenty, ale kontynenty całkiem nagie, zdominowane przez góry z ośnieżonymi szczytami i rdzawe pustynie. Ich kształty wydały się Bobby'emu całkowicie obce.

Obserwował powolny taniec tych kontynentów, kiedy skupiały się na skutek ślepych pchnięć sił tektonicznych w jedną lądową masę.

— Oto odpowiedź — stwierdził ponuro David. — Przyczyną zlodowaceń jest sam superkontynent, na przemian skupiający się i rozpadający. Kiedy się rozłamuje, powstaje o wiele dłuższa linia brzegowa. Stymuluje rozwój życia, w tej chwili ograniczonego do mikrobów i alg w śródlądowych morzach i wodach przybrzeżnych. Życie pochłania dwutlenek węgla z atmosfery, kończy się efekt cieplarniany, a że słońce jest nieco słabsze niż w naszych czasach…

— Marny zlodowacenie.

Tak. Tam i z powrotem, przez dwieście milionów lat. Przez miliony lat bez przerwy zanikać musi praktycznie cała fotosynteza.

Zadziwiające, że życie w ogóle przetrwało.

Raz jeszcze opuścili się w głąb oceanu i pozwolili, by program śledzący doprowadził punkty widzenia do nieciekawej plątaniny alg. Gdzieś pośród nich kryła się niewielka komórka, będąca przodkiem wszystkich ludzi.

Ponad nimi w błękitnej wodzie płynęła ławica prostych stworzeń podobnych do meduz. Dalej Bobby widział istoty bardziej złożone: liście, bulwy, pikowane maty, czasem umocowane do dna, a czasem unoszące się swobodnie.

— Nie wyglądają na wodorosty — oświadczył.

— Mój Boże! — zdumiał się David. — To chyba ediakarany. Wielokomórkowe formy życia. Ale ediakarany nie powinny wyewoluować jeszcze przez kilkaset milionów lat. Coś się tu nie zgadza.

Znowu ruszyli przez czas. Ślady istot wielokomórkowych szybko zniknęły, gdy życie pozbywało się wszystkiego, czego z takim trudem się nauczyło.

Na głębokości miliarda lat zapadła ciemność.

— Znowu lód? — zapytał Bobby.

— Chyba rozumiem — odparł posępnie David. — To był skok ewolucji, bardzo wczesny, którego nie odkryliśmy na podstawie skamielin. Życie podjęło próbę pokonania etapu pojedynczych komórek. Ale było skazane na zagładę w zlodowaceniu. Dwieście milionów lat rozwoju poszło na marne. A niech to…

Gdy lód się cofnął — po kolejnych stu milionach lat — znowu pojawiły się złożone, wielokomórkowe istoty, szukające pożywienia wśród algowych mat: kolejny falstart, wyeliminowany przez zlodowacenie. Bracia znów musieli patrzeć, jak życie wraca do form pierwotnych.

Opadali przez długie, niczym się nie wyróżniające epoki. Jeszcze pięć razy śmiertelny cios zlodowacenia spadał na planetę, zabijał oceany i miażdżył wszystkie formy życia prócz najprymitywniejszych, trwających w ciasnych niszach. Tak działało mordercze sprzężenie zwrotne, inicjowane, gdy tylko życie wystarczająco się rozwinęło w płytkich wodach na wybrzeżach kontynentów.

Tragedia Syzyfa — mruknął David. — Według mitu Syzyf miał wtaczać na górę wielki kamień, który zawsze staczał się z powrotem. Życie walczy o osiągnięcie złożoności, po czym raz po raz jest zgniatane i wraca do najbardziej prymitywnego poziomu. To jak ciąg lodowych Wormwoodów. Może ci filozofowie nihilizmu mieli rację; może tylko tego możemy oczekiwać od wszechświata: nieustannego niszczenia życia i ducha, ponieważ stanem równowagi kosmosu jest śmierć…

— Ciołkowski nazwał kiedyś Ziemię kolebką ludzkości — rzekł

Bobby. — I jest nią, a nawet kolebką życia. Ale…

— Ale marna to kołyska, która zabija śpiące dziecko. Przynajmniej dzisiaj coś takiego nie mogłoby się zdarzyć. W każdym razie nie w ten sposób. Życie rozbudowało złożone sprzężenia, które kontroluj ą przepływ masy i energii przez systemy planetarne. Zawsze uważaliśmy, że żyjąca Ziemia jest piękna. Nie jest. Życie musiało nauczyć się obrony przed geologiczną brutalnością planety.

W końcu dotarli w czasie głębiej niż zlodowacenia.

Młoda Ziemia niewiele miała wspólnego ze światem, którym kiedyś się stanie. Powietrze było gęste, nie nadające się do oddychania. Zniknęły wzgórza, brzegi, urwiska i lasy. Większą część planety pokrywał płytki ocean bez śladu kontynentów. Dno morskie zmieniło siew cienką skorupę, spękaną i przełamywaną przez rzeki lawy. Często na całe lata okrywały planetę gęste gazy, aż wulkany wysuwały się nad powierzchnię i wsysały je do wnętrza.

Z rzadka widoczne przez dymy i mgły Słońce było ognistą, jaskrawą kulą. Księżyc wydawał się ogromny jak talerz, choć już teraz widoczne były na jego powierzchni znajome rysy.

Ale i Słońce, i Księżyc wręcz pędziły po niebie. Młoda Ziemia obracała się szybciej, częściej zanurzała w ciemności nocy swoją powierzchnię i kruchy ładunek życia; gigantyczne fale przypływu zalewały planetę.

Przodkowie w tym nieprzyjaznym świecie nie przejawiali wielkich ambicji: generacje pojedynczych komórek żyły w wielkich koloniach niedaleko powierzchni płytkiego morza. Każda z nich zaczynała jako gąbczasta masa, odrzucająca warstwę po warstwie, aż pozostawała tylko niewielka plama zieleni; wypływała na powierzchnię i dryfowała po morzu, aż połączyła się z jakąś starszą kolonią.

Niebo wyglądało wspaniale, ożywione błyskami powracających w kosmos wielkich meteorów. Często — przerażająco często — wysoka na kilka kilometrów ściana wody przesuwała się wokół globu i zbiegała w płonącej uderzeniowej bliźnie, skąd wzlatywał w kosmos wielki lśniący obiekt, kometa lub asteroida. Przez krótki czas rozjaśniał niebo, aż całkiem znikał w ciemności.

Częstotliwość i siła tych odwróconych zderzeń zdawała się wzrastać.

Potem, niespodziewanie, zielone maty alg zaczęły migrować po powierzchni młodych, burzliwych oceanów, ciągnąc za sobą łańcuch przodków, a wraz z nim punkt widzenia Bobby'ego. Kolonie alg łączyły się, malały, łączyły znowu, jakby powracały do wspólnego źródła.

I wreszcie bracia znaleźli się w odciętym jeziorze na dnie szerokiego, głębokiego krateru meteorytowego, jak gdyby na zalanym

wodą Księżycu. Bobby widział wyszczerbione ściany krateru i tępy wierzchołek centralny. Jezioro miało barwę jaskrawej, jadowitej zieleni. Gdzieś w głębi jego przodkowie kontynuowali wysiłki, prowadzące ich ku materii nieożywionej.

I nagle zielona plama skurczyła się, zredukowana do osobnych punkcików, a powierzchnię jeziora pokryła brunatna szumowina.

— Och… — westchnął zaszokowany David. — Właśnie straciliśmy chlorofil. I możliwość wytwarzania energii ze światła. Rozumiesz, co się stało? Kolonia organizmów została odizolowana od reszty przez uderzenie meteorytu albo jakieś zjawisko geologiczne, może to, które uformowało krater. I skończyło się pożywienie. Organizmy musiały mutować albo zginąć.

— I zmutowały — dokończył Bobby. — Gdyby nie…

— Gdyby nie, toby nas nie było.

Nastąpił gwałtowny wybuch aktywności, szybki ruch, potężny i niezrozumiały — może właśnie to zdarzenie, o którym wspominał David.

Kiedy wszystko się skończyło, Bobby znów znalazł się pod wodą, patrząc na warstwę brunatnej piany wokół parującego wylotu wulkanicznego, słabo rozświetlonego przez blask wnętrza Ziemi.

— Czyli doszliśmy do tego — rzekł David. — Nasi najdalsi przodkowie byli skałożerni: termofile, a może nawet hipertermofile. To znaczy, że żyli tylko w wysokich temperaturach. Pochłaniali minerały wprowadzane do wody wylotami wulkanicznymi: żelazo, siarkę, tlen… Prymitywne, nieefektywne, ale skuteczne. Nie potrzebowali tlenu, światła ani nawet materii organicznej.

Bobby zapadł się w ciemność. Przemieszczał się przez tunele i szczeliny, zmniejszony, ściśnięty, w całkowitym mroku, z rzadka tylko rozjaśnianym słabymi czerwonymi błyskami.

— David? Jesteś tu?

— Jestem.

— Co się z nami dzieje?

— Przepływamy pod dnem morza. Migrujemy przez porowate skały wulkaniczne. Całe życie na planecie zbiega się w jedno miejsce, Bobby, cofa się wzdłuż brzegów i pokładów bazaltu na dnie i łączy w jednym punkcie.

— Ale gdzie? Dokąd migrujemy?

— W głębokie skały, Bobby. Do punktu kilometr pod powierzchnią. Całe życie na Ziemi wyszło z tej kryjówki, z głębokiego schronu.

— A przed czym musiało się chronić? — Bobby'ego ogarnęły złe przeczucia.

— Obawiam się, że wkrótce zobaczymy.

David podniósł oba punkty widzenia; zawiśli w trującej

atmosferze martwej Ziemi.

Było tu światło, ale mętne i pomarańczowe, jak zmierzch w spowitym smogiem mieście. Słońce wznosiło się zapewne nad horyzontem, ale Bobby nie potrafił znaleźć ani jego, ani Księżyca. Atmosfera wydawała się gęsta, przytłaczająca. W dole pienił się czarny ocean; w kilku miejscach wrzał, a spękane dno przecinały ogniste szczeliny.

Cmentarz opustoszał całkowicie, pomyślał Bobby. Oprócz tego jednego, głęboko ukrytego schronu — gdzie przebywają moi najdalsi przodkowie — te młode skały oddały wszystkie swoje warstwy umarłych.

Zebrała się czarna pokrywa chmur, jakby narzucona na niebo przez gniewnego boga. Zaczął padać odwrócony deszcz: strugi wody strzelały ze spienionego oceanu do gęstych chmur.

Minęło sto lat, a deszcz nadal chlustał z oceanu, wciąż tak samo gęsty. Tak gęsty, że wkrótce obniżył się poziom morza. Chmury gęstniały coraz bardziej, a ocean się zmniejszał, tworząc izolowane jeziora mętnej wody w najniższych zagłębieniach spękanej, porysowanej powierzchni Ziemi.

Ulewa trwała dwa tysiące lat. Nie ustała, dopóki oceany nie powróciły do chmur, pozostawiając tylko suchy ląd.

A ląd zaczął rozpadać się dalej.

Wkrótce lśniące czerwienią szczeliny poszerzyły się, rozbłysły jaśniej; popłynęła lawa. W końcu w jej falach pozostały tylko izolowane wysepki, odpryski skał, które także topniały. Nowy ocean pokrył Ziemię: ocean płynnej skały, głęboki na setki metrów.

Spadł nowy odwrócony deszcz: przerażająca ulewa gorących stopionych skał, podrywających się z powierzchni. Krople płynnej skały łączyły się z chmurami, aż atmosfera zmieniła się w piekielną warstwę lawy i pary wodnej.

— Niesamowite! — krzyknął David. — Ziemia zyskała atmosferę par lawy, grubą na pięćdziesiąt kilometrów. Ciśnienie pewnie setki razy przewyższa ciśnienie naszej atmosfery. Energia cieplna musi być potworna… Górna warstwa chmur nad planetą pewnie świeci. Ziemia lśni jak gwiazda lawy.

Ale skalny deszcz odbierał ciepło ze zniszczonej powierzchni i szybko, w ciągu kilku miesięcy, ląd ostygł i stwardniał. Pod lśniącym niebem znowu formowała się woda w stanie ciekłym, ze stygnących chmur kondensowały się nowe oceany. Ale powstawały wrzące obszary, gdyż ich powierzchnia stykała się z parami lawy. Między oceanami wyrastały góry, krystalizując się z kałuż mazi.

Obok Bobby'ego przemknęła ściana światła, w niewyobrażalnej eksplozji ciągnąca za sobą front wrzących chmur i pary. Bobby krzyknął…

David spowolnił ich ruch w czasie. Ziemia znowu odżyła.

Błękitnoczarne oceany były spokojne; bezchmurne niebo wyglądało jak zielonkawa kopuła. Księżyc wydawał się niepokojąco wielki, ale Bobby widział na nim znajomą twarz, której brakowało tylko prawego oka. Widział też drugie słońce, jaśniejszą od Księżyca lśniącą kulę z ogonem przecinającym całe niebo.

— Zielone — mruczał David. — To dziwne. Może metan? Ale skąd…

— Co to jest, do diabła? — przerwał mu Bobby.

— Ta kometa? Prawdziwe monstrum. Rozmiaru współczesnych asteroid takich jak Yesta czy Pallas, jakieś pięćset kilometrów średnicy. Masa sto tysięcy razy większa od zabójcy dinozaurów.

— Wielkości Wormwoodu.

— Tak. Pamiętaj, że sama Ziemia powstała w wyniku zderzeń, koncentrując rój planetezymali krążących wokół młodego Słońca. Największe zderzenie to prawdopodobnie kolizja z innym młodym światem. Prawie nas rozbiła.

— To uderzenie, od którego powstał Księżyc…

— Później powierzchnia planety była stosunkowo stabilna. Ale wciąż w Ziemię trafiały różne obiekty, dziesiątki czy setki w okresie kilkuset milionów lat. To bombardowanie, którego gwałtowności nie potrafimy sobie nawet wyobrazić. Potem zderzenia były rzadsze, bo planety wchłonęły ostatnie planetezymale, i nastąpił błogi okres względnego spokoju, trwający znowu kilkaset milionów lat. A potem to… Ziemia miała pecha, że spotkała takiego giganta na tak późnym etapie rozwoju. Uderzenie było tak potężne, że wyparowały oceany, a nawet stopniały góry.

— Ale my przeżyliśmy — przypomniał Bobby.

— Tak. W tym głębokim, gorącym schronie.

Zanurkowali; Bobby znalazł się w skale wraz ze swymi najdalszymi przodkami: garstką termofilnych mikrobów. Czekał w ciemności, a obok mijały niezliczone generacje.

I wreszcie znowu zobaczył światło.

Wznosił się czymś w rodzaju szybu, jakby studnią, w stronę kręgu zielonego światła — nieba tej obcej Ziemi sprzed bombardowania. Krąg rósł ciągle, aż Bobby'ego zalał blask słońca.

Przez chwilę nie bardzo rozumiał, co zobaczył.

Zdawało się, że tkwi w pudle z jakiegoś szklistego materiału. Przodek musiał być tu także: jedna prymitywna komórka wśród milionów, wypełniających pojemnik. Pudło stało na jakimś piedestale, a wokół siebie widział…

— Boże wszechmogący… — szepnął David. To było miasto.

Bobby dostrzegł archipelag wulkanicznych wysepek,

wyrastających z błękitnego oceanu. Ale wysepki były połączone szerokimi, równymi mostami. Na powierzchni lądu niskie murki wytyczały geometryczne formy — wyglądało to na pola uprawne. Ale nie był to ludzki pejzaż: pola miały kształt sześciokątów. Bobby widział nawet budynki, niskie i prostokątne jak hangary lotnicze. Między nimi zauważył jakiś ruch, ale zbyt daleko, żeby rozróżnić szczegóły.

Po chwili coś zbliżyło się do niego.

Wyglądało trochę jak trylobit. Miało niskie, segmentowe ciało, błyszczące pod zielonym niebem. Grupy odnóży — sześć? osiem? — migotały w ruchu. Coś podobnego do głowy z przodu…

Głowy z otworem ust, gdzie tkwiło narzędzie ze lśniącego metalu.

Głowa uniosła się ku niemu. Spróbował znaleźć oczy tej niemożliwej istoty. Miał wrażenie, że może wyciągnąć rękę, dotknąć chitynowej twarzy i…

…i świat zapadł się w ciemność.

Byli parą starych ludzi, którzy zbyt wiele czasu spędzili w rzeczywistości wirtualnej, więc wyszukiwarka przerwała seans. Bobby leżał oszołomiony i myślał, że to chyba błogosławieństwo.

Wstał, przeciągnął się i przetarł oczy.

Wędrował przez Wormworks; solidność zakurzonego laboratorium wydawała się nierealna po tym trwającym cztery miliardy lat spektaklu, który przed chwilą oglądał. Znalazł automat z kawą, zamówił dwie filiżanki, przełknął gorący łyk. Potem, przywrócony częściowo do życia, podszedł do brata. Podsuwał mu kawę tak długo, aż David — z otwartymi ustami i zaszklonymi oczyma — usiadł, by się napić.

— Syzyfanie — powiedział chrapliwym głosem.

— Co?

— Tak chyba musimy ich nazywać. Wyewoluowali na młodej Ziemi, w okresie spokoju pomiędzy wczesnymi i późnymi bombardowaniami. Byli inni niż my… To metanowe niebo: co to mogło znaczyć? Może nawet system biochemiczny różnił się od naszego, może opierał się na związkach siarki albo wykorzystywał amoniak jako rozpuszczalnik? A może… — Chwycił Bobby'ego za ramię. — I oczywiście rozumiesz, że nie musieli mieć nic wspólnego ze stworzeniami, które wybrali do schronu. Schronu naszych przodków. Nie więcej, niż my mamy wspólnego z egzotyczną florą i fauną, która wciąż lgnie do podmorskich ujść wulkanicznych w naszym świecie. Ale oni… termofile, nasi przodkowie… mieli największą szansę na przetrwanie.

— Davidzie, wolniej… O czym ty mówisz? David spojrzał na niego zaskoczony.

— Jeszcze nie zrozumiałeś? Oni byli inteligentni, ci Syzyfanie. Ale skazani. Widzieli, jak nadlatuje.

Ta wielka kometa?

— Właśnie. Tak jak my widzimy Wormwood. I wiedzieli, co się stanie z ich światem: wyparują oceany i nawet skały stopnieją na głębokość setek metrów. Widziałeś ich. Mieli tylko prymitywną technikę. Byli młodą rasą. Nie mogli ani opuścić planety, ani przetrwać uderzenia, ani zepchnąć komety z kursu. Byli zgubieni, bez wyjścia. Ale nie poddali się rozpaczy.

— Zakopali pojemnik tak głęboko, żeby impuls termiczny go nie dosięgnął.

Tak. Rozumiesz? Starali się zachować życie. Nasze życie, Bobby. Nawet w obliczu największej katastrofy, jaką przeżyła planeta. I takie jest też nasze przeznaczenie, Bobby. Jak Syzyfanie, którzy ukryli garść termofilnych mikrobów, by przetrwały uderzenie… Jak te algi i wodorosty, które zdołały przetrwać straszliwe zlodowacenia… Jak złożone życie, które ewoluując i adaptując się, przetrwało późniejsze katastrofy wulkaniczne, uderzenie meteorytu, zmiany geologiczne… Tak i my musimy. Nawet Złączeni, produkt ewolucji umysłu, są częścią tego samego łańcucha, sięgającego zarania samego życia.

Bobby uśmiechnął się.

— Pamiętasz, co powtarzał Hiram? Że nie ma granic tego, co możemy osiągnąć, jeśli będziemy działać razem.

— Tak. Właśnie tak. Hiram nie był głupi. Bobby z czułością położył bratu dłoń na ramieniu.

— Myślę…

…i raz jeszcze, bez ostrzeżenia, świat zapadł się w ciemność.

Epilog

— …Bobby. Obudź się. Bobby. Słyszysz mnie…?

Głos dobiegał jakby z daleka. Głos kobiety. Słyszał go i rozumiał słowa, zanim jeszcze odzyskał poczucie własnego ciała.

Oczy miał zamknięte.

Leżał na plecach na czymś, co sprawiało wrażenie miękkiego łóżka. Czuł ręce i nogi, czuł powolne uderzenia serca, słyszał własny oddech. Wszystko wydawało się normalne.

A jednak wiedział, że tak nie jest. Coś się nie zgadzało, jak fioletowe niebo nad Ziemią w okresie kredy.

Czuł niewyjaśniony lęk.

Otworzył oczy.

Zobaczył przed sobą twarz kobiety: drobne kości, niebieskie oczy, jasne włosy, kilka zmarszczek. Mogła mieć czterdzieści, nawet pięćdziesiąt lat. A jednak ją rozpoznał.

— …Mary?

Czy to był jego głos?

Podniósł rękę. Z rękawa z jakiejś srebrzystej tkaniny wysunął się kościsty przegub. Dłoń była wąska, palce długie jak u pianisty.

Czy to j ego dłoń?

Mary — jeśli to była Mary — pochyliła się i ujęła oburącz jego twarz.

— Obudziłeś się. Dzięki za to Hiramowi. Rozumiesz mnie? Tak. Tak, ja…

— Co pamiętasz?

— Davida. Wormworks. Próbowaliśmy…

— Podróżowaliście. Tak. Dobrze pamiętasz. Po swoim Anastasis David powiedział nam, gdzie byliście.

Anastasis, pomyślał. Zmartwychwstanie. Lęk pogłębił się.

Próbował usiąść. Pomogła mu. Czuł się słaby, lekki.

Był w pomieszczeniu o gładkich ścianach. Panował mrok. Drzwi prowadziły na korytarz zalany światłem. Zobaczył pojedyncze, okrągłe okno, a za nim błękit i czerń.

Błękitna Ziemia. Czarne niebo.

Powietrze Ziemi było czyste jak szkło. Zauważył srebrzyste linie nad błękitnymi oceanami, jakąś strukturę setki kilometrów ponad powierzchnią. Czyżby był na orbicie? Nie, Ziemia się nie obracała. A zatem przebywał w jakiejś wieży orbitalnej.

Mój Boże, pomyślał.

— Czy umarłem? Zostałem wskrzeszony, Mary? Jęknęła cicho i przeczesała dłonią rozpuszczone włosy.

— David mówił, że taki będziesz. Pytania, pytania… — Miała

dziwną intonację i chrapliwy głos, jakby odzwyczaiła się od mówienia.

— Dlaczego zostałem tu sprowadzony? Aha. Wormwood. O to chodzi?

Mary zmarszczyła brwi, przez chwilę zdawała się nasłuchiwać dalekich głosów.

— Wormwood? Chodzi ci o kometę. Odepchnęliśmy jąjuż dawno — powiedziała swobodnie, jakby chodziło o odtrącenie ćmy.

— Więc co? — zapytał zdziwiony.

— Mogę ci wytłumaczyć, jak się tu dostałeś — odparła łagodnie. — A dlaczego, będziesz musiał sam odgadnąć…

Dowiedział się, że minęło kolejne sześćdziesiąt lat.

Wszystko przez WormCam, oczywiście. Teraz możliwe było sięgnięcie w czas i odtworzenie pełnej sekwencji DNA w dowolnej chwili życia danego osobnika. Było też możliwe uzyskanie pełnej kopii umysłu, wciągnięcie na moment do sieci Złączonych osoby sprzed lat, a nawet dziesięcioleci. Kombinacja obu metod — regeneracji ciała i kopiowania umysłu — pozwalała na odtworzenie.

Sprowadzenie kogoś ze świata zmarłych.

— Umierałeś — powiedziała Mary. — Już w chwili, kiedy cię skopiowaliśmy. Chociaż wtedy o tym nie wiedziałeś.

— Klonowanie?

Tak. W czasach Hirama proces wciąż był eksperymentalny. Pojawiły się problemy z telomerami. To genetyczne struktury kontrolujące starzenie się komórek. Twój stan zaczął gwałtownie się pogarszać po…

— Po tym, co ostatnio zapamiętałem w Wormworks. Tak.

Dziwnie było pomyśleć, że kiedy podawał Dayidowi ostatnią filiżankę kawy, jego życie już praktycznie się zakończyło, a ta resztka najwyraźniej nie była warta przeżywania.

Wzięła go za rękę. Kiedy wstał, poczuł się niepewny i lekki jak we śnie. Po raz pierwszy zauważył, że Mary jest naga, lecz na skórze ramion i brzucha widnieją linie wszczepów. Jej piersi poruszały się dziwnie leniwie, jakby grawitacja nie była tutaj taka jak zwykle.

— Wiele musisz się nauczyć — powiedziała. — Mamy teraz dość miejsca. Populacja Ziemi jest stabilna. Żyjemy na Marsie, na księżycach planet zewnętrznych, lecimy do gwiazd. Były eksperymenty skopiowania ludzkiego umysłu w pianę kwantową.

— …Miejsca na co?

— Na Anastasis. Zamierzamy odtworzyć wszystkie ludzkie dusze, aż do początku gatunku. Każdego uchodźcę, każde dziecko usunięte z łona matki. Chcemy naprawić przeszłość, pokonać straszną tragedię śmierci we wszechświecie, który może trwać dziesiątki miliardów lat.

To cudowne, pomyślał. Sto miliardów dusz odtworzonych jak liście jesiennego drzewa. Jaki będzie ten świat?

— Ale — zapytał wolno — czy to są ci sami ludzie? Czy jestem sobą?

— Niektórzy filozofowie twierdzą, że to możliwe. Leibnizowska zasada identyczności nierozróżnialnego mówi, że jesteś sobą. Ale…

— Ale ty tak nie uważasz.

— Nie. Przykro mi. Zastanowił się.

— A kiedy wszyscy zostaniemy ożywieni, co zrobimy potem? Pytanie wyraźnie ją zaskoczyło.

— No wiesz… Cokolwiek zechcemy, oczywiście. — Pociągnęła go. — Chodź. Kate na ciebie czeka.

Ręka w rękę ruszyli w stronę światła.

Posłowie

Koncepcja wizjera czasu, choć znana, rzadko pojawiała się w science fiction — może dlatego, że jest o wiele mniej ciekawa niż podróże w czasie. Ukazało się jednak kilka znaczących dzieł na ten temat, od The Vicarion Gardnera Huntinga (1926) po Badaczy czasu: Odkupienie Krzysztofa Kolumba Orsona Scotta Carda (1996). Jeden z nas naszkicował implikacje tego pomysłu w dawniejszych pracach (Koniec dzieciństwa, 1953; Pasożyt, 1953). Może najbardziej znanym i najlepszym przykładem tej koncepcji jest „retrospektywne szkło" Boba Shaw z klasycznego opowiadania (opublikowanego w „Analogu", sierpień 1966), z którym łączy nas tytuł.

Obecnie pomysł ten zyskał pierwsze podstawy naukowej rzetelności, których dostarczyła mu współczesna fizyka, i dobrze współgra z naszymi czasami, gdyż coraz gęściej jesteśmy otoczeni aparaturą nadzoru.

Koncepcja tuneli czasoprzestrzennych jest dobrze opisana w książce Kipa Thorne'a Black Holes and Time Warps: Einstein's Outrageous Legacy (1994). Sugestia, że tunele można uzyskiwać przez ściskanie próżni, została wysunięta przez Davida Hochberga i Thomasa Kepharta (Physics Letters B, vol.268, s. 377383, 1991).

W dużej mierze opartą na domysłach, ale — mamy nadzieję — pełną szacunku rekonstrukcję życia Jezusa Chrystusa oparliśmy na świetnej biografii A.N. Wilsona Jesus (1992). Za pomoc we fragmentach dotyczących Abrahama Lincolna autorzy wdzięczni są Warrenowi Allenowi Smithowi, nowojorskiemu korespondentowi brytyjskiego magazynu „Gay and Lesbian Humanist".

Teoria, że pierwotna Ziemia przechodziła gwałtowne zlodowacenia, została zaproponowana przez Paula Hoffmana i jego współpracowników z Harvard University („Science", vol. 281, s. 1342, 28 sierpnia 1998). Koncepcja, że prymitywne życie mogło przetrwać kosmiczne bombardowanie Ziemi, kryjąc się głęboko pod powierzchnią, jest opisana na przykład w The Fifth Miracle Paula Daviesa (1998).

Podziękowania należą się Andy'emu Sawyerowi z Science Fiction Foundation Collection z biblioteki Sydneya Jonesa (uniwersytet w Liverpoolu) za pomoc w badaniach, Edwardowi Jamesowi z Uniwersytetu Reading i Ericowi Brownowi za przejrzenie pierwszej wersji maszynopisu. Za wszelkie błędy i pominięcia oczywiście odpowiadamy sami.

Książka ta z samej swej natury zawiera wiele spekulacji na temat postaci i wydarzeń historycznych. Niektóre z nich są całkiem mocno oparte na dostępnych źródłach, inne pochodzą z samej granicy

rozsądnego teoretyzowania, a część to niewiele więcej niż owoc wyobraźni autorów. Ocenę, które są którymi, pozostawiamy jako ćwiczenie dla czytelnika, przewidując, że raczej nikt nie udowodni nam błędu, dopóki nie zostanie stworzony pierwszy WormCam.

notes

Przypisy

1

Piąta Poprawka do Konstytucji USA gwarantuje przede wszystkim, że nikt nie może być zmuszany do składania zeznań przeciwko sobie i nikt nie może być sądzony po raz drugi w sprawie, w której zapadł już wyrok *(przyp. tłum.)*.